ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA,

1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

str

I. **Z dziejów polskich różnowierców.** Przez *A. Brücknera* . 1

II. **Łazarze.** Przez *Tadeusza M.* 32

III. **Szkolnictwo francuskie.** Przez *Jerzego Grota* 37

IV. **Sądzone mu było.** Przez *Jana Ko...* 72

V. **Zadania państwa na polu gospodarstwa społecznego.** Przez d-ra *Włodzimierza Czerkawskiego* 110

VI. **Malarstwo przyszłości.** Przez *Stwosza* 136

VII. **Z beletrystyki angielskiéj.** Przez *N. T.* 146

VIII. **W krainie wszechwiedzy.** Przez *I. Tokarzewicza* (*Hodi*) . 163

IX. **Życie codzienne Anglii za czasów Szekspira.** Przez *W. Bugiela* 172

X. **Rozbiory i sprawozdania:**

Nauka w domu. „Przewodnik dla wychowawców.” Napisała *Aniela Szyc* 182

C. Lombroso i G. Ferrero: „Kobiéta jako prostytutka i zbrodniarka.” Studya antropologiczne, poprzedzone biologią i psychologią kobiéty normalnéj. Z upoważnienia autorów tłómaczył dr. *J. Szenhak.* — S. Sighele: „Tłum zbrodniarzy.” Tłómaczyła *Antonina Morzkowska.* Ocenił *Kaz. Danilowicz-Strzelbicki* 186

XI. **Nowości naukowe i literackie** 192

XII. **Nekrologia** 209

XIII. **Ogłoszenia** . . . . 211 i 212

Zeszyt zawiera arkuszy 13¼.

Druk ukończono d. 1 kwietnia 1896 r.

Z dziejów polskich różnowierców.

ARYANIE.



I.

Polski romans historyczny, chociaż objął całą przeszłość dawnéj Rzeczypospolitéj, nie wyczerpał dotąd ciekawszych jéj motywów. Zwykłém polem popisów i nieodzownemi przyborami zawsze jeszcze pozostają, od dni Niemcewicza i Bronikowskiego, intryga miłosna na tle obyczajowém, wykonaném mniéj lub więcéj szczegółowo i barwnie; intryga, spleciona z byle jaką akcyą historyczną, odgrywającą się stale przy huku trąb i kotłów, parskaniu rumaków, szczęku oręża, wśród tłumów w kosztownych zbrojach, deliach, kontuszach; intryga, przerywana napadami, oblężeniami, ucieczkami, powracająca do dworów pańskich, a zaglądająca mimochodem w dworki szlachty kuligującéj, w komnaty i alkowy miejskie lub pod słomianą strzechę chłopka.

Wielki talent — co podziwialiśmy niedawno — wystawił w takich ramach szerokie a barwne obrazy, wprawił w ruch ludzi krewkich a szlachetnych i słabych a śmiesznych, wywołał kolizye tragiczne lub drastyczne, jedném słowem wzruszył nas i przeraził, a choćby tylko zabawił. Lecz i on w końcu może znużył czytelnika, przedstawiając przeszłość zbyt jaskrawo a jednostronnie zarazem; w ciągłym hałasie

wojennym lub gwarze biesiadnym trudno uchwycić fizyognomię codziennego życia, wpatrzyć się — nie w poszczególne barwne obrazki — lecz w całą przeszłość, mianowicie w te jéj załomy i dzieje, które choć mniéj świetne i głośne, za to sięgają głębiéj, splatają się ściśléj i jedynie zdolne wzruszać nas trwaléj.

Szereg takich, dotąd mało lub wcale nieobrabianych konfliktów, wypływa ze zmącenia spokojnéj powierzchni prastarego bytu nowemi powiewami i prądami z zagranicy; ze starcia się dwóch cywilizacyi, epok, pokoleń; ze starcia, nietylko wywoływanego przesileniem ekonomiczném i socyalném w wieku naszym lub upadkiem „sarmatyzmu" w wieku przeszłym, jaki w „Listopadzie" dorywczo przedstawiono, lecz powtarzającego się tak samo w wiekach poprzednich, np. w owém niepohamowaném wdzieraniu się renesansu i reformacyi w głuche, zapadłe kąty na Rusi i Litwie, w owym uderzającym kontraście między prastarą ruską a nową włosko-polską kulturą, przetwarzającą każdy szczegół domowego życia, przetapiającą wszelką myśl i uczucie narodowe i religijne, wobec któréj bezsilne są wszelkie próby zatamowania prądu, podejmowane przez jednostki hołdujące domowym tradycyom; przez ascetów chroniących się przed nowém życiem po celach; przez wychodźców, jak książę Kurbski lub mnich Artemiusz, podtrzymujących chylącą się budowę. Co za ciekawy a nowy szkic obyczajowy da się skreślić na podstawie opowiadania ks. biskupa Wereszczyńskiego o własnym ojcu i jego wychowaniu, lub co za konflikty dośledzi powieściopisarz w dziejach ostatnich książąt Ostrogskich lub Wiśniowieckich i w połączonych z nimi przemianach, charakteryzujących całe pokolenia szlachty litewskiéj i ruskiéj!

Lecz nierównie ciekawsze, zawilsze i głębsze procesa psychiczne dadzą się odtwarzać na tle różnic wyznaniowych, na tle owéj walki katolicyzmu i protestantyzmu wszelkich odcieni, z jéj dziwnemi, niespodziewanemi zwrotami. Spotykamy w dawnych zapiskach co krok dramaty domowe, walki sumień i przekonań, małoduszne ustępstwa i gorzkie po nich wyrzuty, napraszające się do ujęcia w ramy noweli czy powieści. Wymieńmy byle jaki fakt, na chybił trafił, np. wyjście Lucławic z rąk aryańskich.

Lucławice na Podgórzu, nad Dunajcem, posiadłość Taszyckich i Błońskich, gdzie głośny apostoł aryaństwa, Faust Socyn, żył, umarł (1604 r.) i pochowany, były długi czas przystankiem dla nadjeżdżających z Siedmiogrodu aryanów, szkołą dla ich młodzieży po zniesieniu rakowskiéj, zborem głównym, za słynnego Jonasza Szlichtynka, dla sąsiedzkiéj szlachty aryańskiéj, dla Potockich, Morsztynów i innych. Od Andrzeja Gosławskiego i żony jego, wdowy po Taszyckim, trzymającéj

Lucławice dożywociem, odkupił je Zygmunt Taszycki, wychowanek sędziwego Stanisława Lubienieckiego, w którym Aryanie silne pokładali nadzieje. W ich otoczeniu obiecywał młody Zygmunt wytrwałą wiarę; to samo ślubował młodzieży szkolnéj, gdy go w przemowie uroczystéj witała; najsilniéj zaś tkwiła w nim pamięć matki, pochowanéj wraz z ojcem na cmentarzu lucławskim, która go na łożu śmiertelném zaklinała, by zboru aryańskiego strzegł jak oka w głowie, by nie dał go sobie wydrzéć podstępem lub mocą, grożąc, w razie przeciwnym, potępieniem jemu i jego pokoleniu. Lecz niebawem zachwiała się stałość: ożeniony z katoliczkami, z których głównie druga, Czermińska z domu, nienawiścią przeciw aryanom pałała, dał się w końcu nakłonić Gębickiemu, biskupowi krakowskiemu, szczególniéj gdy zaczęto patronów aryańskich prześladować; porzucił więc związki rodowe i przyjacielskie i zbór wyznawcom odebrał. Lecz utracił odtąd spokój wewnętrzny: dzień i noc trapiła go mara matki, wyrzucającéj mu niewdzięczność, zdradę i złość jego; gdy raz w południe legł znużony na łożu, ujrzał z przerażeniem, jak matka, od wyrzutów i groźb zacząwszy, w końcu na niego się rzuciła i pokrycie mu zdarła, że oszalały ze strachu uciekł; ciągłemi wyrzutami sumienia gryziony, zginął nieznanym rodzajem śmierci w wojnach kozackich. Siostra jego żony (Czermińskiéj), Bierecka, goszcząc w Lucławicach, cieszyła się, wstąpiwszy do zboru, że da się on na obszerną karczmę przerobić, lecz nie długo było téj uciechy, gdyż w kilka dni umarła. Rozwiodła się ona była z mężem, zamożnym ziemianinem przemyskim; idącego do łaźni przestrzeżono bowiem przed trucizną, jaką mu przyrządziły dwie panny służebne żony i kilka czarownic; przekonawszy się o truciznie — naczynie drewniane, w jakie ją wlano, pękło — kazał Bierecki czarownice spalić, a panny przed drzwiami żony obwiesić.

Przytoczony właśnie epizod opowiedział znakomity autor historyi aryaństwa, Stanisław Lubieniecki (młodszy), który i dumną Czermińską znał i na czele młodzieży od Zygmunta Taszyckiego zapewnienie stałego wytrwania przy wierze przodków otrzymał; któremu, gdy w Kopenhadze dla prześladowanych wszędzie współwyznawców o kawałek ziemi prosił, aby na nim jeśli nie żyć, przynajmniéj umrzéć mogli, arcybiskup Swaning w oczy szyderstwem cisnął: „Są przecież ludzie, co i na powietrzu gnić mogą"; ten wreszcie, który sam wraz z córkami od trucizny zginął.

Pełno po kronikach rodowych konfliktów i przygód, jak owe lucławskie, nietkniętych przez naszych powieściopisarzy; w samém dziele Lubienieckiego kilkanaście podobnych znajdziemy. Arcyrzadko, i to niemal mimojazdem, urywkowo, zahaczają nasi pisarze o najświetniej-

szą epokę dziejową i te jéj przemiany i różnice, jakie prądy reformacyi w narodzie szlacheckim wywoływały; zwykle pomijają głębokiém milczeniem, pozbawiając się najciekawszych tematów, owe lata, wrące życiem duchowém, kiedy to religia i spory o nią, zdawało się, groziły zerwaniem związków przyjacielskich, rodzinnych, państwowych; kiedy w imię religii, zapominając o odwiecznych prawach gościnności, gospodarz i goście do kordów się rwali; kiedy w jéj imię pomiatano czwartém przykazaniem, wyżłabiała się przepaść między rodzicami a dziećmi, braćmi a siostrami, mężem a żoną; jedni drugich skłaniali prośbą lub groźbą, gdy racyi nie stawało; pan uciskał dla niéj poddanych; w imię religii zrzekano się dobrowolnie związków, stanowisk, bogactw, odosabniano się, używano wreszcie wszelkiéj broni, podstępów, obmowisk, kłamstw, by przeciwnika oskarżyć, wyszydzić, zbezcześcić. I zdawało się chwilowo, że powtórzyły się owe wieki po Chrystusie, kiedy to na Wschodzie każdy wrażliwszy umysł oddawał się polemice i spekulacyom, porzucał doczesne zajęcia, zagłębiał się w pismo i doktorów Kościoła, cytował i objaśniał po swojemu teksty. Nie darmo skarży się w r. 1562 „Zgoda" Kochanowskiego, że świeccy

Jęli się sami kazać i żony wćwiczyli —
Więc teraz wszyscy każą, a żaden nie słucha;
Spytajże, skąd apostoł? Duch, pry, gdzie chce dmucha...
Wy każecie, wyprawcież na Podole mnichy;

a w parę lat późniéj Proteusz (czy nie pióra Andrzeja Wolana?) twierdzi:

...że wasze biesiady,
Zwłaszcza na wet, o wierze dysputują rady.
A chcą ci być doktormi, co nic nie umieją;
Tym rozumu przybywa, gdy szyję naleją.
Fraszka u was swarzyć się o Pańską wieczerzę...
Powadziła was, słyszę, ona święta Trójca;
Chcecie wiedzieć, jako Syn urodził się z Ojca,
Chcecie wiedzieć, jako Duch z Obudwu pochodzi,
A widzę, żeście bardzo w tych naukach młodzi...
Stąd wielkie zamieszania rostą i fasoły;
Drudzy się korda radzą, nie prawdziwéj szkoły i t. d.

Polemika teologiczna rozrywa wtedy nietylko związki przyjacielstwa i pokrewieństwa; ona to sprawia, że izba poselska zamiast popierać egzekucyi praw, obrony granic lub unii państw, bada wiarę, zrzuca „jarzmo rzymskie" i domaga się służby Bożéj i nauki „wedle szczyrego słowa", które każdy inaczéj określa. Polemika teologiczna ściąga niepospolite umysły z właściwych im torów na manowce im obce: Warszewicki, Gliczner, Frycz porzucają dla niéj filologię, pedagogię, nauki

polityczne; współwyznawcy zapominają o autorze Poprawy Rzeczypospolitéj, a pamiętają o badaczu dogmatów; przy nagłym zgonie Orzechowskiego nie opłakują utraty świetnego stylisty, mówcy, historyka, czy polityka — cenią w nim jedynie najsłabszą jego stronę polemiczno-teologiczną, owe nieraz niecne, a zawsze błahe wycieczki przeciw Stankarowi i Fryczowi. Przytaczamy na dowód spółczesny wiersz, jaki znaleźliśmy w rękopisie Miscelaneów w zbiorach zmarłego hr. Wiktora Baworowskiego we Lwowie, wiersz Andrzeja z Pilzna, nieudolny wprawdzie, lecz ciekawy, wyliczający wszystkich przeciwników, jakich „Oksza" (topór, herb rodowy Orzechowskich) rąbała; modernizujemy tylko pisownię i objaśniamy w przypiskach nazwiska.

Epitafium Stanisławowi Orzechowskiemu.

Sroga śmierć nam nietrefnie barzo uczyniła,
Iże cię, miła Okszo, teraz wyszczerbiła.
Tłukłaś, rębała, siekła te kacerskie błędy,
Których tym czasem dosyć między ludźmi wszędy.
Nic cię nie ustraszały i sęki zawiłe;
Było to przed twym hartem jako próchno zgniłe.
Już przed tobą Krzywonos [1]) much nie umiał chwatać;
Już on bujny Sokołek [2]) nie śmiał wzgórę latać;
Już Przechadzka [3]) nie umiał i rozdziewić gęby,
Gdy hardy Puklepa [4]) wziął toporzyskiem w zęby [5]).
Wzięła i Sarna [6]) blatem a obuchem Brzoza [7]);
Znali cię, miła Okszo, jak rzeźnika koza.
Z Płatka płatki padały, a zasię Blandrata
Przed tobą na Lizmana wołał: rata! rata!
Odcięłaś rogi Krowie [8]) a szyję Chimerze [9]),
Co chcieli przepyskować w starożytnéj wierze.
A stąd cię Niemcy, Włosi i Hiszpani znają:
Ostrsza w Polsce nie była Oksza, powiadają.
Przeto acz okrutna śmierć nam cię wyszczerbiła,
Ale co(ś) wyciosała, tego nie skaziła.
Latają po wszem świecie twe trzaski z papiru,
Które z kacerzmi nigdy nie będą mieć miru.
Pierwéj tedy przez Przemyśl San rynkiem popłynie,
Niźli twa, Okszo! w Polsce pamiątka zaginie.

Jest naszym zamiarem nie kreślić znane dzieje wzrostu i upadku reformacyi w Polsce, lecz zwrócić uwagę na niejedną dramatyczną, czy komiczną kolizyę, wydobyć garść znaczących szczegółów z zapomnia-

---

[1]) Feliks Cruciger, superintendent. [2]) Falconius, minister. [3]) Również. [4]) Stanisław Paklepka, zmarły r. 1565 od powietrza. [5]) W rękopisie wssędi. [6]) Stanisław Sarnicki, późniejszy dziejopis. [7]) Grzegorz Paweł z Brzezin. [8]) Marcin Krowicki. [9]) Stankar, którego jako Chimerę Orzechowski zwalczał.

nych dzieł, broszur i rękopisów, oświecić obyczajową i społeczną stronę tych zapasów i zapaśników, zbliżyć tryb życia ich i ich samych zapomnianych, nieraz spotwarzonych, nigdy dostatecznie nie ocenionych, do sądu i znajomości ogółu, zwrócić uwagę naszych powieściopisarzy na tę niewyczerpaną kopalnię motywów i konfliktów. Wybieramy zaś aryanów, bo jeżeli kto, to oni — i najciekawsi i najwięcéj zapomniani i najniesprawiedliwiéj zasądzeni. Nasz ogół wié o nich tylko, że przeczyli przedwiecznemu bóstwu Chrystusa; że Raków był ich Atenami; że zdradzili kraj dla Szwedów, za co niby ich wygnano; słyszał może o wałach lub cmentarzyskach aryańskich po polach i lasach i przywiązanych do nich podaniach; czytał może o chrzcie — nurzaniu dorosłych lub owe niedorzeczności, jakie znany romans o ojcu-aryaninie Adama Szmigielskiego prawił.

Natomiast może mniéj między nami rozpowszechnione jest przekonanie, że szare kopieniaki (płaszcze) owych ludzi bez broni kryły najlitościwsze, najcieplejsze serca polskie; że między aryanami siedmnastego wieku odnajdziemy i najbystrzejsze głowy i najhartowniejsze charaktery; że umiejętność polską owego wieku między europejskiemi reprezentują najświetniéj dzieła polskich aryanów, a nazwiska ich znają i powtarzają ze czcią tam, dokąd nazwiska innych Polaków nie docierały; że kwestye, wznowione za naszych czasów i światu jako objawienie głoszone, rozsądzały między sobą już owe zboreczki aryańskie w Lublinie, Rakowie, czy Lucławicach. I potępiły one niewolę chłopa na trzysta lat przed emancypacyą włościan; zakazały wojowania bronią dawno przed wszelkiemi ligami pokoju; nie przyznawały trybunałom prawa miecza, nim jeszcze ktokolwiek o zniesieniu kar cielesnych pomyślał; głosiły naukę niesprzeciwiania się złemu, a zwalczania go dobrém; natrafiały u mędrców tego świata na te same zarzuty, szyderstwo i obojętność, jakie po wiekach np. Lwa Tołstoja czekały; broniły one najwytrwaléj wolności badania i wyznania, niewiązania sumień, nieprześladowania wiary w czasach, gdy inkwizycya katolicka i protestancka tylko stosem i mieczem, więzieniem i torturą, banicyą i konfiskatą prawowierności strzedz się podejmowała. I nie wiedzą u nas, że zasady i metody aryańskie, niegdyś od samych protestantów oplwane i potępione, wystawiane zawsze jako dzieło szatańskie, już dawno rozeszły się i rozrosły z tryumfem po wyznaniach protestanckich; że „kąkol”, wypleniony u nas, przyjął się na glebie obcéj; że w Anglii i Ameryce tysiącami liczono i jeszcze dziś liczą zwolenników lub wyznawców dawnego aryaństwa, między nimi Izaak Newton i inne znakomitości, choć z czasem aryaństwo i nazwę zmieniło i wierne swéj zasadzie ciągłego rozwoju, w szczegółach się przekształciło i nowego ducha nabra-

ło; że jednem słowem w Europie i Ameryce na racyonalistyczny rozwój wiary nasze aryaństwo stanowcze wpływy wywarło.

I mimowoli wzrusza nas obraz owéj szaréj, cichéj, kornéj gromadki polskiéj, znoszącéj dla Ewangelii wszelkie urąganie, podejrzywanie, wykluczanie; wyrabiającéj w sobie ową karność i tęgość ducha, jaką w najgroźniejszéj próbie wykazać miała. Bo gdy po wieloletnich częściowych prześladowaniach nakoniec wszystkich aryanów z kraju wyganiano, nie dlatego, że zawinili, lecz tylko dlatego, że „źle wierzyli”, zaprzeli się oni świata i mienia i wzięli krzyż na się, choć starczyło przyjąć katolicyzm, by się przy wszystkiém utrzymać, nie zawahała się większość ich porzucić wrogi kraj ojczysty i udać się na tułaczkę, a nigdzie nie liczyć na litościwe przyjęcie, jakie np. francuskich lub salcburskich emigrantów o wiarę między współwyznawcami pewnie czekało, i litowała się nad nimi chyba śmierć, która z kilkuset ciągnących do Siedmiogrodu, a złupionych po drodze przez żołdactwo cesarskie, rychło tylko trzydziestu przy nędznem życiu zachowała.

W dziejach literatury zajmują aryanie również znaczącą kartę; żadne wyznanie nie wydało stosunkowo tak licznych i tak znakomitych pisarzy w szesnastym i siedmnastym wieku, jak oni. Wprawdzie przeważają u nich publikacye w języku łacińskim i treści teologicznéj, głównie dogmatycznéj, spisane przez Włochów i Niemców; niewolno nam jednak zapominać, że należeli do nich Andrzéj Frycz, Marcin Krowicki, Marcin Czechowic, z pod pióra którego wylewała się polszczyzna tak poważna, uroczysta i namaszczona, że mu tylko Skarga dorówna; Szymon Budny, Jan Niemojewski, Hieronim Moskorzowski, Samuel Przypkowski, Jonasz Szlichtynk i inni, a z poetów Erazm Otwinowski, Zbigniew Morsztyn, przedewszystkiém zaś Wacław Potocki, najwięcéj narodowy ze staropolskich autorów, który bogaty swój zawód poetycki zaczął od tych samych hymnów i pieśni religijnych, jakie w zboreczkach Lubieniecki, Wiszowaty i inni składali, a do końca życia, choć katolickie dogmata przyjął, etyki aryańskiéj się nie zaparł. Należy przytém pamiętać, że inne wyznania protestanckie, np. kalwińskie, samoistnego życia duchowego u nas nie rozwinęły, że żyły głównie zasobami obcemi — jedynego Andrzeja Wolana odznacza obfita czynność literacka w języku łacińskim; obok niego wymienić można tylko Węgierskiego, historyka reformacyi, i tych niewielu, których polskie dzieła na niemieckie tłómaczono, więc „Postylę” Grzegorza z Żarnowca, dzieło polemiczne Jakóba Niemojewskiego i „Apologię” Marcina Krowickiego. Ze wszystkich wyznań tylko aryanie polscy, chociaż między starszymi spotykamy wielu obcych przybyszów, Włochów, Francuzów, Greków (np. Blandratę, Statoryusza, Paleologa, Socyna), a między młod-

szymi jeszcze więcéj Niemców (Szmalca, Völkela, Ostoroda, Krella, barona Wolzogena i innych), wytworzyli własną dogmatykę i etykę, wyłożyli ją przed światem w licznych publikacyach łacińskich i zaważyli samoistnie w rozwoju religijnym Europy, a względnie i Ameryki.

Niewolno więc historyi kultury polskiéj pomijać aryan, niewolno jéj pozbawiać się samochcąc kartki ciekawéj, a tak niezwykłej w swych dziejach. Tymczasem w literaturze naszéj o aryanach głucho; są szacowne wiadomości bibliograficzne u Jochera i Wiszniewskiego, luźne inne w publikacyach Krasińskiego, Łukaszewicza i i., lecz nie znalazł się dotąd, o ile wiemy, u nas nikt, ktoby podjął na nowo i uzupełnił niedokończoną historyę aryaństwa S t a n i s ł a w a L u b i e n i e c k i e g o („Historia reformationis polonicae", drukowana w Amsterdamie r. 1685, pisana zaś jeszcze r. 1665) lub bibliografię S a n d a („Bibliotheca Antitrinitariorum", którą po śmierci autora B e n e d y k t W i s z o w a t y rozszerzył i wydał, tamże r. 1684). Kto o polskich aryanach i ich nauce informować się zamierza, musi zawsze jeszcze sięgać do dzieł angielskich (np. W a l l a c e „Antitrinitarian biography", Londyn 1850, w trzech tomach, czerpiące z dzieł obcych, Bocka, Sanda i t. d., bez własnych badań; z dawniejszych wymieniamy żywot F. Socyna i inne) lub niemieckich; głównem dziełem pozostaje ciągle jeszcze: „Der Socinianismus nach seiner Stellung in der Gesammtentwicklung des christlichen Geistes, nach seinem historischen Verlauf und nach seinem Lehrbegriff dargestellt" von O t t o F o c k, Kiel 1847, 722 str.). Lecz Fock, nie umiejąc po polsku, ogranicza się głównie do nauki Socyna (Fausta) i do późniejszych publikacyi aryańskich, objętych szczególnie w tomach łacińskiéj Biblioteki Braci Polskich i kreśli tylko pobieżnie początki aryaństwa, o Budnym, Czechowicu i innych ledwie wspomina, nici splątanych nie rozwija. F. T r e c h s e l zamierzał w trzeciéj części dzieła p. t. „Die protestantischen Antitrinitarier vor Faustus Socin, nach Quellen und Urkunden geschichtlich dargestellt", przedstawić obszernie początki antytrynitaryzmu polskiego, lecz części téj nie napisał. Badania utrudza nadzwyczajna rzadkość dawnych dzieł aryańskich, Czechowica, Budnego i innych; już Sand-Wiszowaty, poinformowany zresztą wzorowo, o wielu wcale nie wiedział, a po nich znowu niejedno zaginęło bezpowrotnie, szczególniéj co po rękopisach zostawało, dzieła pierwszorzędnéj wagi Otwinowskiego, Budzyńskiego i innych, których strata niepowetowana.

Luki téj w literaturze naszéj wypełniać nie myślimy, nie zamierzając kreślić historyi, dogmatyki lub etyki aryańskiéj, tém mniéj występując w roli jéj obrońców. Najsłabszą stroną była ich dogmatyka, niewolna od sprzeczności i niedomówień, odrzucająca tradycyę, a trzy-

mająca się pisma, już szczerze racyonalistyczna w gruncie, a przecież jeszcze i supranaturalistyczna, nie umiejąca pogodzić Boga i człowieka, przeznaczenia i wolnéj woli, nieśmiertelności duszy i znikomości ciała; egzegeza ich silna w krytyce innych, słaba sama w sobie, gwałcąca i naciągająca, nieraz potwornie lub śmiesznie, znaczenie stanowczych miejsc Pisma Św. Zacietrzewieni w spekulacyi, zatapiając się z predylekcyą w swéj chrystologii, którą tylko wszystkich chrześcian odstraszali, zaniedbywali aryanie etykę, szerzenie jéj zasad, choć jedynie niemi silnie wpłynąć mogli na społeczeństwo; kroczyli więc torami przeciwnemi od Braci Czeskich, z którymi zresztą, prócz fundamentalnych różnic dogmatycznych, tyle ich łączyło: ruchliwość literacka, srogie prześladowania, szerzenie się między gminem ubogim, unikanie świata i pokus jego. Tém zacietrzewieniem dogmatyczném tłómaczymy rażący brak ich ekspensywności: zebrani w małych gronkach, zespalają się oni tém ściśléj; przez całe dziesięciolecia odstępstwa od nich nieliczne, a jeszcze rzadziéj przyłączy się do nich jaki ewangelik, bo z innych wyznań do nich nie przechodzono; oni z góry skazani niby na niepłodność i wymarcie, które wygnaniem tylko przyśpieszono. Charakterystyczną dla nich cechą jest, że jeszcze ostatnie ich pisma polskie, np. „Wykład prawdziwy na cztery miejsca Pisma Św. o bóstwie Jezusa Chrystusa" Jonasza Szlichtynka z Bukowca r. 1645, starają się wyłącznie usuwać owe świadectwa o przedwieczności Chrystusa, z ewangelii ś. Jana (I, 1): Na początku było słowo (na początku, t. j. nie przed wiekami, lecz na początku ogłaszania Ewangelii!); VIII, 58: Nim Abraham był, ja byłem (t. j. w przeznaczeniu lub przejrzeniu u Boga!) i t. d. Fałszerstwa aryańskie, np. ów rzekomy list lekarza Jana Smery, Połowca, wysłanego przez Włodzimierza, księcia kijowskiego, dla badania wiar, pisany z Aleksandryi, gdzie mowa o prześladowanych przez Greków wyznawcach prawdy Chrystusowéj, t. j. aryańskiéj, z którymi się Słowianie i resztki żydów nawróconych połączą; daléj owo skrzętne wynajdywanie rzekomych cudów Opatrzności Boskiéj, czuwającéj widocznie nad aryanami — te i podobne słabostki wolimy pokryć milczeniem.

Nas zajmuje aryaństwo jako niezwykły okaz kultury polskiéj, pouczający a ciekawy i dla nie-teologa w swym zarodzie i w niektórych szczegółach; całość systemu i dziejów pozostawiamy jednak specyalistom. Ze stulecia dziejów tych (1560 — 1660) zastanowimy się więc nad początkami, w których się najróżnorodniejsze prądy obce i swojskie ścierały i zlewały; daléj wskażemy polemikę co do utrzymania chłopów w poddaństwie i używania „miecza", t. j. dzierżenia urzędów; przytoczymy niektóre świadectwa o życiu w zborze i w domu, świadec-

twa zarówno przyjaciół, jak i wrogów lub odstępców; damy kilka mniéj lub wcale nieznanych szczegółów biograficznych, anegdotycznych i literackich, wreszcie zaznaczymy ogólne fazy rozwoju. Nadmieniamy, że dla wygody zatrzymaliśmy utartą nazwę, chociaż polscy „aryanie" w chrystologii inne zajęli stanowisko niż Aryusz, aryanami więc ich się zwać nie godziło; nazywano ich téż Ebionitami, Samosatenami, Focynianami (od dawnych sekt, przeczących bóstwu Chrystusa, uznających w Chrystusie tylko człowieka), Antytrynitaryuszami (nieprzyjmującymi dogmatu o Trójcy św.) lub, szczególniéj w Siedmiogrodzie, Unitaryuszami (niedzielącymi jedynego Boga na osoby), Anabaptystami, Nowochrzceńcami lub Nurkami (odrzucającymi chrzest niemowląt, a nurzającymi dorosłych, katechumenów), wreszcie Socynianami (od ich „herezyarchy", Fausta Socyna, lecz przewaga jego datuje dopiéro od ostatnich lat szesnastego wieku) — nazwy pojedynczych odłamów, Budneistów, Farnowianów i t. d., pomijamy. Wszystkie te nazwy są zbyt dowolne lub jednostronne, najtrafniejsza byłaby może nazwa Braci Polskich, przypominająca nazwę i losy Braci Czeskich; pod tym tytułem wydano téż zbiorowe pisma Socyna, Krella, Szlichtynka i t d. („Bibliotheca Fratrum Polonorum", Amsterdam 1656 r., w pięciu lub więcéj tomach); lecz ponieważ na stronę dogmatyczną nacisku nie kładziemy, możemy nazwę u nas utartą zatrzymać. Aryanie sami zwali się najchętniéj Chrystyanami, od Chrystusa, pozostawiając nazwę Chrześcian („od Chrztu i Krzyżma, którym w dzieciństwie czarowani bywáią", Czechowic „Rozmowy christianskie" K. 13) „Papanom czy Papieżyńcom", protestantom i innym.

II.

Jak w naszym wieku kwestye i reformy społeczne, tak górowały w szesnastym religijne nad innemi: każdy, otwarcie, czy obłudnie, podporządkowywał im politykę i kulturę, wojnę z Islamem i zdobywanie nowych światów, humanizm i renesans, różnice narodowe i stanowe. Jaką wagę do każdego kroku na polu religijném przykładano, można widzieć choćby z dedykacyi „Nowego Testamentu" Zygmuntowi Augustowi: „Oddany sługa jego, Seklucyan, winszuje królowi, że za jego panowania wychodzi po raz pierwszy Pismo Św. w języku polskim, co więcéj znaczy, niż gdyby król całe kraje do swego państwa przyłączył." I rzeczywiście przesiąkło powietrze wieku religijnością i sporami o wiarę; wyrzuty więc, jakie z tego powodu szlachcie lub izbie poselskiéj czyniono i czynią, są nieuzasadnione, chybaby się i na słońce gniewano, że w dzień świéci; kto powietrzem religijném oddychać nie myślał,

musiał się sztucznie od świata odgradzać, jak Kochanowski w Czarnolesiu, lub tonął w materyalizmie z owym biskupem krakowskim (Zebrzydowskim), co to mawiał: „Wierz i w kozła, jeśli chcesz, płać mi tylko dziesięcinę” (jak Patrycy Budzyńskiemu opowiadał).

I odzyskały znowu Ewangelia i wiara utraconą od wieków potęgę nad sumieniami i sercami; i pchały ludzi znowu do wyrzekania się rodziny i ojczyzny, mienia i związków, dostojeństw i urzędów, jak owego Jana Łaskiego, co pastorał biskupi na kij tułaczy zamieniał; i nie odstraszały nowych „świadków” wiary ani stosy inkwizycyi, ani miecz katowski, ani fale Adryatyku, które nocną porą „kacerzy” weneckich pochłaniały; kto zaś, uchodząc pewnéj śmierci, prawdę, włożoną w serce i usta głosić chciał, szukał okolic i ludzi w Szwajcaryi, Holandyi, czy Siedmiogrodzie, gdzieby znalazł przyjęcie, chwilowe lub stałe, zjednywał współwyznawców, zakładał gminę. Lecz wobec ruchu reformacyjnego, jaki naród szlachecki w Polsce ogarnął, i wobec praw i wolności, jakich ten naród używał, zwracały się oczy wszystkich, wygnanych za wiarę, na Polskę, i tu szukali oni schroniska, czy pola działania. Drogę do Polski utorowali im byli Luteranie, Bracia Czescy i Kalwiniści; wiemy, jakie nadzieje różnowiercy w młodym królu pokładali; dostęp do pierwszych magnatów i do ich majątków, opieki i wpływów, do Tęczyńskich, Górków, Ostrorogów, Radziwiłłów, Kiszków, był zapewniony; najwięcéj nęciło, że w kraju, w którym stare wyznania od wieków obok siebie istniały, żadne nowe wyłącznie nad świeżo wywołanym ruchem religijnym nie zapanowało, że nie było powag, krępujących wolność sumienia i badania, że z góry mógł liczyć na otwarte przyjęcie każdy, ktokolwiek czuł się powołanym do głoszenia prawdy, bez względu na to, czy nie odstępowała ona od norm katolickich lub protestanckich.

Skoro tylko jedyny, odwieczny, nieomylny autorytet Kościoła rzymskiego w rzeczach obrządku, karności i nauki zachwiano, nie było sposobu, by się na pochyłości zatrzymać; obudzona badawczość, podejrzliwość, niespokojność sumień nie dały się już uśpić; zasadę „szczerego słowa bożego”, jako jedynéj normy wiary i uczynków, musiano coraz daléj i głębiéj stosować. Otóż fundamentów Kościoła Luter, Cwingli i Kalwin wcale nie burzyli, przyjmowali bez zastrzeżeń prastare dogmata o Trójcy, o Przedwieczności Syna, o Osobie Ducha św. i inne, chociaż o tych dogmatach, różnicy między istnością a osobami, łączeniu natur i t. d. samo Pismo św. albo wcale nie wspomina, albo ich wyraźnie nie uczy. Również nie wchodziło w cele reformatorów rozmierzać ustrój społeczny wedle ścisłych norm ewangelicznych i usuwać wszystko, coby się z dosłownie pojętą i przyjętą nauką Zbawiciela nie

zgadzało. Dzieło przez nich tylko zaczęte poprowadzili téż niebawem daléj ludzie gorętsi, mniéj spokojni, konsekwentniejsi.

Nowo (r. 1542) zorganizowana inkwizycya rzymska, rozpościerająca czynność na cały półwysep włoski, zmusiła podejrzanych o wiarę księży, mnichów, lekarzy, jurystów, nauczycieli, szlachtę i mieszczan do opuszczania kraju; protestancka Szwajcarya (Grykonia, Genewa, Zurych, Bazylea) była ich naturalném, pierwszém schroniskiem. Niebawem zauważono tu jednak, że Włochom, skoro raz Kościół rzymski porzucili, żaden inny zadość uczynić nie mógł; nie krępowani powagą, jaka gdzieindziéj Lutrowi czy Kalwinowi służyła, zapuszczali się ci Włosi w coraz dalsze, radykalniejsze badania i wątpliwości, przykładając do teologii metodę nauk ścisłych, usuwając z niéj wszystko, co się im ludzkiemi wymysłami i zaciekaniami wydawało, kierując się zresztą, wedle wyłącznego sznuru Pisma Św., własnym rozumem, czy instynktem. I niebawem nie ocalał żaden z prastarych dogmatów przed ich przenikliwością, burzącą krytyką; zacząwszy za przykładem i powodem S e r w e t a, lekarza hiszpańskiego, od obalenia dogmatu o Trójcy św., przeszli do krytyki nauk o Sakramentach (chrztu i ołtarza), o zadosyćuczynieniu i usprawiedliwieniu, o osobie Ducha św., któréj przeczyli, uznając w Nim tylko dar boży, o bóstwie Chrystusa i t. d. Lecz dla nowinek włoskich okazała się Szwajcarya bardzo niewdzięczném polem; silną reakcyą zainaugurował Kalwin instygowaniem na Serweta, którego 1553 r. w Genewie spalono; i przycichli Włosi, zadowalając się, jak jurysta L e l i u s z S o c y n (starszy) lub lekarz J e r z y B i a n d r a t a, przedkładaniem swych wątpliwości lub krytyk w formie niewinnego pytania, uchylając niby czoła przed powagą mistrza, Kalwina, czy Bulingera; inni, jak O c h i n, niegdyś generał Kapucynów i najzawołańszy kaznodzieja włoski, pisali dyalogi, a w nich o wiele silniejsza argumentacya była po stronie téj, którą prawowierny rozmówca zwalczał; inni ukrywali się lub rewokowali chwilowo. Od dalszych prześladowań ocalała jednych wczesna śmierć np. L e l i u s z a S o c y n a (r. 1562) i jurystę M a t e u s z a G r i b a l d i e g o (r. 1564), który w gminie włoskiéj spory o Trójcę św. i osobę Syna głównie wzniecił; inni uchodzili przed niebezpieczeństwem do Polski. Drogę wskazywali im tacy, jak doktor F r a n c i s z e k L i z m a n i n, były prowincyał Franciszkanów i spowiednik Bony, który po dłuższym pobycie genewskim wrócił znowu r. 1556 do Polski; F r a n c i s z e k S t a n k a r, profesor hebrajszczyzny w Krakowie, narzucony przez króla uniwersytetowi, żyd z twarzy, ksiądz z powołania, żonaty, przynajmniéj w Wenecyi, z ubogą, wątpliwéj czci niewiastą, niespokojny, znaczący wszędzie (swarami) swą drogę, jak ślimak jaki; sam L e l i u s z

Socyn, który dwakroć w Polsce bawił, r. 1551 (miał wtedy na apostazyę Lizmanina wpłynąć) i 1558, kiedy i z Zygmuntem Augustem nieraz na osobności i nie bezowocnie rozmawiał, jak sam o tém do Bulingera pisze (z Krakowa 23 stycznia 1559 r.); biskup-apostata Piotr Paweł Wergeryusz, który w Polsce nuncyusza Lipomana tak szczęśliwie zwalczał; wreszcie Włosi krakowscy, jak Prosper Prowana i inni.

I tak spotykamy niebawem w Polsce wszystkich znaczniejszych antytrynitaryuszów włoskich. Bernardino Ochino, którego zjadliwe pamflety, „Tragedye" o zwierzchności papieskiéj i o mszy katolickiéj, niedawno (1558, 1560) Lizmanin na polskie przełożyć dał i ogłosił, przybywa tu w r. 1564, lecz Hozyusz i Commendone zyskują od króla dekret, wywołujący wszystkich cudzoziemców-inowierców z Polski; z Krakowa, gdzie ziomkom po włosku kazał, ruszył Ochin na Pinczów do Moraw, gdzie schorzały starzec niebawem umarł, albo, jak „złote pióro" Orzechowskiego się wyraża (w Policyi): „*Ochinus Senensis*, plugawy kacerz, plugawe wydał dyalogi łacińskim językiem, prze które on z Genewy od Kalwinistów jest wygnany, który tu u nas zdechł z Sodomą i Gomorą, wiecznie potępiony, jesieni przeszłéj." Późniejsi, np. Stanisław Reszka, opowiadają mylnie, jakoby Ochin w Krakowie naukę o poligamii (wedle starego zakonu) głosił i o to przed przekupkami krakowskiemi sromotnie uciekać musiał (odnosi się to do materyi jednego z dyalogów, wydanych przez niego w Bazylei r. 1563, z których kilka poświęconych jest Zygmuntowi Augustowi, o niekaraniu kacerzy mieczem, i Radziwiłłowi, o Trójcy św.).

Najsilniéj przeciw dogmatom o Trójcy wystąpił w Genewie inny Włoch, Gentile; uwolniony od kary śmierci po odwołaniu błędów, udał się ze współwyznawcą swoim, Alciatem, do Polski, gdzie dla większego bezpieczeństwa nie w Krakowie, lecz u Oleśnickiego w Pinczowie przebywał, zarażając szlachtę i ministrów (Statoryusza) swą nauką; z powodu powtórzonego edyktu królewskiego wrócił potém na Morawy do Szwajcaryi, gdzie w Bernie 1566 r. na rusztowaniu dla wiary zginął. Między skryptami, o które mu proces wytoczono, znalazły się i „Antidota" (w rękopisie), poświęcone Zygmuntowi Augustowi, i wiersz łaciński przeciw chrześciańskiéj nauce o Trójcy św., napadający głównie na Kalwina; wiersz ten (przedrukowany u Trechsela, II, 492 — 496) ma być, wedle Sanda, pióra Grzegorza Pawła z Brzezin [1]).

---

[1]) Rzeczywiście znaleźliśmy ten sam wiersz po polsku na ostatnich sześciu kartach dzieła p. t. „O roznicach teraznieyszych t. i. co o iednym Bogu Oycu y Synu iego iednorodzonym y o Duchu Ś. prawdziwie a po prosthu wedle Pisma Ś. (w kthorym się tylko Bog obiawił), rozumieć mamy Grzegorza Pawła krótkie

Alciati miał niebawem pod Gdańskiem umrzéć, inni wysyłają go do Konstantynopola; w liście z roku 1581 każe go Budny (w Krakowie?) pozdrowić.

Silniéj i głębiéj wpłynął inny zwolennik Gribaldiego, Jerzy Blandrata (Biandrata), i dłuższym pobytem i przykładném życiem i sztuką lekarską jednając sobie przyjaciół i uczni. Był on niegdyś lekarzem Izabeli węgierskiéj; wrócił potem do Włoch, lecz musiał r. 1557 przed inkwizycyą do Genewy się schronić; uchodząc i stąd r. 1558 przed Kalwinem, któremu cały rok pytania i wątpliwości dogmatyczne przedkładał, udał się do Polski, a potem (r. 1563) za Janem Zygmuntem, jako jego lekarz przyboczny, do Siedmiogrodu, gdzie w rozwoju religijnym kraju bardzo zaważył. W Polsce pozyskał on był Lizmanina, ministrów Grzegorza Pawła i Jerzego Szomana, Piotra Statoryusza, rektora szkoły pińczowskiéj; utorował drogę Gentilemu i Alciatowi, których sam do Polski wezwał, gdy pobyt dalszy w Szwajcaryi i Francyi niebezpieczeństwem im groził; Kalwin śledził też podejrzliwie za działalnością jego i przestrzegał przed nim polską bracią. Późniéj wrócił jeszcze Blandrata z Batorym do Polski, lecz w rzeczy religijne już się nie mieszał.

Z tych Włochów do których jeszcze działającego na Morawach Parutę zaliczyć można, poszedł polski antitrynitaryzm, słaby jeszcze u Piotra Giezka z Goniędza, silny już u Grzegorza Pawła i innych; związki te stwierdzić można w najdrobniejszych szczegółach. Przyto-

---

pisanie r. 1564 (karty A - O_2). Autor w latach 1562 — 1566 nader czynny, walczy przeciw boskiéj „istności", któréj pismo św. nie zna, wprowadzonéj tylko by wiarę wykorzenić, kurczącéj się w jedno i rozciągającéj w troje, aby wyznawcy jéj zarzutowi trójbóstwa ujść mogli; walczy przeciw sofistom (teologom) z ich „takiemi anslakami y wywrotami obrotnemi." Tu poraz pierwszy w Polsce rozwinięte porównanie, tylekroć powtarzane późniéj, jako Luter z gmachu papieztwa dach odarł Kalwin mury tegoż rozebrał, lecz inni (t. j. sam autor, daléj Blandrata i Siedmiogrodzianie) teraz fundamenty burzą; porównanie to miało i wyjść, na osobnéj tablicy przedstawione. Wiersze do I. Kalwina i pobożnych braci powtarzają wywody i terminologią Gentilego: trójca przemienia się w czwórcę, gdyż do trzech osób przystępuje istność jako czwarta, argument powtarzany często późniéj (np. u Czechowica rozmowy k. 15, który w podobny sposób i pięć i więcéj „bogów" dla „trójczaków" dowodzi); wiersze bardzo chropawe, koloru poetyckiego nabierają tylko, gdzie potęgę Boga Ojca opisują: On bystréy wodzie morskiéy granice postawił, ..a niebo gwiazdami Jasnemi ochędożył iako oponami; On zagorzałe zboża pogodnym dżdżem chłodzi i t. d.—lecz, zdaje się, Grzegorz Paweł (gdyż tak on się sam pisze, nie Pauli) czytał i korzystał ze znanego wiersza Kochanowskiego (Czego chcesz od nas Panie za twe hojne dary), który w odpisach licznych wtedy już krążył a protestantom dziwnie podobać się musiał, jako nie zdradzający niczém katolicyzmu.

czymy jeden i drugi. Uczy Czechowic (Rozmowy k. 239), że nawet Chrystianie, którym i broni nosić nie wolno, mogą bezkarnie zabić człowieka „gdyby na to mianowite i osobne roskazanie Boże mieli", tylko „ktoby miał zapalenie ducha przeciw drugiemu ku zamordowaniu, tedy i tego ducha pilnie doświadczać ma, ieslizby był z Boga abo nie, gdyż szatan... umie rzkomo imienim Bożym co komu zalecać", więc lepiéj „pamiętać zawżdy powszechne ono roskazanie Christusowo o miłości nieprzyjaciół swych a do tego sie osobnego obiawiania nie skwapiać." Ta zasada o zapaleniu ducha i osobném obiawieniu, które na wszystko rozgrzesza—nietrzeba i przypominać, jak niebezpieczna i fałszywa — odgrywa u Ochina znaczącą rolę: w znanym dyalogu zezwala Ochin i na poligamią, bo nie zgrzeszy, kto uczyni do czego go Bóg pobudza, niech się tylko przekona że to pobudka boska; w katechizmie (włoskim) i samobójstwo, i kłamstwo nie grzechem, skoro tylko „*inspirato da Dio.*" Wykład ewanielii św. Jana Na początku było słowo, zaczerpnął Czechowic z dyalogów Ochina: słowa Jana jak i św. Pawła (wszystkie rzeczy przezeń są stworzone) mają odnosić się tylko do „odrodzenia i naprawy wszech rzeczy" (*de mundi renovatione*, *reformatione*, u Ochina) zamiast „słowo" kładzie się „mowa" (*sermo*) i t. d. Co ks. Białobrzeski za jednym szlachcicem opowiadał, że wedle nauki ministra jego, dusza po śmierci obok ciała śpi, taki sen duszy (jak i inne wyobrażenia, o nieśmiertelności tylko wybranych, o śmiertelności wszystkich innych, o uduchowieniu naszego ciała i t. d.) zaczerpnięty z nauk Sycylijczyka Camilla i innych. Tak więc antytrynitaryzm włoski, stłumiony w Szwajcaryi saméj, przeniósł się do Polski i próżno biadał Beza, *fatalis videtur Polonis Italia* (zgubą Polski wydają się Włochy); po nieudałych próbach zjednoczenia i pogodzenia odłączył się niebawem na zawsze polski „zbór mniejszy" (aryański) od „większego" (kalwińskiego).

Z antytrynitaryzmem włoskim, z zaciekaniami dogmatycznemi, które żadną powagą nie okiełznane do najpotworniejszych wniosków (do adoracyi grzechów i t. p.) docierały, złączyły się w Polsce elementa anabaptystyczne. Reforma religijna wywołała rychło radykalne objawy, zagrażające wszelkim podstawom ówczesnego i każdego społeczeństwa; wychodziły one z pośród zfanatyzowanych i rozmarzonych rękodzielników, tkaczów, krawców, którzy porównywając słowa Zbawiciela o miłości bliźniego z owém samolubném zasklepianiem się stanów i rodów, gniotącém wszędzie i z całéj siły owego bliźniego, dochodzili do negacyi całego spółczesnego ustroju, wszelkiéj zwierzchności, do pragnień za powrotem czasów apostolskich, do idei komunistycznych: hasłem ich było, zwlec starego, grzesznego Adama a oblec

nowego, niewinnego; godłem zaś, przyjęcie chrztu, omywającego owe zmazy, w dorosłym wieku, dlaczego ich nowochrzceńcami, anabaptystami zwano. Próby, aby teorye, marzenia, pragnienia urzeczywistnić, kończyły się wszędzie i rychło straszném prześladowaniem; po rozegraniu krwawéj tragedyi monasterskiéj przycichli anabaptyści na zawsze, rozbiegli się i ukrywali, lecz szerzyli i daléj naukę i wiarę, choć ukradkiem. Niderlandy, Niemcy, Szwajcarya, Czechy (Morawy) liczyły wielu tajnych wyznawców; z nimi zeszli się i Piotr z Goniądza i Marcin Czechowic, obaj przeciwnicy chrztu niemowląt, szczególniéj Czechowic, który pismami polskiemi i łacińskiemi go zwalczał. Mimo oporu innych, mimo odradzania Siedmiogrodzian, by nie czynić ze chrztu nowego bożka, przeprowadził późniéj Czechowic, że od wstępujących do zboru wymagano pogrążenia w wodzie (nie pokropienia), chociaż przeciwnicy nie zaniedbali wołać o wznawianie, monasterskich zbrodni, odrzucania świeckiéj zwierzchności i t. d. O dalszym rozwoju obrządku nurzania pomówimy niżéj, gdzie téż zobaczymy, że łączyły się z nim, jak u niemieckich anabaptystów, chwilowo i wszelkie inne ich konsekwencye, komunizm i t. p.

Nie mniejszym może niż anabaptystów okazał się wpływ Braci Czeskich—moglibyśmy raczéj rzec Morawskich, gdyż organizacya ich kościelna w Czechach samych wtedy już istniéć przestała. Gminy Braci Czeskich sięgają w zarodkach drugiéj połowy piętnastego wieku; cechą ich znamienną były nie tak osobne dogmata, jak raczéj prostota ich obrządku, etyka, pierwotnie nader rygorystyczna, przy końcu stulecia dopiéro nieco zwolniona, wzorowy ustrój gminny. Piotr z Goniądza miał z Moraw wynieść zasady, które w książce *De primatu* pierwszy w Polsce rozszerzał, że niegodzi się Chrystyaninowi dzierżéć urzędu; za nim poszedł Grzegorz Paweł i inni; skrajna zasada zwyciężyła w zborze polskim, litewski za powodem Budnego, jak zobaczymy niżéj, nie przyjął jéj. Również zabroniono noszenia i używania oręża, więc i ruszania w pole, czego ile możności i Bracia Czescy przestrzegali; daléj należały tu w obu wyznaniach skromność ubrania, niewystawność życia, unikanie próżnowania i wszelkich hałaśliwych zgromadzeń, zabaw, szczególnień zaś tańców; kobiéty tylko przemogły u Braci Czeskich, że się w niedziele nie zamykano po domach dla modlitwy, lecz odwiedzano wzajemnie. Mimo tych spólnych cech dzieliły oba wyznania różnice dogmatyczne tak dalece, że o jakiéjkolwiek łączności albo solidarności w końcu i mowy być nie mogło. Rajca wileński, Łukasz „Mundius" złożywszy urząd i zwiedzając w celach wiary obce kraje, mieszkał jakiś czas między Braćmi na Morawach i gorąco ich polecał zborowi polskiemu, jakoby zgadzali się z nim we wszystkiém,

prócz właściwéj im spólności dóbr. Wysłał więc zbór polski, dla porozumienia się, do nich Filipowskiego, Jerzego Szomana i innych: ci niemogli dość wychwalić pokory, karności i ducha Braci, lecz dla dogmatu o Trójcy Bracia, zawzięci „trójczacy", nie zawahali się aryanów poganami nazwać. Tak więc kończy Lubieniecki swą relacyą, nawet i ci, od całego świata wzgardzeni i odrzuceni, nienawiścią ku nam pałają dla imienia Jezusowego.

Różnice i odszczepieństwa między pierwszymi Aryanami polskimi wywołał dogmat o osobie Chrystusa. Za Piotrem z Goniądza i Farnowskim przyjął zbór sądecki właściwą naukę Aryusza (o przedwieczności bóstwa Syna, podporządkowanego bóstwu Ojca); większość z Grzegorzem Pawłem na czele, przeczyła przedwieczności, liczyła bóstwo od zmartwychwstania i siedzenia na prawicy; o krok daléj posunęli się Budny Szymon na Litwie i Franciszek Davidis w Siedmiogrodzie, zaprzeczając zupełnie bóstwa, uznając w Chrystusie człowieka, którego więc wzywać i modlić się do niego nie należy (sekta Nonadorantów, zwalczana przez Blandratę w Siedmiogrodzie, przez Czechowica i innych w Polsce). Naturalnym, dalszym wynikiem tego było obniżanie Nowego Testamentu wobec Starego) kiedy dla Czechowica Chrystyanie „na samym nowym Testamencie przestawać mają a nie na zakonie Moyżeszowym, który do nas już nic nie należy." (Rozmowy l. 232 i częściéj), widział Budny w Starym Zakonie właściwą normę, któréj Nowy bynajmniéj nie skaził ani zniósł, chyba że nas od pozwierzchownych oznak Zakonu uwolnił, jako teraz już niepotrzebnych. Zwolennicy jego szli jeszcze daléj; sekty „Półżydów, Żydowszczyków" (*Semiiudei, Iudaizantes*) czciły sobotę zamiast niedzieli (Sobociarze siedmiogrodzcy, których resztki, przetrwawszy wiekowe prześladowania, r. 1869 ostatecznie z Żydami się zlały), nie jadły wieprzowiny ani krwi (wyraźnie chwali Budny, że Rusacy, Moskwiczy trzymali się dawniéj również zakazu, jaki Bóg dał Noemu, lecz „od lat jakmiarz trzydziestu" — więc niby od r. 1550 — i oni zaczęli porzucać ten zakaz „i takim się pogaństwem mazać"); przyjmowały nawet obrzezanie; przynajmniéj twierdzono to o kilku szlachcicach w Wilnie i o jednym wielkim panu (Kiszce?), bajano, że dla obrzezki aryanie wysłali p. Dąbrowskiego do Turek, którego starosta przychwycił, lecz potém ku niezadowoleniu króla (Batorego) uwolnił. Ztąd posądzano stale aryanów również jak żydów, o sympatyzowanie i „kunszafty" z Turkami; Szczęsny Zębrowski w Recepcie i t. d. (r. 1597) wręcz oświadcza, że próżno nasze południowe ziemie twierdzami warować, skoro między nami tacy podejrzani ludzie mieszkają, którzy nas może zdradzą i wydadzą Turkom.

Nie było to bynajmniéj trafem, że główną siedzibą tych nowych nieobrzezanych żydów było Wilno, że tylko na Litwie i Rusi Budny miał liczniejszych adeptów, a próby szczepienia tych zasad w zborach polskich nigdy się nie udawały. Sekta judaizantów na ruskich ziemiach poprzedziła bowiem wszelki ruch reformacyjny; z Kijowa zanieśli ją byli żydzi do Nowogrodu Wielkiego po r. 1470 a ztamtąd dostała się i do Moskwy, mimo oporu archiepiskopa Gennadiusza, gdyż sekta znajdowała wyznawców lub popleczników i na dworze wielkoksiążęcym i w metropolii saméj. Udało się wprawdzie energicznéj reakcyi prawosławnéj stłumić sektę, lecz ślady jéj przetrwały do połowy szesnastego wieku, a około r. 1553 natrafiono na świeże; oskarżony o nie czerniec Feodozy Kosy uciekł wraz z towarzyszem Ignacym na Litwę, gdzie lat kilkanaście przebywał (ożenił się z owdowiałą żydówką i agitował; materyalistyczna nauka jego dochodziła do dziwacznych skrajności (nie czczenia ziemskich rodziców i zwierzchności, nie dawania jałmużn—ubodzy są psami, którym nie godzi się udzielać okruchów ze stołu wybranych i t. d.) — lecz obniżenie Chrystusa, Nowego Zakonu i tajemnic chrześciańskich dzieliła ona z dawniejszą, na poły racyonalistyczną sektą. R. 1553 oskarżono w Moskwie Mateusza Baszkina o rozsiewanie błędów; Baszkin powołując słowa Chrystusa o wzajemnéj miłości, nie mógł z niemi, jak i litewscy ministrowie, o których niżéj mówimy, pogodzić niewolnictwa; Chrystus nazywa nas braćmi a my mamy ludzi, oddających się w niewolą zgodzoną lub zupełną lub trzymamy zbiegłych; ja Bogu dzięki wszystkie zapisy poddańcze podarłem i mam u siebie ludzi tylko z własną ich wolą; komu u mnie dobrze, żyje ze mną, komu nie, odchodzi gdzie chce. Z temi społecznemi herezyami łączył Baszkin i religijne, przypominające żydowstwo, a powoływał się jako na swe źródła na dwuch „łacinników" —jeden z nich Litwin, aptekarz; — w sprawę jego wplątano duchownego ojca jego, czerńca Artemiusza, który na Litwę uszedł i tam z Budnym i „luteranami" listownie się rozpierał, broniąc prawosławia; Artemiusz nie czyni, co bardzo znaczące, między luterstwem a „żydowstwowaniem" walnéj różnicy, używa obu terminów bądź naprzemian, jakby jedno oznaczających, bądź zaznacza, że z luterstwa dochodzi się nieodzownie do żydowstwa; polemikę wywołał Budny, który ustnie i piśmiennie, przesyłając świeżo przez siebie wydane „Oprawdanie" i „Katichizis" czyli „Ogłaszenie", pytał Artemiusza, jakie rzeczy naszego kościoła mu się podobały. Lecz Artemiusz, bojąc się Boga, zborzyszcza jego kościołem nie nazwał i potępił naukę, która cała w tém, aby lżyć kościół Chrystusa i prawdziwych chrześcian; poczem omówił pojedyńcze punkta, o czci obrazów, znaku krzyża św. i in. (Listy Arte-

miusza do Budnego przedrukowano w Ruskiéj Bibliotece historycznéj IV, 1287 i 1423).

III.

Z takich to początków rósł polski antytrynitaryzm czy „aryanizm.” Zwolenników znajdywał on najpierw między ministrami zborów kalwińskich; skoro między nimi wielkiéj powagi Jana Łaskiego nie stało, dały się polskie główki nieustalone w nowéj dla nich wierze, do jeszcze nowszéj, jeszcze skrajniejszéj łatwo pociągnąć, tém bardziéj, że zalecały ją prostota, jasność, brak wszelkiéj subtelności, wyłączenie wszelkich terminów szkolnych; Czechowic, zaczynając Rozmowy, przestrzega ucznia „ponieważ chcesz być uczniem szkoły Chrysta Pana, która we wszytkim rozna jest od szkoł i nauk ludzi mądrych świata tego, żebyś się co naprostszego pytania trzymał a łapaczek filozowskich i babiego badania, i zbytniego i dwornego i nieuzytecznego, wystrzegał.”

I osierociał odrazu zbór kalwiński; opuściły go wszystkie jego znakomitości, Stanisław Lutomirski, Marcin Krowicki, Feliks Crucyger (który rychło umarł) i inni; gdy Stanisław Sarnicki do Krakowa wrócił, znalazł ledwie dwóch ministrów, którzyby się otwarcie do obozu włoskiego nie przerzucili. Lecz dalszą apostazyą on sam powstrzymał; skupiwszy niedobitków rozpoczął walkę z Grzegorzem Pawłem; nie przebierając w środkach agitował, aż odciął od zboru, co zarażone było; w walce téj, nierównéj w początku, znalazł on potężnych sprzymierzeńców, choć pobudką wystąpienia jego miały być urazy osobiste, podsuwane zbyt łatwo każdemu, kto o zasady walczyć zamierza.

Świeccy patronowie, panowie nie poszli bowiem za przykładem ministrów i oni to właściwie uratowali zbór kalwiński od zupełnego rozkładu, Bonar, Firlej, Myszkowscy, Radziwiłowie i inni. Bo i jakżeż mogli ci dumni magnaci przyjąć wzgardzone i zohydzone nazwisko aryan? Luteranie, Kalwini siedzieli i na tronach królewskich i książęcych, lecz aryanie? skrajność wyznania, domieszki antysocyalne musiały ich jeszcze więcéj odrażać; wedle ich myśli zwracał się Rej (w Apokalipsie) przeciw tym, co to „jęli się upornie kacerstwa Aryuszowego, przez Serweta, Gentilisa i inne wartogłowy wznowionego... którego kacerstwa a bluźnierstwa przeciwko majestatowi Syna Bożego już i u nas w Polszcze dosyć sie namnożyło, czego się panie Boże pożal a racz je uśmierzyć.” Za ministrami udało się do aryaństwa nie wielu ze szlachty: Mikołaj Sienicki, ów Demostenes izby poselskiéj, Filipowski, Niemojewski, Taszyccy, Błońscy i inni; na Litwie Kiszka. Naj-

więcéj tryumfowali katolicy; secesya aryańska dyskredytowała cały ruch protestancki; stale wskazywano na konsekwencye: walka, poczęta przeciw obrządkom i tradycyom, przeciw postom, obrazom lub mszy-kończy przeczeniem bóstwa Chrystusa, nieśmiertelności duszy, istnienia Boga.

W ciągu trzech lat (1562—1565) dokonano secesyi; pojedyńczych faz téj walki, prób pogodzenia rzeczy, których pogodzić nie można, chwilowego zalepiania pękniętéj budowy (kompromisami i ustępstwami), opowiadanych tyle kroć za Lubienieckim a względnie Budzyńskim, nie myślimy powtarzać; nadmieniamy że główni szermierze w téj walce byli Sarnicki i Grzegorz Paweł. Lecz i w łonie samych aryanów panowały scysye, nieodłączne od pierwszego, liczniejszego wiązania się w zbory i ustalania obrządków i dogmatów, gdzie każdy dzień, nowa książka, obcy przybysz poddawały nowe myśli, argumenta, projekta. Przytaczamy tu jeden okaz takiéj polemiki, ciekawy a mało komu znany, datujący się z r. 1568.

Sprawę wyczerpującą o dyskusyi nad tematem, czy godzi się „Chrystyaninowi" mieć poddanych i niewolników, zdał Szymon Budny w dziele: O urzędzie miecza używającem wyznanie i t. d. r. 1583; powtarzamy ją za nim, miejscami dosłownie, miejscami zbyt rozwlekłe argumenta skracając, nietylko aby dać próbkę podobnych dysput, lecz aby zarazem zachować kilka ciekawych szczegółów od niepamięci, témbardziéj że treść téj dysputy wyjątkowo nie dogmatyczna lecz społeczna—chociaż argumenta wyłącznie z pisma św. zaczerpane. Nie potrzebujemy się usprawiedliwiać, że w dyspucie téj trzymamy z Jakóbem z Kalinówki, (Kalinowskim), broniącym instynktowo, choć bez wielkiéj zręczności, sprawy poddanych przeciw Szymonowi Budnemu, broniącemu prawa niewoli temi samemi argumentami, jakich w naszym wieku plantatorowie amerykańscy używali, czerpanemi ze Starego Zakonu: twardym staniem przy tym zakonie zdradza Budny widocznie późniejszy swój judaizm.

Dysputy religijne, szczególniéj dogmatyczne, nie miały nigdy na celu godzenia stron poważnionych, choć je rzekomo dla tego urządzano. Jak w parlamencie angielskim — a może i w innych — najlepsza mowa na wynik głosowania nie wpływa, podobnie nie wzruszały najsilniejsze argumenta przekonań z góry powziętych; dysputujący rozchodzą się, każdy sobie przypisując zwycięstwo, silniéj tylko zajątrzeni; bezpośredni wpływ okazuje się chyba na słuchaczach, nieraz też bardzo niefortunny dla inicyatorów dysputy. Dysputa, którą niżéj przytaczamy, różni się nieco od innych, gdyż urządzona dla powzięcia pewnych uchwał, uczestnicy głosują i większość rozstrzyga; odbywa

się ona w tonie jednowierczym, przecież i tu dostrzegamy silne uprzedzenie głównych rozmówców.

Lecz ustępujemy już słowa Budnemu, nadmieniając jeszcze, że mogliśmy korzystać z egzemplarza Muzeum ks. Czartoryskich, łaskawie nam do użytku przesłanego.

Dałem ci tu wytłoczyć dysputacyą lub rozmowę moję, którąm miał—już temu wnet 15 lat będzie — z kilkiem ministrów na synodku Iwiejskim o tém, jeśli się godzi Chrystaninowi mieć poddane i niewolną czeladź abo nie. Bo już na on czas niejaki Jakób z Kalinówki ten błąd zaczynał twierdząc, jakoby się Pana Chrystusowym uczniom niegodziło urzędu trzymać, poddanych i niewolnéj czeladzi mieć i t. d. I już był kilka osób z szlachty, ministrów i z mieszczan wileńskich do tego nachylił, z którymi potém r. 1569 z Litwy do Rakowa jakiegoś wyjechał. O każdéj rzeczy były (na tém synodku) stateczne namowy, począwszy od 20 aż do 26 stycznia r. 1568. Osoby zaś były: Paweł z Wizny, superattendent niegdyś wileński, na ten czas minister p. Dawida Jeśmana, Jan Baptysta Swięcicki minister kiejdański, Blasius Kaczanowski minister zasławski, Jakób Kalinowski minister przedtym p. Eustachia Wołowicza, Simon Zyra minister łoski, Walentyn Jeronimowic minister iwiejski, Simeon Michajłowicz katechista łoski, Simon Budny minister chołchelski. Zaś szlachcicy i mieszczanie Dawid Jeśman, Mikołaj Korizna, Wacław Korizna, Mikołaj Stanisławowicz, Jurij Swięcicki, Mikołaj z Gębina aptekarz wileński, Hryhor Wodowozowicz mieszczanin wileński i t. d.

Lecz o inszych artykułach jakie były rozmowy i na czém co stanęło, to natenczas opuszczam, samą tylko rozmowę o poddanych a o niewolnéj czeladzi na krótce naznaczę, która rozmowa była na czwartém zasiedzeniu 23 stycznia i na piątem, 24.

Paweł minister począł: ja tak rozumiem i tak wierzę, iż się wiernemu nie godzi mieć poddanych a daleko mniéj niewolników i niewolnic, gdyż to jest rzecz pogańska, panować nad swoim bratem, potu jego abo raczéj krwie używać. Ano pismo ś. jaśnie świadczy, że Bóg z jednéj krwi uczynił wszytek rodzaj człowieczy, wedle czego wszytcy jesteśmy sobie równi, bo jeśliśmy wszytcy z jednéj krwi, tedyśmy wszytcy sobie bracia, a jeśli bracia, a jakoż może brat nad bratem panować? jako może jego potu używać? Rad będę słuchał, jako mi to kto inaczéj ukaże.

Wedle Szymona Budnego zmierzają przytoczone słowa Pawła ś. (dzieje apost. 17, 26) do tego, aby Atenianie obaczyli, iż wszytcy od

Boga poszli i uczynieni, aby się nie komu innemu modlili, jedno Jemu samemu, a nie bałwanom, jako tam tego mało niżéj dokłada.

Paweł: Bracie, nie możesz mi tego zaprzéć, że to od złego człowieka, jakiego pospolicie tyranem zową, poszło panować nad ludźmi. Duch ś. świadczy, że Nimrod tyran napirwej ludzi w niewolą obracał, nad nimi panował a pewnie i robić je na się przymuszał.

Szymon: nie zamawiam Nimroda i owszem widzę, że był tyran, ale to nie dziw, że dyabeł dobre sprawy Boże (np. miłość żony lub postanowienie porządnéj zwierzchności i władzy) k złemu zwykł obracać. To czart pobudza tyrany, którzy gwałtem ludzi podbijają, nieznośne służby i podatki wyciągają i srodze się z nimi obchodzą.

Paweł: Azaż się teraz nie tak dzieje? Aza nie ciężkie roboty a jeszcze ustawicznie bez odpoczynienia, ile tu u nas w Litwie a już téż i w Polsce, poddani panom swym robią? aza nie ciężkie podatki płacą? że sami niebożątka plewy by świnie jedzą a ziarna na czynsze, na sierepszczyny lub na pobory, i na ine popłatki przedać muszą?

Szymon: tego ja nie mówię, żeby to nie było, ale téż są i bogobojni panowie; nasza (t. j. ministrów) rzecz, jeśli niemiłosierni i zapamiętali (panowie) do nas należą, nie milczéć ale na to wołać a gdzieby poprawy nie było, tedy takiego tyrana, napomniawszy raz, drugi, trzeci, opuścić a jego chleba nie jeść. Summa, jako w każdéj rzeczy i w każdym zazwaniu są dobrzy i źli, jako dla kilku złych uczycielów niema być uczycielstwo ani ganiono ani odrzucano, tak dla tyranów królowie i inni panowie nie mają być winowani, ale i owszem, choćby téż tyran—czego Boże nie daj — urząd królewski lub stolicę jego opanował, tedy i temu posłuszeństwo ma być wyrządzano.

Jakób Kalinowski: poczęliście byli dobrze bracia mówić, aleście odstąpili rzeczy, przeto trzeba zaś wrócić się na drogę. Ty bracie Szymonie twierdzisz, jakoby mogli być niewolnicy i niewolnice u Chrystyan. Powiedzże mi, kto ma być u niewoli u Chrystyanina? czy wierny czy nie wierny? niewierny nie, gdyż niemoże się Chrystus z Belialem zgodzić, a wierny z niewiernym (2 Kor. 6); wierny téż nie, gdyż apostoł jawnie mówi, że w Jezusie nie masz żyda, niemasz Greka, niemasz niewolnika i t. d. (Gal. 3).

Szymon wykłada oba miejsca trafniéj; w pierwszém wzywa apostoł, żeby Chrystyanie inaczéj żyli niż poganie, w drugiém mówi, że nikomu nie pomoże ani zaszkodzi przed Bogiem, czy jest Judowin czy Greczyn, czy niewolny lub wolny, czy mężczyzna czy biała głowa; dowodzi daléj, ze słów ś. Pawła (do Tymot. 1, 6), że mieli wierni panowie niewolnych i poganie, chociaż Jakób twierdzi słusznie: niewiem, coby to za Chrystyaństwo, miéć niewolniki, panować, rozkazować

a jeszcze bratu. Gdy mu Szymon wykazał z listu ś. Pawła do Filemona, że Filemonowi Chrystyaninowi godziło się mieć niewolnika, czepia się Jakób wyrazu: bracie, tak ty dawno zowiesz niewolnikiem, ale wszytcy przekładacze sługą przekładają albo służebnikiem. Szymon przeczy słuszności tego przekładu; w tych bibliach, które teraz przekładam, jeśli mi ich da Pan Bóg dokończyć (wyszły potém w Nieświeżu r. 1572), gdzie w Nowym Testamencie stoi *dulos* (*servus*), tedy tam stać będzie niewolnik; jeśli *servus* znaczy sługę wolnego, proszę, powiedz mi, jak po łacinie nazwiesz niewolnika?

Jakób: Nie natośmy się tu zebrali, żebyśmy sobie wokabuły zadawali, ale na to, żebyśmy się z błędów Antychrystowych oczyściali. Otóż my za pomocą bożą widzimy, że to jeszcze błąd Antychrystów, mieć poddane albo niewolniki, a tego błędu obronić gramatyką i temi wokabułami chcesz. Na to pyta słusznie Szymon: jeśli słów rozumieć nie będziemy, a jako rzecz rozumieć będziem mogli? i próżno zarzuca Jakób: czemu się apostołowie nigdy takimi wykładami tych słów i takich nie bawili?—bo do onych pisali, którzy język grecki dobrze rozumieli.

Jan Baptysta: Dobreście rzeczy poczęli byli mówić a teraz się lada czém bawicie. Szymon mówi krzeczy, że *servus* niewolnika znaczy, dowodzi tego etymologia słowa w Kalepinie.

Szymon: To pewna, że my Polacy sługą lub służebnikiem nie niewolnika ani tego, kogo przedawają, ale onego, kto za myto albo wżdy z łaski służy, zowiemy; zaś tego co je przedawają i kupują, nie sługą ale niewolnikiem lub chłopem u nas zową; przeto Brzeskich biblii tłumacze nie dobrze *servus* sługą przełożyli.

Jakób: Insza tam w Mojżeszu a insza tu w Apostole; tam się musi o niewolnikach rozumieć, bo na on czas wolno było niewolnika mieć a teraz nie wolno; ale Paweł nie o niewolnéj, lecz o wolnéj czeladzi pisze.

Szymon dowodzi myłki i pokazuje jasném Pismem, że za Apostołów ich uczniowie niewolników, wiernych i niewiernych, mieli, przeto i teraz mieć mogą, chyba trzeba się ku nim nie pogańskie ale chrystyańskie zachować; nie grzech tedy mieć poddane także i niewolniki, ale nad nimi srogości używać, nic im nie odpuszczać, folgi w robocie i popłatkach nie czynić, to grzech; i wskazuje na błogosławionych i świętych starego zakonu, obfitujących w niewolniki i niewolnice i we wszelkie inne dobra.

Jakób: Wiemy to wszystko dobrze, nie trzeba nam tego przypominać. Tak było na on czas, ale teraz pod Ewangelią już inaczéj Bóg przez syna swego postanowił, bo na on czas za błogosławieństwo

miano, coś z powieści o Abrahamie przypomniał, bogactwo, ale syn. Boży ubóstwo i ubogie ludzi ma za błogosławieństwo. Szymon ani wszystkich ubogich ani wszystkich bogatych ma za bogobojnych: jest iny ubogi, co niema nic ale tego do siebie nie baczy, nędza około niego a przedsię hardéj myśli nie chce złożyć, przed Panem Bogiem się nie uniża, ale się przeciw niemu w sercu swém nadyma; takie zuchwałe ubóstwo nie może być jedno nędzne i przeklęte: opisuje również bogobojnego bogatego i woła: co mówisz bracie, żeby onego pirwszego wieku ludzie bogobojni inaczéj sądzili o błogosławieństwie a pan Jezus inaczéj.

Jakób: Tak mówię i tak jest.

Szymon: Proszę, nie wrywajmy się sobie w rzecz, niech tego domówię, com począł. To nie nowina, iż Chrystus nie bogactwu, ale ubóstwu (wszakże duchownemu) błogosławieństwo lub jako teraz zową, szczęście przyczyta, dawno to i oni święci, którzy pod zakonem byli i oni co przed zakonem, widzieli. Że Chrystus niemiał gdzie i głowy przykłonić, prawda to jest, ale nie już dlatego wierni jego winni domy porzucić a obyczajem zwierząt po puszczach się błąkać lub ode wsi do wsi ludziom dokuczając a żebrząc wałęsać się. Chrystus był posłańcem bożym, nie na jedném miejscu uczył, ustawicznie obchodził miasta, jako i jego posłańcy nigdzie domów i inych osiadłości nie trzymali, ale przepowiadając ewangelium, z miejsca na miejsce chodzili. Lecz oni Chrystyanie, którzy Apostołmi nie byli, ci tamże gdzie i pirwéj (przed nawróceniem) mieszkali, domy, ogrody, pola, czeladź niewolną mieli a tak i teraz mogą wierni mieć to wszytko, gdyby tego tylo dobrze a przystojnie używali a z dobrego nabycia mieli, żeby ono adagium Jeronimowo w nich miejsca nie miało: każdy bogacz albo sam niesprawiedliwy albo niesprawiedliwego potomek (*omnis dives aut iniquus aut iniqui heres*).

Jakób: Dosycieś długo bracie, mówił; ale chociabyś i dziesięćkroć dłużéj mówił, tedy tego w mię nie wmówisz, żeby się godziło Chrystyaninowi mieć poddane, nierzkąc niewolniki. Bo Pan Chrystus nie chce, aby się tu jego uczniowie na majętności zdobywali, ludźmi jako bydłem robili, ale i owszem, aby i gotowe osiadłości przedawali, siebie samych i wszego co mają wyrzekli a wziąwszy krzyż swój, aby wszytcy za nim szli. Tak ci nam Pan nasz rozkazuje, nie tak jako ty bracie chcesz i tu panować i przedsię za Panem gdzie on jest, przyść; ano niema być sługa nad Pana a uczeń nad Vczyciela. Przytoczywszy szereg tekstów pisma ś. kończy: Otóż masz bracie szczere pismo beze wszech ogródków. A na co się długimi powieściami bawić, ano i czasu już niemamy i takie długie mowy rzecz zatrudniają.

Szymon: I ja rad na krótką rozmowę zezwalam, ale też ty Jakóbie po jednemu miejscu zadawaj, chceszli żebych krótko mówił. Bo gdy razem kilka miejsc przywiedziesz, musi każdemu dosyć czyniąc nieco zamieszkać. Oto i teraz przywiodłeś czterzy miejsca, na które wszytkie musi się odpowiedzieć po jednemu. Słowa Mat. 10, 9 nie nabywajcie złota ani śrebra ani miedzi do trzosów waszych: to przykazanie nie ma nic do nas a my do niego, bo samym tylko apostołom do czasu było rozkazano.

Jakób: Jako, a onegoś przepomniał, co Chrystus powiedział: Co wam mówię, to wszytkim mówię?

Szymon: Nie przepomniałem, ale to i nie tego czasu i nie o tém Chrystus mówił, mówił to o czuwaniu, co wszytkim wobec Chrystyanom trzeba, ale żeby pieniędzy nie mieć albo złota albo śrebra, to samym jacy (tylko) Apostołom na on czas przystało i służyło. Na czém jeśli ty bracie nie przestawasz, tedy musisz nie jedno to twierdzić, że Chrystyanie nie mają mieć złota, śrebra, pieniędzy, ale i to, żeby dwuch sukien nie mieli i bótów, co jako krzeczy, niech bracia rozsądzą.

Paweł: Mnie się zda, że brat Szymon dosyć temu miejscu uczynił, t. j. że ten zakaz Apostołom tylko był dan do czasu.

Jan Baptysta: I mnie się drugiemu tak widzi, ale iż już późno, do jutra to wszytko odłóżmy. Teraz P. Bogu podziękujmy etc.

Sessio quinta lub zasiędzienie piąte stycznia 24 dnia. Budny: O oném miejscu, bracia mili, mam mówić, które brat Jakób wczora z Łuk. ś. 12 przywiódł: przedawajcie majętności wasze a dawajcie jałmużnę i t. d., chcąc przez nie pokazać, żeby się wiernemu nie godziło żadnych osiałości tu w tem żywocie mieć. Ale ja co innego upatruję. Jeśliby wszytcy Chrystyanie winni tak żyć, jako ty chcesz Jakóbie albo jako sam żywiesz, azaby się Apostoł wstydził napisać, żeby bogactwa porzucić; lecz on tylko zakazuje, aby w bogactwa nie ufać, i rozkazuje, aby ich dobrze używać, aby potrzebnym udzielać i t. d. Więc owe Pana Chrystusowe słowa tak mają być rozumiane i wykładane, jakoby drugim jego słowam i jego Posłańców nauce on wykład przeciwny nie był, a będzie koniecznie, jeślibyśmy tak jako brat Jakób wykładali. Nie tego więc po swych uczniach chce Pan, żeby nic nie mieli, ale żeby hojnie jałmużnę dawali a przyjaciół sobie (jako indzie mówi) z mamonu nieprawości przymnażali, nie jedno im tego, co zbywa, udzielając. Bo więc pospolicie się ludzie tak obmawiają: dałbym jałmużnę, ale na ten czas nie mam gotowych pieniędzy, otóż Chrystus przeciw temu uczy: przedawajcie co macie a dawajcie jałmużnę. Gdzie trzeba baczyć, iż nie to każe, żebychmy razem wszytko przedali a ra-

zem téż jałmużnę dali, bo jeślibyśmy winni razem wszytko przedać, tobyśmy téż tylko raz jeden mieli jałmużnę dać, ale cóżby to było? Nie dobrze ten wyrok pana Chrystusów pospolici tłumaczowie przekładają: przedajcie a dajcie, zamiast przedawajcie (po trosze lub po części) a dawajcie (ustawicznie, nie raz tylko albo dwa).

Jakób: Jeśli się to miejsce tak ma rozumieć, tedy i ono, co Chrystus młodzieńcowi mówił (idzi a przedaj wszytko Mat. 19) takby się musiało rozumieć, żeby także nie zaraz ale z nienagłaby był uprzedawał majętności swych a czemuż by miał tedy smętno odchodzić? gdyż jako pospolicie mówią, co się odkłada to się i mija.

Szymon: Insza to a insza ono. Młodzieńcowi kazał Chrystus przedać majętności, nie żeby mu dla zbawienia tego trzeba, ale żeby się pokazało, iż nie taki był, jakim się być powiedał (doskonałym); dla próby to tedy było a nie dla potrzeby, a téj próby nie dla Chrystusa, (który wiedział co w niem było), ale dla młodzieńca samego było trzeba.

Jakób, zarzuciwszy jeszcze wpierw, że Chrystus to nie dla próby, ale dokładnie mówi, że dlatego aby był doskonały, zastrzega się: niewiem, jako komu, ale mnie ta odpowiedź nie czyni dosyć.

Synod: Nam się to wszytko podoba; to prawda, co brat Budny przywodził, iż wszytcy Chrystyanie i za samego Chrystusa i za Apostołów domy mieli, niewolniki mieli.

Jakób: Skwapny to wyrok, bracia. Bo choćby mi te moje dowody odbił, przedsię onego o zaprzeniu samego siebie i o wyrzeczeniu wszytkiego jeszcze zbijać ani poczynał.

Szymon: Bracia nie o tem, co jeszcze ma być mówiono, zdania swe powiedzieli, ale o tém, czego się już dosyć nasłuchali. Co się tedy zaprzenia siebie i wyrzeczenia wszystkiego dotycze, tak o tem rozumiem, że przez to nic inego Chrystus znać nie daje, jedno iż jego uczeń ma być na to gotów.

Jakób: To ty bracie tylko myślą widzę chcesz i zaprzeć się samego siebie i wyrzec się wszystkiego co masz, leczby to nie myślą ale skutkiem pokazać trzeba t. j. jako napisano (psalm 112): rozsypał, dał ubogim, sprawiedliwość jego trwa na wieki.

Szymon: Dawno to duch ś. jeszcze przez Dawida napisał a przedsię na on czas nie wszytkie majętności bogobojni ubogim rozdawali ale tak dawali, jakoby sami nie żebrali. Takżeć i teraz wierni czynić mają, winni ubogim dawać, ale i sobie i dzieciom i czeladzi zostawiać, bo ktoby starania o swych nie miał, takowy gorszy jest niż niewierny (1 Tymot. 5).

Jakób: jeśliby się godziło, gdy pokój jest, majętności używać a nie rozdać, aż na on czas, gdyby prześladownicy (chcąc, byś się Chrystusa wyparł, majętności i t. p. ci) odbierali, jużby to poniewolne opuszczenie i wyrzekanie było.

Szymon: Nie poniewolne, ale i owszem dobrowolne, gdyż skoroby taki (czego Boże niedaj) Chrystusa i naukę jego opuścił, tedyby jemu nic nie odejmywano i samego by nie prześladowano. Popiéra daléj tekstami innemi i podobieństwami wykładu tego, że wyrzec się wszystkiego nie jest porzucić wszytko ani przedać, ale gotowym być, wszelakie bogactwa, czci, przyjacioły, nawet i żywot dla Chrystusa i nauki jego porzucić. Nuż bracie, czy mamyż my ojca, matki i t. d. zaniechać, póki do tego nie przyjdzie, żebyśmy musieli albo ojca albo Chrystusa odstąpić? Czyli zarazem mamy się zamorzyć, abychmy temu Pańskiemu wyrokowi (nienawidź duszę swą t. j. żywot) dosyć uczynili a za ucznie jego poczytani być mogli? Bynajmniéj, lecz to aż na on czas skutkiem pokazać wiernemu trzeba, gdy na to przyjdzie, że albo Chrystusa albo żywota postradać musimy.

Przywiodłeś téż bracie Jakóbie ono z listu do Ebreow: nie mamy tu miasta na mieszkanie ale przyszłego szukamy. To miejsce nie to twierdzi, żeby wierni nie mogli miéć domów i niewolnéj czeladzi, ale do tego wiedzie, aby wierni żywota wiecznego nie przepominali i t. d.; majętności téj doczesnéj tu nie gani ani jej za złą poczyta, ale onę niebieską za lepszą ma. Mogą więc mieć Chrystyanie poddane i niewolniki, wszakże inaczéj niż świetcy i nieodrodzeni ludzie, gdyż mieliby nad nimi miłosierdzie znaczne okazować, nie jedno im groźby (wedle apostoła) odpuszczając, ale też niektóre, gdy dobrze, życzliwie a wiernie służą, na wolność lub swobodę wypuszczając. A zaiste trzeba się bać Chrystyanom, aby ich poganie o to nie sądzili, gdyż oni często niewolną czeladź, gdy którego wierność lub dowcip obaczyli, wolnością radzi darowali. Faranonowi tylko okrutnemu a niewyczosanym jego Egiptczanom przystoi, raz kogo zniewoliwszy nigdy na miłą wolność nie wypuścić, ale i dzieci jego i wnuczęta jego i wszytko potomstwo na wieki w niewoli trzymać. Którego się obyczaju i naszi Litewczycy, także i Rusacy, mocno ale barzo nie słusznie trzymają: czasem o beczkę żyta dawszy ojca powiesić, dzieci jego w niewolą wieczną biorą i tak bez miłosierdzia w niéj dzierżą. To złe a nie prawe prawo, którego Chrystyanie używać nie mają, gdyż napisano, że nie mają dzieci za ojce cierpieć, jako i ojcowie za dzieci. Przeto miałoby więcéj ważyć słowo lub zakazanie Boże niż ustawy człowiecze, mówię u wiernych; bo nam do onych nic, którzy w jedném domu z nami nie są (1 Korynt. 5).

Wszakoż i tu trzeba bacznie postępować, wiedzieć kogo na wolność puszczać, a kogo nie puszczać. Bo są miedzy niewolną czeladzią, z którychby mogli być ludzie dobrzy, gdyby na swobodę puszczeni; są też niektórzy, co w niewoli a pod grozą i karnością lepszi, a na woli gorszi. Powiedają ludzie niż my starszi, że starosta żmodzski, niejaki p. Rekuć, za namową biskupa tegoż państwa, niejakiego Molusia, był rozkazał wszytki niewolniki na swobodę puścić. Wypuszczono przeto było i niewolniki i niewolnice, ile ich w onem państwie na on czas było. Lecz ono chłopstwo, co w niewoli było niedobre, to na wolności tyle dziesięć kroć gorszym się zstało. Bo niejedno po staremu kradli, ale po nowemu rozbijali i pany swoje (nachodząc na ich dwory) zabijali. Co starosta z biskupem obaczywszy, musieli wyrok swój odmienić i dopuścili szlachcie, aby zaś każdy swoję czeladź imał i po pierwszemu w grozie chował. Lecz się temu nietrzeba dziwować, wielkie podobieństwo, że im to nie tak z przyrodzenia, gdyż są ludzie, jako ze złego wychowania było przyszło. Bo widzimy, że to zdawna w Litwie i we Żmodzi w obyczaj (acz inaczéj statuta tych państw uczą) weszło, że niewolnikom wolno kraść, a za to, chociaby i z licem pojmano, małe karanie odnoszą, abo się im i tak bez karania często mija. P. Boga prosić trzeba, aby to do serc panów i szlachty dać raczył, jakoby i ten ród ludzi niewolnych i wszytki poddane umieli nie jedno sobie ku pożytkowi, ale i jemu wprzód ku czci i chwale rzędzić.

Synod: Amen.

Paweł: Dosyć się już, Bracia, o tém mówiło, że Chrystyanie mogą mieć domy, pola, a naostatek poddane i niewolną czeladź. Teraz jeszcze pilna tego potrzeba, aby się o tem z Bożego słowa rozmówiło, jako a na czem mają być ministrowie wychowywani?

Szymon: Ministrami są wszyscy, od Apostołów począwszy, aż do tych, którzy miłostinami (jako naszy Rusacy to dawne słowo zatrzymali) lub (z niemiecska zowąc) jałmużnami szafują; o których przeto z tych na ten czas mówić chcecie?

Paweł: O tych, które teraz kaznodziejami pospolicie zowiemy, na czem mają być chowani, jeśli mogą plebanie trzymać, jako wy, którzy u p. wojewodzinej witebskiej mieszkacie, czyli na jurgielciech, jako my, co szlachcie albo mieszczanom słowem Bożym usługujemy; bo my tak rozumiemy, że się nam nie godzi na tych plebaniach być i ich pożytków używać.

Na pytanie Szymona: Dlaczegoż to? przytacza Jakób dwie przedniejsze przyczyny: co się tknie imion lub tych plebanij, były one oddane i afundowane, aby z nich msze śpiewano i czytano, jutrznie, nieszpory i ine takie wymysły sprawowano, aby kropiono, kadzono, świę-

tych zmarłych wzywano, za dusze się modlono i ine rozmaite bałwochwalstwa strojono: owa te plebanie są rzeczy nieczyste, a nieczystych rzeczy zakazuje się pismo dotykać, nie rzkąc żeby ich wolno używać. Zaś z strony waszych osób nie godzi się wam nietylko tych imion splugawionych, ale i wszelkich inych takich trzymać, bo naprzód wy jesteście ministri, t. j. słudzy, lecz imiona takie trzymając musielibyście być i panowie; powtóre wasza powinność jest, słowo Boże przepowiadać, Pismo ś. ustawicznie czytać, sprzeciwnikom odpór i pisaniem i ustnym mówieniem dawać, lecz takie imiona mając, musisz, zaniechawszy biblij, to orania, to bronowania, to siania, to żniwa, to kosarzów, to tego, to owego doglądać, a lepszych nie równo i pilniejszych rzeczy omieszkać.

Szymon odbija pierwszy zarzut, rozróżniając od plebanii, nadawanych dla pasienia owieczek bożych słowem bożém i starania o ich zbawieniu altarye, fundowane tylko dla tego, aby altarysta kilka mszy na tydzień za dusze fundatora, jego przodków i potomków przeczedł ale pasterz, którego plebanem zwano, na to nie był obowiązan. Prawda, że tych imion (plebanii) bluźnierze a bałwochwalcy używali, ale cóż na tém? Ja tak rozumiem, iż choćby jakie imienie nie jedno sługa dyabelski, choćby je sam dyabeł dzierżał, tedy to nic wiernemu do trzymania onego imienia nie ma szkodzić, dla tego, iż dyabeł nie może słusznie a sprawiedliwie żadnéj rzeczy trzymać, gdyż Boża jest ziemia i jéj zupełność. Co mówisz, żeby się to zgodzić nie mogło, być razem i sługą i panem, nie mogę tego rozumieć, co to jest, bo aza dla tego jesteśmy pany, że kilkanaście poddanych mamy?

Jakób: Aza was poddani za pany nie mają? aza nie tak zową? jeden tylko jest pan, J. Chrystus.

Szymon: Prawda, ale w tem ani my, ani oni nie grzeszą; panem się ja nie czynię, ale to mówię, że mogą być i słudzy Pana Chrystusowi, pastyrzowie i uczycielowie, dla uczciwości tym imieniem zwani (przytacza przykłady ś. Pawła i Sylasa, Mojżesza, Heliasza i Helizeusza). Lada się przeto za co bierzesz, a pożyteczniejszych rzeczy mówić nie dasz.

Paweł: Tak jest, mów bracie o tem, jeśli pasterz lub uczyciel może się parać rolą, robotą, albo gospodarstwem? bo się nam nie zda, gdyż Apostołowie nie chcieli się stołem bawić (Dzieje 6).

Szymon: Jeśliby dał Bóg którému z nas takie żniwo, jakie za Apostołów w Jerozolimie było, że tysiącami do Chrystusa ludzie przystępowali, tedyby się nie godziło pastyrzom pracami około doczesnych rzeczy zabawiać, lecz teraz ledwie raz albo dwa razy na tydzień jest komu przepowiadać, a cóż k rzeczy nie chcieć dojrzeć roboty? Druga,

gdzieby nadanie kościelne było nie małe, tedyby rzecz słuszna, aby na to jaki mąż bogobojny obran był, któryby wiódł gospodarstwo, a z onych dochodów żeby i pastyrzowi i katechistom wychowanie słuszne dawał, także i szkolnemu sprawcy, ludziom ubogim i wszem inym, coby tego godni. Lecz gdzie mierne nadanie, może i sam pastyrz z żoną gospodarstwu zdołać i powinności pasterskiej dosyć czynić, jak ś. Paweł i rzemiosło robił i apostolską powinność wypełniał. Przeto i teraz nie wadzi pastyrzowi (gdzieby mierne nadanie) rzemiosła porabiać, albo sobie z folwareczku żywność przemyślać, lepiéj niż żebrać, albo panu o każdą rzecz dokuczać. Przytacza w końcu przykład o Filemonie, pasterzu zboru koloseńskiego, który miał i dom własny obszerny i czeladź wolną i niewolną.

Jakób przeczy, by Filemon, nie Archipp, był we zborze koloseńskim na on czas pasterzem, a gdyby i tak, różne to są rzeczy, Filemon miał dom swój własny i sługi własne, wy lepak cudze domy i cudze poddane trzymacie, przeto się onym godziło je mieć, a wam się nie godzi.

Szymon: Różności tu żadnéj nie masz, bo jako najęty lub arendowany dom trzeba sprawować, tak kupiony, tak darowny, tak i dziedziczny. Aza niewolno któremu panu darować ciebie jaką sumą pieniędzy? to dobrze wiem, że cię to niedawno od jednego potykało. Co jeśli tobie wolno dać 50 lub 60 złotych, a mnie czemu niewolno dworczykiem, żebym z niego miał wychowanie, opatrzyć? Ty wziąwszy kilkadziesiąt złotych, w rok abo rychléj znowu się upominać jurgieltu będziesz, a ja choć czasem niedostatku zażywę, przedsię na dworczyku przestawać muszę, a nad to, skoro jaki wiatr powienie, i dworzec i com nań nałożył puścić, a ty swemu panu, by się téż nie wiem jako na cię rozgniewał, z onych jurgieltów nic nie wrócisz.

Paweł: Czemuż się tedy tych dworców domagacie, gdy to was spotkać może, i owszem już ciebie samego spotkało?

Szymon: Ja się dworca nie domagam, a wszakże tak, choć jako na lodu, być wolę, aniż ustawicznie żebrać, abo panu i urzędnikowi jego o żywność dokuczać; a zwłaszcza, iż o tych jurgielciech pisma nic nie baczę.

Jakób: Aza Chrystusowi one ś. białegłowy swoich majętności nie udzielali? także Pawłowi aza Filippianie jałmużny nie posłali?

Szymon: Insza to, że P. Jezusowi dawano, nielza mu było domu mieć, także i Paweł musieli mieć od słuchaczów na wychowanie taki ratunk, a wszakże jurgieltów, jako wy, nie brali, kto co dał przyjmowali. My nie Chrystusowi, ale Filemonowi podobniejszi.

Jakób: Ty niczem przedsięwzięcia swego nie dowodzisz, tylko Filemonem, przeto ja na tę twoję sentencyą nie pozwalam.

Szymon: Jeśli ja tylko Filemonem dowodzę, niech bracia powiedzą, ale choćbym tylko tym dowodził, przedsięby dowodniejsza moja rzecz niż twoja była, gdyż ty zgoła nic o tém z Pisma św. nie przywodzisz.

Paweł: Ja Pana Boga chwalę, żem się tu wiele nauczył; a wszakże, jakośmy o pogrążeniu na inszy synod odłożyli, tak i o tych plebanjach odłóżmy. A teraz, abychmy wiedzieli, jako kto o tém trzyma, porządnie już o tém w imię Boże wotujmy.

Oto próbka dysputy religijnéj, jednéj z owych niezliczonych, jakiemi szesnasty wiek był przepełniony, a nigdzie tak, jak w Polsce, bo nigdzie téż nie spotykało się i nie zwalczało tyle wyznań, co w Polsce ówczesnéj.

„Aryańscy" ministrowie litewscy — wszyscy ekskalwini, jak Paweł z Wizny, były superintendent wileński, jak Szymon Budny, były minister klecki, od Radziwiłła dla aryaństwa usunięty i i. — skłaniają się widocznie na stronę Budnego, chociaż ostateczną decyzyę na nowy synod odkładają; ciągłe odkładania zdradzają brak energicznego kierownictwa. Lecz nie wszystkim czyni zadość Budny ze swoim Starym Zakonem; gorętsza mniejszość, z Jakóbem (z Kalinówki) na czele, opuści zbór litewski, rozbije tém jego organizacyę, porzuci Litwę zupełnie i uda się do małopolskiéj braci, do Rakowa, aby się w nową gminę, wedle szczeréj Ewangelii, wiązać. Co się na tym gruncie z nowych sporów wyłoniło, o tém opowiemy innym razem.

A. Brückner.



ŁAZARZE.



1.

Znałem waryata... Kochałem go szczerze,
Nawet wielbiłem jego gwiazdę jasną,
Bom sam podówczas nosił jeszcze pierze,
Które nam ufać każe, iż nie zgasną
— Jako łojówki — sił duchowych wieże,
Iż wielkość zawsze swoją mocą własną
Zdoła wyrąbać się na życia drodze...
Ha, byłem młody, zatém głupi srodze.

2.

Żyliśmy w dwójkę górnie — na poddaszu,
Gdzie moje rzeźby rozpoczęte stały,
Zmieszane tłumnie, niby na kiermaszu,
Gdy je złociło słońce, to się śmiały. —
My razem z niémi, chociaż w patrontaszu
Rzadko patrony brzęczące bywały:
Młode marzenia są nam jak narkotyk,
Lub z tęczowymi szkłami jasny gotyk.

3.

Jego zajęcia były naukowe,
Lecz duszy swojéj nie zaparł w bibule.
Lubił na słońce patrzéć purpurowe,
Gdy gasło w blaskach (nie jak ziemscy króle!),
Potém na niebo ciemno-lazurowe;
Gwiazdy - zwykł mówić—piły jego bóle,
Nieskończoności przedsmak mu dawały. .
Rzeźby poważnie na nas się patrzały.

4.

Wziął za specyalność swoją zbadać ducha,
Jego zawartość, oraz przeznaczenie, —
Bo nie chciał wierzyć, aby taka sucha
Była treść bytu: walka i zniszczenie,
Aby natura mechaniczna, głucha,
Na bezcelowe skazała cierpienie
Wszystko, co żyje — a tak z świata tego
Robił się padół goryczy i złego.

5.

Więc myślą szukał gwiazdy dla człowieka,
Co byłaby mu w wędrówce niezmienna
I dała pewność błogą, że nie czeka
Po śmierci nicość, a w życiu Gehenna...
Tymczasem szczuplał; chléb i trochę mleka —
Zacna, lecz chuda zbytnio strawa dzienna,
Rzeźbiąc mu rysy, dała ostrzeżenie,
Że oprócz gwiazdy —potrzebne jedzenie.

6.

Ba! darmo walczyć z tym śmiesznym barokiem,
W którego stylu świat jest zbudowany
I który robi jedno zbyt szerokiem,
A drugie ściska w wiotkie filigrany;
Jeden umiéra—bowiem jest żarłokiem,
Drugi umiéra głodem wycieńczany,
Możny się nudzi, zazdrości mu słaby.
Żrą się wzajemnie pełzające kraby.

7.

Dopóki letnie stało w niebie słońce,
Drwiliśmy sobie z téj naszéj nędzoty,
Wierząc, że wszystkie przejścia mają końce,
Nie przewidując wcale, że roboty
Może zabraknąć—i Nirwany gońce —
Chyłkiem, jak złodziéj, wkradną się —suchoty!...
(Te się zjawiają łatwiéj, niźli rymy),
Filozof miał krwioplucie pośród zimy.

. . . .

10.

On stracił lekcyę, ja również zarobki,
Które miewałem z tutejszych cmentarzy.
Nie ograbiałem trupów, lecz nagrobki
Kułem szczęśliwcom, którym się wydarzy
Zostawić krewnym pracy swojéj snopki —
Cenne papiérki do obtarcia twarzy
Z łez—raczéj z potu, kiedy po obiedzie
W święto tramwajem się na cmentarz jedzie.

11.

W zimie podobne ustają rozrywki;
Ludziom brak ławek w cieniu do siedzenia,
Sodowéj wody, fryzowanéj grzywki...
Stąd téż rzeźbiarze doznają wytchnienia;
Wolno im chuchać w palce, tworzyć śpiéwki,
Żołądek swój powiesić dla wietrzenia,
Wolno niedbałych mężów stroić w rogi,
Z trzeciego piętra spaść, połamać uogi.

12.

Właśnie myślałem nad wielkim wyborem,
Kiedy przyjaciel mój zajęczał z cicha.
Leżał przykryty kamizelką, worem,
Oraz draperyą, w któréj niegdyś pycha
Paradowała... Na obliczu chorem
Spostrzegłem nagle straszydło, co czyha...
A więc, by pokryć łzy, co na rzeszoto
Mogły mnie zmienić — wrzasnąłem: „Idyoto!“

13.

„Sprzedaj poezye i swoje rozprawy!
„Prawda, w tramwajach dziś służyłby Plato, —
„Lecz mimo wszystko, człowiek zdolny, prawy
„Nie zginie z głodu... Masz siostrę bogatą,
„Niech ci udzieli — choć na miesiąc— strawy;
„Masz opiekuna, co zwleka z wypłatą;
„Wreszcie znajomych czeredę wybraną —
„A więc pisz listy, zdecyduj wygraną!”

14.

Długo się wahał, wreszcie przymuszony
Do siostry swojéj napisał, że chory,
Do opiekuna, że biédą gnieciony,
Do przyjaciela, że chciałby z téj nory
Na świeże, wiejskie wyrwać się zagony;
Dał dla redakcyi najlepsze utwory...
Wziąłem to wszystko, oraz dwa modele
Na wyprzedanie, tusząc sobie wiele.

15.

Gatunek „bliźni *lupus*“ nie jest nowy!
Upadły wszystkie nasze przedsięwzięcia.
Przyjaciel jęczał, że zdychają krowy,
Że oczekuje sekwestrów, zajęcia;
Siostra przeprasza, ale niema głowy,
Bowiem spodziewa się znowu dziecięcia...
Odtąd mi jasną była tajemnica —
W kobiecie ducha zabija samica.

16.

Opiekun tylko okazał się czuły:
Rozlał się w morze ocukrzonéj wody,
Radził pilnować nie gwiazd, lecz szkatuły,
Radził oszczędzać, póki człowiek młody,
Wyznał, że złotem ładowane muły
Są najmądrzejsze z stworzeń, bo przeszkody
Mijają — lecz znowu, gdy człowiek oszczędzi,
Niech się zabawi, nie nudzi, nie więdzi.

17.

Co do redakcyi—szlachetne przybytki
Pełne sztandarów i życiowéj sztuki —
Mają, jak biurko, plaskość oraz skrytki...
Jedna odrzekła, że zbytniéj nauki
Publiczność nie chce; druga, że niebrzydki
Temat — o duszy, lecz w humorze luki;
Trzecia zgromiła za mistyczne matnie,
Ale poezye przyjęła — bezpłatnie.

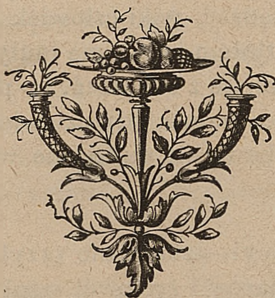
18.

Zaczęły płynąć dnie, jak błotna rzeka,
Jednako szara, czy zbliska, czy zdala.
Czas, jako zmora, wtedy nie ucieka,
Ale ssie duszę, którą śmierć wyzwala.
Karmiła stróżka nas troszeczką mleka.
Potém on umarł, a mnie do szpitala
Wzięli, wydarli śmierci — dobrodzieje !
Z takiéj dobroci człek się gorzko śmieje,

19.

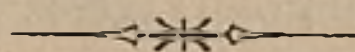
Lub płacze . . . .
. . . . . . Wszystko ku dobremu dąży !
Jaskrawe słońce wstało z czarnéj nędzy:
Siostra gotowa pomódz, zbywszy ciąży;
Opiekun przysłał na pomnik pieniędzy,
Bo o geniuszu zmarłym wieść już krąży.
Ja mam téż sławę u téj ślepéj jędzy,
Zwanéj ludzkością — z psem chodzę na cmentarz
I tam spisuję dóbr życia inwentarz.

Tadeusz M



SZKOLNICTWO FRANCUSKIE

od 1870 do 1895 roku.



I.

Okres rządów trzeciéj republiki przedstawia takie bogactwo faktów, taki bujny rozpęd życia w dziedzinie kształtowania się instytucyi oświaty publicznéj, że zdumienie i podziw, graniczące ze czcią, ogarnia badacza — im bardziéj zagłębia się w ten chaos pozorny, im gruntowniéj przenika kierunek, zakres i natężenie téj pracy twórczéj. „To nie prosta ewolucya, — powiada profesor H. Marion, — jest to przebudzenie społeczeństwa, — jest to odrodzenie.” Niestety jednak: dotychczas sama nawet Francya nie zdobyła się na książkę, ogarniającą całokształt tego, w oczach naszych powstającego dzieła. Tak więc nie możemy mieć pretensyi do podania w szkicu pobieżnym jakiéjś całości historycznéj, obejmującéj naraz i ruch saméj teoryi pedagogicznéj, i krystalizowanie się jéj w instytucych oświaty. Jest jednak kwestya, która z natury swojéj może służyć za probierz rozwoju wszystkich naraz zjawisk w dziedzinie wychowania, kwestyą tą jest stosunek społeczeństwa do szkolnictwa publicznego w każdéj danéj chwili. W stosunku tym odbijają się zarazem i postępy teoryi i ruch praktycznych zastosowań, streszcza się w nim niejako i filozofia i technika zagadnienia. W szkicu więc niniejszym

ciągle będziemy mieli na względzie ten właśnie stosunek, jako jedyny probierz całości, jako wypadkową wszystkich wpływów, działających w téj niezmiernie skomplikowanéj dziedzinie. Stosunek społeczeństwa do całokształtu szkolnictwa publicznego jest pouczający jeszcze i z tego względu, że stanowi rdzenną kwestyę socyologii wychowania.

Ażeby jednak w najogólniejszych zarysach zdać sobie sprawę z ruchu pedagogicznego we Francyi w latach 1870—1895, trzeba ciągle mieć w pamięci dwa poprzedzające je okresy:

Przypomnijmy sobie główne z nich fakty. Niewidziany w dziejach wysiłek zbiorowéj myśli ludzkiéj, stwarza na schyłku XVIII wieku, rzec można pierwszą syntezę wychowania, jako zarazem umiejętności i funkcyi społecznéj. Rousseau i La Chalotay, Diderot i Encyklopedyści, Talleyrand i Condorcet, Mirabeau i Robespièrre, Lakanal, Le Pelletier i Rome, zgromadzenia prawodawcze i stany prowincyonalne, ludzie nauki i mówcy uliczni, salony i autorowie memoryałów z 1789 r., wszystko to bierze udział w improwizowaniu, tworzeniu, krytyce teoryi pedagogicznych, prawodawstwa oświatowego i w zakładaniu podstaw pierwszéj narodowéj organizacyi wychowania. Tak przedziwnie różnorodne grono współpracowników, rzecz szczególna, pozostawiło jednak po sobie nie rozstrzelone paradoksy, nie chaos fragmentów, lecz właśnie wzorowo jednolitą koncepcyę reformy, któréj się po społeczeństwie spodziewało. Po raz to pierwszy w historyi Francyi spotykamy wszechstrone sformułowanie zasad i praktyki społecznego systemu wychowania. Dwa zwłaszcza punkty powtarzają się we wszystkich tych projektach i stanowią ich podstawę. Po pierwsze, — wszystkie niemal domagają się upaństwowienia wychowania. Teoretycy zasady „wszystko dla ludu przez lud", uznający państwo za zorganizowaną wolę narodu, w upaństwowieniu wychowania widzą ideał, konieczność dziejową, warunek niezbędny postępu. Szkoła ma być prowadzona przez państwo, wojna kościołowi, który w dotychczasowéj anarchii, sam jeden był opiekunem szkoły, zostaje wypowiedziana. Upaństwowienie szkoły, którego konsekwencyą jest odsunięcie od niéj kleru, oto pierwszy zasadniczy punkt reformy.

Drugi punkt stanowi koncepcya jedności trójstopniowego wychowania: wychowanie ma być na wszystkich trzech swoich stopniach wzajemnie uzupełniającym się systematem środków, dążących do uobywatelnienia, do harmonijnego rozwoju wszystkich. Dla różnych klas i różnych płci, dla każdego kto chce, (a chcieć winien każdy, rzecz to państwa, tę chęć szczepić), dla wszystkich, słowem, ma być tak pojęte wychowanie dostępném, przynajmniéj w swém *minimum*, niezbędném dla uformowania oddanych narodowi obywateli. Z tych zaś dwu za-

łożeń, z upaństwowienia szkoły i z trójjedynéj, narodowéj obywatelskiéj jego postaci, dają się już wyprowadzić wszystkie konsekwencye praktyczne. Jeśli państwo ma być opiekunem szkoły, nie ma w niéj miejsca dla kleru; jeśli szkoła jest instytucyą dla wszystkich, niech że da możność korzystania wszystkim, t. j. niech będzie bezpłatną; jeśli będzie bezpłatną i służyć ma celom obywatelskim, celom narodowym, nie powinnaż być obowiązkową? Te i tysiące innych konsekwencyi, związanych z sobą teoretycznie, składały się na poszczególne projekta. Raz fala żądań wraz z falą ekstazy podnosiła się i tworzyła wymarzone, idealne utopie pedagogiczne, w których społeczeństwo miało być jako młodzież w grodzie platońskim... To znowu brutalna rzeczywistość, brak funduszów w kasach ciała rządzącego, praktyczny zmysł prawodawców, poszanowanie lub bojaźń wobec stróżów tradycyi, obniżały ten poziom żądań, stwarzały projekty oparte na kompromisach, jak projekt Talleyranda lub organiczne prawo 3 brumaire'a roku IV-go. Ale w najbardziéj nawet oportunizmem tchnących pracach schyłku konwencyi, dwie zasadnicze idee szkoły nowożytnéj są uszanowane. Jeszcze nawet dyrektoryat, jeszcze konsulat nie umieją zerwać wyraźnie z tą tradycyą wielkiéj epoki... Aż oto pierwsze cesarstwo redukuje budżet wychowania elementarnego do śmiesznéj sumy 4250 franków rocznie i przeznacza tę sumę — nowicyatowi szkół katolickich... Jesteśmy zatém w punkcie, gdzie kończy się okres wielkiéj improwizacyi dziejowéj: testament pierwszéj republiki został już sporządzony, lecz nie ma jeszcze jego wykonawców.

Okres drugi, obejmujący mniéj więcéj czas od 18 brumaire'a do powstania trzeciéj republiki, uderzy nas przedewszystkiém nadzwyczajnie wolnym, przerywanym, pełnym sprzeczności ciągiem prac na polu oświaty publicznéj. I tutaj dwie zasadnicze idee „testamentu pierwszéj republiki" mogą nam służyć za probierz w rozwoju szkolnictwa. W jakim stosunku stoją fakty tego długiego okresu do upaństwowienia szkoły? Jak się organizuje szkolnictwo co do wzajemnego stosunku trzech swoich stopni i co do ostatecznego swego celu harmonijnego, obywatelskiego ukształcenia narodu?

Co do upaństwowienia szkoły, już Napoleon wraca do kleru i, zastrzegając sobie wpływ na młodzież, którą chce mieć, że tak powiem pod ręką, resztę ustępuje kongregacyom.

Rok 1830 i 1848 znoszą ten stan rzeczy na krótką chwilę, ale za to w roku 1850 uchwalone zostaje słynne prawo, oddające szkołę publiczną napowrót w ręce kościoła. Biskup Dupanloup pisze w tajnéj broszurze, przeznaczonéj dla użytku Watykanu, że prawo to czyni kler więcéj panem sytuacyi, niż był kiedykolwiek. Jeszcze prawa z 1873

i 1875 roku stanowią dalszy ciąg tego stanu rzeczy, który w ręce biskupów, proboszczów i zakonników oddawał szkołę publiczną, co było oczywiście abdykacyą państwa. Jeżeli w rozmaitych czasach i dla rozmaitych celów prawodawca stara się wzmocnić powagę państwa i ster oświaty publicznéj wytrącić z rąk kleru, to praktyka zawsze stwierdza, że te właściwie kongregacye i niepoliczone bractwa są nauczycielami Francyi. Walka między kościołem a państwem, walka o jedynowładztwo w dziedzinie wychowania publicznego toczy się ciągle z różnėm szczęściem, lecz z widoczną przewagą kościoła, któremu niektóre rządy sprzyjają bezgranicznie.

Co się tyczy pytania drugiego, to żeby zdać sprawę z sytuacyi, wyobraźmy sobie człowieka chorego na rozdwojenie lub potrojenie osobowości. Wiadomo, iż człowiek dotknięty tą chorobą zatraca pamięć czynów dokonanych w jednym okresie wówczas, kiedy jest w drugim. Życie takiego człowieka nie jest jednolitém pasmem postępków, stanowiących ciąg nieprzerwany, lecz raczéj zlepkiem niezwiązanych z sobą często sprzecznych, luźnych wysiłków coraz to zmieniających się osobowości. Coś podobnego można powiedziéć o obrazie, który przedstawia stosunek różnych rządów francuskich do wychowania. Każdy z tych rządów, to jakby odrębna osobowość, działająca tylko w swoim własnym interesie. Jeżeli pierwsza republika za dogmat pierwszorzędny uważa stworzenie publicznéj szkoły elementarnéj, to Napoleon nie zwraca na nią żadnéj uwagi. „Osobowość” pierwszéj republiki powraca na chwilkę w prawodawstwie Guizot'a w 1833 roku, w okresie drugiéj republiki w 1848 roku. Po za tém zaś nie działa wcale, jest pogrążona w przymusowém uśpieniu. Działa za to inna osobowość: monarchia ma znowu ciąg swoich tradycyi, które snuje, ile razy jest w możności to robić. Cesarstwo opiéra się zwłaszcza na wojsku i urzędnikach; restauracya na staréj szlachcie i na pewnéj części mieszczaństwa; monarchia lipcowa — na mieszczaństwie, otóż dla wszystkich tych rządów ważną była przedewszystkiém kwestya wychowania średniego i wyższego, nie ważną zaś kwestya ludowéj szkółki elementarnéj. To też jest to okres kształtowania się szkół wyższych i fakultetów, gimnazyów i internatów. Co do szkoły ludowéj, — cesarstwo nie robi dla niéj nic, restauracya zaś oddaje ją w ręce kleru... Jeżeli np. rewolucya, wielka improwizatorka systemów, stwarza koncepcyę uniwersytetu, jako „bulwaru idei nowożytnych”, to przedziwnym trafem powstają właśnie nie uniwersytety, lecz szkoły specyalne. Tak np. w roku 1793 daje się odczuć gwałtowna potrzeba inżynierów wojskowych, powstaje więc szkoła inżynierów; trzeba wojsku medyków, powstaje szkoła medyczna. Konsulat robi to samo, t. j. stwarza szkoły

specyalne, w miarę, jak naglą potrzeby, a następnie idzie daléj: ten stan rzeczy, który konwencya uważała za zło przejściowe, konsulat uważa za najlepszy właśnie środek opanowania, okiełznania niespokojnego dziecka, młodzieży. Gdybyśmy tak mogli śledzić za kolejami każdéj idealnie pomyślanéj przez projektodawców XVIII wieku instytucyi, tobyśmy prawdziwie po upływie kilku dziesiątków lat w niewielu poznali pierwowzór. Wszak nawet uniwersytet został powołany do życia, nawet upaństwowienie wychowania w żelaznéj dłoni Napoleona znalazło zastosowanie. Jakże jednak ten wielki organizator oświaty niepodobny był do owego areopagu mężów nauki, którym powierzyć chciano młodzież narodu w projektach! Wskrzeszony internat, suto rozdawne stypendya miały znów na celu materyalnie i moralnie skrępować synów urzędniczéj klasy/przyszłych urzędników; nie tak rozumiał udostępnienie oświaty Condorcet, jeden z ojców koncepcyi wychowania nowożytnego. W lat 70 po wygłoszeniu przez mężów stanu hasła szkoły państwowéj, jeden z ministrów najwybitniejszych w dziejach Francyi, oficyalny kierownik oświaty krajowéj, Duruy, będzie musiał staczać walki podjazdowe z zabiegami biskupów i wreszcie ustąpi, patrząc na powrót kleru do coraz wyraźniejszego wpływu w sprawach szkoły państwowéj... Dopiéro po 70 latach przewidziany już przez Condorcet'a plan szkoły realnéj, znajdzie pierwsze poważne próby urzeczywistnienia. Co się zaś tyczy szkoły elementarnéj ludowéj, to jak nadmieniałem już, rozwój jéj nie leżał w interesie wielu zmieniających się rządów; jeżeli zaś prywatne, że tak powiem, dzieło Guizot'a znajduje poparcie u prawodawcy z roku 1850, to jedynie pod warunkiem, że ster szkoły ludowéj wróci w ręce kościoła... Pobieżne zestawienie kilku dat z okresu, między początkiem wieku a ostatnią jego ćwiercią zawartego, nie ma tu bynajmniéj na celu poddania krytyce wszystkiego, co było, chodzi jedynie o zaznaczenie faktu, że stan oświaty publicznéj we Francyi, w chwili wystąpienia trzeciéj republiki, nacechowany był sprzecznościami i wyglądał raczéj na paradoksalne dzieło przypadku, niż na konsekwentną budowę społeczną. Niewątpliwie ilość analfabetów zmniejszyła się bardzo: niektóre szkoły zakwitły i stały się chlubą Francyi; szkółka elementarna, choć niebezpłatna i w rękach kleru, przecież istniała. Nie można było wszakże tych rezultatów wiekowéj niemal pracy uważać za wystarczające: wykazywano to dowodnie, porównywając Francyę z Niemcami. Nadewszystko jednak dwa fakty wymownie swierdzały bardzo pierwotny stopień organizacyi wychowania publicznego.

Po piérwsze wychowanie to po dawnemu było właściwie z b i o r o w i s k i e m tylko nie zaś s y s t e m a t e m zakładów wychowawczych;

po dawnemu koncepcya trójstopniowéj szkoły obywatelskiéj, szkoły narodowéj nie była ucieleśniona. Po wtóre zaś, — po dawnemu nie państwo było opiekunem szkoły publicznéj, lecz kler. Ani zatém dzieło usystematyzowania i związania trzech stopni oświaty publicznéj, ani dzieło upaństwowienia szkoły, nie zostało dokonaném. Ponieważ, jak wiémy, te dwa właśnie warunki stanowiły osnowę samą prawodawczéj działalności pierwszéj republiki, ponieważ zaś z drugiéj strony odnajdziemy je w całéj rozciągłości i ze wszystkiemi konsekwencyami w reformie pedagogicznéj 1879—1889 roku, słusznie więc okres ten uważamy za zwrotny w historyi oświaty francuskiéj. Inauguruję on istotnie dzieło reformy organicznéj, która stała się wreszcie urzeczywistnieniem wypowiedzianych na schyłku wieku XVIII dążności.

„Testament pierwszéj rzeczypospolitéj" znalazł swą wykonawczynię w trzeciéj.

Zobaczymy teraz jak się to dzieło wypełnia [1]).

II.

Bolesne przebudzenie się Francyi po klęsce „roku strasznego" spowodowało przedewszystkiém rozterkę w łonie rządu: mimo pozory, prawie cały pierwszy dziesiątek lat trzeciéj republiki, twórcy jéj poświęcić musieli na ostateczne opanowanie jéj steru. Stąd też w dziedzinie oświaty jak i w innych nie odrazu zapanował zwrot, który stworzył obecny stan rzeczy.

Hasłem do reform na wszystkich polach było ustąpienie Mac Mahon'a pod parciem nowych sił, nowych stosunków społecznych. Mówimy tu oczywiście o urzędowym wyrazie opinii, nie zaś o samém społeczeństwie. Społeczeństwo, wstrząśnięte ostatniemi wypadkami do głębi, oddawna już poddało bezlitośnéj analizie wszystko, czém żyło i z czego umiérało w okresie poprzednim. Udział społeczeństwa w formowaniu nowych kadrów oświaty publicznéj, wysiłek prawdziwie świetny samopomocy twórczéj i plennéj, poznamy późniéj. Obecnie raz jeszcze zaznaczam, że chodzić nam będzie przedewszystkiém o scha-

---

[1]) Ogólny rzut oka na historyę wychowania francuskiego znajdzie czytelnik w „Dictionnair pédagogique" Buisson'a, w artykule F r a n c y a. Porówn z dziełem Alberta Duruy'ego p. t.: „L'instruction et la democratie". Ciekawe rozdziały kwestyi poświęca Taine w dziele „Les origines de la France contemporaine" (Le Regime moderne, t. II, l. VI). Również Guyau w dziele W y c h o w a n i e i d z i e d z i c z n o ś ć (polski przekład).

rakteryzowaniu zwrotu, o ile nastąpił w samym jeno rządzie i dał wyraz prawny, sformułował niejako w instytucyach widomych niewidomą wolę społeczeństwa.

Tak więc pierwszy dziesiątek lat był areną starcia się starego i nowego porządku rzeczy, przy czém zdawało się na razie, że zwycięstwo będzie udziałem pierwszego.

Nie inaczéj można sobie wytłómaczyć uchwały, dotyczące oświaty publicznéj, z lat 1873 i 1875.

Prawo z roku 1875 wyszło z zasady swobody wychowania, podobież jak prawo z roku 1850. Lecz, również jak ustawa tyle sławiona na przez biskupa Dupanloup'a właściwie przez swobodę wychowania rozumiało swobodę zakonów, swobodę uniwersytetów katolickich, tak zwane zaś kursa pojedyńcze, wykłady prywatne świeckie, poddawało najściślejszéj kontroli. Z drugiéj strony, uznając kompetencye komisyi mieszanych w kwestyi udzielania stopni, prawo to jeszcze raz wzmacniało wpływ kleru na ster oświaty, ponieważ skład komisyi mieszanych był dość jednolicie ultramontański. Tak więc stary porządek obwarowywał się mocno jeszcze w przededniu swego upadku, państwo zaś raz jeszcze ponosiło klęskę, był to jednak ostatni tryumf jego przeciwnika w tym odwiecznym pojedynku.

Od roku 1871 niezmiernie jednolita, niezmiernie energicznie prowadzona kampania nowych żywiołów nie ustaje w protestach.

W r. 1871 po całéj Francyi krążą petycye, żądające publicznéj szkoły państwowéj, żądające nauczania obowiązkowego, który to warunek może być również przez państwo tylko urzeczywistiony. Wyrazem tych dążeń w parlamencie jest Ferry, który odnośny projekt przedstawia izbie w owym czasie. Tenże Ferry występuje z gwałtowną opozycyą w izbie przeciwko nowym przywilejom kleru z r. 1875. Ogromna liczba deputowanych w roku 1876 w programie swym wyborczym zamieszcza już trójjedyne hasło szkoły bezpłatnéj, obowiązkowéj i świeckiéj. Odnowiony w roku 1877 skład izby oświadczy się za tym projektem, który zostanie przedstawiony przez Barodet'a i 49-ciu deputowanych. Codzień przybiera fala reformy, która obali wkrótce dotychczasową budowę, mimo ostatnio poczynione obwarowania.

Ustąpienie Mac Mahon'a i wybór Grevy'ego dla całokształtu polityki, dla oświaty zaś publicznéj powierzenie jéj steru Ferry'emu — jest punktem stanowczego zwrotu. Jakoż minister powołany na posterunek w dniu 4 lutego 1879 roku, w tym samym roku rozpoczyna walkę, którą zresztą podjazdowym sposobem prowadził od tak dawna. W projekcie odnośnego prawa, które Ferry natychmiast przedstawił izbie, czytamy: „Członkowie kongregacyi religijnych, nie uznanych przez pań-

stwo, nie mogą kierować szkołami ani publicznemi, ani prywatnemi". Senat prawo to odrzuca w roku 1880; lecz gabinet przeprowadza cały szereg reform administracyjnych, które, relegując z Francyi bractwa i zakony (Jezuitów i t. p.), tém samém rozwiązują, a raczéj rozcinają kwestyę. Jest to cios, będący tylko zapowiedzią nowych ciosów, a raz na zawsze w sposób brutalnie stanowczy rozstrzygający, która z dwu wielkich instytucyi sterować będzie nową oświatą publicznéj Francyi. Lata 1879—1889 — dziesięciolecie olbrzymich reform wychowania, — są ostateczną fazą pojedynku państwa i kościoła, w któréj tenże ulega wreszcie po stuletniéj walce.

Stan rzeczy jednak zmienił się nie odrazu, jakkolwiek w kierunku reformy widzimy zwrot stanowczy. Nie jest zadaniem mém rozbiór wszystkich dodatnich i ujemnych ze stanowiska pedagogii następstw tego przełomu. Ważném jest jednak bezstronne stwierdzenie faktu historycznego: oto po raz pierwszy widzimy w tym okresie prawodawcze i faktyczne przeprowadzenie pierwszego z zasadniczych punktów programów XVIII stulecia, t. j. u p a ń s t w o w i e n i e s z k o ł y. Lecz jest to zaledwie przygrywka do samego aktu. Ażeby poznać go w całéj rozciągłości, rozpatrzymy trzy stopnie wychowania publicznego, uwzględniając każdy z nich po kolei zarówno w tém co zrobiło prawodawstwo okresu, jak i w zestawieniu ostatecznych rezultatów reformy. Przed tém jednak należy zwrócić uwagę na jedną jeszcze okoliczność, odsunięcie kościoła przez państwo, upaństwowienie szkoły, którego zapowiedź bardzo wyraźną już poznaliśmy, jest tylko jedną z podstaw programów reformy pierwszéj respubliki. Drugą, jak pamiętamy, jest stworzenie systemu oświaty publicznéj, w którém szkoła elementarna, średnia i wyższa, wzajemnie uzupełniając się, tworzyć miały całokształt wychowania obywatelskiego narodu.

Jakie stanowisko zajmuje państwo wobec tego punktu? Znajdujemy i na to odpowiedź nie mniéj jasną w samym początku okresu reform.

W roku 1880 Ferry przeprowadza zupełną reformę najwyższéj rady wychowania publicznego — reformę, która jest niejako deklaracyą rządu wobec społeczeństwa, w jakim duchu prowadzić będzie upaństwowioną szkołę.

Rada wyższa istniała już od roku 1808, w którym powołał ją do życia Napoleon. Nie wdając się w dzieje téj instytucyi, która mając stanowić „mózg" ministeryum oświaty, stanowiła częściéj jego dekoracyę, zaznaczymy tylko jego fazę ostatnią. Za drugiego cesarstwa skład téj rady pedagogicznéj stanowili arcybiskupi, biskupi, generałowie i wyżsi urzędnicy, nie ma w niéj miejsca dla członków ciała nauczy

cielskiego. To téż „ciało” to przedstawia *disjecta membra*, przedstawia smutny obraz poniżenia i zależności, apatyi i rutyny, z któremi tak bohaterską walkę prowadził niezapomniany Duruy. Ferry usuwa z rady najwyższéj wszystkich przedstawicieli kleru i wszystkich urzędników, zarówno cywilnych jak i wojskowych, na ich zaś miejsce wprowadza profesorów, członków akademii, fachowców i weteranów wychowania, dawnych ministrów oświaty (Duruy wchodzi do rady w 1882 r.). Nie koniec na tém: odtąd skład rady wychodzić będzie z wyborów, w których udział weźmie całe ciało pedagogiczne Francyi.

W sześć lat po zorganizowaniu w ten sposób rady najwyższéj, — tym samym przeobrażeniom ulegną rady departamentowe. W całéj więc Francyi centrami inicyatywy teoretycznéj, kontroli fachowéj, ogniskami słowem oświaty publicznéj, staną się korporacye ludzi fachowo jéj oddanych. Łatwo zrozumiéć, jakie życie reforma ta wlała w ciało pedagogiczne, jak zelektryzowane zaufaniem, znaczeniem, posłannictwem wskazaném sobie, zastępy pedagogów francuskich wezmą się do dzieła. Z drugiéj strony państwo zaznaczyło na wstępie swych reform, że jednocząc i powołując do takiéj roli stan nauczycielski wszystkich trzech stopni w całym kraju, pragnie, ażeby system wychowania, który przy ich pomocy zbuduje, opiérał się na zasadach narodowéj jedności, ażeby słowem był całokształtem, systemem pedagogicznym, nie zaś zlepkiem rozbieżnych i przypadkowych usiłowań.

Tak się przedstawiają zapowiedzi reformy, — poznajmy teraz ją samą [1])

III.

Z trzech stopni wychowania publicznego, w największém zaniedbaniu pozostawiano aż dotąd szkołę ludową. Tam więc zwrócić się musiały pierwsze wysiłki reformatorów. Z drugiéj strony, — szkoła ludowa była naturalnym początkiem ich dzieła. Organiczne podstawy szkoły elementarnéj dzisiejszéj odnajdujemy w aktach prawodawczych 1880, 1882 i 1886 roku.

Prawo 1880 roku ustanawia bezpłatność szkoły ludowéj, w przewidywaniu ustawy o obowiązkowości ukształcenia elementarnego, które też zostaje wprowadzone w roku 1882. Jeżeli przypomnimy sobie,

---

[1]) Zbiór głównych dokumentów prawodawczych od roku 1789 do dni naszych znajdzie czytelnik w dziele Greard'a: „La législation de l'instruction primaire en France“, oraz w cytowanym już słowniku Buisson'a.

że Prusy np. korzystały z tego prawa od roku 1763, że Austrya wprowadziła je w roku 1869, Portugalia — 1844 roku i t. d., to zrozumiemy, że już chyba czas był na to dla „przodującéj” Francyi. Mogła się jednak Francya poszczycić, że tylko jedna bodaj Szwajcarya i Argentyna dorównały jéj w bezpłatności szkoły publicznéj. Przeprowadzenie tych dwu zasadniczych praw szkolnictwa elementarnego było dziełem możliwém tylko przy całém skupieniu energii, na jaką się zdobyć mógł rząd, pragnący odrodzenia społeczeństwa. Lecz trudniéj było z przeprowadzeniem trzeciego prawa — prawa o bezwyznaniowości. Przedewszystkiém państwo nie rozporządzało dostateczną ilością nauczycieli świeckich: należało więc pomyśléć o ich stworzeniu. Stąd równocześnie z przygotowywaniem prawa o neutralizacyi szkoły, ten olbrzymi ruch w seminaryach nauczycielskich, które były rozsadnikiem nauczycieli przyszłéj szkoły świeckiéj. Nie mówię tu nic o politycznéj stronie reformy, która młodéj republice nastręczała groźne powikłania. Sama znów kwestya neutralizacyi szkoły rozpadała się na dwa zagadnienia poszczególne: po pierwsze chodziło o neutralizacyę programu szkolnego, po wtóre o neutralizacyę personelu nauczycielskiego. Pierwszy punkt został przeprowadzony już w roku 1882. W tym czasie, mianowicie, odjęto klerowi dawną władzę kontroli szkółki, zwierzchnictwa nad nią, następnie zaś, — zneutralizowano program.

Art. 23 prawa z roku 1850 opiewał: „Wychowanie początkowe obejmuje po pierwsze: naukę moralności i religii”...

Art. zaś 1 prawa z roku 1882 brzmi: „Wychowanie początkowe obejmuje po pierwsze: naukę moralności i naukę o obowiązkach obywatela”... Tak więc w szkole elementarnéj postawiono obowiązki obywatelskie na miejsce religii, skrócony, entuzyastycznie wyłożony zarys bohaterstw w dziejach ojczystych postawiono na miejsce katechizmu. Naukę zaś religii pozostawiono kościołowi, rodzinie — po za szkołą publiczną. W roku 1886 liczba nauczycieli świeckich i ostateczne ugruntowanie się rządu trzeciéj republiki pozwoliły na przeprowadzenie drugiéj połowy prawa, które, jak wiemy, ustanawia w szkole publicznéj obowiązkową świeckość personelu, wogóle zaś od kierujących elementarnemi zakładami naukowemi wymaga odpowiedniéj kwalifikacyi, któréj udziela fachowe ciało z ramienia państwa.

Ogarnijmy teraz okiem całość wychowawczą, która tworzy we Francyi pojęcie szkoły elementarnéj. Szkoła elementarna jest właściwie systematem pięciu wzajemnie się uzupełniających instytucyi:

Stopień 1. Klasy dziecinne lub ochronki, zbliżone do ogródka froeblowskiego dla dzieci do lat sześciu.

2. Szkółki elementarne niższe dla dzieci od lat 5, 6 do lat 13, z kursem trzy lub czteroletnim.

Dwie te kategorye są obowiązkowe w zasadzie dla każdéj gminy.

3. Szkoły elementarne wyższe, z kursem najwyżéj dwuletnim; program ich jest zbliżony do pierwszych czterech lat szkoły realnéj. Rozwój tych szkół datuje się od r. 1878, ostateczne zaś zorganizowanie nastąpiło w r. 1886 i 1889.

Jest to kategorya odpowiadająca naszym szkołom miejskim i obowiązkowa dla głównego miasta departamentu, oraz dla każdego miasta, liczącego 6,000 mieszkańców.

4. Szkoły elementarne wyższe fachowe, zorganizowane w czasie 1881 — 1888 r. i zostają pod podwójną dyrekcyą ministeryów: oświaty, oraz handlu i przemysłu. Zadaniem ich jest przysposabianie uczniów (dyplom ze szkoły niższéj jest potrzebny) do karyery handlowéj lub przemysłowéj.

5. Klasy dla młodzieży, obowiązkowo w wieku po nad lat 13. Kursa te odznaczają się charakterem raczéj specyalnym, dając zależnie od okolicy ogólne pojęcie o fachu, w którym młodzież pracuje. Z drugiéj strony kursa te zapobiegają zjawisku recydywy ciemnoty. Organizacya kursów dla młodzieży została dokonana w prawach 1886 i 1887 roku.

W ten sposób, w bardzo pobieżnéj nawet formie przedstawiona całość szkoły elementarnéj, jest, jak powiedzieliśmy, systematem początków ogólnego wychowania fachowego na poziomie znanych nam szkół miejskich, z dodatkiem elementarnych zakładów rzemieślniczych i fachowych, oraz ogródków dziecięcych dla dzieci najmłodszych. Obowiązkowemi w tym systemacie są tylko dwa pierwsze stopnie; państwo jednak dba o to, ażeby m o ż n o ś ć korzystania ze stopni wyższych i fachowych zależała tylko od dobréj woli ludności. Inicyatywa teoretyczna lub pierwsze próby całego systematu zaprowadziłyby nas znowu do traktatów XVIII w. lub do pełnéj poświęcenia działalności Guizot'a i Duruy. Zorganizowanie jednak ostateczne, udostępnienie szkoły dla wszystkich okolic kraju — jest dziełem okresu reform organicznych 1879 — 1889 roku.

Kilka cyfr z ostatniego raportu ministra Poincaré'go pokaże nam, jak pracuje ta kolosalna machina.

W roku 1891/92 liczyła Francya:

Szkół publicznych	. . . .	71,114
„ prywatnych	. . . .	16,106

Ogółem było szkół elementarnych 87,944, z liczbą klas 140,656. W tych szkołach znajdujemy 6,263,049 uczniów płci obojej, w wieku

od lat 2, 3 do 15, 16. Jeżeli weźmiemy samą tylko Francyę europejską, to znajdziemy, że przypada w niéj 213 szkół elementarnych na 100,000 mieszkańców lub inaczéj 175 szkół na 10,000 dzieci w wieku szkolnym (od 6 do 13 lat). Jest to stosunek, o którym w marzeniu tylko myślały najśmielsze projekty XVIII wieku.

Dla téj armii dziecięcéj, tak charakterystycznéj dla naszych czasów, jak krzyżowe armie nieletnie dla wieków średnich, potrzeba było stworzyć cały sztab przywódców, całą falangę, niemal drugą armię nauczycieli. Prawo 16 czerwca 1881 roku zniosło, jak wiemy, wszystkie pośrednie formy kwalifikacyi do stanu nauczycielskiego, stwarzając ogólnie obowiązujący certyfikat z odpowiedniego egzaminu państwowego. Dalsze prawodawstwo trzeciéj republiki odsunęło od zadania wychowawczego tysiące braci zakonnych, oddanych mu dotąd wyłącznie; należało więc: po 1) pokryć pozostały stąd niedobór w ciele nauczycielskiém, po 2) stworzyć nowe zastępy dla nowych szkół, które miały powstać w ciągu następnego okresu. Dla zaspokojenia tylu potrzeb państwo stworzyło systemat t. z. szkół normalnych wyższych i niższych, t. j. seminaryów nauczycielskich. Dekrety i prawa z lat 1879, 1881 i 1889, nie mówiąc o innych, ustanawiają kolejno: obowiązkowość dwóch szkół normalnych (męzkiéj i żeńskiéj) dla każdego departamentu, bezpłatność nauczania, oraz ich ostateczny program i wewnętrzną organizacyę. Niezależnie od tego, w r. 1880 i 1882 powstają dwa modele wyższych szkół normalnych, których zadaniem będzie dostarczanie nauczycieli i nauczycielek do szkół normalnych zwyczajnych w Fontenay-aux-Roses i w Saint-Cloud.

W roku 1892 liczyła Francya:

Seminaryów nauczycielskich	męskich	87	z liczbą uczniów	3,873
„ „	żeńskich	85	„ uczennic	3,707

Są to liczby mniéj więcéj normalne dla bieżącego dziesięciolecia i nieco wyższe niż w dziesięcioleciu uprzedniém. Ogółem od chwili utworzenia zakładów dostarczały one od 2 do 3 tysięcy nauczycielek rocznie. W tymże 1892 roku liczy Francya 146,674 nauczycieli obojéj płci we wszystkich publicznych i prywatnych szkołach elementarnych. O tém zaś, jak pracują szkoły normalne, niech świadczy fakt, że w pięcioleciu 1886 — 1891 pozwoliły one pomnożyć zastęp nauczycieli świeckich o 7,059 osób; w tym samym okresie kongreganiści zyskali tylko 494.

Z instytucyi pomocniczych szkolnictwa elementarnego, należy przedewszystkiém wymienić biblioteki szkolne, pedagogiczne, muzea

pedagogiczne i biblioteki ruchome. Główną pozycyę stanowią biblioteki szkolne, również stworzone *de facto* po r. 1879, chociaż sięgające początkiem swym czasów Guizot'a. Otóż w roku 1892 Francya liczyła 39,645 bibliotek szkolnych, posiadających ogółem 4,858,120 tomów; ilość zapotrzebowań w tym samym czasie wyniosła 6,862,350. Statystyka ostatniego pięciolecia wykazuje, że ilość zapotrzebowań wzrosła w porównaniu z poprzedniém blisko o 30%.

Biblioteki pedagogiczne znowu obsługują personel nauczycielski; jest ich 2,861.

Niepodobna mi tu wchodzić w dalsze szczegóły téj pracy, chociaż jesteśmy bardzo dalecy od wyczerpania wszystkich przejawów i środków działania, jakiemi rozporządza ta potężna organizacya. Sądzę jednak, że harmonijna planowość rozwoju, oraz olbrzymi postęp od roku 1871, widoczny jest już w tych kilku faktach zasadniczych.

Ostateczną i niemal jedyną miarą postępów ukształcenia elementarnego jest liczba analfabetów w armii. Armia francuska liczyła:

w 1826	roku	55.2%	analfabetów
w 1876	„	15.6%	„
w 1886	„	11.7%	„
w 1892	„	7.4%	„

Jak widzimy, liczba niepiśmiennych topnieje bez porównania szybciéj w okresie 1886 — 1892 niż w okresach poprzednich. Jest to właśnie wynik reform dokonanych od 1879 roku; dziś dopiéro dzieci z owego czasu stanowią klasy popisowych. Widzimy, jak szybko wzrasta rocznie nadwyżka stosunku umiejących czytać do analfabetów.

Pozostaje wreszcie budżet szkoły elementarnéj. Jest to wymowny szczegół, świadczący, że państwo wydało w 1892 roku 124,803,753 franków na szkołę elementarną. Ogółem zaś wydatki państwa, departamentów i gmin w tym roku doszły do 180 mil. fr. Są to cyfry prawdziwie uderzające.

Jakiż potężny krok od czasu, kiedy państwo dawało 50,000 fr. rocznie „na książki"! A nawet od roku 1830, kiedy szkoła elementarna w budżecie zajmowała pozycyę 4 mil. fr. lub od roku 1878, kiedy pozycya ta już się podniosła do 27 milionów. Świetne rezultaty tego nakładu poznaliśmy już; długoby zresztą warto jeszcze mówić o szkołach pobudowanych w tym okresie, o utensyliach, w które je zaopatrzono, o ogródkach, które np. urządzono przy 51,880 szkółkach i t. d.

Przedewszystkiém jednak warto wykazać fakt zabezpieczenia bytu nauczycieli, podniesienia poziomu materyalnego całego persone-

lu nauczycielskiego szkoły elementarnéj, którego dokonano w roku 1889 — 93 [1]).

IV.

Drugi stopień w całokształcie wychowania narodowego stanowi szkoła średnia. O ile szkoła elementarna słusznie może być nazwana ludową, o tyle znów średnia jest przedewszystkiém szkołą warstw średnich — szkołą mieszczaństwa. To téż szkola średnia nie była nigdy w zaniedbaniu, w którém społeczeństwo francuskie pozostawiało szkołę ludową. Od pierwszych lat XIX wieku prawodawca zwrócił na nią baczną uwagę, nie byłaż bowiem szkoła średnia rozsadnikiem młodzieży, idącéj na urzędy i tworzącéj rdzeń warstw inteligentnych? Troskliwie téż opiekował się nią kościół, wiedząc, że młodzież w téj właśnie epoce życia kształtuje swe przekonania i sympatye, formuje charakter. Nadzwyczaj pouczające są pod tym względem zapatrywania Napoleona. „O każdéj danéj porze, co do godziny i minuty — powiadał Napoleon — chcę wiedzieć, czém są zajęci uczniowie wszystkich szkół Francyi.” Ta troska, ta czujność nad kierunkiem młodych, formujących się umysłów, ta dbałość o to, żeby szkoła średnia podobna była do armii jednakowo ćwiczonéj i prowadzonéj przez zwierzchników, stanowiła zawsze charakterystyczną stronę stosunków na drugim stopniu wychowania narodowego. Dwa środki, karności umysłu i karności charakteru, nastręczały się tu przedewszystkiém: program nauk, oparty na ujarzmionéj, nieruchoméj dziedzinie studyów klasycznych, oraz internat. Warunki historyczne rozwoju wiedzy, warunki społeczne i ekonomiczne sprzyjały zarówno pierwszemu, jak i drugiemu.

Rozwój szkolnictwa średniego wobec opieki, jaką nad niém roztaczały kolejno kościół i państwo, nie uderzy nas zatém swą stroną materyalną, że tak powiem, liczebną. Ilość szkół średnich przed rokiem 1789 nie jest dokładnie znana historykom, bardzo jednak duże prawdopodobieństwo przemawia za cyfrą 100,000 uczniów, których ogółem liczyły szkoły Francyi ówczesnéj. Bardzo liczne stowarzyszenia i zakony, zaludniające Francyę, stanowiły ciało nauczycielskie. To téż projekty 1789 — 1793 roku nie mówią o s t w o r z e n i u wycho-

---

[1]) Porówn.: Compayré „Organisation pédagogique des écoles primaires“, Paris 1890; Greard „l'Education et l'Instruction“, Paris 1889; Ministère de l'Instr.-Publique „Resumé des états de situation de l'enseignement primaire jusqua 1891“, Paris 1893; Marion „Le Mouvement des idées pédagogiques en France depuis 1870 — 1889“, Paris 1889.

wania średniego, lecz o reformie jego. Prócz znanych nam punktów reformy w duchu rewolucyi, wysuwają jéj przedstawiciele (Condorcet np.) pewien punkt nowy. Powstają mianowicie na przeciążenie szkoły klasycyzmem i proponują szerokie uwzględnienie w nowéj szkole średniéj nauk przyrodniczych. Z drugiéj strony podnoszą się głosy o dopuszczenie do szkoły średniéj dziewcząt.

Konwencya wreszcie, pragnąc podtrzymać sfery niezamożne w dążeniu do nauki, stwarza stypendya. Od chwili téj, t. j. od schyłku XVIII w., do ostatnich dni, wymienione wyżéj pozycye będą stanowiły zasadnicze zagadnienia szkolnictwa średniego. Pogląd na zakres nauki średniéj będzie ciągle wahał się w wyborze między uświęconém przez tradycyę nauczaniem klasyczném, a nauczaniem nowożytném, między łaciną i greką z jednéj, a historyą, literaturą ojczystą i naukami przyrodniczemi z drugiéj strony. Jednakże już od czasów Napoleona, nawet pomimo pozornego zaniechania reform w duchu Condorceta i utrzymania w szkole średniéj klasycyzmu, przyroda zaczyna zdobywać sobie miejsce coraz poczesniejsze.

Kwestya internatu i stypendystów również, raz postawiona, będzie domagała się należytego uregulowania. Względy polityczne i ekonomiczne stworzyły internat, to téż stosownie do panujących poglądów raz będzie on uważany przedewszystkiém za narzędzie karności, za formę pozwalającą na okiełznanie młodzieży, lub znowu innym razem prawodawca będzie się starał osłabić tę stronę policyjną, wysuwając raczéj jako racyę bytu internatu jego znaczenie ekonomiczne, taniość gospodarki, co dla klas uboższych ma znaczenie doniosłe.

Trzecia z tych kwestyi probierczych — kwestya średniego ukształcenia kobiet — przebywać będzie ewolucyę wraz ze społeczeństwem, które powoli, bardzo powoli zmienia swój pogląd na stanowisko kobiety w życiu rodzinném, publiczném.

„We Francyi opinia panuje, lecz rządzi rutyna" — powiedział jeden z reformatorów wychowania, Maneuvrier. Jeżeli zdanie to jest słuszne wogóle, to w szczególności daje się zastosować do zasad leżących w organizacyi szkolnictwa średniego. Trzeba zresztą przyznać, że nigdzie może kwestye sporne co do metody, celu nawet nauczania, kwestye ekonomiczne, a mianowicie kosztowność reform w téj dziedzinie — nie utrudniały tak drogi teoretykom i prawodawcom.

Zasadnicza reforma nauczania średniego, znana u nas w postaci utworzenia szkoły realnéj, zabrała Francyi kilkadziesiąt lat prób, które długo nie dawały pożądanych rezultatów. I znowu tu, jak w tylu innych okolicznościach, początek reform, które się utrwaliły, przypada na epokę Duruy'a. Po niefortunnych próbach bifurkacyi i specyalizacyi

przedwczesnéj, Duruy wprowadza do liceów francuskich t. z. nauczanie specyalne. Nazwa była dość nieszczęśliwa, rzecz jednak, polegająca na zmodernizowaniu i ożywieniu przez nauki przyrodzone nauki średniéj, przyjęła się. Na początku nauczanie specyalne stanowiło tylko sekcyę w szkołach klasycznych, stopniowo jednak zaczynało zdobywać stanowisko samoistne.

I tu wszakże główne reformy zostały dokonane w okresie trzeciéj republiki. Już w roku 1872 J. Simon, minister oświaty, stara się natchnąć świeższym duchem szkołę klasyczną, wprowadzając do jéj programu pierwiastki ukształcenia nowożytnego i znosząc takie bezpłodne łamigłówki, jak przemowy i wiersze łacińskie. Projekty jego przeszły dopiéro w r. 1880; jednocześnie coraz wyraźniéj przekonywano się, że system ukształcenia średniego według jednéj tylko modły (klasycznéj) stanowczo nie zaspakaja potrzeb społeczeństwa nowożytnego. Zapanowywało powoli przekonanie, że ukształcenie średnie musi być wielorakie, jak wielorakiemi są profesye.

W roku 1881 sekcye specyalne szkół średnich otrzymały kompletną organizacyę z kursem sześcioletnim i bakalaureatem, który je postawił na poziomie gimnazyum klasycznego. Odtąd *baccalaureat ès lettres*, *ès scienses* i *baccalaureat moderne* stanowią trzy równoznaczne stopnie ukształcenia średniego, odpowiadającego naszéj maturze. Ostateczne uświęcenie dzieła i nazwy ukształcenia średniego n o w o ż y t n e g o (w przeciwstawieniu do ukształcenia średniego k l a s y c z n e g o) znajdujemy w prawie z dnia 4 czerwca 1891 roku. Nauczanie nowożytne *(enseignement secondaire moderne)* daje ukształcenie literacko-lingwistyczne na podstawie badań języków i literatur nowożytnych, następnie zaś szeroko uwzględnia nauki przyrodnicze i humanitarne. Jest to, jak widzimy, znaczny krok naprzód w szkolnictwie średniém [1]).

Inicyatywa średniego ukształcenia dziewcząt datuje się również od schyłku XVIII w. Ale po raz pierwszy wprowadza ją w życie śmiały cyrkularz Duruy'a, który organizuje w y k ł a d y dla dziewcząt w roku 1867. Były to kursa wolne i godne uwagi tylko jako pierwsza próba. W roku 1878 wegetują one zaledwie na prowincyi, trzymając się znośnie jeno w samym Paryżu pod opieką Sorbony. W tymże jednak roku deputowany Sée składa swój projekt izbie, który staje się prawem

---

[1]) W obecnéj chwili rząd przygotowuje nową reformę ukształcenia średniego. Bakalaureat zarówno klasyczny, jak i nowożytny, ma być zupełnie zniesiony. Natomiast ma być zaprowadzone świadectwo z postępów, w ciągu całéj szkoły dokonanych. W saméj szkole nauczanie klasyczne ma być zredukowane do 4-ch klas wyższych; wszystkie zaś inne przedmioty mają być wspólne zarówno w szkole klasycznéj, jak i t. z. nowożytnéj.

w r. 1880 (Ferry). Ustawa ta przekształca wolne kursa dziewcząt w licea i kolegia na podobieństwo męzkich, tworzy wyższe szkoły pedagogiczne kobiece — słowem, nadaje niekompletnéj próbie Duruy'a organizacyę, stwarza średnie ukształcenie kobiét. W roku 1886 — 7 istnieje już we Francyi 35 zakładów średnich dla kobiét z 6,000 uczennic; obecnie jest ich z górą 50. Dzieło to zostało dokonane w ciągu lat dziesięciu i w formowaniu się nowego pokolenia odegra olbrzymią rolę. Szkoła wyższych nauczycielek w Sèvres stwarza szybko potrzebny kontyngens przewodniczek średniego ukształcenia dziewcząt, świat kobiecy Francyi dojrzewa i wstępuje na szczebel społeczny, na którym stać się musi potęgą w swym kraju. Pewien angielski mąż stanu, mówiąc o doniosłéj reformie społecznéj, zawartéj w słynném prawie Sée'a, wyraził następującą obawę: „W prawie tém widzę tylko jedną stronę niedogodną: oto, że umiejętnie zastosowane, uczyni Francyę republikańską zbyt potężną w Europie." Niepodobna téż w tym kroku nie widziéć zapowiedzi całego szeregu zmian w stosunku płci obojéj we Francyi, zmian, które tu więcéj niż gdzieindziéj są pożądane.

Ogólna statystyka szkolnictwa średniego stwierdza, że w r. 1887 miała Francya 997 zakładów średnich dla chłopców z liczbą 158,238 uczniów. Trzecia część mniéj więcéj (dokładne cyfry nie są jeszcze znane) kształci się w kierunku nowożytnym, reszta klasycznym. Kierunek nowożytny zresztą zdobywa z roku na rok coraz więcéj zwolenników. Ogólna liczba dziewcząt, otrzymujących w tym samym okresie ukształcenie średnie, wynosiła około 12,000.

Co do internatu i stypendystów, statystyka wykazuje, że więcéj niż połowa młodzieży w zakładach średnich żyje w internacie; ze stypendyów i ulg wszelkiego rodzaju korzysta mniéj więcéj ta sama ilość uczniów.

Stypendya są, jak nadmieniłem, środkiem zapewniającym dostęp uboższym klasom do drugiego stopnia oświaty narodowéj. Leżą więc w podstawie samego współczesnego pojęcia wychowania. W kwestyi internatu sroży się dotychczas walka opinii, która nie pozostała bez pewnego wpływu na ich urządzenie. Internaty dzisiejsze, mimo że dużo jeszcze pozostawiają do życzenia, pod względem przynajmniéj hygieny, ćwiczeń fizycznych zrobiły znaczny krok naprzód. Sama instytucya długo jeszcze będzie najlepszém wyjściem wobec ekonomicznych i moralnych czynników, które pobyt chłopca w rodzinie często czynią szkodliwym dla jego rozwoju moralnego lub niemożliwym dla braku środków. Dla tego téż internat znajdzie zawsze obrońców nawet wpośród marzycieli takich, jak Guyau, choć zawsze będzie przedmiotem napaści krytyków, jak Taine.

Pozostaje nam tylko odpowiedzieć na pytanie: o ile dzisiejsza organizacya ukształcenia średniego we Francyi odpowiada ideałowi „trójstopniowego systemu edukacyi narodowéj”? Jest że ona przedewszystkiém naprawdę „drugim stopniem” ukształcenia? Miliony, które zapełniają szkołę ludową, nie mieszczą się, jak widzieliśmy, w szkole średniéj: zaledwie 8—9% ogółu dzieci kształci się daléj po przebyciu szkółki elementarnéj. Zdaje się jednak, że jest to już fakt nie wynikający z organizacyi wychowania, lecz z układu społecznego. W każdym razie szkoła średnia taka, jaką stworzyła trzecia republika, nietylko pozostawia wolny dostęp wszystkim klasom ludności obojéj płci, lecz za pomocą stypendyów i internatów stara się jeszcze wesprzeć i pociągnąć ku światłu szerokie warstwy narodu. Z drugiéj strony, reformując w duchu nowożytnym, w duchu potrzeb współczesnych programy szkolnictwa średniego, raz jeszcze zacieśnia społeczeństwo francuskie węzeł, spajający w całość żywotną pierwszy i drugi stopień oświaty narodowéj [1]).

V.

Jeszcze w roku 1889 znakomity pedagog, Marion, mówiąc o trzecim stopniu ukształcenia we Francyi, musiał zaznaczyć, że w dziedzinie téj wysiłek reformatorów i prawodawców nie doprowadził dotąd do rezultatów, które osiągnięto w szkolnictwie elementarném i średniém. Jeżeli szkoła średnia nastręczała już trudności natury bardzo poważnéj dla tych, którzy nawet mając władzę i środki chcieli ją przekształcać, to cóż dopiéro uniwersytet? Uniwersytet miał swoje tradycye, a nigdzie może rutyna i przywiązanie do starych form istnienia nie znajduje tak zagorzałych i ślepych obrońców, jak w ciele profesorów i uczonych urzędników szkolnictwa wyższego. Tu zasługi i tryumfy przeszłości są często kamieniem podwodnym, o który rozbija się fala nowych prądów. Tu z drugiéj strony samo zadanie instytucyi nastręcza nieustanne trudności, których pokonywanie wyczerpuje aż dotąd energię najpotężniejszych umysłów. Zadaniem ukształcenia wyższego jest z jednéj strony ostateczna specyalizacya ucznia w przededniu objęcia czynności społecznéj, z drugiéj zaś strony postawienie go na istotnie wyższym szczeblu ogólnego rozwoju ducha, wyposażenie go natchnieniem prawd powszechnych, poczuciem jedności

[1]) Porówn.: Maneuvrier „L'Education de la bourgeoisie sou la République“, Paris 1887; Camille Sée „Lycées et Colleges de jeunes filles“, Paris 1891; artykuł w „La Grande Encyclopedie“ p. t. „Instruction“; Marion „Le mouvement des idées“ i t. d.

wiedzy i życia, pomimo rozmaitości form techniki. Dzieje uniwersytetów całego świata przedstawiają nam niejako ciągłe scieranie się tych dwóch sprzecznych pierwiastków ukształcenia wyższego: porażka i upadek grozi zwykle instytucyi, kiedy równowaga między jednym a drugim zostaje zachwiana. Szkoła bowiem albo się staje rodzajem fabryki, sklepu detalicznego drobnych erudycyi, drobnych specyalności i stwarza Wagnerów z „Fausta", jak bywa czasem w Niemczech, albo przeciwnie staje się rodzajem jałowego parlamentu, gdzie wymiana ogólników zastępuje pracę naukową. Nie będę tu przytaczał przykładów tych dwóch chorób uniwersyteckich. Pamiętamy potworne postaci „wielkich" uczonych niemieckich, którzy obok wiedzy specyalnéj zdradzają niekiedy niesłychaną ciasnotę, drapieżność i zaniedbanie kultury ogólnéj, moralnéj i umysłowéj. Znamy również z drugiéj strony skargi Francuzów, że dzieło Pasteur'a dokonywać się musiało w laboratoryach Kocha lub że Francyę stać było na pierwszeństwo w teoryi syntezy chemii organicznéj, lecz nie stać na praktykę i zastosowanie jéj.

Do tych wewnętrznych trudności, jakie nastręcza sama koncepcya ukształcenia wyższego i jego organizacya, dodajmy jeszcze trudności natury politycznéj. We Francyi, jak zresztą i gdzieindziéj, społeczeństwo zdawna dąży do stworzenia swobodnych instytucyi nauki, naukę tylko mających na względzie. Ale we Francyi, również jak gdzieindziéj, musi być pewna kontrola nad korzystającymi z przywilejów ukształcenia wyższego. Musi społeczeństwo mieć rękojmię, że powierza swe interesa ludziom powołanym i dostatecznie przygotowanym do ich należytego prowadzenia. Stąd system stopni, określających poziom i rodzaj przygotowania, stąd konieczna interwencya państwa w ich udzielaniu. Jaki stosunek ma zachodzić między wolnemi katedrami wiedzy, a instytucyą stopni naukowych, mających znaczenie tylko praktyczne; jak i w jakim zakresie państwo ma rozciągać kontrolę nad ukształceniem wyższem, bez narażenia go na zastój mandarynatu — oto kwestye, które, jak widzimy, wkraczają w dziedzinę stosunków między kościołem a państwem, między jednostką a korporacyą, między jedną a drugą narodowością — wkraczają słowem w dziedzinę prawa publicznego.

Najdawniejsze pomysły nowożytnéj szkoły publicznéj wyższéj, od chwili przynajmniéj, kiedy walka między kościołem a państwem została wypowiedzianą, nastręczają wszystkie wyżéj przytoczone zawiłości. Zasada filozoficznéj jedności nauczania w szkole wyższéj w przeciwstawieniu do rozproszenia i rozczłonkowania wiedzy przez przedwczesną specyalizacyę — została sformułowaną przez Condorcet'a i wielu innych, prawnie wypowiedziana we wspaniałych pomysłach instytutu

narodowego, uniwersytetu Francyi i t. p. Taż sama epoka, jak wiemy, stawiając zasadę wolności nauczania, państwu pozostawiła przywilej udzielania stopni, dyplomów, czuwania nad sumiennem sprawowaniem specyalnych funkcyi w społeczeństwie przy pomocy systemu egzaminów państwowych i t. d. Kościół zdegradowany został na stanowisko wszelkiéj innéj korporacyi czy jednostki, pragnącéj na własną rękę stwarzać katedry wolne. W planach Condorcet'a widzimy, że instytucya szkoły wyższéj w postaci kilku głównych ognisk ma objąć całą Francyę. Ogniska te—to uniwersytety i akademie nauk, cały zaś wysiłek narodu w téj sferze znajdzie swoją syntezę, swój wyraz, swoją apoteozę w instytucie Francyi...

Tymczasem praktyka, jak wiemy, popchnęła odrazu rzeczy na drogę niemal wręcz przeciwną temu pięknemu kierunkowi. Oto potrzeba, dająca się gruntownie uczuć, szkół specyalnych, stworzyła je, zaniedbując pomysł wszechnicy. Pozorne wskrzeszenie jéj przez Napoleona osądzimy należycie, jeżeli sobie przypomnimy, że fakultety były właściwie w dalszym ciągu izolowanemi szkołami specyalnemi, fakultet zaś literacki i przyrodniczy zadawalniał się np. jednym profesorem dla historyi i geografii, jednym profesorem dla fizyki, chemii, mechaniki i t. d. W jednéj osobie nauczyciela z zakładów średnich łączono kilka gałęzi wiedzy, które dziś mają kilkudziesięciu przedstawicieli. Płynęło to ztąd, że uniwersytet Napoleona miał tylko na celu wygotowanie pewnych uznanych przezeń za użytecznych specyalistów i już zupełnie nie troszczył się o naukę wogólności. Co do literatury... „Z własnego doświadczenia wiem—mówił Napoleon—że wykłady literatury nie nauczą niczego, czego by się nie wiedziało już w czternastym roku życia."

Pomijam z musu nadzwyczajnie obfitą w pouczające szczegóły historyę uniwersytetu we Francyi i przechodzę bezpośrednio do skreślenia jego stanu w przededniu reform trzeciéj respubliki. W okresie tym—między rokiem 1860—1870—istnieją we Francyi szkoły specyalne, które funkcyonują dobrze i dają fachowców—inżynierów, aptekarzy, artylerzystów i t. p. Istnieją z drugiéj strony fakultety tworzące razem wszechnicę. Zobaczmy jakie jest ich uposażenie, jakich mają słuchaczy i profesorów. Ankieta z r. 1865 dostarczyła by nam materyału na zapełnienie tomów samym tylko, że tak powiem, inwentarzem braków, skarg, nędz, w jakich pogrążona jest wyższa szkoła francuska... Fakultet nauk przyrodniczych np. wraz ze wszystkiemi swemi laboratoryami otrzymuje... 8,000 fr. zapomogi rocznéj od rządu! Jest to suma, która nie wystarczyła by dziś często na jakieś jedno doświadczenie. W „laboratoryach" zresztą nikt nie pracuje, w niektórych nie ma nawet

posługacza... Zresztą jeszcze w r. 1873 Juliusz Simon będzie mógł na kongresie towarzystw naukowych wypowiedzieć te słowa: „Panowie wiecie jak ja, że na naszym fakultecie literackim cała literatura grecka wraz z całą literaturą łacińską—stanowią... jedną katedrę... Co zaś do katedry geografii np., to na całą Francyę istnieje tylko jedna..." Ciało profesorskie... właściwie nie jest to ciało nawet, lecz raczéj przypadkowa zbieranina. Najsumienniejsi nie mogą wystarczyć skoro np. zadanie jednego profesora obejmuje czynności, które dziś pełni kilkunastu. Stosownie do takiéj organizacyi szkoły i personelu profesorskiego formuje się téż i kontyngens słuchaczów. Duruy stwierdza, że właściwie na fakultetach francuskich nie ma studentów. Jest tylko t. z. szeroka publiczność, przypadkowo napływająca do audytoryów. Nikt nie grupuje się koło profesorów, nikt z nimi nie pracuje. Studenci kończą zakłady specyalne dla chleba, dla stopnia, nie idą zaś wcale na fakultety, mające być przybytkami nauki. Przybytki te zresztą odstraszają niedorzeczną rutyną scholastyki lub tém, że na stanowisko „profesora" naznaczają... emeryta szkoły średniéj, który nigdy na wykłady nie przychodzi!

Początek odrodzenia wszechnicy francuskiéj znowu przypada na ministeryum Duruy'a. W r. 1868 została utworzona przezeń słynna dziś instytucya: Szkoła praktyczna wyższych studyów (*Ecole pratique des hautes etudes*). Dla nas, którzy oddawna znamy się z wszechnicą niemiecką, organizacya téj szkoły będzie zrozumiałą odrazu: jest to właściwie system seminaryów literacko-humanistycznych i przyrodniczych. Szkoła wyższych studyów miała dwa główne zadania: po pierwsze rozwinąć metody nauczania wyższego, powtóre podnieść sam poziom wiedzy w uniwersytecie. W epoce, w któréj wystąpił ze swą inicyatywą Duruy, nauczanie uniwersyteckie we Francyi było rodzajem jałowego popisu krasomówczego. Duruy zapragnął z krasomówców zrobić właściwych profesorów, ze słuchaczów zaś mniéj lub więcéj biernych—pracowników, zgłębiających naukę w sposób praktyczny, za pomocą badań, prowadzonych pod dozorem profesorów. Szkoła wyższych studyów istniała potrosze wszędzie: w całéj dzielnicy łacińskiéj, w rozmaitych zakładach, i muzeach i bibliotekach odbywały się jéj wykłady, a raczéj konferencye. Konferencye te zamknięte były dla szerokiéj publiczności, otworem za to stały dla każdego, kto, bez względu na stopnie naukowe, zadeklarował zamiar pracowania. Szkoła nie udzielała żadnych dyplomów — znaczenie jéj było tylko naukowe, jako wielkiego ogniska pracy duchowéj. Rzecz prosta, że Duruy pragnął przedewszystkiém pociągnąć do zajęć młodzież z fa-

kultetów—co mu się w zupełności udało. Drugim punktem programu Duruya było postawienie na wyższéj stopie poziomu wiedzy.

W tym celu trzeba było organizacye wyższych studyów zaopatrzyć w profesorów-specyalistów, stworzyć biblioteki, laboratorya, towarzystwa i t. p. Na to zaś trzeba było budżetu nie skąpiącego na wychowanie wyższe. Duruy w pięcioleciu swéj działalności zdołał powiększyć go tylko o 480,000 fr. Nie z temi więc środkami mogły się wcielić w życie pomysły nowatora. Trzeba było kolejnéj pracy Waddingtona, Ferry'ego, Pawła Bert'a, Goblet'a, Berthelot'a, — ministrów, którzy się najwięcéj sprawie wyższéj oświaty zasłużyli,—ażeby *disiecta membra* fakultetów natchnąć życiem, spoić w całość i uposażyć do nowéj pracy. Szereg reform prawodawczych od 1876 roku stworzył kolejno podstawy materyalne i wewnętrzną organizacyę nowego porządku rzeczy. Państwo, ciągle mając na uwadze przykład świetnie funkcyonujących uniwersytetów niemieckich, zrobiło wszystko, ażeby fakultety swoje zbliżyć do tego ideału. Nadano więc fakultetom prawa osoby moralnéj t. j. pozwolono im (1885) przyjmować dary, uposażenia—słowem posiadać. Jednocześnie stworzono rady profesorów, jako główną instancyę ich władz; stworzono wreszcie radę generalną wszystkich fakultetów, na podobieństwo senatu akademickiego. Jest to, jak widzimy, ciekawy proces materyalizacyi, że tak powiem, ducha korporacyjnego: dziś ciała zorganizowane zastąpiły miejsce bezładnego chaosu katedr i słuchaczy. „W przededniu rewolucyi — powiada Liard — uniwersytety dawnego ustroju były w agonii; nazwa tylko istniała jeszcze, gdy sama instytucya już umarła. Dziś nie istnieją jeszcze uniwersytety przyszłości, jako nazwa, lecz istnieją już jako fakt dokonany."

W tych téż słowach streszcza się kierunek reform i doniosłość ich dla Francyi. Zarówno pod względem praw cywilnych, jak organizacyi autonomicznéj w zarządzie, zarówno co do okresu i ilości katedr, jak i co do metody pracy w seminaryach, zarówno co do składu ciała profesorskiego, w którym inowacyą jest rola privat-docenta, dotąd we Francyi nie znana, jak i co do budzącego się ducha korporacyjności w młodzieży saméj — fakultety francuskie dążą i stają coraz bliżéj pojęcia wszechnicy — takiéj, jak ją najidealniejsze umysły Niemiec niegdyś stworzyły. Trzeba więc tylko mieć w pamięci powyższe słowa Liard'a z jednéj strony, z drugiéj zaś dane o upadku nauczania wyższego we Francyi przed 70 rokiem, ażeby ocenić należycie postępy w téj dziedzinie dokonane. Nie chcąc rozwodzić się nad poszczególnemi etapami téj pracy, ani nad wewnętrzną reformą nauczania, któréj

opis wymagałby zdaniem Liarda „tylu tomów ile jest fakultetów", podam kilka danych statystycznych ogólnéj natury.

Zacznijmy od budżetu: drugie cesarstwo, rozpocząwszy od sumy rocznéj 3,938,000 franków, podniosło w przededniu swego upadku cyfrę tę do 5,852,471. W siedm lat potem—mimo kontrybucyi i wszystkich nieprzeliczonych wydatków—ministeryum Ferryego znajduje możność potrojenia budżetu nauczania wyższego! W roku wreszcie 1893 budżet ten wynosi — przeszło 22 miliony franków. Sumy te zostały proporcyonalnie do potrzeb użyte na budowę gmachów, uposażenie laboratoryów, bibliotek, pomnożenie katedr i t. d. Jeżeli np. weźmiemy fakultet przyrodniczy przed laty 20, znajdziemy tam ogółem piętnaście katedr; w chwili obecnéj liczba katedr i konferencyi praktycznych wynosi około pięćdziesięciu. Olbrzymie również kroki zrobiła prowincya, gdzie powstały i rozwinęły się nowe całkiem ogniska ruchu naukowego.

Co do składu i liczby studentów—dane są nie mniéj pouczające. Przy końcu drugiego cesarstwa fakultety Francyi liczą 9,500 słuchaczów; są to wyłącznie juryści, medycy i farmaceuci; literatura i nauka, jak wiemy, cieszy się tylko pobłażliwością „szerokiéj publiczności." Obecnie wszystkie razem fakultety mają 24,300 studentów. Po roku 1870 Francya miała zaledwie paruset studentów obcokrajowców — mniéj w każdym razie niż na początku wieku, kiedy cyfra ta wynosiła niekiedy półtysiąca. Uniwersytety niemieckie ściągały młodzież z całego świata—obecnie studenci obcokrajowcy stanowią poważną cyfrę 1,500 z górą osób. Co ciekawsze, to że fakultety przyrody i nauk humanitarnych liczą dziś razem więcéj niż 5,000 słuchaczów, studentów raczéj. Co do rozlokowania téj rzeszy studentów po kraju całym — Paryż figuruje w tablicy z cyfrą 10,000 — reszta przypada prowincyi.

Wśród téj rzeszy młodzieży szerzy się coraz wyraźniéj duch korporacyjny: powstają towarzystwa na wzór niemieckich, grupy rozpierzchłe po kraju zawiązują pomiędzy sobą stosunki koleżeńskie — rozwija się słowem życie uniwersyteckie, zbiorowe życie młodzieży. Nie podobna w tém miejscu nie wymienić profesora Lavisse'a. Słynny historyk jest gorliwym apostołem wytworzenia się życia we wszechnicy francuskiéj w najszlachetniejszém i najszerszém znaczeniu. Gdziekolwiek organizuje się młodzież sama, lub powstaje jakaś zorganizowana jednostka ciała pedagogicznego, Lavisse zagrzéwa, zachęca, wypowiada swe świetne mowy i jest słowem duszą ruchu. Parę tomów Lavisse'a, na które złożyły się jego przemowy okolicznościowe, lepiéj niż nie jedno dzieło poinformuje czytelnika o kierunku i nastroju reform pedagogicznych Francyi współczesnéj. On to również wraz z innymi lumi-

narzami nauki francuskiéj, jak Monod, dawniéj Taine, jest najżarliwszym propagatorem reform wewnętrznych w organizacyi studyów i egzaminów w uniwersytecie francuskim. Nie dawno zaprowadzone ulgi dla ubiegających się o stopnie naukowe, a polegające na zmniejszeniu balustu erudycyi przy egzaminach wymaganego, — należy zawdzięczać poczęści energicznéj agitacyi Lavisse'a.

Tu jednak wkraczamy w nową dziedzinę wpływów—w dziedzinę inicyatywy prywatnéj. Zanim poznamy, na co się zdobyło i zdobywa samo społeczeństwo — rzućmy raz jeszcze okiem na całość systemu. Nawet z tak pobieżnego szkicu mógł sobie czytelnik zdać sprawę, jakiéj olbrzymiéj pracy dokonało prawodawstwo szkolnictwa francuskiego od roku 1870. Jest to ni mniéj ni więcéj tylko stworzenie oświaty elementarnéj na zasadach demokratycznych; stworzenie lub zreformowanie szkoły średniéj, w duchu wiedzy nowoczesnéj; stworzenie szkoły elementarnéj i średniéj dla kobiet; stworzenie wreszcie podstaw przyszłéj wszechnicy francuskiéj tam, gdzie istniały rozpierzchłe zakłady specyalne. Doprawdy nie zadużo się mówi, określając tę pracę przez wyraz „stworzenie.” Zważmy bowiem, że nie tylko przeprowadzono całe szeregi organicznie wiążących się praw ogólnych, zapewniających całéj społeczności szkołę i dostęp do niéj, lecz odnowiono również metody i samą treść nauczania i to na wszystkich trzech jego stopniach, oraz kosztem miliardów wydanych w ciągu lat 20—stworzono całą materyalną podstawę szkolnictwa—od pokoju szkółki elementarnéj, do uposażonych we własne statki przyrodniczych stacyi nadmorskich. Nie jest że to akt stworzenia? Jeżeli zaś porównamy dawną „publiczność” wykładów z dzisiejszą studenteryą, żyjącą w korporacyach i pracującą w seminaryach z profesorami,—zgodzimy się i na to, że reforma po r. 70 stworzyła nawet—studentów [1]).

VI.

„Pierwszym wielkim objawem oficyalnym odrodzenia naszego wychowania—powiada prof. Marion—był cyrkularz J. Simona z 1872 roku.” „Cyrkularz ten jednak sam był wywołany, natchniony niejako przez książkę Michała Breal'a p. t. „Kilka uwag o wychowaniu publicznem Francyi.” Zestawienie to dokumentu oficyalnego z utworem wolnéj myśli i samodzielnych badań, można wziąć wprost za symbol stosunku urzędowych wpływów do inicyatywy prywatnéj w wychowaniu Francyi.

---

[1]) Porówn. Liard L'Enseignement supérieur 2 v.—Paris 1895.

Inicyatywa prywatna jest wszędzie źródłem ruchu odrodzenia — państwo, czerpiąc z tego źródła swe natchnienia, wciela je w życie; tu zaś znowu inicyatywa prywatna idzie krok w krok za prawodawstwem i budżetem, wspierając ich wysiłki, pomnażając na ochotnika zastępy gorliwych, stwarzając wreszcie na własną rękę instytucye pomocnicze. W dziejach Francyi współczesnéj nie ma może chlubniejszéj karty, od téj, na któréj zapisały się tysiące nazwisk ludzi prywatnych, dążących i pracujących dla wychowania narodowego. Przejawy téj pracy są — można to twierdzić śmiało—różnorodniejsze jeszcze, bogatsze, niż dziedzina zjawisk urzędowych. Społeczeństwo bowiem szybciéj i wszechstronniéj może przystosowywać się do nowych prądów, ujawniających się w pedagogii teoretycznéj, niż potężna lecz nieco ciężka machina państwowa. Inicyatywa prywatna, będąca wynikiem krytycznéj i twórczéj pracy jednostek, wyraża się przedewszystkiém w literaturze i piśmiennictwie fachowem. Ruch ten, który rozpoczął się znowu po 70 roku od wycieczek do Niemiec—przez czas jakiś nie było myślącéj jednostki we Francyi, którąby téj podróży nie odbyła—dziś wytworzył nieprzebrane skarby pedagogiki we wszystkich kierunkach. Mężowie stanu jak Ferry lub Gambetta, uczeni specyaliści jak chemik Deville, lub szanowany nawet przez Niemców erudyt Monod, publicyści jak Vacquerie, krytycy teatralni, jak Sarcey, filozofowie jak Taine, Guyau, Lafitte, Espinas — wszyscy, literalnie wszyscy wzięli udział w tym ruchu. Jakakolwiek kwestya—czy to przeciążenia szkolnego, czy łaciny, czy gimnastyki — zawsze wywołuje dyskusyę, w któréj bierze udział cały kraj. Pedagogia nie jest dziedziną, pozostawioną na wyłączny użytek zatabaczonych pedantów ani nawet takiéj czy innéj grupy fachowców—nie, jest ona programową cząstką działalności, pracy krytycznéj lub twórczéj każdego obywatela kraju. Żeby się o tém przekonać dość przejrzéć np. w „Bibliotece Narodowéj" spis podręczników z epoki Pawła Bert'a, kiedy wprowadzano do szkół elementarnych przedmiot m o r a l n o ś c i o b y w a t e l s k i é j. Kilkaset książek téj treści zawiera spis ten: każda grupa, każda frakcya społeczna śpieszyła z wyrazem własnych ideałów. Całość zaś może być uważana za wyczerpujący repertuar pierwiastków życia moralnego Francyi z roku 1880—90. Najodleglejsze zakątki prowincyi uczestniczyły w téj pracy: adwokaci, lekarze, ojcowie rodzin, matki występowali z konferencyami, zaznajamiając publiczność ze swym ideałem pedagogicznym. Bo każdy tu miał jakiś ideał i chciał czynnie go w życie wprowadzić. Około roku 1880 biorą początek epokowe wydawnictwa jak Buisson'a „Dykcyonarz pedagogiczny", jak Brissac'a „Przegląd wychowania wyższego", który stanowi dziś 30-tomowy zbiór najdonioślejszych za-

gadnień wychowania. W tym też czasie powstaje znany zagranicą „Przegląd pedagogiczny”. O ruchu tym wreszcie da nam pojęcie następujący fakt. Przed laty dwudziestu Francya liczyła kilkanaście zaledwie wydawnictw pedagogicznych; dziś Paryż ma około 90 pism, poświęconych wyłącznie nauczaniu a drugie tyle wydaje prowincya!...

Lecz prasa i piśmiennictwo wogóle są niejako wyrazem myśli społeczeństwa; wyrazem zaś jego woli, jego wysiłku twórczego są czyny dokonane, krystalizujące się w instytucyach.

W tém miejscu musimy sobie przypomnieć organizacyę państwowych instytucyi wychowawczych, a mianowicie organizacyę rad pedagogicznych departamentów i rady najwyższéj, z trzema poddziałami odpowiednio do trzech stopni wychowania, przy ministeryum oświaty. Mocą praw z roku 1880 organizacya rad pedagogicznych, których zadaniem jest właśnie inicyatywa i krytyka, wyzbyły się całkiem pierwiastku biurokratycznego, związały się zaś natomiast z pedagogicznem i naukowém ciałem Francyi.

W ten sposób rady te, rozrzucone po całym kraju, są jakby rodzajem drenów, przez które najdrobniejszy strumyk inicyatywy indywidualnéj może się przedostać do świadomości wielkich instytucyi centralnych. System ten nadaje wielką sprawność i żywotność urzędowemu mechanizmowi, który w ten sposób zawsze ma zetknięcie z prądami, szukającemi sobie ujścia w społeczeństwie samem. Pomimo to inicyatywa prywatna, nieprzebrana w swych przejawach, znajduje aż nadto pola do krystalizowania się w fakty całkiem już samodzielne — i to we wszystkich sferach wychowania publicznego.

Rozbudzenie się opinii publicznéj towarzyszy wszędzie śmiałym usiłowaniom jednostek: od r. 1870 nie przeprowadzono żadnego prawa, nie stworzono żadnéj instytucyi, bez uprzedniego okresu objawów woli samego społeczeństwa. Wszystkie trzy prawa, stanowiące dziś podstawę szkoły elementarnéj, były uprzednio przedmiotem gorliwéj agitacyi po całéj Francyi. Petycye, krążące po kraju z żądaniami szkoły bezpłatnéj, świeckiéj i obowiązkowéj, pokryte były milionami podpisów. To samo przed każdą znaczniejszą reformą. Kiedy np. zaprowadzano pierwsze katedry pedagogiki w Paryżu 1,100 nauczycieli i nauczycielek wystosowało petycyę o to, ażeby wykłady pedagogii odbywały się w godzinach dla nich stosownych. Nie jest że to objaw ustawicznego czuwania opinii nad sprawą oświaty krajowéj? Podobny ruch poprzedzał słynne prawo See'a o zakładach naukowych średnich dla kobiet. Sklepy szkolne, wędrówki i kolonie letnie, kasy oszczędnościowe przy szkołach i t. p. zawdzięczają swe powstanie inicyatywie prywatnéj, która często wyraża się w formie zbiorowéj (petycye, kon-

ferencye, kongresy), często zaś płynie z ofiarności jednostkowéj. Wszyscy tu znają np. nazwisko p. Tourasse'a, który 500,000 fr. poświęcił na stworzenie kas oszędnościowych szkolnych i własnym kosztem założył 600 kas w swoim departamencie.

Powstanie potężnéj instytucyi Muzeum pedagogicznego zawdzięcza Francya również inicyatywie prywatnéj. Olbrzymie biblioteki przy szkole medycznéj, prawnéj, politycznéj i t. p. uformowały się z darów—darom również zawdzięcza swój byt nie jedna katedra przy uniwersytecie. Najcharakterystyczniejszą jednak cechą prywatnéj inicyatywy we Francyi są dzieła zbiorowe, stowarzyszenia, związki, które po kilkadziesiąt lat nieraz istnieją i których wpływy są prawdziwie olbrzymie. Fundacyi wielomilionowych, którym zawdzięcza np. swój rozwój wyższe szkolnictwo amerykańskie, Francya nie posiada niemal wcale. Tém zaszczytniejszym jednak i może bardziéj pouczającym jest jéj wysiłek zbiorowy.

Nasamprzód więc bardzo znaczna ilość stowarzyszeń wszelkiego rodzaju grupuje się około szkolnictwa elementarnego. Pierwsze miejsce należy się tu bezwątpienia Lidze nauczania, któréj twórcą był słynny autor popularny Jan Macé. Liga powstała w r. 1866. Pierwsi czterej członkowie stowarzyszenia należą dziś do legendowych imion Francyi pedagogicznéj; byli to: Antoni Mamy konduktor kolejowy, Jan Petit kamieniarz, Larmier sierżant policyi miejskiéj i sam Macé, założyciel Ligi... W trzy lata po wydaniu pierwszego wezwania w 1870 roku liga liczyła 59 klubów z 17,856 członków, dochód zaś jéj roczny wynosił 78,455 fr. !... Zakrawa to na bajkę, a jednak potęga ligi dzisiejszéj i opinia, jaką ma we Francyi dzieło Mace'go, stwierdza, że tak być musiało. Pierwszy artykuł statutów opiewa: „Zadaniem ligi jest rozwijanie w całéj Francyi ducha inicyatywy indywidualnéj na korzyść rozwoju wychowania publicznego". Téj to lidze zawdzięczała petycya o szkołę świecką i bezpłatną miliony swych podpisów. Głównemi środkami działalności ligi są: 1) tworzenie szkół, odczytów i bibliotek publicznych; 2) podtrzymywanie już istniejących instytucyi tego rodzaju. Członkiem ligi może być zarówno stowarzyszenie całe, jak osoba pojedyńcza. Tak się rozwijało dzieło poczęte w ewangeliczném prawdziwie ubóstwie w małéj alzackiéj mieścinie Beblenheimie. Dzisiaj liga jest potęgą, któréj setki szkół, tysiące bibliotek, mnóstwo wydawnictw popularnych, odczytów i t. p. zawdzięcza swe istnienie.

W roku 1890 powstało inne towarzystwo—równie żywotne i bardzo charakterystyczne dla obecnego stanu opinii publicznéj—towarzystwo odczytów publicznych, rozszerzające swą działalność głównie na wsi—miasta bowiem uposażone są oddawna w towarzystwa odpowie-

dnie. Wyciąg z raportu Condorcet'a drukowany 20 grudnia 1792 roku streszcza najzupełniéj zadania towarzystwa. „Odczyty — mówi projekt —będą miały za temat:

1) Przypominanie, odświeżanie wiadomości nabytych w szkole;

2) Rozwijanie zasad moralności i poczucia prawa naturalnego;

3) Rozszerzanie właściwych pojęć o prawodawstwie krajowém, tak niezbędnych dla każdego obywatela;

4) Zaznajamianie ogółu z nowinami i wypadkami donioślejszemi;

5) Szerzenie wiedzy kulturalnéj i artystycznéj według odkryć i nabytków najnowszych..."

Jest to więc walka z recydywą ciemnoty i zarazem wspieranie dzieła rozpoczętego przez szkołę. Rózwój towarzystwa jest podobnie szybki i pomyślny, jak rozwój ligi. W maju 1891 roku wydało ono odezwę do nauczycieli szkółek ludowych, powołując ich do pracy. Istotnie—nauczyciel ludowy, znający najlepiéj miejscowe stosunki, jest najodpowiedniejszy na prelegenta. Chodzi tylko o to, żeby mu nie brakło materyału i wskazówek. Tém właśnie zajęło się towarzystwo: 1) stwarzając ruchomą bibliotekę popularnych dzieł, które rozpożycza prelegentom darmo, 2) stwarzając zasób aparatów i narzędzi, potrzebnych przy odczytach (latarnie czarnoksięskie, mapy i t. p.), po 3) wreszcie — wydając od roku 1893 około 50 odczytów popularnych w najrozmaitszych kwestyach.

Sprawozdanie z r. 1894 podaje następujące rezultaty paroletniéj zaledwie działalności. Towarzystwo ma około 3,000 członków prelegentów, nie licząc członków płacących składkę lub pożytecznych w inny sposób. Z tych 3 tysięcy—2½ stanowią nauczyciele ludowi. W porze zimowéj 1893/94 towarzystwo urządziło s z e ś ć t y s i ę c y o d c z y t ó w w całéj Francyi!... 672 nauczyciele i nauczycielki otrzymało od towarzystwa honorowe dyplomy lub nagrody pieniężne za gorliwe pełnienie zobowiązań. Bilans jak widzimy imponujący.

Nie podobna mi tutaj wymienić nawet, nie tylko opisać, wszystkich główniejszych typów towarzystw francuskich, mających na celu tę lub inną sferę oświaty ludowéj. Jest ich legion — a prowincya ma tu swoją pozycyę, która z natury rzeczy jest o wiele pokaźniejsza od udziału Paryża. Do towarzystw w rodzaju dwóch powyżéj opisanych —są to najbardziéj typowe — dodać należy jeszcze stowarzyszenia byłych uczniów. Przy każdéj niemal szkole istnieje stowarzyszenie tego rodzaju. Są to poprostu kluby życia towarzyskiego, mające za cel dostarczanie swym członkom pokarmu duchowego, wspieranie się w potrzebie i często bardzo czuwanie nad młodą generacyą szkoły. Z dru-

giéj strony uczniowie sami tworzą związki sportowe i koleżeńskie, które są niejako uzupełnieniem ich wychowania fizycznego i moralnego.

Ażeby miéć pojęcie czém są potężniejsze stowarzyszenia prowincyi przytoczę jeden przykład: opis Towarzystwa Filomatycznego w Bordeaux. Towarzystwo powstało na początku wieku, odrazu mając w programie całokształt środków, zmierzających do rozwoju oświaty w Gaskonii. W r. 1827 towarzystwo urządziło w Bordeaux pierwszą wystawę artystyczną i przemysłową—w celu poglądowego nauczania publiczności.

W roku 1895 towarzystwo filomatyczne urządza już trzynastą z kolei wystawę w tym celu. Wystawa ta jest zresztą międzynarodową i powszechną, a zgromadza 7,000 wystawców. Te wystawy są środkiem potężnéj propagandy kulturalnéj, a jednocześnie podnoszą poziom ekonomiczny kraju całego. Towarzystwo samo liczy dziś 8,000 członków, płacących po 40 fr. składki rocznéj. Staraniem jego powstały w Bordeaux szkoły artystyczne i handlowe—nadewszystko zaś wykłady popularne dla młodzieży, które gromadzą co wieczór w rozmaitych salach towarzystwa 2,400 słuchaczów (około 750 kobiet). Wykłady są: ogólne (geografia, historya, algebra i t. p.) w liczbie 18 kursów różnorodnych; handlowe i przemysłowe (języki, rysunek, rachunkowość) — w liczbie 33 kursów; wreszcie techniczne jak nauka kroju, nauka uprawy wina, szewctwa i t. p.— w liczbie 25 kursów. Nie potrzebuję dodawać, że instytucya tego rodzaju co towarzystwo filomatyczne w Bordeaux, będąc niejako samodzielném ogniskiem oświaty w swéj prowincyi, cieszy się olbrzymią powagą, popularnośnią i obraca rocznie krociowym kapitałem. Nawet Francya nie może się zdobyć na wiele towarzystw tego rodzaju. Równie potężném jest może tylko towarzystwo filotechniczne w Paryżu, które np. w r. 1893/94 urządziło 147 kursów handlowych, 105 przemysłowych i 155 ogólnych — dla młodzieży stołecznéj! Nie trzeba jednak zapewniać, że Lille, Havre, Marsylia, Tulon i t. p. prześcigają się również w dziele inicyatywy prywatnéj, potężnie zorganizowanéj i działającéj dla dobra oświaty krajowéj.

W szkolnictwie średniém samopomoc społeczeństwa przejawia się w formie odmiennéj. Są i tutaj stowarzyszenia potężne, czuwające nad młodzieżą szkolną we wszystkich kierunkach. Towarzystwa jednak w rodzaju Ligi niemożliwe są w téj dziedzinie przedewszystkiém dla tego, że zadania same są daleko bardziéj skomplikowane, bardziéj sporne i dotyczące mniejszéj części społeczeństwa. Inicyatywa prywa-

tna miała i ma tu przedewszystkiém szerokie pole do krytyki: rozprawy teoretyczne nad internatem, klasycyzmem, wychowaniem fizyczném i t. p. kwestyami zasadniczemi szkolnictwa średniego są ciągle jeszcze w toku. Samo wyliczenie autorów i dzieł zjawiających się w téj dyskusyi powszechnéj bezustannie, zajęłoby nam sporo miejsca. Plany ogólne reformy ukształcenia średniego, w rodzaju tych, jakie drukował „Przegląd międzynarodowy wychowania wyższego", są na porządku dziennym. Idą daléj ankiety: niedawno jeszcze (1894) „La Reforme Sociale" drukowała szereg pytań, obejmujących całość wychowania średniego, które w samém sformułowaniu swém dawały niejako krytykę stosunków obecnych. Niektóre instytucye naukowe, jak np. szkoła polityczna ostatniemi czasy, wysyłają na własną rękę pedagogów dla zbadania szkolnictwa średniego w innych krajach. Berthelot, Simon, Taine, Guyau, Spuller, Marion, Maneuvrier, Leclerque — zgromadzili wraz z setką innych autorów repertoryum nieprzebrane ogólnych i poszczególnych zagadnień, dotyczących szkoły średniéj. Co jednak tę sferę pedagogiki francuskiéj cechuje bardzo dodatnio — to usiłowania niektórych osób prywatnych, stawiających sobie za cel stworzenie szkoły wzorowéj. Dwie zwłaszcza szkoły średnie zyskały sławę wzorowego urządzenia: szkoła alzacka pod dyrekcyą p. Rieder'a i t. z. szkoła Monge'a p. Godard'a. Dobór przedmiotów i rozkład zajęć w tych szkołach doprowadzony został do ideału najsurowszych wymagań pedagogiki nowożytnéj i hygieny szkolnéj. Szkoła Monge'a jedna z pierwszych poszła za przykładem angielskich zakładów naukowych, wprowadzając wychowanie fizyczne uczniów do swego programu. Nie mogę się wdawać w opis wewnętrznego urządzenia tych szkół wzorowych, zaznaczam tylko, że są one chlubném świadectwem pomysłowości i energii osób prywatnych w szkolnictwie średniém. Z instytucyi zbiorowych wymienię dla przykładu słynną *Ligę młodych i odmłodzonych*, powstałą dzięki staraniom pedagoga-amatora Conbertin'a i Juliusza Simon'a. Liga młodych i odmłodzonych jest ogniskiem szerzących się dziś po Francyi *związków sportowych*. Pod nazwą *atletyzmu*, wychowania angielskiego, stowarzyszeń olimpijskich i t. d., kryje się dziś bardzo poważna reakcya przeciw zbyt intelektualistycznemu nastrojowi szkoły współczesnéj. Liga organizuje i urządza zbiorowe igrzyska, wywalczając u przełożonych czasem dwa poobiedzia w tygodniu dla ćwiczeń fizycznych więzionéj w murach internatów młodzieży. Liga ma na rozkazy swych członków łódki, rowery, wierzchowce, urządza wycieczki zamiejskie, wyścigi pieszych, gry na wolném powietrzu i t. p. Starsi, pragnący „odmłodzenia", mie-

szają się też z młodzieżą szkół średnich: wszystko zaś utrzymuje składka, fundusz zbiorowy. Cel, a zwłaszcza środki działania Ligi, zasługują na bardzo ożywioną propagandę. Koszta przypadające na osobę są tu bajecznie nizkie; w ten sposób instytucya ta jest prawdziwie dostępna dla szerokiego ogółu. I w tém leży różnica rozpoczynającego się dziś ruchu wychowania średniego francuskiego, od analogicznych urządzeń Anglii. Anglia ma swe słynne zamknięte kolegia, w których sporty są istnym rajem młodzieży, lecz które są dostępne dla nielicznych wybranych z plutokracyi lub arystokracyi, z powodu wysokich kosztów utrzymania (przeciętnie około 2,000 — 3,000 fr. od ucznia). Francya, szerząc wychowanie fizyczne za pomocą wolnych stowarzyszeń, nietylko, że uprzystępnia je dla szerokiego ogółu, lecz na miejsce angielskiego zamknięcia wprowadza iście grecką zasadę zbiorowych, wielkich instytucyi obcowania młodzieży.

Brak miejsca nie pozwala mi zatrzymywać się dłużéj nad szkolnictwem średniém. Prócz szkół wzorowych i towarzystw w rodzaju Ligi, możnaby jeszcze dużo znaléźć przykładów interesujących. Za regułę zaś uważać należy to, że wszelka niemal reforma donioślejsza inaugurowana zwykle tu bywa przez inicyatywę prywatną, która dokonywa pierwszych prób. Na granicy szkolnictwa średniego i wyższego stoją zakłady specyalne. We Francyi, jak gdzieindziéj, zawdzięczają one bardzo wiele usiłowaniom prywatnym. Dość tu przypomniéć dzieje rozwoju szkolnictwa rolniczego: od szkół pastusich, obejmujących elementarny kurs mleczarstwa i chowu bydła, do wyższych zakładów rolniczych i do ferm wzorowych — inicyatywa prywatna stanowiła tu główną dźwignię rozwoju dziś wzorowéj gałęzi szkolnictwa krajowego. To samo można powiedziéć o szkołach handlowych i o znacznéj części przemysłowych.

Pozostaje nam wreszcie szkoła wyższa. Nie będę tu przypominał darów i fundacyi osób prywatnych, które jednak niemałą rolę odegrały w rozwoju nauczania wyższego. Francya nie zna, jak już nadmieniałem, amerykańskiego sposobu stwarzania instytucyi naukowych, a przynajmniéj nie ten sposób jest tu godny zaznaczenia. Wiadomo np., że prywatna szkoła, *Owen's College*, w Stanach Zjednoczonych, powstała z darowizny $2^1/_2$ mil. dol., że tworzone w 1880 roku *Haward College* miało kapitału własnego 5 mil. dol.

Przykłady te, dość często podnoszone przez czcicieli stosunków zagranicznych, są raczéj świetne niż pouczające. Opis powstania i rozwoju słynnéj dziś na całym świecie paryskiéj szkoły nauk politycznych pozwoli nam zrozumiéć, jak się te rzeczy odbywają we Francyi.

Twórcą téj szkoły jest Emil Boutmy, znany autor. Należał on do tych, którzy w klęsce 1870 roku umieli znaleźć punkt wyjścia dla naprawy własnego społeczeństwa. „Ponieważ nie mamy we Francyi nauczania politycznego, należy je zorganizować" — powiedział Boutmy. Przy współudziale Vinet'a i gorącém poparciu Taine'a, zgromadza Boutmy kilka tysięcy franków i rozpoczyna już w roku szkolnym 1871/2 wykłady nauk politycznych. Liczba tychże wynosiła pięć zaledwie, lubo program Boutmy'ego obejmował dyplomacyę, administracyę, kwestye ekonomii i prawodawstwa!

W wyborze profesorów nie krępuje się Boutmy żadnym względem: obok profesorów z tytułem, pozwala wykładać młodym, których jedynym tytułem jest talent i praca. Zapewne dzięki téj właśnie okoliczności szkoła zaczyna coraz bardziéj interesować ogół. W roku 1879 liczyła już ona 23 wykłady i konferencye, studentów zaś 232. Od tego też czasu od ogółu, przekonanego o doniosłości i potrzebie dzieła, napływają dary w pieniądzach i bibliotekach. W obecnéj wreszcie chwili szkoła polityczna liczy około 40 wykładów i konferencyi praktycznych, ściągających rocznie około 450 słuchaczy.

Biblioteka szkoły jest najbogatszym w Paryżu księgozbiorem dzieł treści politycznéj. Od trzech do czterech tysięcy ludzi otrzymało dotąd w szkole wszechstronne ukształcenie polityczne, z tych 1,000 przeszło cudzoziemców. Szkoła rozpada się obecnie na sekcye: finansową, administracyjną, historyczno-prawną i dyplomatyczną. Obce rządy wysyłają do niéj stypendystów, mających się poświęcić wyższéj karyerze politycznéj. We Francyi zaś statystyka ostatniego pięciolecia (1890 — 1894) wykazuje: w urzędach rady stanu na 16 kandydatów przyjętych 15 ukończyło szkołę polityczną; w urzędach inspekcyi finansów, ministeryum spraw zagranicznych, izby obrachunkowéj — wszyscy przyjęci kandydaci ukończyli dwuletni kurs szkoły politycznéj. Dodać należy, że wykłady w téj szkole, prowadzone przez Sorel'a, Leroy-Beaulieu, Stourm'a, Rambaud'a, Levasseur'a i t. d., dużo wpłynęły na zreformowanie wykładów na fakultecie prawnym; że szkoła polityczna wcześniéj niż uniwersytet paryski zaprowadziła seminarya na wzór niemieckich. Otóż cały ten świetny rozwój instytucyi jest dziełem kilku ludzi, na czele których stoi od lat 25 Emil Boutmy.

Prawda, że potężne współdziałanie Taine'a, znakomite siły profesorów i wreszcie sam szczęśliwy, a pierwszy w Europie, pomysł szkoły tego rodzaju, z góry pozwalały dobrze wróżyć o instytucyi. Pozostaje jednak faktem, że jeden z zakładów wzorowych nauczania wyższego już nietylko we Francyi, lecz na całym świecie powstał i rozwinął się

tylko z inicyatywy prywatnéj. Czytelnik znaczenie przykładu takiego zrozumié: jest ono niewątpliwie głębsze niż podziw na widok wielomilionowych fundacyi amerykańskich...

Na tém z konieczności urwać muszę zarys działalności prywatnéj na polu oświaty publicznéj we Francyi po roku 1870-ym. Zgromadzone przykłady nie miały bynajmniéj na celu wyczerpania lub historyi tego zjawiska. Dziedzina ta jeszcze zbyt niezbadana, życie płynie tu zbyt wartko, ażeby w pobieżnym szkicu można było podać coś więcéj nad kilka znamienniejszych rysów. To téż miałem na widoku. Postawiłem przed oczy czytelnika drobny ułamek zaledwie tego bujnego rozkwitu sił społecznych, które cechują tę epokę. Już jednak z ułamku tego można wyprowadzić wniosek, jak doniosłą rolę odgrywa dziś czynnik inicyatywy w téj dziedzinie. Po prostu bez czarodziejstwa energii tych pojedyńczych lub zbiorowych usiłowań samego społeczeństwa niepodobna sobie wytłumaczyć zjawiska, które Marion słusznie nazywa odrodzeniem [1]).

VII.

Niektórzy komentatorowie ruchu na polu oświaty francuskiéj współczesnéj upatrują tożsamość niemal objawów pomiędzy dobą dzisiejszą a epoką 1789—1794 roku.

„Wiek zakreśla w ten sposób rodzaj koła" powiada gdzieś z tego powodu Buisson. Powołaliśmy się i my wielokrotnie na „testament", którego wykonawczynią jest istotnie trzecia republika. Plany konwencyi—to instytucye dzisiejsze, pomysły Condorcet'a — to punkt wyjścia działaczy obecnych. Nawet walka państwa z klerem, prowadzona chwilami w formie bardzo ostréj, to także, jak wiemy, spuścizna XVIII-go wieku.

Sądzę jednak, że podobieństwa sytuacyi nie należy posuwać zbyt daleko Dużo bardzo zjawisk da się wytłumaczyć po prostu tém, że ideały przed wiekiem wyrażone, a będące w części słuszném sformułowaniem praw społeczności—dopiéro dziś mogły wejść w życie. Zarówno bowiem polityczne jak i techniczne warunki bytu społecznego aż dotąd nie układały się dla nich pomyślnie. Są jednak i różnice

---

[1]) Porówn. La France Scolaire, rocznik 1895 r. NN 4—25; Conbertin „L'Education anglaise en France," Paris, 1889; „Recueil de monographies pédagogiques, Paris," 1889.

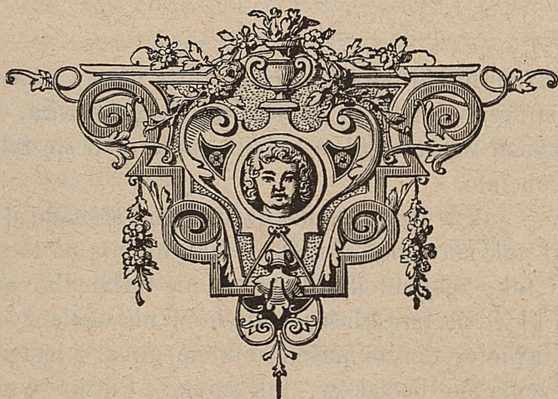
ogromne, wypływające z głębokich zmian w saméj zasadzie organizacyi społecznéj, jaką wytworzył z ciężkich doświadczeń wiek bieżący.

Na schyłku XVIII w. widzimy właściwie dwa prądy, dwie opinie: jedna, opierająca się na tradycyi, rada by utrzymać kościół na stanowisku zwierzchnika oświaty publicznéj; druga, wierząca w potęgę państwa, jemu tylko chce powierzyć rządy. Tém bardziéj, że w pojęciach tych czasów państwo a społeczeństwo—to jedno. Naiwne pojmowanie budowy społecznéj—razem centralistyczne i reklamujące prawa jednostki—usprawiedliwiało najzupełniéj tę wiarę idealnego zarządu interesów publicznych.

Jak że się przedstawia stan rzeczy obecnie? Oto z dwuch działaczów dawnych, zwyciężył prawnie, a i faktycznie w znacznym stopniu, działacz upragniony—państwo. Kościół walczy z tym stanem rzeczy, organizując swe siły, ale fakt jest faktem i na tym punkcie rzeczy zmianie nie ulegną. Społeczeństwo z drugiéj strony, po dawnemu uznaje, że pewna sfera wychowania publicznego, zbudowanie jego, że tak powiem, podstaw materyalnych należy do państwa. Jednocześnie jednak nie ustaje w samopomocy i jak to wykazaliśmy, coraz więcéj inicyatywy, coraz więcéj własnéj kontroli wprowadza w dziedzinę oświaty. Jeżeli n a u c z a n i e, przynajmniéj w zakresie elementarnym, jest dziś jeszcze funkcyą państwa, to w y c h o w a n i e właściwe jest prawowitą sferą wpływów samopomocy społecznéj. Wraz z decentralizacyą wielu funkcyi, przedtém stanowiących niepodzielną atrybucyę państwa, decentralizuje się i funkcya oświaty publicznéj. Wytwarzające się w naszych oczach jednostki społeczne, jednostki zbiorowe, powstające na zasadzie podobieństw, pokrewieństw, wolnego doboru indywiduów,—coraz świadomiéj występują w roli t r z e c i e g o w historycznéj kolei czynnika oświaty publicznéj. „Wyobraźmy sobie człowieka, który przez błędy swych pełnomocników został wciągnięty w jakąś nieszczęśliwą operacyę finansową, która go przyprowadziła o ruinę, o bankructwo. Człowiek ten, widząc pustki w kasie a komorników w mieszkaniu, zwróci się prawdopodobnie do najuczciwszego ze swych doradców dla zaradzenia najśpieszniejszéj z potrzeb... To jednak nie wystarczy i jeżeli człowiek ów nie jest upośledzony na umyśle, niewątpliwie sam osobiście zapragnie poznać swe interesa, rozpatrzy się w bilansie i weźmie się do przestudyowania kodeksu, rachunków i papierów... Oto jest bez mała sytuacya, w któréj się znajdujemy obecnie my" — temi słowy witał Taine projekt szkoły politycznéj Boutmy'ego.

W słowach tych zawiera się również po części proroctwo na przyszłość, po części charakterystyka pewnéj sfery stosunków wychowania publicznego już w dobie dzisiejszéj. Trzydziestolecie bieżące jest bezwątpienia areną energicznéj bardzo pracy rządu trzeciéj republiki—współzawodniczy jednak z nim społeczeństwo samo i to nie sporadycznie, nie przypadkowo, lecz coraz głębiéj przejmując się właściwém pojmowaniem swéj roli.

Jerzy Grot.



„Sądzone mu było...”

Przez cały dzień fornale wywozili drzewo z lasu. Kloce były tęgie, a droga strasznie ciężka; nabiédowały się koniska, ledwo dech w nich się trzymał wieczorem, a ludzie nadźwigali się tyle, że im się już i kląć odechciało.

W lesie — jak w lesie: pomiędzy staremi sosnami dębczaki spore, grabczaki jak miotliska, krzaki leszczyny biją po twarzy. Sosnę trzeba spuścić tak, żeby młodéj drzewiny nie wyłamała, a potém gałęzie obciąć, a kloce na furę kłaść, żeby koni nie okaleczyć i wozu nie przetrącić. A tu błoto: zamróz puścił całkiem, glina, z jesiennym liściem zmieszana, czepia się bucisków, jak smoła. Ciężka wywózka — bo ciężka, ale nic nie pomoże! materyał trzeba sprowadzić; obora zbakierowała się na szczęt, dziedzic musi nową stawiać. Że zima kiepska i przed Gromniczną już błoto się zrobiło, to niczyja wina!

Radzili sobie fornale, jak mogli: któremu było gorąco — kożuch zdejmował, czapkę na bok rzucał, a dźwigał, byle prędzéj, bo wieczory ciemne, byle na kolacyę do chałupy wczas zdążyć po wieczornym obrządku. Sobota była; każdy myślał: w niedzielę spocznę.

Przywieźli po trzecim klocu, zwalili na gumnie, konie wyprzęgli, napoili, pozasypywali obrok i rozeszli się do domu, powoli wyciągając z trudem w rozbagnionéj topolowéj ulicy zmęczone nogi, obute w ciężkie buciska.

Kiedy wszyscy wychodzili ze stajni, Maciek Jarmoł ściągał z siebie zabłoconą sukmanę i zawołał za odchodzącymi:

— A powiedzta tam, który, mojéj kobiécie, żeby mnie nie wyglądała z kolacyą, bo — musi — nie przyjdę.

— Bo co? — spytał Paklepa.

— Łeb mnie boli, jeść mi się nie chce...

— No, no — to powiem.

Maciek zamknął drzwi. W stajni zrobiło się ciemno, ale téż i ociepliło się odrazu. Wszedł do zagrody, gdzie stały jego konie; poczęstował gniadego kułakiem za to, że się nastąpić nie chciał, namacał ręką, czy łańcuchy dobrze do drążka przywiązane, schylił się i — stękając — wsunął się pod żłób.

Było tam słomy dosyć, pod żłobem, pomiędzy ścianą i dwiema deskami, które równolegle do niéj były umocowane i stanowiły przegródkę na ściółkę. W słomie chowały się: widły, zgrzebło, maniak na obrok, jakiś porwany postronek i biczownik. Z trudem usunął Maciek na bok biczownik i widły, wepchnął trochę słomy w maniak, głowę na nim położył i wyciągnął się do snu, otuliwszy się kożuchem i zabłoconą sukmaną. Coś go jednak w bok gniotło. Przypomniał sobie, że to kawał chleba, który zabrał po obiedzie z chałupy. Chléb, zawinięty w szmatę, schowany był za pazuchą. Maciek rozwinął chléb ostrożnie i spróbował zjeść trochę; wydał mu się dziwnie twardym; a kiedy szukał kozika, który nieodstępnie nosił na rzemyku, przy pasku, zrobiło mu się nagle bardzo zimno.

Zaczęło nim trząść, jak gdyby mróz przebiegał po kościach. Wypuścił chléb z ręki, kożuch naciągnął na głowę, skurczył się na posłaniu i trzęsącemi się rękami rozcierał długo ramiona i piersi. Dreszcze przechodziły i wracały znowu; na ciało tymczasem wystąpił pot kroplisty, ale zimny. Maciek chciał zmówić pacierz, nie mógł jednak z pamięcią dojść ładu; siły go opuściły i zamroczyły się myśli. Kiedy się ocknął po chwili, postanowił iść ze stajni do domu. Lękał się jednak ruszyć: może nie dojdę?

Na szczęście dreszcze ustały i zrobiło mu się ciepło, bardzo ciepło, potém gorąco. Wysunął głowę z pod kożucha, obtarł rękawem pot z czoła, poprawił się na słomie i zajęła go myśl: co mu téż jest?

— Łeb mnie boli — medytował — juźci pewnikiem z tego, com jest czczy... ale nie, bo mi się jeść nie chce... musi to z dźwigania krew się strzymała... trza będzie do baniek iść, abo może krwi spuścić — jak tam Dawidek doradzi... A Dawidek, to nie jakiś zwyczajny żyd, ino taki „flejczer", co go okolica zna cała, bo on wié, co komu doradzić.

Skrzypnęły i otworzyły się drzwi od stajni, wpuszczając powiew zimnego wiatru.

— Maciek! — zawołał ostry, trochę ochrypły głos kobiecy.

— Czego chcesz? — odezwał się Jarmoł.

— A ty czemu nie przychodzisz do chałupy?

— Bom słaby.

— Jużci, słaby! A mnie kto narąbie drzewa na jutro?

— Kiej ci gadam, żem słaby.

— E, ot! ległeś — to i leżysz; jakbyś wstał — tobyś chodził.

— Ciężkość mam we łbie i w piersiach... — tłómaczył się Maciek.

— Tobie się widzi, że mnie to letkość! — piszczała kobiéta — jutro niedziela, ani szczypy rąbanéj nie ma.

— Idź, idź! — zawołał głośno chory — gęby nie psuj, drzwi zamykaj, bo na mnie zimno, jak na psa leci.

— O, widzita go! ja to musi na słonku się wygrzéwam... Powiadam ci, żebyś zara do chałupy szedł... słyszysz?

— Nie pójdę, daj spokój, Jagna. Wojtek z dziewuchami drzewa nałupie.

— Bodajeś ty skamieniał! — krzyknęła Maćkowa — żebyś ty miał sumienie dzieci po nocy do rąbania gnać! Mało się słomy od maszyny nadźwigały!

— A ja tom kloców nie dźwigał, co?

— Tośty na to chłop, żebyś robił. Aleś ty się tu powalił pod żłób, bo ci się w chałupie pomódz nie chce!

Maciek zmilczał. Przez krótką chwilę słychać było tylko świst wiatru, wciskającego się we wszystkie kąty stajni.

— Przyjdziesz ty, czy nie? — zaczęła znowu kobiéta — kolacyę ci dam, bo jest.

— Nie przyjdę — odparł Maciek.

— No, to leż! Nieszczęsna moja godzina z takim chłopem!

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a ze dworu słychać było jeszcze głos podniesiony:

— Oto dopiéro... to ci dopiéro!...

Maćka znowu porwały dreszcze. Zdawało mu się, że gdyby na dworze leżał, nie byłoby mu zimniéj. Nie czuł na sobie kożucha, ni sukmany; skostniałe ręce przycisnął do ciała, a szczęki tak mu drżały, że aż w głowie szumiało.

Maćkowa Jagna wróciła do chałupy mocno wzburzona. W izbie tliły się jeszcze węgle na kominie, a mała lampka naftowa, zawieszona na ścianie, nisko, tuż przy oknie, rzucała słabe światło na najbliższą ławkę i na stojącą obok skrzynię.

Starsza córka Jarmołów, Kaśka, kończyła zmywanie misek i garnków po wieczerzy; młodsza, Maryna, w rogu izby, pode drzwiami, myła się na jutrzejszą niedzielę. Najstarsze z dzieci, Wojtek, na ławie, pod

oknem, zeszywał rozpruty rękaw kożucha, ośmioletnia Hanka przypatrywała się téj robocie, przecierając co chwila zaspane oczy; najmłodsze, Jantek i Zośka, spały już na tapczanie, wsuniętym pomiędzy komin i ścianę, przykryte starą matczyną sukmaną.

W izbie, pomimo przenikliwego zimna na dworze, gorąco było i duszno. Rodzina Jarmołów miała dla siebie i swoich ruchomości dziewięć łokci miejsca wzdłuż, siedm wszerz i trzy i pół łokcia na wysokość. Piec chlebowy wraz z ogrzewalnym zajmował sporą część téj niewielkiéj całości.

— O, la Boga! mróz! — zawołała wesoło Maryna, w chwili kiedy matka otworzyła drzwi i nie śpieszyła się z zamknięciem, obijając na progu błoto z butów. Maryna mogła czuć chłód, stała bowiem nad szaflikiem, obnażona do pasa, oblewała czerwoną szyję i tarła ją jeszcze bardziéj czerwonemi rękami.

— Poszłabyś, głupia, do sieni z tém myciem! — ofuknęła matka — chałupę całkiem zalejesz.

— A tatulo idą? — spytała Kaśka.

— E, musi nie idą — zgadł Wojtek.

— Gdzie mają iść! — odparła Maćkowa — położyli się pod żłobem i leżą... Idź ino, Wojtek, póki czas, udziabać drzewa.

Wojtek nie śpieszył się; miał jeszcze kilka ściegów do zrobienia, a szło mu to szycie dziwnie trudno, bo chociaż igła była gruba, jak szydło, palce jednak nie mogły jéj utrzymać.

— Psiakość... — mruczał — wykręca się, jakby żywa...

Małéj Hance każde zniecierpliwienie się brata sprawiało wielką uciechę. Zaśmiała się i teraz, podskoczyła na miejscu parę razy i powtórzyła z lubością:

— Psiakość! jak żywa!

— Hanuś, spać! — zakomenderowała matka i posadziła dziewczynę na tapczanie koło śpiących najmłodszych dzieci.

Wtém Hanusia podniosła lament wielki; krzyczała wśród łez jedno tylko słowo:

— Papi-i-i-i-rek!

Chodziło jéj o kawałek papiéru, który sobie ze dworu przyniosła. Brudny papiér odnalazł się w kieszeni Wojtka, schowany jako materyał do skręcania papiérosów; Hanka wsunęła go za koszulę i ułożyła się do snu.

Kiedy Maćkowa pomagała Kaśce ustawiać naczynia na półce, Wojtek skończył szycie, igłę zatknął w ramę okna, koło szyby, wziął kożuch na ramię i wymknął się z izby.

— Tatulo bardzo narzekają? — spytała Kaśka.

— Co mają narzekać! — ruszyła ramionami matka.

— Kolacyi nie jedli... — żałośnie odezwała się Maryna.

— O, to ci nieszczęście! — rzuciła niechętnie Maćkowa — tobie ino miska w głowie. Nie pilno ojcu do chałupy, bo wié, że go rąbanie czeka... Idź, wyjrzyj na dwór: czemu Wojtek nie rąbie?

Maryna nie znalazła Wojtka.

— Leć ty, Kaśka, szukaj tego przeklętnika — zawołała matka — on pewno u owczarza, albo u stelmacha siedzi.

Kaśka także wróciła z niczém. Chłopak Szuraja mówił, że Wojtek poszedł spać do stajni.

— A co! nie mówiłam! — krzyczała Maćkowa — nieusłuchana jucha! Takusieńki będzie, jak i ociec: ociec całą robotę na baby zwala i ten bęcwoł to samo... A ruszta się wy, dziewczyny, do drzewa...

Kaśka z Maryną wyciągnęły siekierę z pod tapczana i poszły mocować się z pniakiem, przywiezionym z karczunku.

Wojtek rzeczywiście prosto z izby skierował się ku stajni.

— Niech se urąbią, kiedy im trza — myślał.

Wszedł do stajni ostrożnie, pomaleńku i położyl się pod żłobem Paklepowych koni Chodziło mu bardzo o to, żeby nie obudzić ojca, który mógłby go o drzewo zapytać. Ale Maciek nie odezwał się wcale, słychać tylko było, od czasu do czasu, głośniejszy oddech, podobny do stękania. Po chwili stękanie stało się już wyraźne.

— Kto tu przyszedł? — jęknął Maciek.

— Oho, obudził się! — pomyślał Wojtek — nie głupim się odzywać.

Maciek poruszył się na słomie.

— Oj! bójcie się Boga, ludzie! odezwij się tam który...

Wojtek mimowolnie odpowiedział:

— To ja.

— Ty, Wojtek?

— Ja, tatu; co wam się tam przyśniło?

— Oj... pić...

— Albo co?

— Bardzo mnie we wnętrzu pali... gardło mi wyschło...

— E, śpijta, tatu, daléj! — doradził Wojtek.

— Nie mogę spać — skarżył się Maciek.

— Bodaj tak temu prawda była — mruknął chłopak — dopiérom słyszał, jak chrapał.

— Daj, dziecko, pić! — prosił chory.

— Cóż wam poradzę? We stajni wody nie ma...

— Przynieś, dziecko, ze studni, przynieś...

— A w czémże przyniosę? w garści?

— Oj, prawda, nie ma w czém... możeby z chałupy?...

— Gdzie tam z chałupy! — przerwał Wojtek, tam już śpią. Śpijcie, tatulu, i już.

— Możeby z pańskiéj kuchni, albo z czeladniéj?

Cichy, prawie nieśmiały głos ojca dodał chłopcu odwagi.

— Dalibyście, ot, spokój! Kto widział po nocy wody szukać. Ciemno na dworze, choć w pysk bij. Jak matka przychodzili, toście wtedy nie gadali...

— Bodajeś ty zmarniał! — zaklął chory.

Wojtek udał, że nie słyszy. Zakopał się w słomę i zajęła go myśl: czy téż da mu jutro ojciec w łeb, czy nie da? Niedługo jednak dręczyła go niepewność, bo zasnął twardo.

Kiedy nazajutrz rano fornale przyszli do stajni zasypywać koniom obrok, Wojtek skorzystał z chwili i poszedł do chałupy.

— Co tam, ociec wstali? — spytała Maćkowa, która rozpalała już ogień na kominie.

— Gdzie zaś! śpią aż strach — odparł chłopak.

— A w nocy narzekali?

— Ale skąd! spoczywali, jak trzeba.

W izbie nastąpiło ogólne ubieranie się z okazyi niedzieli.

Dziewczyny umyły się już były poprzedniego wieczora, teraz więc wyczesały się starannie, wygładziły włosy rękami, wprzódy suto wysmarowawszy dłonie smalcem, i przywdziały wierzchnie spódnice i fartuchy czyste. Włożyły nawet pończochy, bo miały pójść do kościoła.

Wojtek wziął wody w garnek, stanął w sieni nad szaflikiem, brał pełne usta wody, w garście szczelnie złączone pluł i obmył twarz dokładnie. Następnie ręce długo tarł w szafliku; a kiedy z szaro-żółtych stały się jasno-szare, rękawy koszuli zastąpiły ręcznik.

Smarowanie butów oliwą, którą zawsze przynosił od młocarni Paklepa i w drodze łaski pokryjomu rozdawał potrochu dobrym znajomym, sporo zabrało czasu. Samo ubieranie się prędko już poszło.

Po śniadaniu, dziewczyny udały się do kościoła w miasteczku, Wojtek zaś miał pójść za niemi, wprzódy jednak zawrócił do dworu po zapłatę za tygodniową robociznę.

Dzieci spały. Maćkowa okręciła głowę chustą i postanowiła zajrzéć do męża. Po drodze wstąpiła do obory; naklęła pastuchowi za to, że słomy za mało przynosi i odbyła ze stelmaszką zwykłą codzienną naradę nad tém: dla czego święta ziemia nosi dotychczas takiego gałgana, jak ekonom, albo i takiego gumiennego!

— O sobie to oni pamiętają, nie bój się...

— Ojej, ojej! potwierdzała stelmaszka Pawłowa.

— A nasza krowina przez wszyćkiego obywać się musi!

— Od lutrów, juchy gorsze! zaryzykowała stelmaszka.

— O, Matko Boska! pewnie co gorsze!

— Niedługo trza się będzie zabierać z tego dworu...

— Jużci że nie co inszego ino tak!

Zabierały się w ten sposób obie baby od lat trzech. Tymczasem uwagę ich zwrócił jakiś gwar koło stajni. Słychać było głosy: Paklepy, Szuraja i gumiennego, ale górował bas ekonoma.

— Musi, swoim zwyczajem, Paklepa coś ściągnął, — zauważyła Pawłowa.

— Już ja tam nie pójdę, — rzekła Maćkowa, której oliwa na smarowanie butów stanęła w pamięci, — chciałam swego na śniadanie zwołać, od wczorajszego południa nie jadł...

— Abo co waszemu było?

— Nic mu nie było; nie chciało mu się iść... zwyczajnie chłop: nie chce mu się—i tyle!

— A ino, to tak jak z moim: chce mu się, — dobrze; nie chce mu się—to sobie nie da roztłomaczyć.

— Ach, Matko litościwa!...

I Maćkowa wróciła do chałupy. Pawłowa nie mogła wytrzymać, żeby się nie dowiedzieć o co obwiniają Paklepę. Był to jéj kum, — a przecie ogromnie lubiła słuchać jak go za grzechy łajano, Pawłowa tedy, posuwając się zwolna wzdłuż płotu, zbliżyła się do stajni, a ukrywszy się za pień topoli—wytężyła oczy i uszy.

Szuraj trzymał na uździenicy chudą dereszowatą klacz, „młynarką" przez ekonoma nazwaną. Paklepa, którego pieczy klacz ta powierzona była, stał opodal wielce zafrasowany. Ekonom z gumiennym obchodzili klacz dokoła, zaglądali jéj w oczy, w zęby, szturchali w boki, w piersi—i trącali laskami po nogach. Klacz miała łeb i nogi silnie opuchłe i wyglądała tak, jak gdyby bardzo chciała położyć się i nie wstać.

— Zdrowiusieńka wczoraj była,—zapewniał Paklepa.

— I wodę dobrze piła,—dodał Szuraj—samem widział.

— Musi zołzy,—zaopiniował gumienny. Oczywiście głupstwo zrobił, bo nie należało mu mówić przed ekonomem. To téż ekonom spojrzał pogardliwie:

— Takie gadanie—to tylko gębę psuć! — Gdzież tu zołzy?

— A coby inszego było taka spuchlizna?

— To jest z zatkania kałduna, rozumiecie?

— Ino marchew jadła,... wtrącił Szuraj.

Musiałeś ty, gałganie, jęczmienia z pod maszyny złapać! zwrócił się ekonom do Paklepy.

— My wczoraj nie młócili,—przypomniał gumienny.

— Ja mogę przysiądz nie raz, ale dziesięć razy... zaczął Paklepa.

— Nie potrzebuję złodziejskiéj przysięgi,—przerwał ekonom, — ty czy przysięgniesz czy nie, to zawsze zełżesz.

— O! to, to, to... tobie kumciu! szepnęła z niewysłowioną radością Pawłowa, i aż się wychyliła z za topoli.

— Baba — do garczków! krzyknął ekonom, który miał dobre oko i ciągnął daléj:—rozdęło ją z zatkania...

— A to by jéj, proszę pana, brzuszysko wysadziło a nie łeb i nogi,—ośmielił się wtrącić Szuraj.

— Ty się znasz jak but na wiechciu, ostro odparł pan Trąbkiewicz,—wziąć mi zaraz słomy i rozcierać kobyłę,—het—całkiem, a potém jednemu siąść i kłusem, słyszysz? kłusem przejechać, żeby się zagrzała. Na kogo dziś koléj w stajni?

— Na Jarmoła.

— Gdzież on jest?

— Chory, panie, od wczorajsza,—objaśnił Szuraj.

— Oho, już sztuki pokazuje! Chory — bo niedzielna koléjka przyszła.

— On, panie, prawdziwie słaby... leży pod żłobem, niech pan zobaczy.

— To ty, baranie chcesz, żebym ja do niego pod żłób przy świętym dniu lazł? Sprzykrzy mu się—to wstanie.

I ekonom poszedł do dworu, aby asystować przy niedzielnéj wypłacie; gumienny zawrócił do obory. Szuraj z Paklepą stali przy klaczy, dopóki ekonom nie zniknął w dworskiéj sieni, a kiedy go z oczu stracili—Paklepa rzekł:

— Co my ją mamy słomą trzéć? Głupi on jest, okumon, i już! Siądę i przejadę, żeby się zgrzała, kiedy się ma zagrzać.

Wziął z pod płotu kawałek tyczki, siadł na klacz i grzmocąc ją po chudych bokach, a tłukąc obcasami pod żebra, zmusił szkapę do ruchu i wyjechał za wrota, na drogę do miasteczka.

— Proszę łaski pana, „młynarka” chora, zaraportował dziedzicowi p. Trąbkiewicz.

— No, cóż jéj jest?

— Nogi spuchły jak konewki, łeb—jak bania.

— Któż to mówił?

— Ja sam mówię, bom widział, przepraszam pana.

— Jakże to... tak nagle?

— Piorunem, w jedną noc!

— Niech zaraz który — tam zaprzęgnie do zielonéj bryczki i po doktora jedzie; może Maciek...

— Maciek podobno słaby, proszę pana.

— A cóż temu znowu się zrobiło?

— E, nic mu nie będzie—machnął ręką ekonom.

— To kogo innego wypraw pan zaraz; doktór i Maćka obejrzy.

— Bez urazy wielmożnego pana—co taki doktór może „młynarce" poradzić? Piéniądze weźmie...

— Mówiłem już kiedyś Trąbkiewiczowi, żeby przedemną ze swojém zdaniem o doktorze nie występował.

— Słucham, wielmożny panie, i pamiętam—ale co taki doktór może się poznać? Taka kobyła jak „młynarka"...

Dziedzic zaczerwienił się mocno i już miał wybuchnąć—kiedy nagle—zrozumiał o co chodzi.

— Niech dyabli wezmą! zawołał — prosiłem, żeby mi konia nie chrzcić... gadać: dereszka spuchła i koniec. Jeżeli głowa spuchła i nogi — to influenza. Postawić, do roboty nie ruszać...

— Kazałem Paklepie, żeby ją doskonale przekłusował, do jutra puchlina zejdzie, to, proszę pana, z zatkania, ja się znam, — pochwalił się ekonom.

— Zjadłeś licha z tém zatkaniem!—zawołał dziedzic—idź, niech klaczy nie ruszają, bo zdechnie.

P. Trąbkiewicz wyszedł, mocno przekonany, że dziedzic tyle się zna na końskich słabościach, co doktór na ludzkich chorobach, czyli że obaj ci panowie nic nie wiedzą.

Przyszedłszy do stajni, nie znalazł ani Paklepy, ani dereszki.

— Pojechał, psia dusza, pilno mu było!

Oczywiście będzie z tego kłopot, bo pan nie kazał ruszać klaczy. Trąbkiewicz wpadł w pasyę tém silniejszą, że nie było nikogo pod ręką do łajania; sam sobie zaś nie zwykł był robić wymówek. Miał wychodzić—kiedy usłyszał poruszenie się Maćka na słomie.

— Słuchaj, ty, czego tam leżysz? wrzasnął.

— Słabym, panie, słaby...

— Nie łżyj! wyłaź mi zaraz!

— Nie mogę, panie, całkiem mnie rozebrało.

— A, jak Pana Boga mego kocham! słyszysz co mówię?

Maciek nie odezwał się. Ekonom przebiegł pomiędzy końmi i przysiadł na podłodze, żeby módz zajrzéć pod żłób.

— Czekaj-no! — mruknął—ja cię ozdrowię...

Zadziwiło go, że Maciek czeka; ale, spojrzawszy na twarz leżącego, osłupiał.

— Coś ty tak zczerniał na gębie?—zapytał ciszéj.

— Nie wiem, panie...

— A co tobie jest?

— Kolka straszeczna, dychać ciężko...

— A na kolacyę coś jadł?

— Nic, panie.

— Na co łgać! grochu albo bobu zeżarłeś?

Maciek zmilczał.

— Widzisz, ty, wałkoniu jeden!—stanowczym, ale zupełnie spokojnym głosem tłomaczył ekonom—wszystko to z tego łakomego żarcia waszego. Krew się strzymała, bo kiszki nie puszczają... Brzuch oliwą wysmarować, naparstek aloesu i garść „lamberskiéj" soli z apteki wziąć...

— Maciek!—odezwał się w progu głos Jarmułowéj.

Trąbkiewicz wyprostował się i wyskoczył na środek stajni. Nie wypadało mu przy babie poufalić się z fornalem.

Maćkowa stała we drzwiach przerażona: była pewna, że ekonom jest u dziedzica. Trąbkiewicz wielką miał ochotę zbesztać babę i już mu się wąsy srogo jeżyły, ale się przecie wstrzymał.

— Weź go do chałupy —rzucił — czego ma tu gnić pod żłobem? Jednego chłopa masz, a nie dbasz o niego!

Potrącił babę w progu i odszedł szybko. Maćkowa stanęła koło koni.

— Jeszcześ słaby? — spytała.

— A ino.

— Ja dla ciebie mléka sprażyła—chodź!

— Jeść mi się jakoś nie chce.

— O! co ty znowu! Chcesz, to ci klusków zrobię; chcesz, to kapuśniaku, albo ci jagieł dam ze słoniną...

— Nie, nie... ale do chalupy to bym poszedł.

— No to chodź, po tom przyszła.

Maciek spróbował podnieść się i wyjść z pod żłobu, ale nie mógł.

— Oj, kolka! stęknął i osunął się napowrót na słomę.

— Pomogłabym ci, ale się koni boję—rzekła kobiéta;—próbuj, Maciek, próbuj se pomaluśku, to wyleziesz.

Jarmoł rzeczywiście wygrzebał się powoli bez niczyjéj pomocy, wyszedł na stajnię i oparł się o ścianę. Nogi drżały pod nim, a odzież ciężyła mu na ramionach jak ołów. W ciągu jednéj nocy zmienił się bardzo: zmęczenie wielkie znać było na téj twarzy, która przybrała kolor staréj deski; zmarszczki dokoła oczów, na czole i wzdłuż policzków wydawały się głębsze niż zwykle, a małe oczy mętnie spoglądały z pod nasuniętych powiek. Usta spieczone chwytały powietrze z wysiłkiem; z pod rozpiętéj koszuli widać było żółtą zapadłą pierś, podnoszącą się przy oddechu.

Maćkowa zawiązała kołnierz koszuli grubą nitką, zapięła na chorym sukmanę i pomogła mu kożuch zarzucić na plecy. Wyszli ze stajni: ona naprzód, on za nią. Nie przyszło jéj na myśl prowadzić go lub podtrzymywać, w przekonaniu jéj i wszystkich wiejskich kobiét — chłop zawsze mocniejszy jest od baby i godzi się ciągnąć go za rękaw lub pod bok podpierać tylko wtedy, kiedy jest trochę pijany.

Przez drogę nie mówili do siebie wcale; on postękując i dysząc głośno, szedł środkiem błota, bo nie miał siły wybierać suchszych miejsc; ona nie oglądała się na męża, zajęta myślą, żeby błota w niedzielne trzewiki nie nabrać. Koło czworaków spotkali stelmaszkę i kowala, daléj parobków kilku, wszyscy ci współsłużący patrzyli na Maćka bez ciekawości, bez żadnego zainteresowania.

Chory? Każdy z nich chorował choć raz w życiu i nikogo to bardzo nie obchodziło. Choroba — to przytrafunek, ot, taki jak grad na zboże. Przyjdzie, to trza wycierpiéć; nie bardzo zmizeruje człowieka, to dobrze, a jeżeli całkiem z nóg zbije, to na to nie ma rady!

Ledwo Maciek położył się na łóżku, Jagna kazała mu napić się mléka. Nie chciał, bronił się, ale musiał wypić; a że po mléku uczuł pragnienie i o coś kwaśnego wołał, więc mu kobiéta postawiła barszczu garnuszek. Wypił i barszcz, co żonę mocno ucieszyło; radziła mu, żeby zjadł kartofli albo séra, ale tych stanowczo odmówił. Dała mu pokój.

— Nie jest już czczy—myślała—niech wypoczywa.

Chory obrócił się twarzą do ściany i leżał cicho.

Wojtek wpadł do izby; przyniósł piéniądze z wypłaty i miał iść do miasteczka. Zaniepokoiła go obecność ojca; ale Maciek zdawał się nie słyszéć Wojtka; a może wczorajszą odmowę syna uważał za rzecz zwykłą...

Jarłmołowéj tymczasem przyszła szczęśliwa myśl do głowy.

— Czekaj, Wojtek, pójdę z tobą i ja; trza dla ojca mięsa wziąć, żeby mocy lepszéj nabrali.

Nie byłaby się nigdy zgodziła powierzyć kupno dzieciom. Kupowanie—to tak wielka a rzadko zdarzająca się przyjemność, że o zrzeczeniu się jéj na korzyść dzieci nie może u biédnych ludzi być mowy. Jarmołowie jadali mięso z urzędu: na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na Zielone Świątki i w *kusaki*—to jest raz w zapusty; zresztą nie miewali go na swoim stole więcéj jak dziesięć razy do roku. Maćkowa była przekonana, że po zjedzeniu mięsa, zapas sił przybywa w téj chwili; ilekroć wracała od rzeźnika z zawiniętą w szmatę kością, do któréj dodana była odrobina mięsa i sporo ścięgna, zawsze myślała, że wszyscy zazdroszczą jéj tego zbytku. Wybiérała się teraz do miasteczka z gorączkowym pośpiechem.

Jantek i Zośka zostawały na opiece Hanki, która, choć sama dzieckiem była, rozumiała dobrze obowiązki na niéj ciążące, nieraz bowiem małe, chude plecy odpowiadały za zapomnienia wiecznie rozczochranéj główki.

Maćkowa przed wyjściem z chałupy pochyliła się nad łóżkiem męża, a widząc, że ma oczy zamknięte, ucieszyła się że zasnął. Na odchodném rzuciła przestrogę:

— Żebyś mi, Hanuś, z izby nie wyłaziła; posprzątaj, dzieci pilnuj, a jakby ociec jeść wołali — mleko na kominie stoi; ja niedługo przylecę i sama obiad nastawię.

Kiedy za matką i za Wojtkiem drzwi się zamknęły, Hanka przystąpiła do sumiennego spełniania roli gospodyni i opiekunki. Zośkę posadziła na tapczanie i dała jéj do zabawy drewnianą łyżkę i dwa surowe kartofle; Jantek postawiony został przy Zośce, żeby ją od spadnięcia chronić i otrzymał kilka wiórów, patyk i sznurek na bat; główna opiekunka zaś zabrała się do zamiatania izby. Robota poszła wcale nieźle: wprawdzie wszystkie śmiecia zostały zepchnięte pod łóżko ojca, ale środek izby wyglądał czysto, a właśnie o to chodziło. Hanka wiedziała, że wymiatanie ze wszystkich kątów i z pod gratów tylko przed głównemi świętami miéwa miejsce. Szaflik z pomyjami i obierzynami kartofli, w którym wieprzak znajdował śniadanie, należało wystawić do sieni. Hanka próbowała dźwignąć to naczynie, nie miała jednak na to dość siły; nie dała jednak za wygranę: póty chwytała za ucho i ciągnęła za wystający kawałek drewnianéj obręczy, aż przewróciła szaflik i pomyje wylały się na ziemię. Jantek przyskoczył na pomoc i wiórem zeskrobywał z klepiska mokre obierzyny, a że Zośka rwała się do tego zajęcia, więc ją Hanka zsadziła z tapczana. Zośka usiadła na suchem miejscu, pięty zaraz powalała w błocie, a drewnianą łyżką rozpryskiwała pomyje z prawdziwą rozkoszą. Hanka tymczasem spostrzegła, że węgle na kominie wygasły, co było ozna-

ką, że należy zamknąć szyber, nad kapą komina umieszczony. Matka zasuwała zawsze szyber z pomocą łopaty albo miotliska. Hanka nie mogła sobie z témi narzędziami dać rady; wzięła się więc na sposób: wydrapała się na trzon pieca, następnie jedną nogę założyła na kapę komina i ręką dostała do szybra; pchnęła raz i drugi — zasunęła blachę; ale kiedy z tryumfem chciała zeskoczyć, straciła równowagę i upadła na ziemię, uderzając głową o stołek, który sama przysunęła do pieca.

Dzieci podniosły krzyk wielki, bo Hanka nie ruszała się z miejsca przez długą chwilę. Maciek znalazł się wnet przy dziewczynie; podniósł ją za ramiona, dźwignął, uniósł do góry i z wielkiem wysileniem prawie rzucił na własne łóżko. Hanka oprzytomniała, otworzyła oczy i rozpłakała się. Maciek stał przed nią, skurczony, oparłszy dłonie na kolanach; w tém na twarzy jego odbił się przestrach: zobaczył krew na skroni dziecka. Obejrzał się w koło izby; błędny wzrok nie znalazł nikogo, ktoby mógł przyjść z pomocą.

Tak, jak stał, bez wierzchniéj odzieży, bosy — powlókł się do drzwi i wyszedł. Dzieci jeszcze głośniéj krzyczéć zaczęły. Z sąsiednich mieszkań, w ośmioraku, prawie wszystkie kobiéty powychodziły: jedna do kościoła, inne do krów, przed południem; Maciek dopiéro w czwartéj izbie znalazł starą pastuszynę, Ładniaczkę.

Kiedy z nią wrócił do siebie, siły go tak opadły, że nie mógł drzwi zamkąć. Stara, spójrzawszy na niego, zrozumiała, że on sam chory.

— Kładźta się żywo—rzekła, a płacząc, Hankę przeniosła z łóżka na tapczan.

— Cicho, głupia—zawołała na dziewczynę—co ci jest?

— Potłukłam się... lamentowała Hanka.

— Gdzie?

— A zleciałam... z pieca... bez stołek... na łeb..

— Widzita ją, smarkata! — łajała stara — a po co łazisz gdzieś niepotrzebna? Skórę ci obić i tyle!

Hanka poddała się rękom Ładniaczki, która fartuchem obcierała krew, sączącą się z małéj ranki nad skronią dziecka.

— Wyje i wyje, jak żeby jéj tam... niewiadomo co!—gdérała pastuszyna—a jabym prętem przejechała ci po plecach, to byś ty wiedziała: co to z pieca zlatywać...

— Cicho, bo będę bić!

Hanka przestała płakać.

— Obetrzyj se nos; nie masz fartucha czy co?

Hanka spełniła rozkaz, a stara własnemi palcami uporządkowała nosy Jantka i Zośki.

— Tera, bechy, pójdzieta do mojéj izby; nacudowaliśta tutaj dosyć! zawołała stara. Prowadź się, Hanuś, sama i małe zabiéraj!

Otworzyła im drzwi i wypchnęła wszystko troje do sieni. Zbliżyła się do Maćka, który siedział skulony na łóżku.

— Wam, kumie, co takiego?

Chory wskazywał głowę, piersi, i stękając dokończył:

— Mocy nijakiéj w sobie nie słyszę...

— Gorączka od was bije wielga — szeptała stara — gębę wam spaliła; musi to frybra bedzie, trzęsło was?

— Oj, trzęsło, a potém paliło, a potém znowu trzęsło...

— Ona to jest, frybra — stanowczo orzekła Ładniaczka — tylo ino co nie będzie zimowa, a wiosnowa frybra, która gorsza jest.

— A co na nią robić? — jęknął Maciek.

— Wódki z pieprzem pólkwaterek trza wypić i zamówić słabość.

— Zamówicie wy?—spytał błagalnie chory.

— Jużci co zamówię, ino żeby nikogo w chałupie nie było, bo by słabość w inszego chciała wejść. Tymczasem spoczywajcie, a ja dzieci u siebie przetrzymam.

Maciek wyciągnął się na łóżku; ona mu nogi zziębnięte i mokre od czasu przyjścia ze dworu—okręciła kożuchem; miała odchodzić, kiedy chory zakaszlał gwałtownie.

— Wyplujcie, kumie! zawołała.

Maciek dał znak, że nie może.

— Pamiętajta że sobie, żebyśta na drugi raz zawżdy wypluwali —uczyła stara—jak was kaszel weźmie tłuc, to głowę na dół z łóżka przewiesić, a pluć! Będziecie? co?

— Będę—odezwał się cicho Maciek.

Pastuszyna znalazła w swojéj izbie Jantka i Zośkę, wyrywających sobie z rąk miauczącego kociaka, ale Hanki nie było.

— Poleciala na globle, het! — objaśnił Jantek.

— Ja jéj sprawię!—pogroziła stara.

Hanka rzeczywiście była już na grobli. Pobiegła tam dla tego, że inne dzieci biegły i że zapomniała o swojém potłuczeniu. Nic tam bardzo ciekawego na téj grobli nie było. Paklepa wracał do dworu, konno, na choréj dereszce, którą, stosownie do polecenia ekonoma, przejechał tak, że wyglądała jak z wody wyciągnięta. Paklepa dumny był z tego, że „za korczyk jęczmienia i pół ćwiartki grochu zaważy.” Zaczął on przejażdżkę od okładania kijem biednéj szkapy, bił ją sumiennie aż do miasteczka, dokąd po tytoń pojechał, bił z powrotem, tak, że

kiedy wjechał w grzązkie błoto, dereszka uznała za stosowne stanąć. Musiała sobie zapewne pomyśléć, że nie warto ostatniego tchu dla Paklepy dobywać. Jakoż stanęła — i stała, a nogi jéj coraz głębiéj pogrążały się w grzęzawie. Paklepa zrozumiał, że konno nie wyjedzie Czuł się obwiązanym przyłożyć szkapie jeszcze kilka kijów, poczém zsunął się w kałużę, podniósł poły sukmany i brodząc prawie po kolana, wyszedł na brzeg grobelki. Dereszka stała. Paklepa wyszukał grubego kawałka wierzbowéj gałęzi i rozmachnąwszy się, cisnął w klacz. Trafił w szyję. Dereszka chciała uniknąć uderzenia i wyskoczyć, ale, że za głęboko ugrzęzła, więc wysiłek sprawił skutek wręcz przeciwny: upadła i nie mogła się poruszyć.

Paklepa zaklął na siarczyste pioruny, a dziatwa z ośmioraków zaczęła piszczéć hałaśliwie, boć to dla nich w każdym razie było widowisko niecodzienne. Skrobnął się Paklepa dwa razy nad lewém uchem tak silnie, że mu się czapka na prawe ucho zbakierowała; prędkim ruchem odpasał rzemieniak, świsnął nim po koszulach i spencerkach najbliżéj stojącéj dzieciarni i krzyknął: „A do chałupy, ha!"

Dzieci rozpierchły się z wrzaskiem, a Paklepa, pospiesznym krokiem, chyłkiem po za płotami, pobiegł do stajni. Nie pomogły środki ostrożności: spotał się z ekonomem, który właśnie umieszczał gościnne konie.

P. Trąbkiewicz znalazł się bardzo szlachetnie: ponieważ do dworu przyjechali goście i nie było obawy, żeby dziedzic zajął się dereszką, więc Paklepie nic się nie oberwało. Zawołał fornali, wzięto drążki i linki, poczém wszyscy poszli wyciągać dereszkę.

Niestety, Hanka widziéć tego nie mogła. Pod strachem rzemieniaka, który stojącemu obok niéj Józkowi Szurajowi bardzo bolącą dał pamiątkę, dziewczyna wbiegła do izby Ładniaczki.

— Paklepowa dereśka w błocie!—zawołała od progu—wiécie, ta dereśka co to młynarka... w błocie—het!

— Ja ci dam fąflu, latanie po bajurach!—groźnie odezwała się pastuszyna—ja ci pokażę dereśkę...

Schwyciła Hankę pod ręce, posadziła na ławie, a wziąwszy z półki kawałek séra, dała go dziecku.

— Na, jédz, ażebyś mi się nie ruszała z izby.

Maciejowa nie wróciła na południe do domu. Mogła była powrócić, bo do miasteczka liczono trzy wiorsty, ale w miasteczku spotykało się dużo znajomych, z którymi należało trochę pogadać. Żeby nie było przedmiotu do gawędy — to co innego; ale Maćkowa miała bardzo ciekawe rzeczy do opowiadania. I tak: mąż zaniemógł, jak na złość, nie w powszedni dzień, ale w niedzielę; Paklepa coś ukradł, bo

go ekonom łajał przed stajnią; przy wypłacie zaszła omyłka. Kaśce należało się za jedenaście dni po 20 groszy, Marynie za ośm po 20. Wojtkowi zaś za dziesięć dni po złotemu; tymczasem zapisane było w książce: dziewczynom 21 dni a Wojtusiowi 9 i za tyleż dziedzic zapłacił trzy ruble i złotych trzy.

— Ale wy sobie porachujcie—radziła jedna ze słuchaczek—może to nie tyla krzywda.

— Co mam rachować! Nietrza mnie obrachunku — wołała pokrzywdzona—złodziéj okumon taki jak i Paklepa! Następnie przychodziła koléj na kwestyę mięsa. Żyd, jak żyd: mięso ma śliczności; dać nie chce, powiada, że zamówione do dworów; ma, poganin, gorsze ochłapy w kącie—i te wyciąga, i chce żeby mu jak za dobre płacić. Była u jednego, u Lejby—nie kupiła; była drugiego, u Jabramka—téż nie kupiła; dopiéro u trzeciego, u krzywego Jojny, znalazła cielęcinę, targowała się, wytargowała i kupiła.

— Wtykał mnie, żydzisko, cały pośladek: weźcie, powiada i weźcie... Czyś się, mówię wściekł! co mnie tera po pośladku? Albo to święta czy co? A on: weźcie ćwiartkę, powiada, bo takiéj cielęciny nigdy nie było i nie prędko będzie. Myślę: może i wziąść ćwiartkę... a potém se znowu pomyślałam: co mi tam po tém! Mówię, nie będę brać! Dopiéro żyd zaczął pokazywać insze kawałki, no i wybrałam pięć funtów. Przecieć ja dla rodzonego męża nie żałuję. Dopiéro go się, żyda, pytam: po czemu? A on chce po dziesiątce. Naklęłam, małom mu w oczy nie plunęła! Po siedm, powiadam. On nie chce, ja cisnęłam i idę... on za mną wylatuje: spuścił grosz. Ja — nie. No, i jakem go jeszcze zbeształa, tak dopiéro na ośm groszy spuścił funt i wzięłam pięć.

Tu następowało rozwiązywanie kobiałki, wyciąganie cielęciny w trzech obrzynkach, przewracanie, oglądanie i pakowanie napowrót. Na pożegnanie kobiety mówiły sobie:

— Ach, słodki Jezu! co się tera na świecie dzieje!

— Święta prawda! niech ręka Boska broni.

— Bywajta zdrowi!

— Niech Pan Bóg prowadzi.

Nie wypadało nie wstąpić do kościoła. Maćkowa torując sobie drogę łokciami i wciskając się, jak klin, w zbitą masę ludu, dopchnęła się szczęśliwie pod ambonę. Szturchano ją, szturchała i ona, ale przecie nie stała byle gdzie! Miała tylko pacierz zmówić i wracać. Kiedy się jednak pod samą amboną znalazła, pomyślała, że nie wypada wychodzić przed końcem nabożeństwa. Doczekała do końca; za to od chwili kiedy ksiądz odszedł od ołtarza, nie straciła ani minuty czasu.

Z impetem, całą siłą pchała się do drzwi: to przygniatana w tłumie, to znowu wyciskana w górę, trochę jéj kobiałkę przyłamano, trochę chustkę oberwano, ale ona jedna z pierwszych wypadła ze drzwi kościelnych i nie oglądając się już na dziadów żebrzących — zdążała ku domowi.

— No, co lżéj tobie?—spytała Maćka.

— Nie—odpowiedział.

— Czekaj-no, niechaj ja rosołu nastawię, to ci raźniéj będzie. A gdzie się dzieci podziały?

— Ładniaczka wzięła.

-- Aha, to lepiéj.

Nie mówili do siebie więcéj. Ona kręciła się po izbie, rozpaliła ogień, gotowała obiad, sprowadziła dzieci, dzieci bawiły się hałaśliwie, a chory leżał tak, jak gdyby nic z tego co się koło niego działo, nie słyszał.

O zmroku wróciły dziewczyny i Wojtek z miasteczka. Każde z nich spojrzało tylko na łóżko, na którém leżał ojciec, ale nie zbliżyło się do chorego. Wszyscy byli głodni. Wkrótce téż zabrali się do łyżek: jedli w milczeniu, powoli, patrząc na miskę z tą uwagą i przejęciem, z jakiém tylko prawdziwi biédacy i wielcy smakosze jeść umieją.

Maciek wypił kilka łyżek rosołu i więcéj nie chciał.

— Cóżeś ty zjadł? tyle co nic!—skarżyła się Maćkowa — widzisz jaki ty niedogodzony: ja po mięso latała, niczego nie żałuję, a ty nie chcesz ...

Chory przecząco poruszył głową.

— Może krup w gębę weźmiesz, są na spodzie w garczku?

— Nie.

— A cóż ty będziesz jeść, co? gadaj, żebym choć wiedziała.

— A nic.

— Nieszczęsna ja dopiéro! Ani mu tego, ani mu tamtego... leży jak drewno, niewiedzący, że ja jemu, jak dziecku małemu, dogodzić by chciała!

Chory zakaszlał i obrócił się do ściany.

Wieczorem przyszła pastuszyna: przyniosła wódkę z pieprzem. Maćkowa zaczęła narzekać na męża, jak gdyby go w izbie nie było.

— Kaszel go dusi?—pytała Ładniaczka.

— Bo ja tam wiem!—odparła Jarmołowa.

— Ano, nie słyszeliśta?

— Nie słyszałam, mnie już całkiem głowę odjęło: nie jé nic.

— Ale—odezwała się Maryśka—tatunio mocno kaszlą.

— O! głupia, ona niby co wié! — oburzyła się matka.

— A przy kaszlu ojciec głowę na dół spuszczali?—badała stara.

— Musi nie...—z pewném wahaniem szepnęła Maryśka.

— To kiepsko, ja mówiła, że trza spuszczać.

— Kiedy to z nim nijak nie utrafi! — biadała Maćkowa. — Co tam, że wy prosili, ale co ja się naprosiła, żeby jadł!

Stara zbliżyła się z wódką do łóżka.

— Kumie, wypijcie na frybrę.

Maciek podniósł trochę głowę, wziął drżącą ręką blaszany półkwaterek i wypił. W téjże chwili zakrztusił się strasznie, oczy krwią nabiegły, na czoło pot wystąpił.

— Na dół głowę trzymajcie, kumie! — zawołała Ładniaczka.

Ale chory widocznie nie miał siły ruszyć się: leżał na boku, a całe ciało drgało, kiedy kaszlał.

— Pomóżta-no mnie! — rzuciła stara—trza głowę spuścić.

Maćkowa, Kaśka i pastuszyna podniosły prędko chorego, przysunęły do krawędzi łóżka i gwałtem głowę pochyliły.

— Trzymajcie dobrze!—wołała stara—wyplujcie, kumie!

— Wypluj, Maciek, kiedy trza! — krzyczała choremu w ucho Maćkowa. Maryśka przestraszona ukryła się za piecem.

Wojtek stał na środku izby.

— Czego ty się boisz, głupia?—rzekł do Maryśki.

— Tatulo pomrą od tego... — odparła cicho.

— Nie bój się! tatulo twardzi...

Wtém chory jęknął tak boleśnie, że kobiety odskoczyły; on opadł na posłanie i leżał z zamkniętemi oczyma.

— O, to, to! — spokojnie odezwała się pastuszyna — taki kaszel pomocny jest we frybrze, bo się choroba wydycha.

— Może być! — zdziwiła się Maćkowa.

— Kiej wam powiedam — potwierdziła stara — to tak; tera go w spokojności zostawcie, żeby spał, a ja jutro ranieńko zamówię.

— A niech wam tam Pan Jezus i Matka Boska!... Tak gadają, co na frybrę zamówienie okrutnie dobre.

Noc nie przeszła spokojnie. Chory miał silną gorączkę, a nie mógł miéć nawet wygodnego posłania. Maćkowa z Marysią spały na tapczanie, wziąwszy małą Zośkę pomiędzy siebie; Wojtek nocował w stajni--jak zwykle; Kaśkę wyprawiono do obory; chory zaś musiał podzielić się łóżkiem i małym Jantkiem, bo na przypiecku dla Hanki tylko było miejsce. Maciek kilkakrotnie wołał oderwanemi wyrazami: to niby konie poganiał, to się z kimś kłócił; Jantek się wtedy rzucał na posłaniu, co chorego wprawiało w silne rozdrażnienie.

Kiedy nad ranem ruch się zrobił w izbie, Maćkowa nie mogła wydobyć z męża ani słowa. Zawołano Ładniaczkę, a ta, po wyjściu kobiet i dzieci z izby, zamawiała chorobę. Przyniosła z sobą trzy gałki chleba; zapaliła na kominie dwie drzazgi, wprzódy je na krzyż złożywszy; gałki przez płomień przerzucała, coś szepcząc przytém; nareszcie jedną z tych gałek kazała zjeść choremu, drugą w komin, głęboko, cisnęła, a trzecią kazała zakopać w ziemię, na trzy piędzi, za węgłem domu.

— Bardzoście słabi?—zapytała po skończeniu obrzędu.

— Bardzeńko...—odpowiedział chrapliwym głosem.

— Będziecie co jeść?

— Pić, to bym pił... kwaśne...

Stara kazała mu dać barszczu. Maćkowa podała cielęcinę z wczorajszego rosołu i dopilnowała, że chory zjadł mięso, popijając barszczem.

— Żebyś ty zaraz wczoraj tak jadł—mówiła zadowolona już żona—to byś był tera mocniejszy.

Koło południa jednak Maćkowi pogorszyło się znacznie: wzmogła się gorączka, oddech stawał się trudniejszy.

— Oj, nie wytrzymam! — zawołał parę razy.

Jarmułowa zaczęła się niepokoić; pobiegła do Ładniaczki.

— To nic—rzekła stara—można tera dać wódki z miodem.

Chory się nie zakrztusił tym razem, bo miodu było sporo; przecie w pół godziny potém narzekał więcéj niż wprzódy.

Maćkowa udała się do stelmaszki: radźcie, dla Boga, bo sama nie wiem co! Wódkę pił bez dwa razy: z pieprzem i z miodem, Jakóbowa zamówili—i nic!

Stelmaszka ruszyła ramionami.

— Kto wam gadał, że zamawianie pomocne?—spytała.

— A dyć Jakóbowa pedali co na frybrę drobre.

— A bo to frybra?

— I no co? przecie go trzęsło...

— Aha, jušci, taka to i frybra! Nic inszego ino uroki...

— Matko Najświętsza! może być! — i Maćkowa głową na prawo i na lewo kilka razy poruszyła.

— Bez to go trzęsło—tłomaczyła stelmaszka—co się nie dawał urokom, a tera go przejęły, to się poci.

Starała się Maćkowa domyślić: ktoby mógł rzucić uroki, ale nie mogła. Stała pod oknem, z łokciem opartym na dłoni, drugą dłonią podpierając brodę, mocno zgnębiona.

— No, i co tera robić?

— Trza odczyniać, i już!—odparła stelmaszka.

— A kto będzie?

— Byle *pirszy* może; ale jak chcecie pewności, to już najlepiéj starego Bratosza prosić, bo on jest na całą wieś z pirszych—pirszy.

Maćkowa uznała słuszność téj rady. Odczyniać uroki może każdy pierwszy—starszy w rodzinie; a że Błażéj Bratosz był najstarszym we wsi, i swego czasu, pierworodnym w rodzinie, w dodatku znał się na każdéj rzeczy, więc téż w kwestyi uroków był pierwszym z pierwszych.

Wybrała się do wsi nie zwlekając. Przed dworską kuźnią zatrzymał ją kowal, który nikogo nie przepuszczał bez poprzedniego wybadania: dokąd, dla czego i po co?

Maćkowa chętnie opowiedziała o swoim kłopocie i o nadziei, pokładanéj w odczynianiu uroków.

— Czyśta się wy, baby powściekały—czy co? — zawołał kowal, wymachując rękami—chłop ma zapalenie, bo go zimno przejęło, a wy jakieś sposoby, czort wié...

— Niech się pan Laksender nie gniewają—przerwała Maćkowa.

— Co wy mnie tam gadacie!—oburzał się daléj p. Aleksander—was by wszystkich w wojennéj służbie porządku uczyć! W połku, bywało, chory kto, to dokład idzie do starszego. Tu kto starszy? Pan. Tak wam do samego pana iść: tak i tak — niechaj radzi. Jak ja tu chorował, żona dołożyła panu; pan do doktora, doktór do apteki, lekarstwa dawali i pomogło, ot!

— Wola Boska! westchnęła kobieta —jednemu pomoże, drugiemu nie pomoże... i poszła na wieś.

Bratosz nie dał się prosić. Był to chłop blisko siedmdziesięcioletni, trochę zgarbiony, małomówny, ponurego wejrzenia, w gruncie dobry człowiek i spokojny. We wsi lękano go się potrosze: Błażéj wódki nigdy nie pił i nigdy z niczego nie był zadowolony. Uważano go za bardzo doświadczonego, bo podejmował się ładować wszelkie wywichnięcia i złamania ludzkie i bydlęce.

Maćkowa opowiadała przez drogę: o mężu i cielęcinie; Błażéj nie odzywał się wcale. Kiedy weszli do izby, zażądał święconéj wody i krężla od przęślicy [1]. Dano mu wodę w butelce kawałkiem szmaty zatkanéj, z odłamkiem tarniny święconéj, podano téż i krężel.

---

[1] Krężel—ostrosłup, na który nawija się kądziel; umocowuje się na przęślicy, któréj ostrze wchodzi w otwór w podstawie krężla.

Krężel inaczéj krężułka.

Błażéj dmuchnął w otwór krężla, nalał weń święconéj wody i na wodę puścił trzy okruchy węgla.

— Mówcie trzy razy „Zdrowaś Marya”, — rzekł do chorego. Maciek poruszał ustami, Bratosz mówił pacierz półgłosem. Po pierwszéj zmówionéj „zdrowaśce” stary wyjął węgielki i rzucił na ogień; po drugiéj—wlał część wody z krężla w usta chorego, po trzeciéj — resztę wody wylał na próg izby, koło biegunów drzwi; następnie głowę na izbę obrócil i splunął trzy razy.

— Bóg zapłać!—jęknął chory.

— Ja tu sam przyjdę po południu,—mruknął stary odchodząc.

Na obiad musiał Maciek zjeść znowu kawałek cielęciny, bo żona tak głośno lamentowała, że nie miał siły się bronić. Ból głowy zwiększył się, kaszel dusił niemiłosiernie, kłócie w boku stawało się nieznośném: chory czuł wyraźnie, że po jedzeniu zwiększyło się cierpienie.

— Musi umrę! — wołał biedak, ledwo poruszając rękami, które opadały bezwładnie na posłanie—pić dajcie!

Maćkowa postawiła wodę w garnuszku, na ławie, koło łóżka, ale chory nie mógł sam się napić; trzeba było dawać mu wodę łyżką; posługę tę spełniała Hanusia.

Przed wieczorem przyrzedł Bratosz.

— Odeszło mu całkiem?—spytał.

— E, gdzie zaś!—płaczliwie odpowiedziała Maćkowa.

— Psiapara!—zaklął stary—dajta stołek.

— Z nogą będziecie odczyniać?

— Z nogą; dawajta stołek wysoki.

— Miéjta zmiłowanie!... nie dam rady!..—zawołał chory z przestrachem w głosie.

Zrozumiał o co idzie: miał się poddać takiemu odczynianiu, które wydało mu się nad jego siły.

Ponieważ Wojtek i obie starsze dziewczyny były na robocie, we dworze, a potrzebna była pomoc do dźwigania chorego, sprowadzono więc stelmaszkę. Bratosz stanął w środku izby, oparł się na kiju i prawą nogę postawił na wysokim stołku. Kobiety podniosły Maćka i posadziły na ziemi. Maciek nie próbował oporu: wiedział od dziedzińistwa o tém, że powinien poddać się każdy, komu baby postanowią odczynianie. Chciał przyklęknąć, ale siły go opuściły i upadł na twarz.

— Niech spocznie—powiedziała stelmaszka.

Hanka, Jantek i Zośka wybuchnęli płaczem. Maćkowa uciszyła dzieci, grożąc im pięścią. Maciek stękał głośno.

— Słuchajcie, Jarmoł, albo tak, albo nie!—odezwał się Bratosz.

— Maciek, dyć ty ratunku nie chcesz!—wołała żona.

— Trza się kwapić, bo i tak już uroki się zmocowały — dodała stelmaszka.

Chory z ogromnym wysiłkiem począł czołgać się po ziemi; przesunął się pod nogą Bratosza, opartą na stołku—i zemdlał.

— Wychodzi z niego! – krzyknęła stelmaszka.

— Nie ruchać, niech wyjdzie!—rzekł stary.

Czekali tak przez chwilę: Maciek nie poruszył się.

— O Jezu! trza go budzić!—prosiła Maćkowa.

— Tera można, pozwolił stary—dać octu albo pióro.

Znalazło się kilka kropli octu na dnie brudnéj flaszki, a Hanka podała jakieś wystrzępione piórko. Jedna z kobiet wylała ocet na usta chorego, druga zatliła pióro i gryzącym dymem wionęła mu koło nosa; na ostatek któraś z nich umoczyła rękę w konewce wody i polała twarz Maćka.

— Nie trza wody, bo się z chłodzi—upomniał Bratosz.

Ocucił się Maciek. Wtedy stelmaszka wzięła go pod ramiona, a Maćkowa popychała — jak się trafiło, i przeczołgał się biedak w ten sposób jeszcze dwa razy dokoła stołka, a zawsze tak, żeby się znaleźć pod nogą Bratosza. Trwało to długo, bo Maciek czołgał się o tyle, o ile go kobiéty popychały i ciągnęły. Następnie położono go napowrót na łóżku.

Jak go położono, tak leżał, zdrewniały, prawie nieżywy.

— Prędko mu odejdzie?—zagadnęła Maćkowa.

— Łaski Boskiéj się pytać—odburknął Bratosz.

— Ach! Boże miłosierny!—westchnęły obie baby.

Powracającego do wsi Bratosza zaczepił kowal.

— Bardzo tam Jarmoł słaby, co?

— Jego się pytać—odparł stary.

— Przecieżeście go widzieli.

— No, to co?

— No, to gadajcie!

— A cóż to ja wasze kowadło a wy młot?

— Odczynialiście mu?—badał kowal.

— Musi wam z tego nic...—rzucił stary i przyspieszył kroku.

— Słuchajcie!—wołał za nim kowal—poradźcie co Paklepowéj kobyle, bo chce zdychać!

— Psia para! — mruknął Bratosz, nie oglądając się na kuźnię — nie wierzy w moc Boską, surdutowy!

Wieczorem, przy dawaniu dyspozycyi gospodarskich, dziedzic zagadnął ekonoma: co tam z Jarmołem słychać?

— Chory, proszę pana.

— Lepiéj mu, czy gorzéj?

— Tego nie wiem, bom nie był u niego.

— Trzeba było pójść: powinieneś pan wiedziéć, co się z fornalami dzieje.

— Zeszło mi, proszę pana łaski, bo to z tą dereszką... łeb mam rozkotłowany...

— A tak, wywichnęliście dereszce nogę przy wyciąganiu z błota — i cała rzecz!

— Już ja ją wylécze; żeby tam nie wiem co!—zapewnił ekonom.

Dziedzic machnął ręką, co p. Trąbkiewicza bardzo ubodło, ponieważ gumienny stał obok.

— Dereszki proszę nie ruszać; sam jutro się nią zajmę—kończył dziedzic—do Jarmoła zajść i powiedziéć, żeby baba po lekarstwo przyszła, albo do doktora go wiozła, a jeżeli zdrów — niech idzie do jakiéj roboty.

Ekonomowi pilno było na kolacyę, zdał więc resztę na gumiennego.

Mateusz stanął na progu izby Jarmołów w chwili, kiedy cała rodzina siedziała przy wieczerzy.

— A gdzie Maciek?—spytał.

Maćkowa wskazała ręką łóżko.

— No, niech ta będzie koniec tego słabowania, bo pan gadał, żebyście do roboty szli jutro.

— Czy wam rozum odebrało, czy co?—zawołała kobieta—dyć on z pościeli zwlec się nie może!

— Mnie do tego nic, ja to oddaję co mnie podane.

— Łże on!—krzyknął Wojtek—pan tak nie gadał.

— A ino co, ty kundlu? oburzył się Mateusz.

— Samiście się z tym cholerą okumonem zmówili — odparł chłopak.

— Ja ci przypomnę te wywoływania!—pogroził gumienny.

— Mateuszu...—jęknął chory.

Gumienny zbliżył się do łóżka.

— Słuchajcie — ciągnął cicho Maciek — ja strasznie kiepski jestem... miejcie sumienie... zakaszlał i nie mógł mówić daléj.

Mateusz stropił się. Maciek wydał mu się bardzo słabym.

— Czemu wy, Maciejowa, do pani po lekarstwo nie idziecie?

— Co lekarstwo pomoże, kiedy to uroki!—odparła kobieta.

— Uroki powiadacie...—i gumienny zamyślił się—uroki—mówił po chwili — ha, to insza rzecz... to ci dopiéro!... no... no... a jużci...— I wyszedł cicho z izby.

Na noc Maćkowa oddała dzieci do stelmaszki; pomimo to chory spać nie mógł, gorączka wzmogła się, ale osłabienie go uciszyło: nie wołał i nie narzekał.

Kiedy się rozwidniło i Jagna przyszła do męża, aby go namówić na krupnik, miała bowiem jeszcze ostatni kawałek cielęciny — przelękła się:

— Ola Boga! czegóż ty masz oczy zamknięte?

Chory rękami tylko ciężko poruszył.

— Ja nieszczęśliwa! toć on, musi, umiérać będzie!

A kiedy Maciek nie odzywał się jeszcze, porwała go za ramię i wstrząsnęła nim:

— Odezwij się! czy ty nie widzisz, że mnie ze strachu dech zaparło!... Będziesz jeść? gadaj... chcesz to ci kurę zabiję, byleś jadł...

Chory otworzył oczy.

— Daj spokój, Jagna—wyszeptał—nie mogę jeść... mnie po tamtem jadle gorzéj... ciężko...

Maćkowa załamała ręce i, nieprzytomna prawie, pobiegła do owczarza.

— Miejta zmiłowanie! — wołała we drzwiach, — odczynianie na nic, wszyćko na nic! Może zielem trza obkadzić, może co!

Kowal widział owczarza idącego z Maćkową, dostrzegł, że niosą zioła i domyślił się, że chory ma się gorzéj. Poszedł ku dworowi i spotkał szafarkę koło chlewów.

— Pani Purchalska, kiepski interes! — rzekł.

— Co tam znowu, panie Aleksander?

— Jarmoł słaby, we dworze nie wiedzą, a baby, z przeproszeniem, psim swędem go na tamten świat zaprowadzą.

— Nie wiedziałam, Święci Anieli, nie wiedziałam o niczem!—dziwiła się szafarka—a jemu co jest?

— Zapalenie—odparł kowal.

— Zapalenie!... A czego zapalenie?

— Jakto czego? co pani znowu! To pani nie wié, że zapalenie jedno jest a nie dwoiste! Ono jest w krwie—i już...

Szafarka uczuła się dotkniętą; odezwała się więc ironicznie:

— Tam się pan Aleksander akurat zna...

— No, no! pani Purchalska tyle w życiu nie widziała zdrowych chłopów, ile ja chorych widział w łazarecie.

— Ha, ja przy chorych, Bogu dzięki, nie bywała—rzekła.

— Ja dla pani życzę zawsze zdrowych, a młodych ..

— Panie Aleksander, bardzo proszę!...

— Dziękuję, pani Purchalska, ja nie od tego...

— Będziesz pan Aleksander widzieć!...

— Jak co dobrego, to rad zobaczę.

— Doprawdy że się pogniéwamy, bo to także...

— To ja przed Wielkanocą przeproszę.

— E, bodaj pana! Gdzie tam kto z takim ładu dojdzie! — i pani Purchalska widocznie była w dobrym humorze — ale cóż tu z tym Jarmołem?

— Dołożyć panu, może do łazaretu odwiozą.

— Święci Anieli! co parobkowi po jakimś załarecie? przecie moja pani różne lekarstwa ma.

— Tak dawaj choć i te lekarstwa... a porządek powinien być swoim porządkiem.

Szafarka natychmiast opowiedziała pani o chorobio Maćka; pani powiedziała mężowi; uradzili oboje, że trzeba pójść do chorego. Przymrozek był ostry, błoto zamarzło, poszli. Znaleźli w izbie powietrze okropne: zaduch od rozpalonego na kominie ognia, łączył się z silnym zapachem kapusty i gryzącym swędem spalonego ziela, z którego resztki dymu rozścielały się jeszcze pod pułapem.

Chory krztusił się i chwytał powietrze tak gwałtownie, że słychać było wyraźnie rzężenie w piersiach.

— Zanadtoście nakadzili—odezwała się pani—ten dym aż dusi.

— E, to nieszkodzący, wielmożna pani—objaśniła Maćkowa—to ze święconego ziela.

Pan zaczął robić wymówki: że nikt nie przyszedł do dworu prosić o pomoc lub o sprowadzenie doktora.

— Wielmożny panie, do Rasiaka albo do Kalniakowéj dziewuchy i doktór jeździł i pan sam płacili japtykę, i nie pomogło! kto miał umrzéć—to i pomarł.

— Ale nie rachujesz tych, których doktór wyleczył: żona Aleksandra, chłopak Mateusza, pamiętasz?

— Wola Boska!—westchnęła Maćkowa.

Miało to oznaczać: gadaj ty swoje, a ja wiem swoje.

Pani tymczasem zobaczyła kawałek mięsa na misce i wzięła miskę do rąk.

— To dla niego — płaczliwym głosem mówiła Jarmołowa — samam chodziła, samam kupowała... trochę zjadł, a tera więcéj nie chce.. miałam na krupnik nastawić..-

— Bójcie się Boga! — zawołała pani — to mięso nieświeże, już śmierdzi...

— Odrobinę go słychać — spokojnie odpowiedziała Maćkowa — cóż poradzę? Żeby go był chciał odrazu zjeść, toby się było nie zatęchło... Tera musi już i tak być... Nie chce on, to dzieci zjedzą.

Wyszli państwo, a po drodze zawołali furmana i kazali po doktora do miasteczka jechać. Furman, otwierając wozownię, odezwał się:

— Oni tę „młynarkę" na śmierć zamęczą...

— Kto taki?

— A nie kto inny, jak tylko ekonom z tym chłopem, tam, za stodołą.

Pani poszła do domu, pan na gumno.

Za stodołą odbywała się operacya nastawiania nogi dereszce. Operatorem był stary Bratosz, pomocnikiem — Paklepa, dozorował pan Trąbkiewicz.

Dereszka miała zdrową przednią nogę zgiętą i przywiązaną postronkiem, koło pęciny okręconym, do szyi; stała więc na trzech nogach. Przed klaczą położono klocek sosnowy. Chodziło teraz o to, żeby dereszka przeskoczyła przez klocek, a tém samém silnie stąpnęła chorą nogą, która wskutek tego miała „wejść na swoje miejsce."

Bratosz ciągnął biedne zwierzę za uzdę, a ekonom z Paklepą podcinali je z tyłu: pierwszy harapem, drugi biczyskiem.

Podcinanie było poprostu biciem. W chwili, kiedy pan miał zdaleka wołać, żeby nie mordowano konia, dereszka zebrała resztę sił, uniosła się na zadzie i chciała skoczyć; ale spracowane muskuły odmówiły posłuszeństwa: zachwiała się i padła na klocek. Podniósł ekonom harap, podbiegł pan, krzycząc:

— Nie bij!

Dereszka podkurczyła nogi, potém je wyprężyła silnie, szyję wygięła, głową uderzyła o ziemię i odetchnęła głęboko.

Chrapy miała rozdęte, zęby wyszły z pod warg, a szkliste oko, otwarte, patrzyło nieruchomie... Zdechła.

Furman nie znalazł doktora w domu; doktorowa kazała mu czekać, zapewniwszy, że mąż zaraz nadjedzie; skoro jednak nie nadjechał do południa, furman powrócił do dworu. Wysłano go znowu po obiedzie; doktora jeszcze nie było; kucharka powiedziała, że pojechał do Klinków.

Paweł podążył do Klinków, ponieważ kazano mu nie wracać bez doktora. Dowlókł się na piątą, bo droga była fatalna.

Korzystając właśnie z téj złéj drogi, najbliżsi sąsiedzi zjechali się na winta, a doktora sprowadzono „na czwartego" pod pozorem, że dzieci mają chrypkę. Doktor przyzwyczajony był do takich kombinacyi:

rozumiał dobrze, że gdyby nie wint, dzieci nie miałyby częstych chrypek i nie opłaciłoby się mieszkać w miasteczku.

— Cztery trefle! — zadeklarował pan Pysiewicz.

Walek, podejrzanéj powierzchowności kredencerz, stanął w progu.

— Proszę pana...

— Czekaj, ośle... nie przeszkadzaj! — zreflektował go gospodarz.

Tymczasem pan Klapsiński, swoim zwyczajem, nie odebrał przeciwnikom atutów, skutkiem czego ósemka treflowa, zostawiona u doktora, zabiła króla karowego.

— Bez jednéj! — tryumfował gospodarz.

Pan Pysiewicz wyciągnął ręce i trzęsąc niemi nad stołem, czynił gorzkie wyrzuty panu Klapsińskiemu.

— Kiedy bo panu, jak Boga kocham, tych atutów zawsze tak żal, jak nie wiem czego!

— Ta-a-ak! więc miałem bez końca atutować?

— A bez końca...

— Zapewne! a ich piki późniéj pięścią bym bił?

— A pięścią.

— E, proszę pana, to żadne gadanie!

— Może być, ale téż i taka gra, to gorsza, jak na bębnie!

Walek nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

— Czego stoisz? — spytał gospodarz.

— Konie z Rudki po pana doktora przyjechali.

Doktor się zerwał, ale gospodarz uprzedził go, a wróciwszy, objaśnił, że nic wielkiego, bo tylko parobek chory.

— Władysław ma manię leczenia fornali — dodał — byle którego palec zabolał, już po poktora.

— Dla mnie to lepiéj — uśmiechnął się doktor.

— Parobek nie ocenia takiéj opieki — dorzucił pan Klapsiński.

— Co taki drab rozumie! — pochwycił pan Pysiewicz, rozgoryczony wypadkiem z treflami. — Władysław psuje ludzi, a oni sobie z niego kpią i kwita.

Doktor zachował się politycznie, bo powiedział:

— No, to mnie... tego... wypada jechać...

— Przecie się nie pali! — zaoponowali wszyscy — godzinka zwłoki nic nie stanowi, a partyę trzeba skończyć.

Skończyli partyę, ale o siódméj; potém wypili herbatę, a doktor siadł na bryczkę po ósméj. Wieczór był ciemny, konie szły z trudnością po grudzie; noc była, kiedy stanęła bryczka przed ósmakiem w Rudce.

Maćkowa nie spodziewała się już doktora; potrącała go téż z wielkiego pośpiechu przy szukaniu zapałek, narzucaniu parcianki i podsuwaniu stołka. Doktor zrzucił futro, dał je do trzymania kobiecie i postąpił do łóżka chorego. Wtem spory wieprzak zerwał mu się prawie z pod nóg i o mało go nie obalił. Doktor wpadł w pasyę.

— Jak możesz, głupia babo, trzymać świnie w izbie? Jest z was tu dosyć smrodu, jeszcze świnie wpuszczasz!

— Tu nie ma świń, proszę wielmożnego doktora — odparła z wielkim spokojem Maćkowa — żadnych świń nie ma, ino ten jeden wieprzak, bo on cościć słaby, a w chléwku zimno na niego.

— Jéj nie mąż w głowie, ale wieprzak! — piorunującym głosem zawołał doktor — pojęcie przechodzi, co to za bydło!

Gniéw doktora przechodził także pojęcie Maćkowéj: mąż — mężem, wieprzak — wieprzkiem; nie godzi się zapominać ani o tym, ani o tamtym... Musiała niechcący coś źle objaśnić. Pocałowała rękaw doktorskiego paltota dwa razy.

Doktor opukał Maćka.

— Nietrzeba było tak wiele jeść... żołądek wzdęty...

— Ola Boga! na tylego chłopa żeby za wiele jadła było! — zawołała kobiéta — a toć on tak zasłabł bez to, co jeść nie może.

— Cielęciny mi dała — wystękał chory.

— No, to co? — przerwała Maćkowa — sama pani widziała dziś na misce i gadała, cobyś jadł, bo całkiem zatęchnie.

Doktor uznał za stosowne nie wdawać się w dalsze rozprawy, narzucił futro i rzekł:

— Będziecie mieli z apteki dwa lekarstwa: jedno — proszki — brać co godzinę, wziąć tych proszków dwa, a potém...

— Oj, nie spamiętam... — przerwała kobiéta.

Nie było rady: należało jechać do dworu i tam sposób leczenia przepisać. Tak też doktor uczynił.

— Ostre zapalenie płuc — objaśnił państwa domu — przytém z żołądkiem niedobrze... stan dosyć groźny...

Pani przyrzekła, że sama dopilnuje dawania lekarstw. Nie zatrzymywano doktora długo; wypił szklankę herbaty, przeprzężono konie, odjechał.

Było już koło północy, kiedy furman dzwonił do apteki. Zaspana kucharka rozpytała się go przeze drzwi: skąd, dla czego tak późno i kto chory.

— Aptekarz pojechał do Lublina, a pomocnik jest u pisarza gminnego na imieninach.

— To idźcie po pomocnika — rzekł furman.

— Jedźcie sami, kiedy konie macie — ofuknęła baba.

— Jakże ja od koni w nocy odejdę?

— Dajcie mnie spokój! Myślałby kto, że sam hrabia chory! — i odeszła.

Paweł klął, na czém świat stoi, ale podjechał pod gminę. Ganek był zamknięty, dzwonka napróżnoby kto szukał; przez okienice dobywało się szparami światło. Paweł założył lejce na słup parkanu, podszedł pod okno i zaczął bębnić w okienicę. W sieni pies zaszczekał, a po chwili ktoś drzwi ganku otworzył z hałasem i krzyknął:

— Kto tam?

Furman pośpieszył zameldować, ale nie dokończył.

— Idź precz! — odezwał się ten sam głos, a osoba delikatnie przemawiająca zniknęła, ryglując drzwi za sobą.

Paweł, wróciwszy do domu, zobaczył światło w okienku Jarmołów, zastukał w szybę biczyskiem i Maćkowéj, która do niego wybiegła, oddał recepty, wytłómaczywszy swoją niefortunną do apteki wyprawę.

— Poślijcie rano Wojtka; ja mu kuca dam.

— Grosza nie mam... — zaczęła kobiéta.

— Na kartce napisano, żeby apteka na dziedzica rachunek dała; niech tylko Wojtek leci.

Maćkowa do białego ranka spać już nie mogła, bo chory jęczał okropnie. Przestraszona kobiéta sprowadziła do izby Ładniaczkę, stelmaszkę i owczarkę; siedziały we cztery przed kominem, paliły ogień, żeby im raźniéj było i radziły, a każda z nich co innego gadała. Zdawało się, że każda sama z sobą rozmawia.

— Odczynianie odczynianiu nierówne — mówiła stelmaszka — inszemu pomoże takie, a inszemu inaksze; a żeby nijak nie pomogło, to nieprawda, ino wiedziéć trza, jak robić, żeby się nie sprzeciwiło...

— Kiedym gadała, żeby wypluł, to nie wypluwał — mruczała stara pastuszyna — onoby odeszło od zamówienia, a nie odeszło... jakże miało odejść, kiedy nie wypluł?

— Kadzić, nie kadzić — ciągnęła owczarka — a trza spamiętać, żeby się w chałupie drzwi nie przetwierały, bo święcony dym wypuszczać na dwór — grzéch wielki...

— Oj, żeby on choć okruszek czego jeść zechciał! — skarżyła się przeciągłym głosem Maćkowa — com się naprosiła... com ja się jego naprosiła...

Szarzało już na dworze. Kobiéty mówiły coraz mniéj, coraz wolniéj i ciszéj; ogarniała je senność nieprzeparta. Wtem nagle chory zawołał wyraźnie:

— O, Jezu!

Zerwały się z ławy i stanęły na środku izby.

— Wypadnie musi po księdza jechać, bo ono to z tego będzie śmierć — spokojnie odezwała się Ładniaczka.

— Jużcić przez księdza niemożna — potwierdziła owczarka.

— Lećta po konie do okumona — rzekła stelmaszka.

Maćkowa zarzuciła chustkę na głowę i poszła. Kobiety czekały jéj powrotu, sprzeczając się po trosze w kwestyi: kiedy śmierć może nastąpić.

— On zara skończyć nie skończy—dowodziła stelmaszka — wymordują one, choć i uroki, człowieka wprzódy, nim z niego ducha wytrzęsą, oho!

— A jak mu od zamawiania na trzeci dzień pomoże, to co? — przerwała pastuszyna. — Trzęsie go i morduje, jak frybra, a jak go puści, to co?

— Od zamawiania niby go puści? — wtrąciła owczarka.

— A bo nie?

— Musi nie.

— To od okadzania miało mu odéjść? To wasz, choć i mąż, ma być znający, on ino jeden jednością?

— A jakbyście wiedzieli, że tak; on i proszki sam se potrafi złądować od gorączki.

— Dajta spokój — rzekła stelmaszka — czy mu przez proszków umiérać, czy z proszkami, to jedna śmierć.

— Aby choć do świętéj spowiedzi doczekał.

— O jéj! doczeka...

— Może mu po księdzu ustąpi?

— Po księdzu, powiadacie? Może być.

— Żeby choć stary ksiądz chciał przyjechać, a nie wikary.

— Abo wikary co?

— Zawdy stary lepiéj na śmierć spowiada, jak młody.

Wtém weszła Maćkowa.

— A prosiliście, kumo, desków na trumnę? — spytała stelmaszka.

— Oj, musi suchych nie ma! — odezwał się stłumiony głos Maćka.

Maćkowa zbliżyła się do łóżka i mówiła lamentująco:

— Co ty się, nieboże, frasujesz o deski! Ty się frasuj bez to, co my się tu, sieroty, na świecie szerokim przez ciebie ostaniemy... Ty se spomnij na kobiétę i na dzieci... My się ostaniem przez kapki mleka, bo i krowinę trza będzie spuścić, a tobie pogrzeb zrobić, i światła nie

skąpić, i poczęstunek zastawić, żeby se ludzie gęby nami, sierotami, nie wycierali po próżnicy...

— Wy się o trumnę nie bójcie — przerwała stelmaszka — mój Paweł i desków zdrowych zdybie i zrobi jak się patrzy: jemu to nie pierwszyzna.

Wszedł do izby Szuraj.

— Po księdza jadę; furman przypomniał, żebyście dali kartkę doktora do apteki.

— Na nic już ta japtyka, na nic! — kiwając głową odpowiedziała stelmaszka.

Szuraj podszedł do chorego.

— Co wy zabierać się od nas chcecie? — spytał dobrodusznie. — Macieju, przecieć was jeszcze choroba nie zmoże?

— Nie popuści już ona mnie... ot i baby na śmierć mnie rychtują — spokojnie powiedział Maciek.

— Co ich babski rozum znaczy! — i Szuraj machnął ręką — u baby, jak u kury: jajko znieść i gdakać.

— O! z końskim rozumem zajechał! — oburzyła się owczarka.

— Zabierajma się, kumo — rzekła Ładniaczka — my nie przyszły słuchać publikowania.

Stanęły w sieni i tam głośno rozprawiały.

— Będziecie zdrowi, Macieju — ciągnął Szuraj — nie zawracajcie se głowy śmiercią.

— Gorączka mnie już nie pali — mówił chory — ale dychać nie mogę... łapię dech... a on do wnętrza dolecieć nie chce... niby mnie ziemia w jamie przywaliła...

— Jedźcie po księdza, kumie, jedźcie! — nagliła Maćkowa.

— Mróz wziął, śnieg polatuje — rzekł, wychodząc, Szuraj — ja tu duchem z księdzem przylecę.

W sieni opadły go baby i zasypały wykrzyknikami:

— O! widzita go! Co wy!

Fornal rozepchnął baby, wsiadł na stojącą przed domem bryczkę, a zgarnąwszy lejce, odezwał się:

— Czekajcie no, kobiety, coś wam powiem!

— A co?... Cicho!... Niech gada!... — odpowiedziały chórem.

— Czekajcieże na tém samém miejscu; jak wrócę, to wam dopiéro powiem.

Świsnął batem i odjechał.

— Choroba! — mruknęła, spluwając, pastuszyna.

Dzwonek na gumnie ogłosił czas śniadania. Zeszli się w izbie: Wojtek ze stajni i starsze dziewczyny z obory.

— Ociec musi jutra nie doczekają — powiedziała Maćkowa, stawiając miskę.

— Ale ot! — rzucił Wojtek pogardliwie — Ładniaczka szczeka, a wy jéj wiarę dajecie. Na tatula jeszcze robota patrzy.

Maryśka przysunęła się do ojca, popatrzała, schyliła się i pocałowała wyciągniętą na sukmanie rękę.

Chory szepnął:

— Niech ciebie, dziecko, Pan Jezus...

Dziewczyna nie słyszała nic więcéj, bo zakryła oczy rękawem i wybiegła z izby. Poszła do maszyny bez jadła.

— Co jéj się zrobiło? — spytała matka.

— Co się miało zrobić? gzi się koza!... — odparł Wojtek.

Po śniadaniu chłopak udał się do roboty, na gumno, a Kaśkę zatrzymała Maćkowa dla porządkowania w chałupie. Ksiądz miał być: należało wszystko urządzić, jak na święto. Jedna zamiatała, druga — zatknąwszy starą miotłę na grabisko — zgarniała pajęczyny ze ścian i z pułapu. Otworzyły na oścież drzwi do sieni, bo kurz zasłonił całą izbę. Wyszedł kurz, ale z nim razem ulotniło się i ciepło; wychłodziła się izba tak, że para leciała z ust przy oddychaniu. Chory usiłował okryć się kożuchem, który prawie cały z łóżka na ziemię zwisnął, ale mu się to nie udało. Kobiety w gorączce sprzątania najzupełniéj o nim zapomniały; nie byłyby słyszały jego głosu, gdyby był nawet o co cicho prosił. Po wyrzuceniu śmieci na dwór, przyszła kolej na zmywanie stołu, stołków i ławy; nareszcie nastąpiło zbieranie po kątach starych przyodziewków i szmat. Wszystko, co było zbyteczne w danéj chwili, wsunięto pod łóżko lub za piec. Z tym piecem także kłopot: do połowy zakopcony. Kaśka pobiegła do Paklepiny po białą glinę. Maćkowa poszła wezwać bab do pomocy, ażeby ubrać chorego.

Kiedy Kaśka bieliła piec, komin i kapę, kobiéty zajęły się Maćkiem i pościelą.

Jarmułowa zaczęła wołać płaczliwym głosem:

— Już ja tobie, nieboże, ostatni raz koszulinę dostała, już ty się dziś ostatni raz przede śmiercią obleczesz!...

— Cichojcie — upomniała Ładniaczka — niemożna teraz gwałtować, aż dopiero po księdzu.

Podniosły chorego i posadziły na łóżku: jedna go podtrzymywała, aby się nie osunął, inne go ubierały.

— Jaki to z niego zdrów chłop był, a jak tera wymizerniał — mówiła stelmaszka, kiedy wciągały koszulę na wyżółkłe, trzęsące się ciało Maćka.

— Nic w nogach siły nie ma — dorzuciła owczarka.

W rzeczy saméj te nogi nagie, zwieszające się z łóżka, zdawały się nie należéć do żywego człowieka — zsiniałe, sztywne.

— E, on już i w ręcach kiepski...

Ręce, przy wkładaniu ich w rękawy, łamały się, jak z trzech drewnianych kołków złożone.

— Straśnie gęba poczerniała...

— To nic, to Kasper, jak tak roku umiérał, to dopiéro był czarniusieńki, jak święta ziemia!

— O, sczernieje i on, chudzina, sczernieje! — zapewniała Maćkowa.

Maciek słyszał wszystko i rozumiał, bo od czasu do czasu otwierał przymknięte oczy i przytomne rzucał spojrzenia; na twarzy jednak nie malowało się żadne poważniejsze uczucie, prócz wielkiego zmęczenia; rysy były jakby zastygłe w obojętności. Kobiéty poruszały nim, jak rzeczą martwą: nie odzywał się wcale.

Kiedy go posadziły na stołku, aby przesłać łóżko, ledwie go mogły we dwie utrzymać pod ręce; głowa opadła mu na piersi i tylko ciche rzężenie przekonywało, że żył jeszcze.

Powietrze w izbie było równie zimne, jak w sieni: chory skostniał i stężał na tym stołku. Skończyło się nareszcie słanie: świeża płachta pokryła łóżko, a na brudną wsypkę poduszki weszła nowa poszewka perkalowa, w pasy białe i czerwone, w zagadkowe jakieś kwiaty.

Kobiéty odniosly Maćka na łóżko, wyciągnęły mu nogi, wyprostowały ręce, nakryły sukmaną i kożuchem i stanęły rzędem, wpatrując się w tę twarz zzieleniałą, bez życia.

Nagle wydało się Maćkowéj, że przestał oddychać.

— La Boga! on już pomarł! — krzyknęła przeraźliwie i wyciągnęła ręce, gotowa rzucić się na łóżko.

Chory westchnął. Westchnienie to było jak cichy prześwist wiatru, przeciskającego się przez niedostrzegalną szparę.

Owczarka przytrzymała Jarmołową za rękaw.

— Przecieć zipie, słyszycie? — zawołała.

— Chodźcie — rzekła pastuszyna — zabierzcie chusty, w mojéj chałupie obleczecie się z Kaśką: nie wypada tu izby zalewać, a nam się trza opłókać.

Spotkały się we drzwiach z szafarką.

— Patrzcie państwo! czemuż tu takie zimno? — zaczęła żywo pani Purchalska — wino mam od pani dla chorego, dam mu zaraz, ale wy w piecu palcie, tak niemożna...

— My tu izbę sprzątały, paniusiu złocista — objaśniła Maćkowa — niegośmy czyścieńko ubrały i łóżko posłały; ksiądz przyjedzie...

— Ksiądz? to dobrze, to bardzo dobrze, palcie że w piecu.

— Nie godzi się ognia palić przed Sakramentem, paniusiu.

— No, to wino dam na rozgrzéwkę...

— Jakże to? przed spowiedzią?

Szafarka nie znalazła narazie odpowiedzi. Przystąpiła do łóżka:

— Co? on śpi? — spytała. — Święte Osoby! ależ on zbiédniał dopiéro! cóż wy jego tak zniańczyły?

I nie czekając, zwróciła się do kobiét:

— Gdzie wy teraz miały iść?

— Ocharużyć się trochę; ksiądz przyjedzie, my nie odziane...

— No, to idźcie że, idźcie, ja zostanę.

Wyprawiła kobiéty, wyciągnęła z pod chustki butelkę z winem i zbliżyła ją do ust chorego.

— Macieju... mój Macieju... — powtórzyła parę razy.

Maciek otworzył oczy.

— Poznajecie mnie?

Skinął nieznacznie głową.

— Wypijcie że wina... pani przysłała... sił przybędzie.

Chory otworzył usta i wypił chciwie kilka łyków.

— Co, dobre?

Potwierdził mrugnięciem powiek.

— Zimno... — jęknął.

Otuliła go kożuchem, jak mogła najszczelniéj, poprawiła głowę na poduszce i jeszcze kroplę wina wlała do ust.

— Ja wam — mówiła — herbaty gorącéj przyniosę i bab się nie będę pytać i sama księdzu powiem...

Postawiła butelkę na oknie i wyszła, zdążając szybko ku dworowi, a przez drogę, swoim zwyczajem, rzucała głośno oderwane wyrazy:

— Komedya... jak szczęścia pragnę!... W rękach im zesztywniał... zamęczyły.... pierwszy raz widzę... ale, gdzie tam pierwszy! co mówię! Święte Osoby!...

Kiedy się u pastuszyny kobiéty umywały i zmieniały odzież, dzieci, korzystając z zamieszania, wymknęły się niepostrzeżenie i pobiegły do swojéj izby. Hanka pierwsza uchyliła drzwi, ciekawym, trochę wystraszonym wzrokiem obrzuciła wszystkie kąty i wsunęła się do środka; za nią wcisnęły się Jantek i Zośka.

Stały dzieci czas jakiś, przytulone do siebie, nie śmiejąc się poruszyć. Po chwili Zośka wyciągnęła rękę i wskazując na łóżko, zapytała:

— Tata tam?

Hanka skinęła głową.

— Tatu, tatu! — zawołała głośno maleńka.

— Css... cicho!

I Hanka zamknęła jéj usta ręką.

Ale Jantek zdobył się na odwagę:

— Tatu, dajcie bata!

I podbiegł do ojca.

— Jantek! — odezwał się Maciek.

Dziewczynki stanęły także przy łóżku. Maciek położył rękę na głowie chłopaka, który znalazł się tuż koło poduszki.

Ta ręka, oddawna niedomyta, wydawała się teraz prawie białą.

— Tatulu, bata! -- powtórzył Jontek.

— Nie mam, dziecko...

— Pójdziecie do stajni, tatulu?

— Nie...

— A kto da koniom obrok?

— Nie wiem...

— A który koń lepszy: kaštan, czy siwy? Ja gadam, co kaštan...

— Siwy, siwy! — pisnęła Zośka.

— Który lepszy, tatulu?

Maciek nie odpowiedział; ciężką ręką próbował pogłaskać ogromną czupryne Jantka, ale sztywne palce zaplątały się we włosach. Chłopak usunął się, ręka Maćka opadła na krawędź łóżka; chwyciła ją Zośka i poczęła wydrapywać się na posłanie.

— Posadź ją, Hanuś... — wyszeptał Maciek.

Hanka posadziła małą obok ojca. Zośka przytuliła się do piersi chorego, ale zaraz podniosła główkę:

— Tatu, co tam siedzi za pazuchą?

— Nie ma nić — powiedziała Mańka.

— A kiedy tam coś jargoce...

— W piersiach tak gra... — rzekł Maciek.

— Ale wy nie będziecie umierać, tatulu? — spytała Mańka.

— Bóg wié...

— A jak was pochowają, tatu, to kto zrobi bat abo wózek? — pochwycił Jantek.

— Abo obazanka chto kupi? — dorzuciła Zośka.

Maciek poruszył głową i wpatrzył się w dziecko. Trochę mu twarz zadrgała, kilka razy opadły powieki i dwie łzy stoczyły się powoli na wąsy.

— Hanuś — szepnął.

A gdy ta nachyliła się tak, że prawie dotykała uchem ust jego, mówił do niéj z widocznym wysiłkiem:

— Pilnuj małych... matki słuchaj... w kieszeni kożucha sznurek... zrób Jantkowi bat...

Hanka znalazła sznurek, wyciągnęła z za pieca patyk, zrobiła bat. Uszczęśliwiony chłopak uwijał się po izbie, Zośka zsunęła się z łóżka i — niby koń — biegała przed Jantkiem.

Hanka znowu do ojca podeszła i dojrzała łzy, wypływające z zamglonych oczu.

— Czego wy, tatulu, płaczecie?

Usiłował objąć ją drżącą ręką.

— Słuchaj matki... Hanuś — powtórzył ledwo dosłyszanym tchem — małych pilnuj... gdzie Maryś?...

— Na gumnie, tatulu.

— Poszukaj... może zwolnią... matuli wołaj...

Hanka wybiegła, rada, że na gumno wyskoczy; upomniała Jontka, żeby batem nie trącał Zośki.

— Tatulu — zaczął chłopak — stelmaszka mówili, co Paweł będzie trumnę robić...

— La kogo tlumnę? — przerwała Zośka.

— Dla tatula. Ale wy, tatu, nie leźcie w trumnę, bo was pochowają, jak Kaspra.

— I bedo dźwonić i bedzie ksiądz? — wołała maleńka.

— Wy się, tatu, nie dajcie brać księdzu! — ciągnął Jantek.

Maciek poruszył się cały na posłaniu i westchnął silnie.

— Nie bójcie się, tatulu, my was nie damy!

Zośka zaczęła się śmiać i powtarzała, podskakując:

— Nie dam tata, nie dam!

Wtem zaturkotała bryczka w opłotkach. Dzieci rzuciły się do okna.

— Szuraj! — krzyknął chłopak — Szuraj z księdzem!

Pobladł malec; znać było przestrach w błękitnych oczach.

— Nie daj, Jantek, tatula! — powtórzyła jeszcze mała, a głos już płaczem nabrzmiewał.

Jantek ścisnął ją silnie za rękę.

— Zośka, cicho bądź, słyszysz! — szeptał jéj do ucha z wielką mocą i pewnością siebie — pamiętasz, jakeśma marchew rwali?

Zośka trzęsła się już ze strachu.

— Pamiętasz, jak nas gumienny gonił?

— Pamiętam — odezwała się mała.

— My się zamknęli w chałupie... gumienny stukał i poszedł, i nic nam nie było!

— A nic — powtórzyła Zośka.

— Tera tak będzie, jak wtedy!

I chłopak zamknął drzwi drewnianą zasuwą.

— Nie obzywaj się, Zośka, słyszysz? Postukają i pójdą... nie znajdą tatula...

Turkot ustał: bryczka zatrzymała się przed ośmiorakiem.

— Schowajmy się! — rzucił Jantek.

Zajrzeli za piec, zajrzeli pod ławę, poczém jednomyślnie poskoczyli do łóżka. Jantek podsadził Zośkę, wdrapał się za nią i oboje wsunęli się pomiędzy leżącego Maćka i ścianę. Skurczyli się, w kłębek się prawie zwinęli i schowali się z głowami pod połami kożucha i sukmany, któremi okryty był ojciec.

Maciek w téj chwili drgnął silnie całém ciałem i znowu westchnął bardzo głęboko.

W sieni dały się słyszéć głosy kobiét; poruszyła się klamka, ktoś pchnął drzwi, ale te się oparły.

— Pewnie dzieci tam są...

— Hanuś, otwórz! — zawołała Maćkowa.

Znowu próbowano klamki, zaczęto stukać, dobijać się. Niecierpliwe szepty napełniły sień całą; lękano się wołać głośno, bo ksiądz stał na dworze z Panem Bogiem.

— Bośta same pewno, wychodząc, zamknęły i nie pamiętacie! — odezwał się Szuraj — gdzie klucz od zasuwy?

Napróżno szukano klucza. Ktoś nareszcie przyniósł z kuźni haczyk, którym Szuraj odsunął zasuwę, i drzwi otworzyły się na oścież.

Rozstąpili się wszyscy w sieni i poklękali. Stary ksiądz przeszedł pomalutku pomiędzy klęczącymi i w połowie izby przystanął. Wyjął z rękawa chustkę i położył tymczasowo na stole; potém wydobył z tegoż rękawa małe pudełko drewniane, z pudełka okulary; okulary chustką dokładnie przetarł, dopiéro je nałożył i zbliżył się do chorego.

Rozjaśniły się twarze klęczących kobiét.

— Chwałaż Ci, słodki Jezu! chwała! — wyszeptała Maćkowa.

Zdawało jéj się, że z tym staruszkiem-księdzem jakaś pociecha, jakieś wielkie dobro wstąpiło do izby, i na nią samą spływa i nad wszystkimi się unosi.

— Bóg z tobą, Macieju! — rzekł ksiądz.

Chory milczał. Pochylił się staruszek nad nim i zdawało się, że

go budzi, za rękę nawet go wziął... Ale zaraz potém położył koło téj ręki krzyż, który miał przy sobie, ukląkł i mówić zaczął:

„Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.. ”

W niedzielę, po nabożeństwie, gromadka ludzi stała pod kościelnym parkanem.

— Co jemu było, temu Maćkowi, co jemu było? — zastanawiał się Szuraj.

— Sądzone mu było! — rzekł stary Bratosz.

— I dereszce téż sądzone było — wtrącił kowal Aleksander.

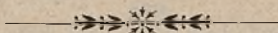
— Szlachcic... — burknął Bratosz i odszedł.

Jan Ko...



ZADANIA PANSTWA

na polu gospodarstwa społecznego.



W każdéj gałęzi wiedzy i pracy ludzkiéj powstają prawie równocześnie z potrzebą codzienną, naukowe rostrząsania danéj kwestyi; teorya postępuje tuż za praktyką. Obok pierwszych znanych ustaw stoją najstarsze komentarze, najdawniejszym wynalazkom i odkryciom towarzyszą mniéj lub więcéj doskonałe dzieła przyrodnicze, kroniki spisują natychmiast wszystkie ważniejsze zdarzenia dziejów, starożytne epopeje i tragedye, malarstwo, rzeźbiarstwo i architektura stwarzają estetykę, rozbudzona wyobraźnia i kontemplacya filozofię i mitologię. Z niczém jednak nie zapoznał się człowiek tak wcześnie jak ze swemi materyalnemi potrzebami, o nic nie musiał się tak starać jak o utrzymanie się przy życiu; przed prawem, literaturą, sztukami pięknemi i przemysłem musiało istniéć gospodarstwo, zdobywanie codziennego chleba. Gospodarowano też od najpierwszych początków ludzkości, w rozmaity sposób zaspokajano swe potrzeby, wykonywano praktycznie całą treść ekonomii politycznéj. Mimo tego nauka gospodarstwa społecznego powstała stosunkowo bardzo niedawno, należy do najmłodszych działów wiedzy ludzkiéj. Przez długie lata nie zdołali sobie ludzie zdać sprawy z jéj zasad, nie umieli uogólnić tego, czém w szczegółach zajmowali się bezustannie, o czém stale i bez przerwy myśleli, o co staczali długie i krwawe walki. Nic więc dziwnego, że

skoro tylko w połowie zeszłego stulecia znaleźli się mężowie, którzy potrafili zanalizować i zgrupować poszczególne zjawiska gospodarcze, ekonomia wyrosła natychmiast w potężne drzewo, zawładnęła tysiącem umysłów i w kilku latach tak obszerną już cieszyła się literaturą, że zapomniano prawie zupełnie o jéj młodocianym wieku, że niedostrzegano już między nią a najstarszemi nawet naukami, żadnéj różnicy. Niestety istniały one i istnieją dotąd. Ekonomia znalazłszy w chwili swego powstania cały niezbędny jéj materyał, mając wszystkie konieczne pierwiastki, mogła wzróść bardzo szybko, mogła wykazać niebywały rozkwit, nie mogła jednak ominąć skały, o którą rozbija się każde przedsięwzięcie pozbawione pracy i doświadczenia. Tak jak gmachy wystawowe powstają w mgnieniu oka i na pozór nie różnią się niczém od domów dobrze zbudowanych, a mimo tego niosą w sobie zaród śmierci, tak i ekonomia przedstawiała się na zewnątrz jako nauka zupełnie skończona, chociaż była tylko pawilonem wystawowym, który należy odbudować od samych fundamentów, jeżeli nie chcemy, aby się zawalił za pierwszym podmuchem silniejszego wiatru. Nad innemi naukami przemyślano wieki, ekonomię stworzono w latach a nawet miesiącach; tam zbadano dokładnie przyczyny i skutki, tutaj popełniono zwykły błąd każdéj powierzchownéj tylko roboty i zjawiskom przypadkowym nadano znaczenie praw wiecznych i niezmiennych, formę uważano za treść, pozory za właściwą istotę duszy.

Błąd pierwotny nie utrzymał się długo. Ekonomiści dostrzegli już wcześnie, że są na fałszywéj drodze, lecz chcąc usunąć dostrzeżone braki popełnili nowe, równie doniosłe błędy, stanęli na stanowisku wręcz przeciwném, także niezgodném z rzeczywistością. Tak jak w życiu codzienném najbardziéj uderzają zjawiska skrajne, nadzwyczajne, nadmiernie wielkie lub niestosunkowo mało, kiedy stosunki zwykłe, typowe uchodzą najczęściéj naszéj uwadze, tak i w nauce gospodarstwa społecznego najznakomitsi pisarze trzymali się ciągle krańców, stali na przeciwnych biegunach, wygłaszali zdania, już wskutek swéj skrajności mylne. Nauka obracała się w błędném kole wręcz sobie przeciwnych, a równie nieprawdziwych doktryn, a kręta i żmudna ścieżka prawdy pozostała ukrytą; nikt nie umiał jéj dostrzéc, a cóż dopiéro na nią wstąpić.

Zbawienny zwrot nastąpił dopiéro w ostatnich latach. Pojawił się nagle cały szereg pisarzy, którzy rozpoczęli badać na nowo zasadnicze prawa naszéj nauki, a pracując *sine ira ac studio*, nie gubiąc się w ostatecznościach i nie szukając poklasku i popularności, które zwykle doktrynom krańcowym towarzyszą, do prawdziwych doszli rezultatów. Nie zaliczając się do żadnéj szkoły, każdéj przyznawali jéj

zalety, a wytykali braki, z każdéj brali to, co jest w niéj dobrego i w ten sposób dali nam przynajmniej niektóre zasady, rzeczywiście kierujące gospodarstwem społeczném.

Praca jednak nie jest jeszcze skończona, znajduje się zaledwie w początkach. Liczne kwestye pozostały bez odpowiedzi, co krok spotykamy się z zagadnieniami wielkiéj doniosłości, których rozwiązania szukamy napróżno w dotychczasowéj nauce. Takie właśnie jest położenie tematu, który nas obecnie zajmuje. O stanowisku państwa w gospodarstwie możemy dotąd bardzo nie wiele powiedziéć, co gorsza żadna teorya nie da się utrzymać, wszystkie cierpią na błąd zasadniczy: niezgodność z rzeczywistością. Jeżeli niniejsza rozprawka zdoła przynajmniéj zbliżyć się do prawdy, jeżeli zaspokoi choć w części potrzebę, dotąd nie pokrytą wcale, tém samém już usprawiedliwi swój byt i pozostanie, czas na nią poświęcony nie będzie stracony.

I.

Sławny nasz Stańczyk, doskonały znawca życia i ludzi, miał raz utrzymywać, że na świecie najwięcéj jest lekarzy. Aksyomat ten da się i dzisiaj, po trzech z górą stuleciach powtórzyć z równą słusznością; i w naszych czasach lekarze tworzą stek najliczniejszy, lecz nie tyle może lekarze chorób fizycznych, ile chorób moralnych i społecznych. Jest to zjawisko bardzo łatwe do wyjaśnienia. Istnieją pewne potrzeby, pragnienia, pewne braki i nieszczęścia, które każdy równomiernie odczuwa, słyszymy pewne hasła i doktryny, które wyciskają piętno na swéj epoce, panują nad umysłami, zaciekawiają każdego. Jakakolwiek sprężyna naszego jestestwa—wyższa, szlachetniejsza lub niższa, bardziéj egoistyczna — szlachetność, chęć ulżenia cierpiącéj ludzkości czy téż zarozumiałość i miłość własna — rodzi w nas przekonanie, że powinniśmy się zająć rozwiązaniem owego pytania, że mamy dość po temu siły, że podołamy temu zadaniu. I oto każdy jest skończonym lekarzem; wyobraża sobie, że dość przyłożyć ręki, aby zapanować nad dostrzeżoną chorobą. Nie każdy jednak ma dosyć nauki, nie każdy jest obznajmiony z anatomią, fizyologią i patologią, stąd nie wszystkie dyagnozy są trafne, nie każde lekarstwo skuteczne. Tu znowu widzimy nowy fenomen. Im kto jest mniéj powołany, im mniéj ma uprawnienia do wygłaszania swego zdania, tém łatwiejszém mu się wydaje leczenie, tém pohopniéj zabiera się do dzieła. Jak człowiek nieoświecony patrząc na lokomotywę lub telegraf, widzi tam tylko koła, kocioł, ognisko, druty i kilka bateryi i nawet w przybliżeniu nie zdoła

ocenić całéj téj pracy myśli i rąk, która wytworzyła te przedmioty, gdy przyrodnik podziwia w nich niespożytą potęgę ducha ludzkiego; jak pierwszy lepszy „lekarz-cudotwórca” nie zawaha się przed żadnym heroicznym lekiem, gdyż nie zna jego doniosłości, a człowiek fachowy zastosuje go chyba tylko w ostateczności, tak też wszędzie im rzecz jest w rzeczywistości trudniejszą i zawilszą, tém wydaje się prostszą i łatwiejszą, tém więcéj znajdują wszyscy na nią środków, tém bardziéj się im zdaje, że dosyć im dać trochę władzy, by wszystko poszło według ich myśli i woli. Stańczyk miał słuszność: choroby, brak zdrowia interesują wszystkich, każdy czuje się powołanym do walki z niemi, a im mniéj ma po temu zdolności, tém większą rozporządza ilością środków; lekarzy jest najwięcéj.

Ochrona zdrowia jest dla ludzkości kwestyą żywotną, lecz wcale nie jedyną. Po za nią mamy jeszcze wiele, bardzo wiele zagadnień równie ważnych, które rozstrząsamy z równém zainteresowaniem, z równą namiętnością. Dzięki tym problemom posiada każda epoka swe charakterystyczne piętno, czy to fanatyzmu religijnego, czy gorączki złota, czy też walki o byt i sporów socyalnych. Im kto mniéj powołany, tém bardziéj czuje się wybranym, tém łatwiéj znajduje odpowiedź na poruszające całą ludzkość pytanie, tém obfitszemi rozporządza środkami, lekarzy jest znowu najwięcéj. Nie mając wyobrażenia o niezmierzonéj liczbie sprężyn i przyczyn, które wywołują dane zjawisko, nie umiejąc ich zbadać, poznać i odróżnić, nowi ci zbawcy ludzkości dają się olśnić pozorom, biorą je za istotę saméj rzeczy, skutek za przyczynę, małą cząstkę za zupełną całość. Złudzeni właściwościami zewnętrznemi sądzą, że zmieniając formę, zmienią i treść, że znaleźli szukane lekarstwo, nie wiedząc o tém, że ono usunie co najwyżéj zewnętrzne objawy choroby, pozostawiając ją samą w najlepszym razie nietkniętą, a częstokroć wzmoże jeszcze jéj grozę i potęgę.

W zupełnie takiém samém położeniu znajduje się dzisiaj tak często i szeroko omawiana kwestya socyalna. Obok wielkiéj liczby potężnych umysłów, które pracują bezskutecznie nad jéj rozwiązaniem, tyle mamy na nią nieomylnych leków, że dość zastosować jedną tylko receptę, aby wszelkie walki socyalne usunąć na zawsze. Trudność leży jedynie w wyborze środka, taka ogromna masa propozycyi leży przed każdym mężem stanu. Przecież kwestya socyalna jest walką o byt, z chwilą gdy każdy będzie zadowolony ze swego losu, socyalizm straci swą racyę bytu, przejdzie na zawsze do historyi, jako sen nieprzyjemny lecz krótki. A cóż łatwiejszego jak zadowolić wszystkich, na to nie potrzeba wiele pracy, wystarczy zupełnie, gdy się wpro-

wadzi równowagę ekonomiczną. Dotąd panuje powszechna zgoda, od tego jednak punktu zapatrywania rozchodzą się bardzo daleko. Ludzie fachowi szukają ciągle owéj równowagi, mozolnie postępują krok za krokiem i powolnie tylko zbliżają się do celu, który jest jeszcze bardzo, bardzo dalekim, tymczasem inni mają projekty doskonałe, wykończone aż do najdrobniejszych szczegółów, któreby nas jednym nagłym skokiem przeniosły w krainy niczém nie zamąconego szczęścia, oszczędzając długiéj i trudnéj drogi po krętych ścieżkach ciągłéj pracy i poświęcenia. Indywidualnych zapatrywań jest bardzo dużo, dwa jednak rdzennie sobie przeciwne zyskały dotąd najwięcéj zwolenników; jedno domaga się zupełnie równego rozdziału środków utrzymania, a więc dochodów i własności, drugie pragnie, by pozostawić wolny bieg naturalnemu rozwojowi dzisiejszych stosunków, przeznacza państwu i społeczeństwu rolę widza w walce prywatnych gospodarstw, chce utrzymać i rozwijać daléj stan obecny.

Na nieszczęście, tak nauka jak i wyższe sfery rządowe zerwały już dziś stanowczo z jednym i drugim poglądem, wybrały drogę inną, zdaniem naszych reformatorów zupełnie fałszywą, wywołały swém mylném postępowaniem owe walki, które wrą dzisiaj prawie w każdém społeczeństwie, wytworzyły samochcąc, chociaż nieświadomie, liczne masy niezadowolonych, hołdujących ideom społecznego przewrotu.

Niestety, mimo bardzo ponętnych obrazów przyszłości, jakiemi nas darzą ci nieuznani dobroczyńcy ludzkości, muszę również stanąć w gronie ich przeciwników, muszę uznać ich projekty za najzupełniéj wadliwe, zdradzające na każdym kroku brak jakiéjkolwiek kwalifikacyi swych twórców na reformatorów i kierowników gospodarstwa społecznego.

Państwo powinno starać się wprowadzić równowagę ekonomiczną w swém społeczeństwie, t. zn. dążyć do równomiernego o ile możności rozdziału środków utrzymania, a więc własności i dochodów. Jak się przekonamy cokolwiek daléj, przemawiają za tém zarówno względy polityczne, jak gospodarcze i społeczne, jedném słowem oświadcza się za tém interes ogółu. Jednakże pojęcie równowagi ekonomicznéj jest bardzo sporne, pod tym sztandarem walczą dwa wrogie sobie obozy — stronnictwo przewrotu, dążące do zupełnego obalenia naszéj organizacyi i partya skrajnie konserwatywna, dziwną ironią losu znana pod imieniem szkoły liberalnéj, starająca się utrzymać nienaruszenie panujące stosunki. Dla tego przedewszystkiém należy określić dokładnie, co właściwie mamy rozumiéć przez równowagę ekonomiczną i zbadać, o ile owe dwa wręcz sobie przeciwne poglądy są uzasadnione.

Tak zwane szkoły socyalistyczne, a na ich czele partya socyalno-demokratyczna, nie uznają równowagi bez kompletnéj równości. Własność prywatna, przynajmniéj co do środków produkcyi ma ustać, w jéj miejsce wchodzi własność ogółu, dochody rozdzielają się wedle jednakowéj normy, czy według pracy, czy wedle zasługi lub potrzeb, czy wreszcie jak to chcą komuniści, według osób. Po wprowadzeniu podobnego systemu zapanowałaby, tak twierdzą projektodawcy, zupełna równość, a tém samém i równowaga gospodarcza na każdém polu.

Twierdzenie to ma za sobą wszelkie pozory słuszności, lecz kończy się też na pozorach. Zagadnienia socyalne nie są ani tak proste, ani tak jasne, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje, nie ma na nie szablonu i uniwersalnego lekarstwa. Jak w ciele ludzkiém, tak i w życiu społeczném działa cały szereg przyczyn i sprężyn, skutki zewnętrzne nie są wynikiem jednéj tylko pobudki, lecz wypadkową ogółu sił, poruszających gospodarczém życiem narodu; stąd też usunięcie jednéj z nich, albo też nadanie jéj większéj potęgi, popchnie może całość w innym kierunku, nie nada jéj odmiennego charakteru. Do reformy naszych stosunków społecznych nie wystarcza zmienić tę lub ową przyczynę, gdyż inne będą działać daléj, a pozbawione swéj towarzyszki mogą wywołać skutki jeszcze gorsze niż poprzednio.

Doktryna o zupełnéj równości dostarcza nam na potwierdzenie powyższego zdania najlepszego dowodu. Jeżeli tylko dochody będziemy rozdzielać zawsze wedle téj saméj modły, rezultaty będą jak najgorsze, walki społeczne powstaną na nowo, tylko straszliwsze i gwałtowniejsze. Od czegóż bowiem winien zależéć rozdział dochodów społecznych, innemi słowy rezultatów wytwórczéj pracy? W myśl ścisłéj sprawiedliwości odpowiedź byłaby bardzo łatwą: każdy powinien otrzymać część odpowiednią swemu udziałowi w gospodarstwie, stosunek między jego dochodem prywatnym, a dochodem ogólnym, winien odpowiadać stosunkowi jego własnych wkładów do kosztów produkcyi całego społeczeństwa. Niestety taka definicya potrzebuje koniecznie komentarza, którego jéj nauka dać nie może, niepodobna jest bowiem oznaczyć ani ogólnéj sumy dochodu społecznego, ani też udziału jednostki w produkcyjnéj pracy. Dochód społeczny nie da się obliczyć, gdyż wydatek jednego gospodarza jest dochodem dla drugiego, a jeden i ten sam przedmiot może wraz ze zmianą właściciela zmienić i swą wartość. Koń dany rolnikowi w zamian za jego zboże może dlań mieć znacznie wyższą wartość, niż dla poprzedniego właściciela, dla którego był np. przedmiotem zabawy, służył może jako wierzchowiec dla rannych przejażdżek, kiedy rolnikowi pomaga obecnie w jego pra-

cy wytwórczéj. Wskutek tego zmieniło się zarazem jego stanowisko w majątku społecznym: przedtém był dobrem zużywalném, służył do konsumpcyi, teraz jest środkiem produkcyi. Społeczeństwu nie zależy nic na tém, czy ów obywatel odbywa przechadzki pieszo czy konno, koń więc jego nie miał żadnéj wartości [1]), obecnie jest on integralną częścią środków produkcyi rolniczéj, posiada przeto wartość, przymiot w gospodarstwie najważniejszy. Nawet dobra, których ocena jest pozornie wszędzie i zawsze jednakowa, jak piéniądz zyskują lub tracą na zmianie właściciela. Dla społeczeństwa nie jest wcale obojętną rzeczą, czy kapitały pieniężne znajdują się w ręku ludzi bezczynnych, marnotrawnych lub nierozsądnych, czy téż ludzi przemyślnych i przedsiębiorczych; w pierwszym razie są one, przynajmniéj chwilowo, stracone dla gospodarstwa narodowego, w drugim biorą w niém żywy udział, zwiększają dochód, majątek i dobrobyt ogółu. Sama przeto zamiana zmienia wartość i stanowisko dóbr, zmniejsza lub zwiększa majątek i dochód społeczny, a ponieważ zachodzi ona w ciągu każdéj pracy gospodarczéj, przeto o jakiémkolwiek oznaczeniu majątku i dochodu społecznego nie może być mowy. Można wprawdzie obliczyć ilość dóbr w skład ich wchodzących, lecz, jak wiadomo, w gospodastwie decyduje wyłącznie wartość, która pozostaje zawsze niewiadomą. Również i drugiego wyrazu—udziału jednostki w wytwórczéj pracy,— nader często oznaczyć niepodobna. Ze stanowiska społecznego trudno jest np. powiedziéć: w jakim stopniu zawdzięcza swe powstanie bochenek chleba najpierw rolnikowi, który uprawił pole, następnie fabrykantowi dostarczającemu maszyn do młyna, różnorodnym producentom pożywienia, ubrania i t. p., z których pokrywał swe potrzeby piekarz i t. d.; ze stanowiska indywidualnego mógłby to powiedziéć chyba tylko sam gospodarz, biorący udział w produkcyi, gdyż każdy trud, każdy wydatek, jest ściśle subiektywny, jednemu z większą, drugiemu z mniejszą przychodzi łatwością, a podobne świadectwo byłoby bądź co bądź bardzo podejrzaném.

Wobec tego zasada, że udział w dochodach winien odpowiadać zawsze udziałowi w produkcyi, musi pozostać jedynie teoretycznie słuszną, w praktyce niewykonalną; należy poszukać innéj, więc zgodnéj z rzeczywistością.

Projektowano ich wiele, niestety żadna nie może się poszczycić większą praktycznością. Teorya Marxa, a za nim całéj partyi socyalno-demokratycznéj: k a ż d e m u w e d ł u g j e g o p r a c y, cierpi przedewszystkiém na te same braki, co zasada dopiéro co omówiona,

---

[1]) Naturalnie, pomijając wartość obiektywną—zamienną.

a prócz tego ma jeszcze swój błąd specyalny, jest zupełnie niesprawiedliwa. W gospodarstwie nie chodzi nigdy o przyczyny lecz o rezultaty, tak jak nie chodzi o ilość, tylko o wartość. Nie badamy nigdy ile pracy kosztowało wytworzenie jakiegoś dobra, pytamy się jedynie, do czego ono służyć może, czy i o ile go potrzebujemy. Zresztą niepodobna jest obliczyć trudu ludzkiego, który przecież przy pracy najważniejszą gra rolę, zależy to bowiem od ściśle osobistych właściwości robotnika, od jego siły, zdrowia, zręczności, od miejsca i czasu, w których pracuje, i t. p., gdybyśmy więc nawet chcieli się oglądać na ilość pracy, nie moglibyśmy oznaczyć według niéj dochodu, gdyż nie znamy sposobu jéj obliczenia. Wprawdzie zwolennicy powyższéj doktryny przyjmują za podstawę swéj rachuby nie ilość zużytego trudu, lecz czas pracy przeciętnie potrzebny do wytworzenia danego dobra; tutaj atoli brak uzasadnienia ich teoryi jest już widoczny na pierwszy rzut oka. Przecież w jednym i tym samym czasie jeden człowiek może utrudzić się znacznie więcéj niż drugi, przecież szkody na zdrowiu, jakie poniesie w tym samym czasie górnik i rzemieślnik, albo rolnik i pracujący w kopalniach rtęci są zupełnie inne, skądżeż ma być nagroda jednakowa, dlaczegoż ma decydować czas pracy, nie jéj natężenie, lub skutki dla zdrowia i życia, które są chyba daleko ważniejsze?

Komuniści wypisali na swym sztandarze: k a ż d e m u r ó w n o. Rzeczywiście trudno o zasadę lekkomyślniejszą, mylniejszą i niesprawiedliwszą. Więc wszyscy mają mieć równe dochody, bez względu na swe potrzeby, chociażby ściśle fizyczne, bez względu na swą pracę i zasługi. Dziecko i dorosły, człowiek żyjący pod biegunem i na równiku, gospodarz pilny, pracowity i zapobiegliwy i człowiek leniwy, unikający wszelkiego natężenia, niezdolny do jakiéjkolwiek pożytecznéj działalności, wszyscy będą mieli jednakowe dochody, o wszystkich społeczeństwo ma się równomiernie troszczyć. Lecz w takim razie nie będzie najmniejszéj pobudki do pracy, oszczędności i zapobiegliwości, zginie główna sprężyna życia gospodarczego — interes osobisty — bo niczém nie będzie można ani polepszyć, ani pogorszyć swego położenia, a ponieważ bądź co bądź praca jest zawsze pewném nieprzyjemném natężeniem, więc zniknie i ona z widowni, a z nią dochody i dobrobyt społeczny. W zasadzie może będzie się i nadal pobierać zawsze równo, lecz wskutek ogólnéj bezczynności te równe dochody będą się gwałtownie zmniejszać, wreszcie staną się całkiem ułudne, miejsce dobrobytu zajmie niedostatek i nędza.

Pozostaje więc tylko jedno jeszcze prawidło: k a ż d e m u w e d ł u g j e g o p o t r z e b. Przy dzisiejszym stanie nauki teorya tego rodzaju wydaje się zupełnie uzasadnioną. Po długich i mozolnych błą-

dzeniach po manowcach, po odrzuceniu materyalistycznych poglądów na gospodarstwo społeczne doszliśmy do przekonania, że główną jego osią nie jest produkcya, ilość wytworów i ogół majątku narodowego, lecz człowiek i zbiorowe ciała ludzkie, stowarzyszenia, państwa, społeczeństwa. W gospodarstwie nie idzie nigdy o ciągłe zwiększanie własności i dochodów, lecz o jak najdoskonalsze i najobszerniejsze zaspakajanie potrzeb; majątek i dochód są tylko środkiem prowadzącym do celu, celem jest gospodarz, jego zadowolenie i szczęście. Im mniéj odczuwa się braków tém się jest bliżéj szczęścia, człowiek, który może każdéj chwili zaspokoić wszystkie swe pragnienia, jest prawdziwie szczęśliwym. Wobec tego zdawałoby się, że zasada: każdemu według jego potrzeb, jest najlepszą, doprowadza nas bowiem do upragnionego celu, do szczęścia. Niestety i tutaj pozory mylą. Oznaczenie dochodów według potrzeb byłoby wielkim błędem, nadto zaś pozostałoby zawsze niewykonalném. Tak samo jak rozdział według głów doprowadza prędzéj czy późniéj do lenistwa i nieopatrzności, zabija wszelką pracę i przedsiębiorczość, tak i zaspakajanie potrzeb bez względu na gospodarcze zasługi musi wywołać te same skutki. Przyczyny są zupełnie identyczne, każdy przecież dostaje to samo w stosunku do swych wymagań, czy stara się o ich zaspokojenie czy nie, z pracy pilnego korzysta leniwy, człowiek zdolny budzi się dla ospałych i niedołężnych. Łamie się tu na każdym kroku główną sprężynę naszego postępowania, zasadę osobistéj korzyści, a tego bezkarnie czynić nie wolno. Powstanie niezadowolenia w warstwach pracujących, daléj walka między niemi i bezczynnymi, wreszcie w miarę tego, która strona odniesie zwycięstwo, ogólna ospałość, obalenie dotychczasowéj normy rozdziału, albo wreszcie powrót do stosunków średniowiecznych, rozdział społeczeństwa na warstwy uprzywilejowane i zależne, pracujące z przymusu na rzecz bezczynnych a używających. Nie potrzebuję chyba dodawać obrazu stosunków gospodarczych i społecznych w podobnéj dobie; dzieje feudalizmu i czasów przedrewolucyjnych kréślą go w barwach aż nadto jaskrawych.

Lecz gdybyśmy nawet nie doszli do tak rozpaczliwego położenia, gdyby zasada: każdemu według jego potrzeb, była rzeczywiście dobra i zbawienna, zawsze musielibyśmy się przeciw niéj oświadczyć, gdyż wprowadzenie jéj w życie jest wprost niemożliwém. Społeczeństwo nie może nigdy przyrzec, że się do niéj zastosuje, gdyż rozdzielić może jedynie rezultaty swéj wytwórczéj działalności, która zależy od pracy i przyrody, nie stoi zaś w żadnym bezpośrednim związku z potrzebami. Z drugiéj strony wymagania nasze są nieograniczone, nigdy ich wszystkich zaspokoić niepodobna, gdyż potrzeby pokryte rodzą nowe, wolne,

domagające się znowu odpowiednich środków. Nie pozostawałoby przeto nic innego, jak tylko zaspakajać potrzeby wszystkich jednostek do pewnego stopnia, przerywać ich pokrycie u każdego w téj saméj wysokości. Potrzeby jednak są ściśle indywidualne, subiektywne, jedynie osoba odczuwająca zdoła oznaczyć ich intensywność. Stąd też każdy wymierzałby sobie dochody zupełnie dowolnie, albowiem on tylko znałby normę ich podziału: swe osobiste potrzeby; gospodarstwo narodowe spoczęłoby na podstawach gorzéj jak kruchych, bo nieobliczalnych, zależnych od kaprysu pierwszéj lepszéj jednostki. Niesprawiedliwość, niepewność i walka o dochody zajęłaby miejsce pracy, egoizmu, konkurencyi, gospodarstwo narodowe przybrałoby pozory bezpłatnego widowiska, w którém zdobywa sobie miejsce nie lepszy, lecz brutalnie silniejszy, na które kilku wejdzie za wcześnie, większość za późno, część zaś najlepsza, ludzie spokojni i dobrze wychowani, którzy pogardzają walką na pięści, nie docisną się nigdy.

Jak widzimy, przyjęcie projektów socyalistycznych nie tylko nie wprowadziłoby równowagi ekonomicznéj, lecz prócz pozostawienia i nadal dzisiejszych błędów, pociągnęłoby za sobą nowe braki, znacznie większe i dotkliwsze. Mimo tego nie można wpadać w drugą ostateczność, nie podobna się zgodzić, ze zdaniem szkoły liberalnéj, która domaga się utrzymania dzisiejszych stosunków, nie pozwala ich tknąć i zmieniać. Jest to doktryna tak samo mylna jak poprzednie, a o tyle od nich szkodliwsza, że hołduje kompletnemu pesymizmowi, odbiera wszelką chęć do pracy, propaguje zniechęcenie, niszczy ideały.

Dzisiejsza organizacya, uczą nas klasycy angielscy, opiera się z jednéj strony na kompletnéj wolności indywidualnéj, z drugiéj zaś na osobistéj odpowiedzialności za swe czyny. Każdy kieruje się egoizmem, korzyścią osobistą, stara się o jak największe zyski przy najmniejszych kosztach, a mając niczém nie ograniczoną wolność gospodarczą, uzyskuje jak najlepsze rezultaty. Swoboda zarobku, odpowiedzialność za swe czyny, osobiste staranie się o pokrycie swych potrzeb, a przytém egoizm i konkurencya, zmuszająca do jak najlepszego wyzyskiwania konjunktury, wytworzyły nasze gospodarstwo i jego świetne skutki. Jakakolwiek zmiana tych podstaw musi wydać rezultaty błędne, gdyż zwalnia nas od zapobiegliwości, gospodarności i bezustannéj baczności, bez czego żadne gospodarstwo nie może się pomyślnie rozwijać.

Znowu spotykamy się tu z wywodami sofistycznemi, pozornie słusznemi, w gruncie rzeczy całkiem błędnemi. Téj sławionéj wolności nie ma w rzeczywistości wcale, istnieje tylko na papiérze; tak zwana wolna konkurencya doprowadza do prawdziwego monopolu potężnych, ubezwładnia zupełnie słabych, niczém nie okiełznany egoizm,

wreszcie przechodząca wszelkie granice chęć zysku, rodzi namiętną walkę o byt, niesumienną spekulacyę, a w swych następstwach straszne przesilenia ekonomiczne, którym towarzyszą klęski, brak chleba i rozpacz.

Wszystkie ustawodawstwa nowoczesne proklamują wprawdzie równość wszystkich obywateli wobec prawa, jednakże równość ta jest jedynie formalną, materyalnéj nie widzieliśmy przedtém, nie ma jéj i dzisiaj. W gospodarstwie chodzi zawsze o rzeczywiste równouprawnienie, o faktyczną wolność ruchów; teoretyczne jedynie skonstatowanie równości, uznanie jéj niejako w zasadzie, nie może mieć żadnego znaczenia. Tymczasem w praktyce każdy gospodarz zależy przedewszystkiém od swego majątku, tém jest swobodniejszym, im większym zasobem dóbr rozporządza. Człowiek zamożny używa prawdziwéj wolności, ubogiego gniotą rozliczne więzy na każdym kroku. Wprawdzie, bezustannie spotykamy się ze zdaniem, że w naszych czasach zdolności, praca i zasługi idą przed majątkiem; że każdy ma dostęp do wszystkich zawodów i stanowisk bez względu na urodzenie i dochody, jednakże są to tylko frazesy, które należy przyjmować z wielkiém zastrzeżeniem. Bezwarunkowo urodzenie i dobrobyt nie są już dziś *conditio sine qua non* dla wybicia się po nad tłumy, dość często dostrzegamy jednostki wybrane, które mimo braku obu tych rzeczy posunęły się bardzo wysoko, jednak podobne wypadki należą zawsze jeszcze do wyjątków, z reguły bogactwo i stosunki są i w obecnéj chwili bardzo potężną dźwignią rozwoju gospodarstw prywatnych. Inaczéj téż być nie może. Nowoczesne państwa dają wprawdzie bezpłatnie swym obywatelom wiele środków do pracy i wykształcenia, lecz w znacznie większéj jeszcze mierze domagają się przynajmniéj wynagrodzenia kosztów administracyjnych tych instytucyi publicznych, które tworzą i któremi zarządzają. Od pierwszych swych kroków, aż do urządzenia własnego gospodarstwa jest człowiek ciągle narażony na wydatki konieczne, bez których nie może nawet zamarzyć o samoistnym bycie. Jeżeli sobie obiera pracę umysłową, musi płacić za swe studya, poświęca się handlowi lub przemysłowi — musi się utrzymać podczas swéj praktyki, musi rozporządzać odpowiednim funduszem, by z robotnika zależnego zostać samoistnym przedsiębiorcą; chce być rolnikiem—musi posiadać ziemię, albo być wiecznie zawisłym, zależnym od woli lub nawet kaprysu swego pracodawcy. Człowiek zamożny może się dłużéj kształcić, nie potrzebuje się oglądać na czas, który poświęca swym studyom, na koszta, które one za sobą pociągają, ubogi obok nauki pracuje na chléb, służy dwom panom, najczęściéj więc nie

zadowoli ani jednego ani drugiego, wykształcenie jego fachowe pozostanie mierne, utrzymanie niedostateczne.

Jeszcze silniéj występuje ta różnica z chwilą założenia własnego gospodarstwa. Jak często spotykamy ludzi żyjących na podrzędnych stanowiskach jedynie dla tego, że nie mają dość zasobów, by utworzyć własne przedsiębiorstwo, jak często zmuszeni są do pracy nie odpowiadającéj ich pragnieniom i zdolnościom, bo ona daje chléb gorszy, lecz prędzéj, a na lepszy czekać nie mieli o czém. Iluż to genialnych wynalazców umarło w ubóstwie, gdy inni zbogacili się na rezultatach ich pracy! A cóż dopiéro mówić o konkurencyi! Ubogi nie może postępować z duchem czasu, nie może zastosowywać najnowszych zdobyczy techniki, musi więc uledz w walce o byt, musi ustąpić silniejszym. Pierwsza lepsza klęska, przemijające tylko przesilenie zabija jego egzystencyę, burzy jednym zamachem rezultaty wieloletniéj pracy, gdy tymczasem gospodarz zamożny przeczeka niekorzystną chwilę i częstokroć za nadejściem lepszéj konjunktury odzyska z procentem wszelkie swe straty, jest bowiem panem położenia; wszyscy słabsi konkurenci, zniszczeni przesileniem, zniknęli już z widowni. Ubogi wreszcie rzadko tylko może myśléć o wyzyskaniu korzystnych stosunków; brak kapitału ogranicza jego produkcyę do niewielkich tylko rozmiarów, nie pozwala mu zastosowywać jéj do chwilowych, chociażby bardzo zyskownych wymagań; kosztowne wyzyskiwanie odpowiedniego miejsca dla umieszczenia swego gospodarstwa jest dlań niedostępne, gdyż wszelkie przenoszenie się pociąga za sobą wydatki, przechodzące jego siły, słowem musi pozostawać zawsze w miernych stosunkach, szczęśliwy, jeżeli podmuch nieprzyjaznego wiatru nie zniszczy jego egzystencyi.

Parę przykładów wyjaśni lepiéj tę kwestyę niż wszystkie teoretyczne wywody. W Galicyi słyszy się ciągłe skargi na brak ducha przedsiębiorczego u młodzieży, na ciągłe oglądanie się na nędznie stosunkowo płatne posady rządowe, chociaż wiele innych, znacznie zyskowniejszych zawodów leży odłogiem, dla braku rąk i ludzi. Skargi te są zupełnie słuszne; bezwątpienia podobne postępowanie powstrzymuje ekonomiczny rozwój kraju, szkodzi jego dobrobytowi. Byłoby jednak zupełnie niesłuszną rzeczą robić z tego powodu jakiekolwiek wymówki naszéj młodzieży. Jest ona zanadto uboga, by mogła dłuższy czas czekać na ustalenie swego bytu, by mogła próbować szczęścia w gałęziach, które mogą dać wprawdzie wielkie dochody, lecz wymagają długoletniéj, bezpłatnéj, często nawet ze stratami połączonéj pracy. Rząd wynagradza bardzo źle swych urzędników, lecz bądź co bądź zapewnia im stałą pensyę, zaopatrzenie w razie starości i kalectwa, a pewną pomoc rodzinie w razie ich śmierci; stąd tyle konkurentów o podobne

miejsca, bo młodzież nasza nie ma dość środków, aby szukać lepszego zarobku, wyzyskać stosunki i konjunkturę. Idźmy daléj; urzędnik pracujący w tym samym zawodzie, posiadający takie same lub nawet wyższe studya i kwalifikacye niż drugi, pozostanie zawsze na podrzędném stanowisku, kiedy tamten dojdzie do wyższych godności, bo pierwszy nie posiada majątku, nie ma dość funduszów, by ponosić koszta reprezentacyi, drugi, choć mniéj zdolny, jest za to bogatszy. Robotnik fachowo wykształcony musi żyć w ciągłéj zależności od przedsiębiorcy, który może o swéj produkcyi nie ma wyobrażenia, gdyż założenie fabryki lub warsztatu rzemieślniczego wymaga pewnego kapitału, którego on nie posiada. Powodzenie handlowe zależy w znacznéj mierze od miejsca, w którém sklep dany leży, dla tego téż bardzo często najrzetelniejsi kupcy nieliczną tylko mają klientelę, gdy niesumienni cieszą się wielkim napływem kupujących, pierwsi bowiem nie mają czém opłacić wysokiego czynszu za dogodny lokal, drudzy zakładają swe magazyny na pierwszorzędnych ulicach. Wszędzie widzimy to samo zjawisko; w zasadzie wszyscy są równouprawnieni, wszyscy mogą jednakowo korzystać z instytucyi społecznych i naturalnych warunków, dla jednych jednak praktyczne wyzyskanie tego prawa jest niemożliwe, drudzy korzystają zeń rzeczywiście; zależy to od materyalnych środków, jakiemi rozporządzają poszczególni gospodarze.

Gdyby istniała faktycznie materyalna wolność gospodarowania, możnaby mówić o odpowiedzialności osobistéj za swe czyny i stosunki ekonomiczne, narzucanie jednak podobnéj odpowiedzialności przy pozornéj tylko wolności jest wielką niesprawiedliwością, jest dorzucaniem szyderstwa do nieszczęścia. Niejeden gospodarz wié dobrze, czego mu potrzeba, czuje dość siły do polepszenia swego bytu, pracuje w pocie czoła, by zbliżyć się do celu, lecz napróżno, bo nie ma środków, bo na każdym kroku natrafia na przeszkody, których nie może przełamać. Spełnił on wszystko, co tylko leży w jego mocy, zdziałał więcéj niż niejeden szczęśliwszy, lecz rezultaty nie odpowiedziały pracy, gdyż nie poparły jéj odpowiednie narzędzia, niezbędne surowce, maszyny i kapitał obrotowy. Czyż można obwiniać rolnika zostawiającego swe pole odłogiem, gdy wiemy, że nie posiada on ani pługa, ani inwentarza, gdy nie ma czém zapłacić robotników, którzyby uprawili jego rolę? Jakąż wyższość ma bogaty fabrykant nad ubogim rzemieślnikiem, gdy pracuje najnowszemi maszynami i produkuje w jednym dniu więcéj niż tamten, który z konieczności używa najpierwotniejszych tylko narzędzi w ciągu całego roku. Tak, jak w prawie karném pierwszym warunkiem winy jest zamiar i dowolność czynów, tak i w gospodarstwie bez prawdziwéj wolności niepodobna mówić o odpowiedzialności osobistéj,

tu i tam przymus i konieczność uwalniają od kary. Jak widzieliśmy, wolność gospodarcza istnieje tylko na papierze, tam też jest zarazem miejsce dla odpowiedzialności, w rzeczywistém życiu nie istnieje ona wcale w dzisiejszych stosunkach.

Zupełnie to samo da się powiedziéć o swobodzie zarobkowania i wyłącznym obowiązku jednostki do starania się o swe potrzeby. Wobec braku wolności odpadają i te zasady, gdyż możność zarobku zależy od stosunków niezawisłych od woli gospodarza, a przy braku zarobku, a więc i dochodu, nikt nie zdoła pokryć swych potrzeb własnemi siłami. Kto stawia doktrynę swobody zarobku, ten zarazem winien zagwarantować chętnemu pracy zatrudnienie, odpowiadające jego siłom i zdolnościom, prawo do pracy jest koniecznym korelatem jéj swobody. W przeciwnym razie będziemy mieli ciągle do czynienia z całemi armiami robotników, pozbawionych wszelkiego sposobu do życia, przeciągających przez londyński Trafalgar-square w procesyach, hańbiących naszą cywilizacyę, cynicznie przypatrującą się tym ponurym pochodom, domagającą się od tych ludzi żebrzących o pracę, aby utrzymywali siebie i swe rodziny. Oni przecież są winni, że umierają z głodu, bo mają zupełną wolność, swobodę zarobkowania, mogą wyzyskiwać stosunki i konjunkturę, na któréj porobili miliony bankierzy z City, oni są odpowiedzialni za swą nędzę, tak, oni, którzy chcieliby pracować, lecz nie mogą znaleźć po temu sposobności! Oto prawdziwa treść nauk angielskiéj szkoły klasycznéj, która nie zachwyci chyba nikogo; jak niepodobna przyjąć szablonowéj równości socyalistów, tak też nie możemy się zgodzić na apoteozę dzisiejszych stosunków, głoszoną przez wolnohandlawców, musimy się starać je zmienić i ulepszyć, w miejsce przewagi bogatych nad słabymi, kryjącéj się pod płaszczem formalnéj równości prawnéj, musimy starać się wprowadzić prawdziwą, rzeczywistą równowagę gospodarczą.

Poprzednie wywody przekonywują nas dostatecznie, że obie przeciwne sobie doktryny miałyby jak najgorsze skutki, gdyby je chciano zastosować praktycznie. Ze stanowiska teoryi ekonomicznéj jest to widoczne na pierwszy rzut oka i najzupełniéj zrozumiałe, gdyż tak żądania socyalistów, jak i klasyków angielskich nie dadzą się żadną miarą pogodzić z kardynalnemi zasadami naszéj nauki. Obie te szkoły, chociaż wrogo dla siebie usposobione, są zgodne w zasadniczéj swéj myśli, obie hołdują kompletnéj unifikacyi w gospodarstwie. Jak Marx, Lasalle i ich epigoni opierają się w swych wywodach głównie na teoryach Smitha, Ricarda i Milla, tak też godzą się zasadniczo z nimi w ostatecznych swych konkluzyach, różnią się

tylko co do praktycznych konsekwencyi, jakie wyciągają ze swych zasad. Tu i tam praca ludzka jest jedynym powodem wszelkiéj wartości, tu i tam panuje w gospodarstwie konieczny fatalizm, rozwój ekonomiczny przechodzi fazy konieczne, z góry przewidziane, niedające się zmienić lub ominąć, rządzą nim niewzruszone, wieczne, silniejsze od człowieka prawa natury lub produkcyi. Stąd też wszelkie rezultaty produkcyi winny być własnością pracowników, stąd też wszelka opozycya przeciw naturalnemu biegowi rzeczy jest nie na miejscu. Unifikacya bije tu w oczy, jedno tylko prawo rządzi gospodarstwem, jeden tylko powód nadaje przedmiotom wartość, najważniejszy ich przymiot ekonomiczny. Cała różnica tkwi jedynie w innném oświetleniu stosunku, zachodzącego między dzisiejszym nastrojem społecznym a racyonalnemi podstawami gospodarstwa. Wolnohandlowcy twierdzą, że nasza organizacya opiéra się na owych odwiecznych prawach natury, że jest ich wynikiem koniecznym, należy więc pozostawić ją nienaruszoną; zdaniem socyalistów, dzisiejsze społeczeństwa starają się napróżno powstrzymać naturalny bieg rzeczy, nadaremnie stawiają rozliczne zapory działaniu koniecznych praw gospodarczych, muszą więc upaść, muszą się złamać w walce z potężniejszemi siłami, tracą bez celu swą pracę, któréjby należało użyć korzystniéj, wypada przeto przyśpieszyć ich upadek, zburzyć dzisiejsze stosunki gospodarcze, a postawić w ich miejsce lepsze, zgodne z właściwemi gospodarstwu, niezmiennemi prawami. Obie szkoły znają tylko jedną przyczynę, jedną też tylko dają receptę, tylko że zdaniem jednéj przyczyna ta już działa zbawiennie, ciało jest zdrowe, nie potrzebuje lekarstwa, zdaniem drugiéj organizacya społeczna nie dozwala jéj się rozwinąć, trzeba więc jéj dopomódz.

Tymczasem nauka doszła do zupełnie innych wyników. Rozwój gospodarczy, problemy ekonomiczne, są wynikiem całego szeregu przyczyn, nie ma mowy o jedynych a koniecznych prawach natury, stąd też szablonowa, jednolita organizacya na podstawie jakiejkolwiek zasady, czy zupełnie równego rozdziału, czy też niczém nieograniczonéj wolności, wywołuje, jak widzieliśmy, tylko nowe, może inne niż dzisiejsze, lecz najprawdopodobniéj większe, w żadnym zaś razie nie mniejsze braki, nie doprowadza nigdy do równowagi ekonomicznéj.

Gdzież więc mamy szukać, jak określić i stworzyć ową uprawnioną równowagę? Naturalnie w racyonalnym rozdziale środków pracy i utrzymania, w rozdziale odpowiadającym prawdziwym zasadom gospodarczym. Bez ich znajomości niemożna nawet pomyśléć o rozwiązaniu naszego zadania. Chcąc znaleźć nań odpowiedź, musimy poznać jéj elementa; lekarz chorób społecznych musi tak samo, jak leczący

cierpienia fizyczne, znać dokładnie medycynę, dla dyletantów nie ma pola ani w téj, ani w tamtéj dziedzinie.

II.

Najniebezpieczniejszą rzeczą dla umysłu ludzkiego jest wszelkie uogólnianie zjawisk, syntetyczny układ dostrzeżonych zdarzeń. Pominięcie chociażby najdrobniejszego faktu, przeoczenie najmniejszéj nawet rzeczy doprowadza do najfałszywszych wyników, do teoryi zupełnie błędnych i szkodliwych. Nigdzie niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, nigdzie nie wchodzi się z taką łatwością na manowce, jak w naukach społecznych. Już życie jednostek przedstawia tyle rozmaitości, tyle nieprawdopodobieństw, tyle nieprzewidzianych wypadków, że z największą tylko trudnością możemy je ogarnąć, a cóż dopiéro mówić o życiu społeczném, na które się składają miliony ludzi. Tysiące i tysiące wpływów krzyżuje się na każdym kroku, olbrzymia ilość wypadków następuje po sobie z tak błyskawiczną szybkością, że wzrok ludzki jest za słaby, by je ogarnąć. Rozległość czasu i przestrzeni, nieznajomość stosunków i kół, w których nie obracamy się sami, wpojone życiem i wychowaniem zapatrywania zaciemniają w wysokim stopniu ten obraz, nie pozwalają patrzéć nań bezstronném okiem, zmuszają nas, byśmy go widzieli w świetle nam tylko właściwém, w perspektywie częstokroć źle zdjętéj, zawsze subiektywnéj. Stąd też żadna doktryna społeczna nie może się odznaczać matematyczną prostotą i jasnością; hołdując zasadzie, że teorye najprostsze, najwięcéj zrozumiałe, są zarazem najprawdziwsze, popełniamy błąd ogromnéj doniosłości. Życie ludzkie nie płynie prostém korytem, sprężyny społeczne nie występują wcale jasno, działalność ich nie idzie po równéj, oblanéj światłem drodze, lecz kroczy po manowcach, wstępuje z nocy w dzień i naprzemian oblewa się jaskrawym, oślepiającym blaskiem, to znowu podąża w nieprzebytych ciemnościach, kryje się w mrocznym cieniu, albo téż odznacza się łagodném, lecz silném światłem. Każda doktryna społeczna winna objąć życie we wszystkich jego odmianach, winna zbadać wszystkie jego warunki, pobudki, przyczyny i skutki, a bezustanna zmiana oświetlenia wprowadza w błąd badacza. Oko nie może się oswoić z ciągłém przechodzeniem ze światła w ciemności, wzrok wysilony jedną ostatecznością nie dostrzega drugiéj, nie widzi cieniów i delikatnych, nie bijących w oczy rysów. Stąd powstają teorye skrajne, jasne i proste. Kto widzi lepiéj w ciemnościach, tworzy doktryny ponure, skazuje ludzkość na wieczną pogoń za szczęściem, które pozostanie na zawsze

złudném marzeniem; kto się dał olśnić potężnym promieniom, ten widzi wszystko w różowém świetle, zdaje mu się, że ludzkość jest, była i będzie zawsze szczęśliwa, że nasze stosunki są doskonałe, nie pozostawiają niczego do życzenia. Obie nauki są łatwe, obie jasne i krótkie, obie jednak błędne, oparte na kruchych podstawach, gdyż uchwyciły jedynie część życia, część może bardzo niewielką, może tylko podrzędną. Prawda leży po środku; powyższe teorye widziały tylko bieguny, prawda musi objąć i strefy umiarkowane. Jak izotermy nie tworzą kół regularnych, lecz linie krzywe, tak i prawdziwe doktryny nie będą nigdy proste, są bowiem syntezą życia, które różne przechodzi koleje, które rzadko tylko postępuje po bitych gościńcach, a najczęściéj posuwa się mozolnie po krętych, uciążliwych ścieżkach.

W ten właśnie sposób rozstrzygnięto kwestyę stosunku człowieka do przyrody, a tém samém pytanie o znaczenie państwa dla gospodarstwa społecznego.

Szkoła liberalna angielska obeszła się bardzo pogardliwie z człowiekiem; jéj zdaniem, stoi on zawsze na drugim planie. Człowiek jest wobec natury bezbronny, musi słuchać ślepo jéj rozkazów; jedynie przyroda tworzy warunki i odwieczne prawa, które decydują nieodwołalnie o naszym losie gospodarczym. Zmienić je, uchylić lub zreformować przechodzi siły ludzkie; musimy się z niemi liczyć jako z faktem dokonanym, stanowią one dla naszéj pracy, nawet dla naszéj myśli nieprzekraczalne granice. Gospodarstwo kształtuje się według praw natury; cała działalność ludzka redukuje się do ich poznania i zastosowania, do możliwie najlepszego ich wyzyskania. Dla tego też ani jednostka, ani społeczeństwo nie mogą zmienić istniejących stosunków, stąd też położenie ekonomiczne poszczególnych obywateli jest dla społeczeństwa najzupełniéj obojętne. Człowiek używa darów i sił natury, kierując się wspólném wszystkim tworom organicznym prawem egoizmu; społeczeństwo winno dążyć do jak najlepszego zużytkowania swych naturalnych warunków, nie bacząc na to, która jednostka na tém skorzysta, która przytém zginie. Przyroda rządzi gospodarstwem, człowiek bierze tylko to, co ona mu dać zechce, nie jest jéj panem, lecz sługą.

Jeżeli sobie uprzytomnimy stosunki, jakie panowały w Anglii i Europie w chwili powstania powyższéj teoryi, nie zadziwi ona nas wcale. Anglia cieszyła się już wówczas dominującém stanowiskiem gospodarczém, handel jéj i przemysł, nie mając na kontynencie żadnego poważnego konkurenta, panował nad całym światem; mimo systemu parlamentarnego i wielkich wolności politycznych, rządy państwa spoczywały w ręku kilkunastu tysięcy ludzi bogatych, którzy rozporządzali większą częścią mandatów poselskich. Doktryna o wszechpotędze na-

tury była przeto na rękę i państwu, jako takiemu, i warstwom decydującym o jego losach. Szkoła wolnohandlowa dowodziła swą teoryą, że hegemonia Anglii powstała wskutek nakazu przyrody, na mocy koniecznego zbiegu okoliczności, które się niczém złamać nie dadzą, że przywileje warstw panujących są zupełnie usprawiedliwione, gdyż ludzie bogaci doszli do swych majątków, kierując się uzasadnionym egoizmem, oddali społeczeństwu największe usługi, zdoławszy najlepiéj wyzyskać dary natury. Anglia jest i będzie zawsze pierwszém państwem na ziemi, jéj przywódcy dzisiejsi muszą nią rządzić zawsze; reszta świata i ludności winna znosić swój los z rezygnacyą, inne narody muszą się pogodzić z ubóstwem i zależnością, warstwy niższe z niedostatkiem i niewolą.

Konsekwencye doktryny klasycznéj zjednały sobie niebywały poklask u sfer, którym sprzyjały, lecz zarazem wywołały ogromną opozycyę między upośledzonymi. Słabsze narody i uboższe jednostki nie chciały i nie mogły pogodzić się z myślą o wiecznéj, chociaż niezasłużonéj niedoli, znalazły obrońców w szkole historycznéj i socyalnéj, które stworzyły nową teoryę. Nie przyroda, lecz człowiek zajmuje pierwsze miejsce w gospodarstwie; dzisiejsze stosunki są wytworem ludzkim. Na ich kształt obecny składały się wieki, lecz nie pracowali wszyscy. Znaczna część narodów, większa część ludności nie mogła współdziałać wskutek błędnéj, przez nieliczne stosunkowo jednostki narzuconéj, dla nich tylko korzystnéj organizacyi politycznéj. Dzierżąc wszelką władzę w swych ręku, ludzie bogaci nie oglądali się na potrzeby klas innych, układali prawa jedynie dla siebie; kierownicy państw kontynentalnych doprowadzili je do ubóstwa i zależności ekonomicznéj, prowadząc politykę dynastyczną, zaborczą. Nie ma praw przyrody, istnieją jedynie prawa historyczne i gospodarcze, jedne i drugie zawdzięczają swe powstanie działalności ludzkiéj, jedne i drugie są wyłącznie od woli ludzkiéj zależne. Dotychczas społeczeństwo działało w imię interesów klas wyższych, doprowadziło do stosunków dla nich tylko pożądanych; dzisiaj władza przeszła w inne ręce, należy więc zerwać z dawniejszą praktyką, nowe rozpocząć życie. Dotąd hasłem była przewaga bogatych narodów i bogatych ludzi, teraz należy się domagać równości. Społeczeństwo winno zarówno dbać o potrzeby wszystkich swych członków; nikomu niewolno się godzić z niewolą i niedostatkiem, każdy ma prawo do wolności, równości i dobrobytu. Cel ten winien przyświecać wszelkiéj działalności społecznéj, a osiągnąć go można, albowiem człowiek jest na ziemi wszechwładnym panem; przez niego i dla niego dzieje się wszystko, wszystko się korzy przed jego wolą.

Rzeczywiście trudno o doktryny więcéj sprzeczne, a mniéj uzasadnione; rzadko się zdarza, aby w tak ważnych kwestyach nauka doszła do tak błędnych wyników jedynie wskutek nieoględnego używania wyrazów. A jednak tak tu się stało.

Podobnie jak we wszystkich naukach, tak i w ekonomii mamy pewne specyalne, techniczne wyrazy, których treść nie odpowiada znaczeniu, jakie przywiązujemy do nich w życiu codziennném. Jak w prawie rzecz ruchoma niezawsze da się przenieść z miejsca na miejsce, a nieruchoma nie musi być stale ze swą podstawą związana, tak i w ekonomii posługujemy się całym szeregiem pojęć, nieodpowiadających zwyczajnym poglądom. Niestety! najznakomitsi nawet pisarze zapominają bezustannie o téj prawdzie, a używając jednego i tego samego wyrazu raz w techniczném, drugi raz w codzienném jego znaczeniu, popadają w błędy i gubią się sami w swych wywodach. Bardzo jasno da się to dostrzedz, czytając rozdziały zajmujące się przyrodą. Słysząc o naturze, wyobrażamy sobie zwykle coś stałego, wiecznego, niezmiennego. Przyrodą nazywamy ogół warunków niezależnych od człowieka, w których on się obraca i żyje; cechą ich jest niepodległość, samoistne powstanie, byt i rozwój. W gospodarstwie na przyrodę składają się również wszystkie okoliczności, w których człowiek musi pracować, a których zmiana przechodzi jego siły; mimo tego pojęcie natury jest tu częstokroć, niemal zawsze, zupełnie inne niż w naukach przyrodniczych. Gospodaruje się w celu zaspokojenia swych potrzeb, dla uzyskania środków do życia. Co tylko zbliża nas lub oddala od tego celu, ma tu doniosłe znaczenie; co nie wpływa na rezultat działalności ekonomicznéj, jest najzupełniéj obojętne. W epoce gospodarstw izolowanych potrzeby pokrywa się wyłącznie własnemi wytworami, w okresie wymiany — za własne wyroby uzyskuje się przedmioty, które zawdzięczają swe powstanie pracy obcéj. W pierwszym wypadku położenie gospodarza jest tém lepsze, im w i ę c é j posiada dóbr mu potrzebnych, w drugim zadowolenie jego wzrasta w miarę wzrostu nie ilości, lecz w a r t o ś c i jego wytworów, gdyż za pomocą wymiany uzyska za nie więcéj środków do życia z cudzego majątku. Krótko mówiąc, każdy stara się o zapewnienie sobie jak największego dochodu, który w gospodarstwie izolowaném mierzy się ogółem dóbr, w zamienném sumą ich wartości. Dojść do tego celu jest jedyném zadaniem gospodarstwa, wszelkie okoliczności zewnętrzne, wszystkie siły i prawa przyrody mają tylko o tyle znaczenie, o ile doń zbliżają lub odeń oddalają. Stąd téż ekonomista zapatruje się na naturę inaczéj niż przyrodnik; kiedy w naukach przyrodniczych bada się ją i ocenia, jako główną ich treść, bez względu na chwilowe jéj położenie, gdy natura przedstawia się im jako

świat, którego poznanie godne jest największych trudów,—w ekonomii zajmujemy się jedynie jéj stosunkiem do człowieka, rozpatrujemy wyłącznie jéj wpływ na dochody społeczne, gdzie go nie ma, tam przyroda nie wchodzi w zakres naszych badań, gdzie stosunki naturalne związane są z gospodarstwem, tam liczymy się z niemi skrupulatnie, staramy się najdokładniéj oznaczyć ich doniosłość. Przyrodnik bada naturę jako taką, ekonomista jéj znaczenie dla życia gospodarczego, stanowiska ich są różne, stąd i rezultaty muszą być zupełnie odmienne. Naturalista szuka abstrakcyjnych praw wszechświata, a odkrywszy je, uważa swe zadanie za skończone, ekonomista natomiast pozostawia je na boku, a stara się jedynie znaleźć nić łączącą człowieka z przyrodą, stara się ocenić korzyści i szkody, jakie wynikają z wzajemnego ich stosunku, aby spotęgować o ile możności pierwsze, uchylić lub przynajmniéj pomniejszyć drugie. Tu natura, jako taka, jest dla nas obojętna, zajmujemy się jedynie człowiekiem i wszystkiém, co wpływa na jego położenie.

Gospodarując, znajdujemy się zawsze wobec pewnych warunków niezależnych od naszéj woli, musimy się z niemi liczyć, jako z faktem dokonanym, stałym, niezmiennym, musimy się tak urządzić, by jak najmniéj od nich zależéć, jak najwięcéj z nich korzystać. W ten sposób pracujemy gospodarnie, gdyż z małym stosunkowo trudem, a wielkim dochodem, postępujemy przezornie, albowiem zatrzymujemy swą wolność, zachowujemy sobie możność wyzyskania późniejszéj, lepszéj konjunktury, chronimy się łatwo od strat i klęsk nieprzewidzianych.

O cóż jednak potrąca gospodarz w swéj pracy? Przedewszystkiém występuje tu natura w znaczeniu ściśle przyrodniczém, a więc położenie geograficzne, klimat, geologiczna budowa ziemi, oro- i hydrograficzne ukształtowanie kraju, miejsca, czy okolicy, ich naturalne bogactwo, świat zwierzęcy, roślinny i mineralny. Jak widzieliśmy, ekonomiści określają zwyczajnie w ten sposób naturę i w miarę swych poglądów przyznają jéj władzę nad ludźmi lub też poddają ją ich woli. Ze stanowiska ekonomii można jednak postawić na równi z owemi ściśle przyrodniczemi warunkami jeszcze inne okoliczności; w gospodarstwie oglądamy się na naturę i na ludzi. Każdy fabrykant potrzebuje, prócz węgla kamiennego, chętnych nabywców na swe wytwory, handel nie zdoła się rozwinąć, mimo najkorzystniejszych stosunków naturalnych, jeżeli brak mu dobrych komunikacyi, łatwego i taniego kredytu, bezpieczeństwa prawnego; rolnictwo nie będzie kwitnęło nawet przy najurodzajniejszéj glebie, jeżeli nie ma dość narzędzi i rąk do jéj uprawy, jeżeli społeczeństwo nie cieszy się tak długim pokojem, aby ziarno w ziemię rzucone mogło przemienić się w zboże, aby

można było zebrać i przetworzyć plony. Każde gospodarstwo potrzebuje czegoś od ludzi, tak jak nie może się obyć bez pomocy przyrody; żadna jednostka nie ma dość dość siły, by zmienić stosunki społeczne, tak jak nikt nie zdoła wpłynąć na warunki naturalne.

W skutkach przeto, o które jedynie chodzi w gospodarstwie, niema najmniejszéj różnicy między stosunkami naturalnemi a społecznemi. Mimo tego ekonomiści nie stawiają nigdy na równi obu tych kwestyi; akcentują silnie przyrodę, pomijają milczeniem, lub co najwyżéj wspominają tylko mimochodem o społeczeństwie. Jedyną przyczyną tych błędów jest zupełne nieuwzględnianie położenia człowieka, niepamięć o jego dwoistym charakterze. Człowiek może zreformować społeczeństwo, nie zdoła zmienić natury, mówią jedni i sądzą, że tym aksyomatem zaznaczyli zasadniczą różnicę między przyrodą a społeczeństwem, że zupełnie usprawiedliwili swe postępowanie. Człowiek wytworzył warunki naturalne przez swój ustrój społeczny, uczą drudzy, przyroda jest zawisłą od jego woli, nie można więc łączyć obu rzeczy w jedną całość, gdyż między społeczeństwem jako przyczyną, a przyrodą jako skutkiem organizacyi gospodarczéj, nie ma nic wspólnego.

Obie szkoły mają na pozór słuszność, obie popełniają w rzeczywistości błąd nie do darowania. Wskutek dowolnéj terminologii, wskutek ciągłego mieszania pojęcia człowieka z pojęciem gospodarza i społeczeństwa, dochodzą do wniosków mylnych i nielogicznych.

Dociekając praw i zasad naszéj nauki, musimy pamiętać, że mówiąc o człowieku mamy na myśli jedynie gospodarza, że pomijamy wszelką działalność ludzką leżącą poza ekonomią. Gospodarz może być zarazem uczonym, politykiem, poetą, wodzem, nawet monarchą, lecz dla ekonomii są to okoliczności czysto przypadkowe, nie wchodzące w rachubę, nie mające żadnego znaczenia. Stąd téż nie wolno nam badać wpływu ludzkiego na przyrodę lub społeczeństwo, jako wpływu człowieka wogóle, albo co gorsza, jako wpływu człowieka wyposażonego jakąś wyższą władzą, lecz musimy zająć się jedynie potęgą człowieka w jego charakterze gospodarczym, czyli mówiąc wyraźniéj, znaczeniem nie człowieka lecz gospodarza. Z tego stanowiska identyczność warunków naturalnych i socyalnych nie podlega wątpliwości. Żaden gospodarz nie może zmienić przyrody, nikt również nie potrafi zreformować społeczeństwa. Wprawdzie niejednokrotnie widzimy, że właściciel ziemski wyrabia swemi wpływami koncesyę na kolej żelazną, że kupcy uzyskują zniżkę taryf kolejowych, a fabrykanci cła ochronne na swe wytwory, nigdy jednak nie osiągają oni tego jako gospodarze. Rząd przychyla się do tych żądań, gdy uznaje ich uzasadnienie, albo téż gdy interesowani zajmują tak wybitne stanowi-

sko, że przed ich wolą musi ustąpić. W pierwszym wypadku społeczeństwo działa dobrowolnie, nie ma żadnego wpływu naszych gospodarzy, jest tylko wola ogółu, z któréj oni korzystają, tak jak się korzysta z darów przyrody; w drugim razie rolnik, kupiec czy fabrykant wyzyskuje w celach ekonomicznych swe wyjątkowe stanowisko, które zawdzięcza swym stosunkom towarzyskim, politycznym lub majątkowym, tak jak używa się przypadkowo odkrytych, lub wyjątkowo w danóm miejscu znajdujących się sił natury do poskromienia jéj oporu, tak jak Egipt korzysta z wylewów Nilu, a rozbitcy podbiegunowi z gór lodowych, na których dostają się do okolic zamieszkałych. Od dziesiątek lat słyszymy skargi właścicieli ziemskich na upadek rolnictwa, słyszymy i czytamy ciągle o konieczności reform agrarnych, o potrzebie cła zbożowego. Żądania te jednak pozostały bez rezultatu dopóty, dopóki rolnicy nie zdobyli sobie znaczenia jako silna partya polityczna. Z tą chwilą zmieniają się stosunki. Reformy i projekty ustawowe następują jedne po drugich, widzimy początki ustawodawstwa agrarnego, widzimy kroki ku zmianie kredytu hipotecznego, otrzymujemy rolnicze cła ochronne. Czyż jednak uzyskali to gospodarze, rolnicy? Przenigdy; wszystko wywalczyła potężna partya agrarna, niemająca z rolnictwem nic wspólnego, a działająca w myśl jego interesów. Czy w skład tego stronnictwa wchodzili rolnicy czy nie, jest rzeczą zupełnie obojętną, zawsze nie podlega najmniejszéj kwestyi, że rolnicy zamknięci w granicach swéj działalności gospodarczéj, nie mogli poprawić niekorzystnéj dla siebie sytuacyi, że osiągnęła to dopiéro polityka, którą przecież ekonomia zajmować się nie może. Jako gospodarz, jest człowiek tak samo bezsilnym wobec natury jak i wobec społeczeństwa; jako człowiek, może on zmienić stosunki społeczne, a jak się zaraz przekonamy może zmienić i naturalne.

Widzieliśmy już wyżéj, że przyroda tylko o tyle ma w ekonomii znaczenie, o ile wpływa na dochód, który w gospodarstwie izolowaném zależy od ilości, w wymiennóm od wartości wytworów. Chcąc przeto stwierdzić zmianę stosunków naturalnych, należy wykazać, że w pierwszym wypadku mamy dość siły do zwiększenia lub zmniejszenia ilości, w drugim do zmiany wartości dóbr, uzyskiwanych przy pomocy tych samych sił przyrody. Wówczas rezultaty będą odmienne, inną więc musi być natura, jako ich przyczyna, inną wskutek pracy i woli ludzkiéj; człowiek będzie rzeczywistym panem ziemi.

Jedno i drugie jest możliwe dla człowieka, przechodzi siły gospodarza. Wszelka produkcya polega na wyzyskiwaniu i zużyciu pierwiastków naturalnych. W miarę postępu kultury i cywilizacyi odkrywamy coraz nową broń, poskramiającą oporne siły, coraz nowe środki,

poddające naszéj władzy czynniki przyrodnicze. Natura, przedtém nieznana, dozwala wejrzéć lepiéj w swe tajniki, siły jéj dotąd bezczynne poczynają pracować dla człowieka, płody, na które dawniéj nie zwracano uwagi, stają się użytecznemi, nabierają wartości. Przemianę tę widzimy w historyi, dostrzegamy ją również w codziennéra życiu. W okolicach dawnemi czasy bezludnych, nieprzyjaznych, wzbraniających człowiekowi wstępu w swe dziedziny, wznoszą się dzisiaj wielkie i bogate miasta, na gruntach wyrwanych wodzie i moczarom powstają kraje przodujące dobrobytem innym ludom. Holandya odjęła morzu swe najzamożniejsze okolice, straszne i zgubne przedtém przestwory wód zaprzęgła do pracy na swe utrzymanie, ukuła z nich najpotężniejszą broń przeciw najezdnikom; w miejscu dzisiejszego pysznego, milionowego Chicago nie było przed kilkudziesięciu laty niczego, prócz stepów i bagien. Wspaniała Niagara zacznie wkrótce pracować dla Stanów Zjednoczonych, piaszczysty, kryjący śmierć w swém łonie przesmyk suezki przemienił się w szeroką drogę, łączącą starą cywilizacyę Wschodu z młodym lecz pełnym sił i życia Zachodem, nieprzebyte góry ustąpiły przed dynamitem. Natura ustępuje wszędzie przed ludźmi, chociaż niechętnie roztwiera im swe podwoje, okupuje sobie chwilowy spokój kosztem swych sił i skarbów. Lecz strasznym dla niéj jest tylko człowiek, nie gospodarz. Przyrodę poskramia się zdobyczami nauki, wzrostem techniki, nowemi odkryciami i wynalazkami; gospodaruje się na podstawie zasad już znanych, przy pomocy istniejących już środków i narzędzi. W ten sposób wszakże nie możemy postąpić ani kroku naprzód; odporność natury jest zawsze jednakowa, wytwory, które jéj (nie zaś swéj pracy) zawdzięczamy, pozostaną i nadal w téj saméj ilości. Chcąc je zwiększyć musimy odkryć nowe środki, nowe sposoby, a to przechodzi już zakres gospodarstwa, nie ma z niém nic wspólnego. Jak wobec społeczeństwa, tak i wobec natury gospodarz, ograniczony do własnéj produkcyi, jest zupełnie bezsilny, jako człowiek może zwyciężyć jedne i drugie przeszkody, może narzucić swą wolę przyrodzie i społeczeństwu.

Jeszcze dobitniéj okazuje się słuszność tych twierdzeń przy rozpatrywaniu gospodarstw wymiennych. Tu już nie chodzi o ilość dóbr, lecz o ich wartość, o ich znaczenie dla człowieka. W miarę wzmożenia się potrzeb, zwiększa się wartość wytworów służących na ich pokrycie, uzyskuje się coraz znaczniejsze dochody. W téj epoce natura gra bardzo podrzędną rolę. Pod wpływem urządzeń społecznych upadają wszelkie przeszkody przez nią stawiane, narzuca się jéj coraz ostrzejsze prawa, każe się pracować na coraz cięższych warunkach. Nie możemy wprawdzie materyalnie zmienić praw przyrody, możemy jednak

nadawać im dowolne znaczenie, w miarę naszych poglądów przywiązywać do nich odpowiednią wartość. Życie codzienne okazuje to na każdym kroku. Jednėm z najpotężniejszych praw przyrody, nad którėm fizycznie zapanować nie można, jest czas i przestrzeń. Zwyczajnie téż spotykamy się z twierdzeniem, że istnieją granice dla mocy ludzkiéj, gdyż ani czasu ani przestrzeni usunąć niepodobna; że natura zachowuje swą niezależność przynajmniéj na tém polu. Rzeczywiście nie umiemy dotychczas powstrzymać biegu godzin, zmieniać położenia gruntów, rzek i jezior, prawdopodobnie nie potrafimy tego nigdy, co jednak materyalnie było i jest niemożliwém, uskuteczniono już oddawna, nawet z wielką łatwością ekonomicznie. Gospodarzowi nie chodzi o sposób usunięcia przeszkód, lecz jedynie o rzeczywiste ich ujarzmienie; czy czas i przestrzeń zmniejszyły się fizycznie, czy tylko społecznie przez wynalezienie odpowiednich środków komunikacyjnych, jest rzeczą najzupełniéj obojętną, albowiem w obu wypadkach może równie szybko informować się o ważnych dlań zdarzeniach, w równie krótkim czasie dostarczyć na targ swych wytworów. Doszliśmy do tego przy pomocy pary i elektryczności; koleje, maszyny i parowce, telegrafy i telefony zbliżyły bardzo odległe krainy, przedłużyły dnie, godziny i minuty. Przy pomocy potężnych maszyn uzyskujemy w jednym dniu może więcéj wytworów, niż dawniéj, w całych miesiącach lub latach; na targu londyńskim widzi się owoce i jarzyny, pochodzące z ostatnich kończyn południowéj Afryki tak świeże, jak gdyby je wyhodowano w przedmiejskich ogrodach; Europa żywi się mięsem południowéj Ameryki a nawet Australii, Riviera zaopatruje całą północno-wschodnią część naszego kontynensu w swe róże; czas i przestrzeń, dwa najpotężniejsze prawa natury, nie mogły się oprzeć woli ludzkiéj, musiały ustąpić pod jéj naciskiem. Zupełnie tak samo dzieje się ze wszystkiemi innemi siłami przyrody; bezpośrednio lub pośrednio zmusza się je do służby; człowiek jest jedynym panem, natura spełnia ślepo rozkazy dyktowane przez jego rozum i wolę.

Zawsze jednak spełnia to jedynie człowiek jako taki, gospodarz jest tu zupełnie bezsilny. O ile istnieją pewne prawa tak naturalne jak i społeczne dla gospodarza, o tyle ich nie ma prawie zupełnie dla człowieka, względnie społeczeństwa. Z tego też stanowiska należy poddać krytyce zapatrywania, wymienione na czele niniejszego ustępu. Klasycy angielscy mają słuszność przyznając przyrodzie wszechwładzę w gospodarstwie indywidualném, w ścisłém tego słowa znaczeniu, błądzą jednak rozciągając te prawidła do ludzi, społeczeństw i całéj ludzkości; przeciwnicy ich natomiast mieszając pojęcie człowieka z pojęciem gospodarza, przypisują zupełnie mylnie całą potęgę ludzką pod-

miotowi ekonomicznemu, popełniają ten sam błąd na rzecz optymizmu, jaki w kierunku pesymistycznym zrobili wolnohandlowcy. Gospodarz jest odosobniony, ograniczony do własnych wyłącznie środków, jest bezsilny, musiałby zrozpaczyć, gdyby z nikąd nie mógł się spodziewać pomocy, gdyż przy największym nawet wysiłku może zaledwie ochronić się od upadku, może ominąć nowe trudności, nie zdoła nigdy zwiększyć swego dobrobytu. Nawet w tak małym zakresie działania nie jest zupełnie wolny i bezpieczny, nieprzewidziane klęski i nagłe nieszczęścia, pożar, powódź, wojna lub przesilenia ekonomiczne niszczą w jednéj chwili długoletnią pracę, zabijają jego przyszłość, odbierają mu środki do życia. Nic więc dziwnego, że kto tylko hołduje poglądowi ściśle indywidualistycznemu, dla kogo w gospodarstwie istnieją tylko jednostki, temu świat cały przedstawia się w ponurych barwach, ten potępia wszelką filantropię, która przedłuża tylko niepotrzebnie męczarnie, ten wraz z Malthusem sławi zbawienność epidemii, kataklizmów społecznych i naturalnych, uznaje ich uzasadnienie i konieczność. Wątpię jednak, by dotychczasowe nasze wywody mogły wywołać podobne wrażenie; pozostaje nam przecież jeszcze człowiek i związki ludzkie. Gospodarz jest zawsze bezsilny, musi się poddać panującym stosunkom, społeczeństwo jednak stoi ponad niemi, może je zmieniać i ulepszać; człowiek ograniczony do własnych sił nie zdziała niczego, nie zdoła sobie zapewnić szczęścia, lecz żyjąc w społeczeństwie może cieszyć się dobrobytem, opływać w dostatki. Społeczeństwo tworzy sobie samo warunki gospodarcze; jego woli poddaje się natura, pod jego naciskiem łamią się wszelkie przeszkody. Lecz w świecie ludzkim bez trudów nie osiąga się niczego, wszędzie potrzeba pracy, wszędzie konieczny jest rozum. Społeczeństwo ma dość zasobów, by sobie zapewnić jak najlepsze warunki rozwoju, musi ich jednak użyć, musi umiéć wyzyskać siły, spoczywające w swém łonie, musi je wyrwać z uśpienia, kazać im działać, dobrze nimi pokierować. Stąd też byłoby zupełnie niewłaściwém poprzestać na samém stwierdzeniu potęgi społecznéj: w tém miejscu znajduje się zaledwie początek naszéj pracy. Z trudnością tylko zdołaliśmy go odszukać; liczne błędy dotychczasowéj nauki zakryły prawie zupełnie właściwą drogę, musieliśmy się przebijać przez całe gęstwiny mylnych teoryi i zapatrywań. Teraz wreszcie jesteśmy wprawdzie nie u celu, lecz przynajmniéj u progu naszego zadania, znając już siły gospodarza, człowieka i społeczeństwa, możemy też oznaczyć zasady, jakiemi społeczeństwo winno się kierować w swém życiu gospodarczem, aby zapewnić sobie i swym członkom jak najwięcéj dobrobytu i szczęścia.

Jak widzieliśmy, ciągłe powoływanie się na wieczne i niezmienne prawa natury jest zupełnie błędném, nie ma ich w gospodarstwie, nie mogą przeto przeszkadzać jakiéjkolwiek pracy ekonomicznéj. Wbrew twierdzeniom szkoły klasycznéj, państwo ma dość siły, by podjąć się reform gospodarczych, wbrew jéj doktrynom może osiągnąć to, co przedsięweźmie, może zmienić lub zburzyć istniejące stosunki, a w ich miejsce postawić nowe, gorsze lub lepsze. Zupełnie jednak inny problemat staje przed nami, gdy badamy kwestyę, czy podobna działalność państwa jest wskazaną, czy skutki jéj będą zbawienne czy zgubne. Chcąc znaleść odpowiédź, musimy się już uciec do doktryn ściśle gospodarczych, musimy jéj szukać wyłącznie w granicach ekonomii, oprzéć swój sąd na prawach właściwych naszéj nauce.

(D. n.) *Dr. Włodzimierz Czerkawski.*



MALARSTWO PRZYSZŁOŚCI.

Anarchia w sztuce doszła do niebywałego w dziejach rozpasania. Gdzie są owe czasy sielankowe, kiedy to pobożny mnich Dyonizy zebrał dla malarzy religijnych na górze Atos recepty malarskie, przekazane przez „wielkiego i sławnego mistrza Manuela Panselinosa z Tessaloniki”, usuwając w ten sposób na wieki całe wszelkie spory i wyskoki artystyczne.

Jeszcze u schyłku 14-go stulecia, Cennino Cennini, streszczając w swym „Libro dell'arte” przepisy szkoły Giotta, nie miał potrzeby wdawania się w dyskusye: wszystko było ustalone, powszechnie uznane. Z dogmatyczną ścisłością przepisuje on sposób malowania twarzy młodéj a sędziwéj, materyi, klejnotów i t. d. O rozmaitości techniki nie ma wcale mowy; idzie tylko o to, by malarz używał zawsze wiernie „farb dobrego gatunku”, zwłaszcza „dla twarzy Madonny”.

Co prawda, Cennino Cennini znał tylko malarstwo *al fresco* i wodne, których technika w saméj rzeczy jest dość prosta. Dopiéro z wprowadzeniem malarstwa olejnego przez braci Van Eycków, otwiéra się szerokie pole dla upodobań indywidualnych w sposobie malowania. Jednak jeszcze Leonardo da Vinci w słynnym swym „Trattato della Pittura” daje przepisy zupełnie stanowcze, wykluczając wszelką dyskusyę. Jako „*summum* sztuki” zaleca on „słuszne i naturalne rozmieszczenie cieni i świateł”, i owe plastyczne „sfumato”, które stanowi główny urok własnych jego dzieł. Potępia on malarstwo *à la détrempe*,

jako technikę staromodną i zbyt płytką a poleca uczniom swym wyłączne używanie farb olejnych „mimo iż publiczność uwielbia jeszcze starą, powszednią metodę”. Jest on tak przekonany o zbawienności przepisów swych, że oświadcza: „artysta, któryby w inny sposób malował, hańbi się i godny jest pogardy”. Niestety! Doświadczenia, których nam dostarczyły arcydzieła samego Leonarda, wykazują, że w sprawach malarstwa olejnego nie należy mówić tonem wyroczni. W pięćdziesiąt lat po jego śmierci „Wieczerza” w refektarzu Santa Maria delle Grazie była ruiną, a pyszna niegdyś szata św. Anny w Luwrze znikła dziś do szczętu.

Z tém wszystkiém, całe malarstwo renesansowe i barokowe wykazuje względną zgodność w sposobie malowania, a przynajmniéj różnice techniki i przebijające się w nich różnice pojmowania malarstwa zawierają się w niewielkiéj stosunkowo skali. Dopiéro XIX stulecie wytwarza w tym zakresie sprzeczności jaskrawe, stawia malarzy na wprost przeciwnych biegunach i kończy ostatecznie chaosem, którego jesteśmy świadkami.

Kiedy Cornelius odwiedził pracownię Riedla w Rzymie, malarz ten pokazał mu świéżo ukończone płótno, wyobrażające dziewicę w jasném oświetleniu słoneczném, i zapytał go o jego zdanie. „Osiągnąłeś pan w zupełności to, — odparł mistrz, — czego ja przez całe życie z największem natężeniem unikałem”.

Nie można lepiéj scharakteryzować głębokich różnic, dzielących dzisiejszych malarzy. Co dla jednego jest grzechem śmiertelnym, występkiem przeciwko sztuce, na tém właśnie zasadza mistrzostwo i sławę swoją drugi. Od Bouguereau aż do Claude Moneta, od Gérome’a aż do Besnarda i Gauguina; od malarstwa akademickiego aż do impresyonizmu, pointilizmu, effacyonalizmu, jakiż nieprzebrany szereg malarstw, z których każde gotowe powtórzyć za Leonardem: Ktokolwiek maluje inaczéj, hańbi się i godzien jest pogardy!

Chaos ten, pozbawiający młodych artystów wszelkiéj pewności i rzucający ich nieraz na bezdroża, byłby istotnie niepokojący, gdyby nie świadczył zarazem o ogromie sił żywotnych i twórczych, zabezpieczającym przyszłość sztuki. Lecz jaką będzie ta sztuka, która wyłoni się z walki sprzecznych prądów? Czy będzie ona na wskroś nową i oryginalną, czy tylko kontynuacyą dotychczasowego malarstwa? Jak się zapatrywać trzeba na próby dzisiejszych nowatorów: czy należy je potępiać ryczałtowo, czy uważać za piérwsze kroki nowéj sztuki?

Oto pytania nasuwające się artystom i miłośnikom sztuki. Posłuchajmy nasamprzód zdania mistrzów francuskich, należących do różnych obozów.

* * *

Poglądy, które poniżéj przytaczam, słyszałem po części osobiście, po części czerpię je z ankiet, urządzanych przez niektóre pisma paryskie o tym przedmiocie. Nie mogę ręczyć za dosłowną ścisłość każdego zdania, ale ręczę za wierność poglądów.

Starzy mistrze, jak Bouguereau, Français, Gérome potępiają stanowczo nowe kierunki, które przebijają się w licznych salonach niezawisłych. Dla nich wszystkie te inowacye są zwyrodnieniem; słowa ich dziwnie przypominają poglądy Nordaua.

— Nowa sztuka? Głupstwo! — mówi Français, nestor malarzy francuskich. — Wierzcie memu doświadczeniu. Nie ma dwudziestu sposobów malowania. Artysta patrzy na naturę i stara się odtwarzać ją *sans tricher*. Drobne różnice między sposobami malowania dwóch malarzy są tylko wynikiem ich temperamentu. Dziś kilku szaleńców chciałoby wszystko przewrócić do góry nogami; malowanie takiego Lisleya lub Moneta jest niebezpieczne: wiedzie ono wprost do Charenton. Wszyscy, którzy tak malowali, skończyli w domu obłąkanych... Lecz ci szaleńcy są przynajmniéj szczerymi. Po za tém, wszystko jest wynikiem spekulacyi kramarskiéj i niesumienności artystycznéj. Handlarze obrazów dużo zawinili. Taki Durand-Ruel, pragnąc zrobić majątek, otrębuje z ogromnym hałasem inowacye malarskie i liczy na snobizm publiczności. O jakiéjś nowéj estetyce mowy wcale nie ma. Znać gruntownie sztukę swą, pracować jak najstaranniéj, rozumiéć się na kompozycyi obrazu, oto cała estetyka! Czy wystawianie szkiców ma być wynalezieniem nowéj estetyki? To tylko robią impresyoniści.

— Nowa sztuka? — woła Bouguereau — to wymysł dziennikarzy, któremu przyklaskują szeregi pół-artystów, by zapewnić sobie reklamę. Sztuka jest wieczną i jedną, podobnie jak natura i sposób w jaki przedstawia się człowiekowi. Czy nasi nowatorowie widzą w naturze to, co malują? Czy widziano kiedy cienie niebieskie, lub kobiéty, promieniejące wszystkiemi kolorami pryzmatu? Nie ufajcie tym rzekomym inowacyom. Cała rzecz polega na tém, że artyści chcieliby dziś zbyt prędko dobić do portu. *On veut arriver*, i w tym celu wynajdują się nowe estetyki, pointylizm, pipizm, i Bóg wié co jeszcze! Żaden z tych ludzi nie ma iskry talentu i nie zgłębił sztuki. Pokrywają oni nieuctwo swe procederami wprost dziecinnemi. Chcą malować ludzi w „pełnem słońcu". Czyż to możliwe? W pełném słońcu każdy zrobić musi grymas. Niepodobna malować grymasów i niepodobna malować słońca!

— Cóż więc robić wypada?

— Szukać piękna i prawdy! A przedewszystkiém: wykończać. Jest tylko jeden rodzaj malarstwa: ten, który przedstawia oku ów sto-

pień doskonałego wykończenia, jaki podziwiamy u Tycyana i Veroneza.

— Zgadzam się na nową sztukę, — twierdzi Gérome, — ale pokażcie mi ją? Czyż pejzaże Moneta, takie *Vernon par un temps de brouillard*, w któróm nie widać nic prócz białego płótna, lub wiśniowe konie Besnarda są istotnie nową sztuką? Niech sobie tam zresztą malują jak im się podoba, ale co mnie oburza to, że ta banda, taki Pissaro lub Gaugin, nie umiejący nawet rysować, demoralizują młodych artystów, których z biédą wychowujemy, a którzy nam uciekają! Mówią, że sztuka jest wiernym obrazem swéj epoki. Nic prawdziwszego! Jakiś prąd szaleństwa nurtuje w społeczeństwie naszém: szaleństwa w rządach, szaleństwa w administracyi, szaleństwa w obyczajach; łatwo pojąć, że i w malarstwie szaleństwo to się przebija!

— A zatém, to co dziś widzimy, nie jest zadatkiem malarstwa przyszłości?

— Nigdy w świecie! Ta sztuka nie ma przyszłości. Przypatrzcie się artystom zagranicznym, którym sprytu nie brak, czy naśladują oni wszystkie te szaleństwa? Nie — i dobrze robią; bo lepiéj byłoby przestać malować wogóle, niżby się utrwalić miały chorobliwości chwili obecnéj.

Inni wierzą, że usiłowania nowatorów dzisiejszych nie będą bezpłodne, że urośnie z nich kiedyś wielka sztuka, lecz sądzą nie mniéj surowo niedbałość i powierzchowność, które dziś są w modzie.

— Mam przekonanie, — mówi Ziem, znany malarz Wenecyi, — że epoka nasza, co do ruchliwości umysłowéj, jest jedyną w dziejach. Suma wysiłków, czynionych codziennie na wszystkich polach sztuki, jest niesłychana!... Po zatém, żyjemy w okresie emancypacyi sztuki. Nie ma już reguły, nie ma estetyki oficyalnéj, każdy szuka na własną rękę. Stąd powstają formuły różnorodne, czasem wprost sprzeczne; lecz niepodobna, by cały ten ogrom wysiłków był straconym. Nie wątpię, że coś zeń wyniknie. Lecz co? To trudno dziś orzec. W każdej z owych sprzecznych formuł tkwi cząsteczka prawdy. Co do mnie, wielbiciela dawnych mistrzów i autorów starożytnych, sądzę, że obraz powinien być zawsze dziełem sztuki, to jest wynikiem układu, kompozycyi; że natura powinna nas inspirować, nie zaś czynić nas swymi niewolnikami.

— Mielibyśmy tedy powrócić do naśladownictwa dawnych mistrzów?

— W każdym razie powinnibyśmy się starać o wykrycie sekretu ich malowania, gdyż nie ulega żadnéj wątpliwości, że oni jedni tylko istotnie malować umieli. Dzieło malarza jest materyalne; posługuje on

się pewnemi substancyami i narzędziami, które powinien znać gruntownie. Artyści odrodzenia zajmowali się niezmiernie starannie temi szczegółami, a nikt im w tym względzie nie dorównał. Rozglądajmy się za szkicami tych mistrzów, zeskrobujmy z nich farby, a analiza chemiczna pouczy nas, co w ich skład wchodziło. Skoro tylko posiądziemy tajemnicę ich techniki, zbliżymy się znowu do wielkiéj sztuki. Wówczas nie sprzeczajmy się o formuły, o zasady kolorytu. Rzekłbym, że wszyscy cierpimy na daltonizm w różnym stopniu; wszyscy mamy w oku indywidualną skalę kolorów. A jeśli jesteśmy artystami, posługujemy się temi skalami, by tworzyć harmonie, symfonie kolorystyczne... oto istota malarstwa!

— Jesteśmy w pełnéj dekadencyi, — sądzi Granié, i to już od schyłku odrodzenia.

— A zatém: koniec sztuki?

— Bynajmniéj! Nie mieszajmy sztuki z przemysłem, finansistów z prawdziwymi artystami. Z tych ludzi, którzy dziś tyle hałasu sprawiają, by jak najprędzéj zdobyć sobie pałacyk koło parku Monceau, niejeden ma talent istotny. Lecz są oni niewolnikami chciwości i próżności swéj; pragną, by ich zwano *maître*, i czynią tyle tylko, ile do tego potrzeba. Gdyby się w nich obudziła prawdziwa miłość sztuki, gdyby poświęcali pracom swym tyle czasu, ile wymaga dzieło sumienne, kto wié czy nie doszliby do owego stopnia wykończenia, który dotychczas, mojem zdaniem, osiągnęła jedynie staro-niemiecka szkoła. Artyści téj szkoły, to jedyni może, którzy mieli dość cierpliwości, by w niczém nie „cyganić", by być absolutnie prawdziwymi; to też stworzyli arcydzieła. Dzisiejsi malarze przeciwnie, żyją formalnie tylko sztuczkami i środeczkami. Od dawna już wystąpiła ta tendencya pracowania szybko; chciano osiągać rezultaty olśniewające, — bez trudu. Z czasem, zręczność rozwinęła się istotnie, a zręczność ta zabiła talent a skorumpowała geniusz.

— Czegóż tedy potrzeba, by odrodzić sztukę?

— Potrzeba, by malarze zmienili zwyczaje swe, by usunęli ze sztuki pierwiastek kupiecki, by wrócili do sposobu pracowania wielkich mistrzów. Jestem pewny, że ci, którzy posiadają istotnie temperament artystyczny, stworzyliby dzieła potężne i trwałe, gdyby się zdecydowali porzucić *les mille et un truc du métier*...

* *
*

Lecz cóż sądzi o nowéj sztuce Puvis de Chavannes, największy malarz monumentalny Francyi dzisiejszéj, a zarazem jeden z przodowników nowego kierunku? Niestety, ten artysta oryginalny i wielki

którego zdanie byłoby tyle zajmującém, ma formalny wstręt do wszelkich formuł i programów. Nie chce on krytykować współczesnych, a własnego ideału streścić nie umié. Spytajcie się go, co myśli o nowych prądach w malarstwie, o przyszłym rozwoju sztuki, on wam odpowié:

— Któż tu sąd wydać może? Wszak jesteśmy zbyt bliscy epoce naszéj! Malarze nie powinni żadnych opinii wygłaszać, jeno malować. Niechaj każdy stara się oddać własne intencye jak najdoskonaléj, a przyszłość osądzi, kto miał racyę.

Zapytany o własny program estetyczny, odpowiada niemal z oburzeniem:

— Program estetyczny? Ależ niepodobna wyznaczać sztuce programu! Artysta jest nieuchwytnym! Ile razy mu przypisujecie tajemniczą jakąś technikę, lub ukryte jakieś intencye po za tém, co wam oko mówi, mylicie się. Technika jego, to jego temperament, a intencye jego są poprostu wynikiem zdrowego rozsądku, — jeżeli jest zdrowym na umyśle. Podobnie i u mnie: styl mój, to moja indywidualność! Jestem istotą na wskroś instynktową, artystą naiwnym; nie poddaję się refleksyi, lecz robię wszystko tak, jak robić muszę... Żądając odemnie sformułowania jakiéjś estetyki, wprowadzacie mnie w kłopot największy. Nie podobna zanalizować mózgu artystycznego tak jak się rozbiéra zégarek... Wiém tylko tyle, że mam w sztuce potrzebę syntezy, która łączy się z prawdopodobieństwem i zostaje ludzką, nie wpadając jednak nigdy w charakter epizodyczny. Obserwuję naturę, która objawia mi tajemnicę swéj prostoty i prawdy, skoro odczuwam szczegóły; w ten sposób każda z mych postaci stanowi syntezę optyczną. Tych postaci zaś umieszczam na obrazie tyle tylko, ile niezbędna potrzeba wymaga. Niezbędność, oto główna ma reguła kompozycyjna, z któréj wypływają wszystkie inne: logicznośé i prostota ruchów i akcyi, układ architektoniczny wszystkich składników kompozycyi. Dzieło sztuki jest skończoném, skoro wszystko w niém jest konieczne, pełne znaczenia i wyrazu, tak iż nie możnaby usunąć ani zmienić najmniejszego szczegółu bez ujmy dla harmonii całości.

* * *

Przejdźmy teraz do innych nowatorów, mniéj uznanych, mniéj uzdolnionych, ale bardziéj rewolucyjnych, aniżeli Puvis. Puvisa łączą jeszcze z takim Bouguereau lub Gérome'm tradycye wielkiéj sztuki lecz u Gaugin'a lub Besnarda jesteśmy już w obozie opozycyjnym, który spogląda na „mistrzów” z tą samą pogardą, z jaką ci na nowatorów.

— Kopiować naturę? Naśladować mistrzów?—woła Gaugin.— Pogardzałbym sobą, gdybym to czynił. Prawda! Natura! Ależ do tego nie potrzeba artysty! Ten ideał dziś już osiągnięty — przez maszynę! Aparat fotograficzny, oddający i kolory, prześcignął wszystkich werystów! Podobnie w rzeźbie można odlać w gipsie model żywy i zrobić w ten sposób figurę Falgnière'a lepiéj od niego. Nie! Nie na tém polega zadanie sztuki. Nie o to idzie, czy cienie błękitne istnieją w naturze czy nie, lecz czy malarz stworzył dzieło harmonijne i czy pobudził myśl widza. Skoro to mu się udało, to wolno mu używać nawet różowych lub pomarańczowych cieniów.

— A zatem, czerwone psy, które pan malujesz.

— Są koniecznemi dla harmonii mego obrazu! Sztuka ma, to muzyka: temat obrazu, to tylko protekst do układania harmonii z linii i kolorów; harmonii, które nie mają w sobie nic realnego, które nie wyrażają żadnéj idei, lecz które pobudzają myśl tak jak muzyka, wyłącznie za pomocą tajemniczego powinowactwa, zachodzącego między mózgiem naszym a pewnemi kolorami lub dźwiękami!

— Więc mamy program nowéj sztuki?

— Nowéj? Bynajmniéj! Żaden z wielkich mistrzów nie postępował inaczéj! Rafael, Rembrandt, Velasquez, Boticelli, Cranach, wszyscy deformowali naturę. Idźcie do Luwru, przekonacie się, że żaden z tych mistrzów nie przypomina drugiego. Jeżeli więc jeden z nich naśladował wiernie naturę, to wszyscy inni, — według teoryi pp. Bouguereau i Français — byliby partaczami; a jeżeli żaden nie kopiował natury — to wszyscy byli rewolucyonistami!

— W ten sposób, i pański kierunek nie byłby nowatorskim!

— Jestto epitet śmieszny. Nowatorami są wszyscy, którzy malują inaczéj niż ich poprzednicy, a ci właśnie są mistrzami. Rafael jest mistrzem, Delacroix jest mistrzem, Manet jest mistrzem. Lecz czyż mamy ich naśladować? Dlaczego? Wszak są oni mistrzami właśnie dlatego, że nikogo nie naśladowali! Kopiując ich, uważałbym się za plagiatora!

— Lecz mówią niektórzy, że plastyka grecka i malarstwo odrodzenia wyczerpały cały program sztuki?

— To mylne. Sztuka jest nieśmiertelna a piękno może tysiączne przywdziewać formy. Średnie wieki miały swoje piękno; Egipt swoje. Rafael używał modelów pięknych, lecz można stworzyć dzieło piękne za pomocą modelu skończenie brzydkiego. I oto, dlaczego wybrałem się do Tahiti: chciałem odrodzić się na téj ziemi dziewiczéj, wśród téj rasy prymitywnéj. By zrobić coś nowego w sztuce, należy zestąpić do

źródeł, odszukać ludzkość w jéj początkach. Ewa, według mego pojęcia, to niemal zwierzę jeszcze...

Besnard, twórca kobiet pomarańczowych i fioletowych, zbliża się w poglądach do Gaugina.

— Ewolucya sztuki, — twierdzi on, — odbywa się sama przez się, chociażby zaprzeczano jéj istnienia. Czy sądzicie, że Bouguereau nie dokonał czegoś nowego w sztuce? I owszem: nikt przed nim nie malował w sposób tak wylizany; wprowadził on do malarstwa — mydło. Nigdy nie było tyle i tak różnorakich talentów jak dziś; lecz trzeba mieć odwagę, by uznać tę prawdę, a naszym mistrzom brak téj odwagi. Nie wiem, który z kierunków, reprezentowanych dziś przez młodych artystów, odniesie zwycięstwo; lecz wierzę w to, że prawdziwy temperament może mieć powodzenie w każdym kierunku. Nie sądzę, by malarz mógł się istotnie nauczyć czegokolwiek u mistrza. Jestem sam uczniem Cabanela, który był najpłytszą głową w świecie. Trzeba się samemu formować; słuchać własnego temperamentu i obawiać się wszelkich teoryi...

Claude Monet wreszcie, którym zamykamy tę ankietę estetyczną, zaznajamia nas z technicznemi zadaniami nowego malarstwa:

— Plein-airyzm nie osiągnął jeszcze tego, co było jego celem: uchwycenia światła. Mimo szumnych programów i długoletnich usiłowań, nie złamano jeszcze zupełnie okien pracowni. Malarz, który oddać chce istotnie drżenie i falowanie światła, poradzić się powinien nauki. Doświadczenia Rooda i Chevreula otworzyły malarstwu nową drogę. Wiemy, że wszystkie kolory zmieszane z sobą, dają kolor czarny. Zatem, wszelkie zmieszanie farb na palecie zmierza już ku ciemności. Chcąc zaś oddać światło, nie powinniśmy mieszać tonów. Skończony plein-airyzm, malarstwo światła, zasadza się tedy na technice tonu pojedyńczego czyli cząstkowego, na wytwarzaniu barw przez zmieszanie optyczne, nie zaś mechaniczne. Tylko tym sposobem, rozkładając kolor widziany w naturze na składniki jego, a umieszczając je obok siebie na płótnie, oddać możemy nie tylko przedmioty, ale zarazem atmosferę otaczającą i modelującą je, nie tylko powietrze i światło, ale godzinę, w której je obserwujemy.

* * *

Nieuprzedzony czytelnik bez trudu zoryentował się w tym kalejdoskopie poglądów artystycznych, zabarwionych subiektywizmem, właściwym umysłom twórczym. Odrzucając zarówno przesadną pogardę starych mistrzów dla nowych kierunków, jak zarozumiałość młodych, stwierdził, że malarstwo stanęło bądź co bądź u punktu zwrotnego, że

nie grozi mu upadek ostateczny, lecz że przeciwnie, odrodzenie mu świta. Poznaliśmy słabe strony prób nowatorskich, lecz widzieliśmy zarazem, że zmierzają one, mniéj lub więcéj szczerze i świadomie, do stworzenia nowéj, wielkiéj epoki w sztuce. Bez wątpienia, że malarze czerwonych psów i fioletowych kobiét nie są i nie będą nowymi Rafaelami téj sztuki: ale niepodobna, by z tego oceanu fermentów artystycznych nie wyłoniła się nowa harmonia.

Kto pragnie uchwycić bodaj parę cech tego malarstwa przyszłości, powinien pamiętać, że malarstwo, jak słusznie zauważył Ziem, jest sztuką materyalną, że tedy nowa sztuka opiérać się będzie nietylko na nowych ideałach intelektualnych i etycznych, ale, i to w najgłębszéj istocie swéj, zarazem na nowéj technice. Nie podobna mi w krótkim tym szkicu zajmować się psychologiczną stroną przyszłego malarstwa; lecz niechaj mi wolno będzie wypowiedziéć parę przypuszczeń co do technicznéj jego strony. Kryzys, przez jaki przechodzi malarstwo, pozostaje bezsprzecznie w związku z dziejami techniki olejnéj. Po trzystu latach nieograniczonego niemal panowania, technika ta doszła do ostatnich swych konsekwencyi, do owego wyrafinowania chorobliwego, jakie widzimy w obrazach Moneta: pragnie ona uchwycić to, co jest nieuchwytne. U innych malarzy, alchemia palety osiągnęła najwyższy stopień komplikacyi: dla wywołania chwilowego, olśniewającego efektu, mieszają farby z składnikami szkodliwemi. Tak malował Makart, któremu i technika dekomponowania tonów nie była obca.

Tak się przedstawia jedna strona dzisiejszego chaosu artystycznego: jest to dekadencya, dochodząca w niektórych kierunkach aż do zwyrodnienia niewątpliwego. Lecz po drugiéj stronie, a nieraz—rzecz dziwna — w najściślejszém połączeniu z upodobaniami dekadenckiemi, widzimy reakcyę przeciw tym ostatnim wynikłościom malarstwa olejnego. Główną cechą téj reakcyi, zdrowéj, noszącéj w sobie ziarno odrodzenia, jest dążność do prostoty. Miasto orgii barwnych w guście Makarta lub Durana, opartych na *cuisine compliquée*, miasto tęczowego malarstwa Moneta, smak młodego pokolenia artystycznego zwraca się ku harmoniom jasnym, spokojnym, prostym, ku przejrzystości i nastrojowi idealnemu. Takim zaś był charakter malarstwa freskowego: to téż ideałem nowego kierunku są freski w przeciwstawieniu do malarstwa olejnego. Dlatego to Puvis de Chavannes, głowa tego kierunku a zarazem jedyny prawdziwie wielki jego przedstawiciel, usunął z obrazów swych wszelkie *impasto*, i maluje farbami niemal suchemi, chcąc wywołać wrażenie fresków. Prawdziwa technika *al fresco* niestety zaginęła; lecz usiłowaniom dzisiejszego lub przyszłego pokolenia uda się niezawodnie odkryć ją na nowo. Tymczasem, widzimy, że

techniki, zbliżone do freskowéj, zaczynają coraz bardziéj wchodzić w modę. J. P. Laurens wystawił w zeszłorocznym salonie olbrzymi obraz „Mury Tuluzy”, malowany *à la détrempe;* inni, jak Armand Point, malują za pomocą białka jaja (*à la détrempe*) lub *à la colle* (farbami klejowemi).

Ten powrót do techniki prostéj, którą zdetronizowało niegdyś malarstwo olejne i o któréj Leonardo da Vinci wyrażał się z taką pogardą, ma stronę dobrą, wiele obiecującą: wróży on powstanie nowéj sztuki monumentalnéj, będącéj właściwém polem a naturalném uwieńczeniem téj techniki. Dzięki temu kierunkowi, chorobliwe wybryki malarstwa uspokoją się zwolna, smak oczyści się i uszlachetni.

Chwilowo jednak pociąga on za sobą cały szereg manieryzmów, wypływających z dekadenckiego usposobienia dzisiejszych artystów. Miasto wzorować się na dojrzałych, największych mistrzach malarstwa freskowego, sztuki prostéj i monumentalnéj, zwrócono się ku prymitywnym, biorąc u nich, wraz z prostotą, twardość rysunku, niezręczność ruchów i t. d. Inni, posuwając za daleko ową „pacyfikacyę i puryfikacyę” kolorytu, zaczęli malować tonami zbyt blademi i stworzyli kierunek „przygasły” czyli „effacyonistyczny”. Dodajmy do tego mistycyzm neo-chrześciański i mistycyzm neo-chaldejski w guście Sar Peladana, a zrozumiemy, że zapytać by można, po któréj stronie większa dekadencya, czy po téj, która wyciąga ostatnie konsekwencye techniki olejnéj, czy po owéj, która marzy o odrodzeniu techniki *al fresco*...

Lecz nie traćmy z oka linii oryentacyjnéj. Mamy wszelkie powody do przypuszczenia, że powrót do techniki prostéj odrodzi sztukę, a dzisiejszy pozorny upadek, rzekłbym: zeszczątkowienie malarstwa nie powinno nas pozbawiać téj nadziei. Podobny okres przebywało malarstwo w początkach tego stulecia, kiedy Carstens a po nim Overbeck, chcąc odrodzić sztukę, zarzucili wyrafinowany koloryt i rysunek mistrzów barokowych. I wówczas mówiono o zupełnym upadku sztuki; lecz Goethe, patrzący głębiéj, wypowiedział wówczas zdanie niezmiernie trafne: „Sztuka musi nasamprzód przebyć rozwój wsteczny i powrócić niejako do łona macierzyńskiego, zanim się odrodzi”.

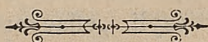
Paryż, w lutym.

Stwosz.



Z beletrystyki angielskiéj.

(MEREDITH — ANTONI HOPE — MARYA CORELLI).



W wykazie statystycznym księgarskiéj produkcyi angielskiéj za rok ubiegły czytamy, że wyszło z pod prasy 6,516 tomów dzieł nowych, oraz 935 ponownych edycyi. Pierwsze miejsce w téj zasobnéj produkcyi zajmują powieści: wyszło ich nie mniéj niż 1,544. Chociaż jest to o 40 tomów mniéj, aniżeli w r. 1894, nie można mówić o żadném namacalném ich zmniejszeniu. Poziom dawniejszy utrzymuje się, i na cztery książki, wychodzące z druku, przypada jedna powieść.

Tak często już poszukiwano powodów tego stanu rzeczy u wszystkich społeczeństw dzisiejszych, a u Anglików w szczególności, że nie ma zapewne potrzeby do nich powracać, a sam fakt liczebnéj przewagi powieści nad wszystkiemi innemi działami twórczości piśmienniczéj należy uznać za stały i normalny. Jeżeli jedni główni powieściopisarze znikają, nie brakuje im nigdy spadkobierców; jeżeli jedne rodzaje powieści przeżywają się i tracą ponętę dla czytającéj masy, to niezwłocznie nowe prądy znajdują przedstawicieli pohopnych do próbowania w nich swych sił twórczych. Owa elastyczność formy, nadającéj się z łatwością do wszelkich potrzeb, owa możność odzwierciedlenia wszystkich momentów i wszystkich warunków społecznego i indywidualnego bytu, uczyniła powieść nadzwyczajnie popularną.

Samo się przez się rozumie, że wartość myślowa i artystyczna owego półtora tysiąca nowych powieści nie jest w żadnym bezpośrednim stosunku do ich ilości. Kto wié, czy z téj całorocznéj produkcyi potomność potrafi wyróżnić choćby jedno arcydzieło i kilka tuzinów wyższych utworów? Jest to zagadka, nad któréj rozwiązaniem nie ma powodu łamać sobie głowy. Że potomność będzie bezstronnym sędzią, jest rzeczą naturalną i poszukiwać będzie ona w utworach naszych tylko czynników trwałą, nieskazitelną posiadających wartość. Ale natomiast brakować jéj zawsze będzie tego delikatnego poczucia atmosfery duchowéj i środowiska, w którém żył i które odtwarzał powieściopisarz przebrzmiałéj epoki. Tylko współcześni mogą mu pod tym względem oddać sprawiedliwość i tak się dzieje, że niejedna powieść, używająca dzisiaj nadzwyczajnego rozgłosu, będzie dziwowiskiem dla naszych praprawnuków. My szukamy w nich oddźwięku wiernego chwili bieżącéj i gdy go znajdujemy, łatwo i chętnie wybaczamy usterki w osnowie lub w formie powieści, a w oczach późniejszych pokoleń to, co nas głównie zaprząta, istnieć nie będzie. Wątpić tedy nie można, że na tysiące naszych płodów beletrystycznych nie zwrócą oni najmniejszéj uwagi i że spoglądać na nie będą z tą samą lekceważącą obojętnością; z jaką my spoglądamy na romansidła XVIII wieku. Pytał się niedawno krytyk artystyczny, co się dzieje z owemi kilkudziesięciu tysiącami obrazów, jakie rok w rok malarze wysyłają na wystawy? To samo pytanie można postawić co do powieści. Jeżeli są instytucye narodowe, jak np. biblioteka „British Museum”, które z obowiązku przechowują na swych półkach wszystkie bez wyjątku książki jakie wychodzą w Anglii z druku, to po za tym cmentarzem pogrzebanych powieściopisarzy nie będzie i śladu dziewięciu dziesiątych naszych powieści.

Ta wstępna uwaga uczy ostrożności i nakazuje być bacznym w wyborze nawet tych utworów, które w epoce swego pojawienia się witane są gradem pochwał i oklasków. Z téj téż zasady wychodząc, ograniczymy się do położenia nacisku na te tylko utwory powieściowe ubiegłego roku, których autorowie o dawno posiadanéj, albo świeżo zdobytéj sławie uważani być mogą za przedstawicieli najgenialniejszych dzisiejszego piśmiennictwa.

Wypadkiem w dziedzinie powieści angielskiéj był przy samym końcu ubiegłego roku nowy utwór Jerzego Meredith'a. Jak słusznie powiedział jeden z najznakomitszych krytyków, nie ma to nic wspólnego ze zwykłą produkcyą, z tą powszednią powieścią, o któréj czyni się wzmiankę pobieżną, którą się czyta z roztargnieniem i o któréj zapomina bez wyrzutów sumienia. Meredith zajmuje w piśmiennictwie angielskiém stanowisko odrębne, jedyne. Pisze od lat trzydziestu, utwo-

rzył nie jedno arcydzieło, ale ich tuzin, a imię jego zaczyna dopiéro przenikać do milionowych warstw narodu. Jako myśliciel, jako psycholog, jako artysta, jest on bez najmniejszéj wątpliwości wyższy od całéj gromady powieściopisarzy. Buja on na wyżynach George Eliota, albo Tołstoja dawniejszego. Właśnie jego zalety, a przedewszystkiém wyrafinowana błyskotliwość formy, paradoksy i aforyzmy, które sieje szczodrze na okół siebie, sprawiły, że się masa czytająca zdala od niego trzymała. Ci, co go nie rozumieli, co się do jego poziomu umysłowego wznieść nie mogli, potępili go, albo przynajmniéj trzymali się odeń zdala. Gdy w r. 1879 napisał „Egoistę", uznała go wprawdzie krytyka za mistrza i powieść tę za najwyższy utwór nowoczesnego piśmiennictwa, ale popularnym pomimo tego nie został. Literaci, artyści, kwiat inteligencyi narodowéj grupuje się około niego, talentem jego niewyczerpanym rozkoszuje się i napawa, ale na tém koniec. Są pisarze, co rozwadniając jego aforyzmy, zapożyczając u niego jednéj figury lub sytuacyi, pozyskali sobie imię rozgłośne i materyalne powodzenie. On zdaje się o nie nie dbać i z olimpijską pogodą ducha, bez wyrzutów, bez skarg, idzie daléj po obranéj przez siebie drodze. Co przedewszystkiém w nim uderza, to zupełny brak strudzenia, brak powtarzania się. Jest zawsze młodym i rzeźwym, a gdy po paroletnim odpoczynku podejmuje pióro, nowość typów i osnowy powieściowéj, nowość toku całego uderza tych, co oddawna, we własném mniemaniu, zakreślili granicę jego twórczości duchowéj. Przyczyny téj świeżości młodzieńczéj domyśléć się łatwo: bardziéj niż powieściopisarzem, bardziéj niż myślicielem, Meredith jest poetą i poetą pierwszorzędnym. Poetycka wyobraźnia jego coraz nowe odkrywa mu światy i czytelników jego prowadzi w zaczarowane jakieś sfery.

Nowy utwór Meredith'a nosi tytuł „Zdumiewające małżeństwo" (*An amazing marriage*) i jak wiele jego poprzednich, ma za osnowę przedstawienie rozwoju duchowego wybranéj jakiéj istoty. Jest to tedy *par excellence* romans psychiczny. Ale nie ma w nim ani śladu owéj oschłości, owego systematycznego notowania pulsacyi serca, owego postawienia pod mikroskopem specymenu ludzkiego, które stały się ujemną właściwością powieści tego rodzaju, nawet pod piórem jéj mistrzów nowoczesnych. U Meredith'a tryska zawsze pełnia życia i na każdym kroku spostrzega się, że nie z typami abstrakcyjnemi mamy do czynienia, które się obserwacyi skalpelowéj dobrowolnie poddają, lecz które schwytane są na uczynku przez spostrzegacza tak bystrego, iż kilka drobnych rysów wystarcza mu do przeniknięcia labiryntu duchowego. Nic świeższego, nic wdzięczniejszego, jak postać bohaterki, Caryntyi, córki Alp austryackich. Powaga, z jaką zapatruje się na życie

i jego obowiązki, energia jéj woli, wewnętrzne ciepło, co ją ożywia, nie czynią najmniejszéj ujmy jéj kobiecości. Tak oryginalna natura, nie przykrojona podług modelu konwencyonalnego, nie może rościć pretensyi, aby ją świat okolny zrozumiał i ocenił podług jéj istotnéj wartości. Małżeństwo z lordem Fletwood'em obojgu przynosi rozczarowanie. Ów wielki pan, w gruncie szlachetny i prawy, ale zepsuty pochlebstwami, ulegający wpływom przypadkowego otoczenia, lekki i powierzchowny, przywykły do uważania kobiéty za istotę z natury swojéj podrzędną, musiał być mężem, który moralną wyższość Caryntyi ocenił za późno. Jest zwierciadlana przejrzystość w tych dominujących typach. Powiedziano już oddawna, że jeden tylko pisarz angielski dodał typy nowe i żyjące postacie do galeryi szekspirowskich figur kobiecych, a jest nim on właśnie. Galerya ta pomnożyła się z niemałym dla niéj blaskiem przez postać Caryntyi. Są obok dwóch bohaterów liczne inne *dramatis personae*, naszkicowane tak dosadnie, że się raz spotkanych nigdy zapomniéć nie może. Śmiejąca się Riette, hrabina Livia, Gower Woddsen, o humanitarnych tendencyach przyjaciel Fletwooda i inny charakter Feltra, świadczą o niewyczerpaném bogactwie palety malarskiéj wielkiego pisarza. A jako pisarz zdaje się obecnie dochodzić do najwyższéj doskonałości. Główną jego wadą była afektacya, pewna sztuczność w sposobie wyrażania się i epigramatyczność podniesiona do znaczenia wyjątkowego. Teraz jest o wiele prostszy, naturalniejszy, do zrozumienia łatwiejszy. Jeżeli niejeden z jego krajobrazów czyta się i odczytuje jako epizod piękny sam przez się poetyckiém pięknem, jeżeli nie jeden jego aforyzm, sformułowany mimochodem, odkrywa swą głębię dopiéro po dłuższém rozmyślaniu, to całość płynie tak wartkim i przejrzystym strumieniem, iż narzekania dawniejsze na mozolną pracę, jakiéj czytanie Meredітha wymaga, nie są już usprawiedliwione. Nie jest i być nie może płaskim i poziomym, ale niezawodnie zbliżył się do dyapazonu społecznego.

Z pomiędzy nowych pisarzy, którzy stanowczo i ostatecznie wybili się na wydatne stanowisko, wymienićby należało dwóch: p. Stanleya Weyman'a i Antoniego Hope'go. Zostawimy pierwszego do odrębnego studyum razem z gronem pisarzy szkockich, do którego należy, a przedstawimy czytelnikom p. Antoniego Hope'go, którego imię jest obecnie wielce popularne, a nawet sławne, dzięki przerobieniu jednéj z jego powieści na sztukę teatralną.

Anthony Hope Hawkins, gdyż takie jest prawdziwe jego nazwisko, pracuje w dziedzinie powieści od lat siedmiu i znalazł powodzenie dość żywe, ażeby porzucić zawód prawniczy, do którego słały mu łatwą drogę rodzinne stosunki i z amatora, piszącego dla rozrywki własnéj

i swych osobistych przyjaciół, przedzierzgnąć się w zawodowego pisarza. Nie można się dziwić, że przy nawale powieściopisarzy krytyka krajowa, a témbardziéj postronna, pomijała go w początkach. Dzieje się to bez ustanku i dopiéro gdy jaki potężniejszy utwór złoży niezaprzeczone świadectwo o intelektualnéj wartości pisarza, który przedtém ginął w szarym i bezbarwnym tłumie, krytyka, tak samo, jak masa czytająca, zadaje sobie pracę poznajomienia się z poprzednią twórczością piśmienniczą autora i zaznacza jego postępy. Tak się stało z Antonim Hope'm. Dopiéro w nadzwyczajnym blasku jego, „Prisoner of Zenda", datującego z r. 1894, zaczęto czytać szereg wcześniejszych jego utworów. Nie ma atoli potrzeby rozbiérać ich szczegółowo. Jest tu naprzód „A man of mark", gdzie autor z werwą, humorem i żywością opowiada nam odyseę prezydenta jakiéjś fikcyjnéj rzeczypospolitéj Ameryki środkowéj. Kto ma czas i cierpliwość iść za rozwojem tych państewek wulkanicznych i rewolucyjnych, spotykać się musiał z tylu przygodami awanturniczemi, że cyniczne wyzyskiwanie jednéj z tych republik przez trójkę łotrów jest oddźwiękiem rzeczywistości. Trzeba było jednak już w tym pierwszym utworze uznać fantazyę autora, lekkość i barwistość opowiadania, interesujący węzeł intrygi i cel jasno zakreślony. Następną jego powieścią był „Father Stafford." Bohaterem powieści jest duchowny kościoła anglikańskiego, zobowiązany do celibatu, a wpadający w sidła kokietującéj z nim na zimno damy wielko-światowéj, lady Claudyi. Zawodzi się na miłości, a jednocześnie spostrzega niewystarczające fundamenta religii, któréj służył tylko połową serca. Zniechęcony, nawraca się na katolicyzm i wchodzi w szeregi jego duchowieństwa. Powieść tę uważamy za najpośledniejszą z jego utworów. Analiza uczucia religijnego nie jest ani głęboka, ani podjęta z sympatyą. Bez niéj niepodobna tych spraw tykać, a tém mniéj rozstrzygać. Sceptyczny humor, błyszczący dowcipem dyalog, pokazały już i w téj powieści, że autor stał się mistrzem formy i że nowicyat jego się zakończył.

Dojrzałość umysłową okazuje téż już jedna z późniejszych jego powieści, „Half a hero." Doczekała się już kilku wydań i ustaliła jego stanowisko piśmiennicze. Autor odbył wówczas obowiązkową wycieczkę po świecie kolonialnym angielskim i na tle życia publicznego jednéj z tych kolonii osnuł swą opowieść. Mamy tu do czynienia ze stosunkami Nowéj Zelandyi. Autor w drastycznem przeciwieństwie nakreślił ludzi wybitnych nowego i starego świata. Nie można nie uznać prawdziwego talentu, z jakim opisał wielkiego męża stanu kolonialnego, jego radykalizmu szlachetnego, ale instynktowego raczéj, aniżeli wyrozumowanego, i całkowitego braku pojęcia u tego umysłu bystrego

stosunków odrębnych, europejskich, opartych na tradycyi wielowiekowéj. Ta nie ociosana na zewnątrz, nie upolerowana figura p. Metland'a, jest jednym z najszczęśliwszych typów stworzonych lub skopiowanych z życia przez powieściopisarza. Rozumiemy także urok, jaki na taką silną, pierwotną naturę wywiera delikatna, wyrafinowana osobistość wielkiéj damy angielskiéj, Alicyi Dercane, siostry gubernatora kolonii, posiadającéj wyjątkową żywość i dowcip. Mniéj jasna jest analiza uczuć, jakie się w jéj sercu rodzą ku temu nieokrzesanemu bohaterowi. Autor umiejętnie i efektownie przeprowadził intrygę swéj powieści, pokazując, jak usterki i wykroczenia moralne dawniejszego jego życia mszczą się na Metland'zie w stanowczéj chwili i łamią niepowrotnie nietylko jego zawód publiczny, ale i osobiste szczęście. Powieść ta, która się doczekała szybko kilku wydań, wyszła na widok publiczny jednocześnie ze skandalem, który zmiażdżył karyerę polityczną Parnell'a i można było upatrzyć w jéj toku pewne podobieństwo zasadnicze z tragicznym epizodem, którym się świat angielski wówczas wyłącznie zajmował. Na tuziny możnaby wyliczyć powieści, które w zdarzeniu tém zaczerpnęły swą osnowę. P. Antoni Hope właśnie dla tego, że nie zamierzał kopiować rzeczywistości, zajął miejsce odrębne i pokaźne.

Oryginalnością tego pisarza jest nadzwyczajna elastyczność, z jaką się nagina do form często wzajemnie się wykluczających. Jest niepraktykowaném nieledwie zjawiskiem, żeby w jednym i tym samym roku pisarz ogłosił dwa utwory niemające żadnéj wspólnéj cechy. Mamy tu na myśli „Rozmowy lalek” *(Doll's dialogues)*, oraz „Więźnia w Zendzie” *(Prisonner of Zenda)*. Dzieli je nietylko treść, ale i forma i metoda pisarska. Słynny ze swéj giętkości w prowadzeniu rozmów, z ich żywości i dowcipu, autor zebrał w pierwszym z tych utworów w jedną całość rozmowy rozmaitych osób do wyższego towarzystwa londyńskiego należących, rozmowy oderwane, lecz odtwarzające je wiernie z dokładnością, szybkością, ale i suchością fotografii. Żadnego komentarza, żadnego *scenario* ze strony autora, a te lekko naszkicowane maryonetki żyją pełném i barwném życiem. Cała duchowa atmosfera chwili obecnéj pochwycona jest na uczynku. Lekka ta książczyna uczy więcéj o nastroju dzisiejszego społeczeństwa angielskiego, aniżeli wiele uczonych foliałów. Wiadomo było, że pisarze francuscy, jak Gyp, jak Lavedan, jak Hervieu, jak cały sztab *Vie Parisienne*, doprowadzili ten rodzaj komedyi bez akcyi do najwyższego stopnia doskonałości. Ale nie próbował ich dotąd żaden pisarz angielski; pióro ich wydawało się zbyt ciężkie, talent nie przypuszczał łamiskokowéj giętkości, do tych harców niezbędnéj. P. Hope udowodnił, że i on umié bić ze śmietany

śnieżysto lekką pianę. Nie przypisujemy tym szkicom żadnéj wyjątkowéj wartości i wiemy dobrze ile w nich sztuczności i maniery. Jest to szkic świata wyjątkowego i monografia taka w jakim oddalonym prowincyonalnym zakątku może nawet zrozumiana nie będzie. Ale w stolicy za to, wśród wyrafinowanych Ateńczyków, autor właśnie za ten drobny utwór wysławiany był ogromnie.

Zupełnie inny, natomiast jest jego „Więzień w Zendzie". Nie są to już delikatne studya psychologiczne, utkane z mglistéj a nieujętéj przędzy, ale przeciwnie, powieść o niestworzonych awanturach i wypadkach, powieść co stoi nie formą ale osnową. Utwory tego pokroju oddawna wyszły były z mody. Ci wszyscy, co nie posiadali ani twórczéj siły, ani wybujałéj fantazyi, ci przedewszystkiém pogrzebali ją za żywa, uznali za dziecinną igraszkę, za godną zaledwie umysłów młodzieniaszków, ale nie głębszych, nie poważniejszych. Tak zwane powieści *de capa y espada*, odtwarzające barwiste i awanturnicze życie dawniejszych pokoleń, zdawały się tracić racyę bytu wśród dzisiejszego społeczeństwa, osowiałego, pedantycznego, ujętego w formy niezłomne a indywidualnéj inicyatywie nieprzyjazne.

Ale kiedy wyrok taki wydawali krytycy wczorajsi *ex cathedra*, czytająca publiczność całkiem inne zdradzała usposobienie. Nie ma wątpienia, że najpotężniejszym twórczym talentem w téj sferze powieści przygodowéj był Aleksander Dumas ojciec. Ta kolosalna figura, słusznie nazwany siłą natury, czas jakiś zaćmiony przez rozmaite rzekomo wyższe od niego geniusze, sponiewierany przez naturalistów w epoce ich efemerycznego, już do przeszłości należącego tryumfu, odzyskał już w swéj ojczyźnie przynależne sobie stanowisko. W Anglii gwiazda Aleks. Dumasa nie zaznała nawet chwilowego zaćmienia. W niezliczonych edycyach popularnych rozeszły się tłumaczenia jego romansów, szczególniéj „Trzech Muszkieterów" i „Monte Christa". W czytelniach i bibliotekach publicznych istniejących bezpłatnie przy wszystkich znaczniejszych municypalnościach, czytelnicy tych powieści zapisują się z góry, nadługo naprzód, ażeby je módz czytać: nic lepiéj nie wskazuje poczytności pisarza co przeszedł do mas. Pierwszorzędni zresztą romansopisarze i essayiści angielscy — dość będzie wymienić R. L. Stevenson'a—przelali w czytającą publiczność cześć i uwielbienie, jakie dla niego uczuwają. Postacie d'Artagnana i jego towarzyszy tak samo są tu przytaczane, tak samo tu żyją, jak w swéj ojczyźnie. W roku zeszłym dwa nowe, świetnie ilustrowane przekłady téj klasycznéj powieści wyszły z druku.

Jest tedy niezaprzeczonym faktem, że wśród każdéj społeczności, nawet najbardziéj prozaicznéj, najbardziéj do jarzma codziennego ży-

wota przywykłéj, istnieje nieprzezwyciężony pociąg do oderwania się choć na moment od rzeczywistości, do karmienia się czarodziejskiemi baśniami. Autor, co potrafi swą fantazyą dać nam wizyę życia odmiennego od tego deptaka, po którym bez ustanku stąpamy, który rozdmucha nie wygasłą nigdy skrę romantyczności w duszy naszéj, autor taki może z góry liczyć na szerokie powodzenie. Do takich właśnie czynników odwołał się p. Hope w téj powieści, takiego pisarza jak Dumas, za wzór sobie postawił. Chociaż po sto razy spotkać się było można ze zdaniem, iż „Więzień w Zendzie" zajął w piśmiennictwie angielskiém stanowisko „Trzech Muszkieterów", nie należy brać tak przesadzonéj pochwały dosłownie. Ale sama tendencya, samo modelowanie się na tym wzorze jest chlubą dla młodego pisarza. Nie potrzebował zadawać gwałtu swéj naturze, ażeby w tego rodzaju powieści sił swych próbować. Od samego początku swego zawodu, odznaczał się swobodą, z jaką się obracał w pośród skomplikowanych sytuacyi, zawsze miał lekką rękę w szkicowaniu charakterów, zawsze akcya była u niego żywa i interesująca a dyalog skrzył się mieniącemi się ogniami. Chociaż nie pisze romansów dla pensyonarek, nie lubuje się nigdy w sprosnościach i brudach. Nie spuścił z uwagi, że tak poczytny w Anglii Stevenson umiał napisać powieści budzące gorączkowe zainteresowanie bez wprowadzenia do nich płciowych stosunków i stawiając miłość na drugim planie. Postanowił pójść w te ślady.

Nadzwyczajne przygody, jakie spotykamy w „Więźniu w Zendzie", mają za widownię jakieś królestwo w Niemczech północnych, któremu autor nadał fantastyczne nazwisko Rurytanii. Przybywamy tam wraz z młodym angielskim szlachcicem Rudolfem Rassendyll, który się tam udaje jako turysta, ażeby się przyjrzéć uroczystościom koronacyi młodego króla Rudolfa V w jego stolicy, Strelsaw. Coś więcéj jednak niż zwykła ciekawość podała mu myśl téj wycieczki. Wié on z historyi swéj rodziny, że dziadek tego króla przebywając w młodych swych latach w Anglii romansował z jego babką, i przypuszcza, że w królu Rurytanii może widzić swego krewniaka. Nie dotarłszy jeszcze do stolicy przekonywa się Rudolf Rassendyll, że przypuszczenia jego były słuszne: jest on fizycznie istotnym sobowtórem króla, jak bliźniak do niego podobny i wszystkie znamienne rysy królewskiego rodu, zacząwszy od czerwonych włosów, istnieją u niego. Zabłąkawszy się w lasach położonych na okół strzeleckiego zamku króla, Zendy, jest on ciągle brany za Rudolfa V-go, który tam właśnie poluje. Na tém nadzwyczajném podobieństwie tych dwóch osobistości opiéra się cały gmach téj interesującéj powieści. Król ma wroga w swoim kuzynie ks. Michale, który pożąda jego narzeczonéj, pięknéj księżniczki Flavii i jego tronu. Po-

nieważ król jest hulaką i nie umié posiąść popularności u ludu, ponieważ nie śpieszy do poślubienia swéj kuzynki, ów Michał, odwołując się do pomocy wyrzutków miejscowéj demagogii, intryguje przeciwko królowi i dokłada wszelkich starań, ażeby do koronacyi jego nie przyszło. Nie mogąc inaczéj sobie poradzić, spaja króla na owém polowaniu i nieprzytomnego, bezbronnego zamyka w samotnym zamku Zenda. Ale stało się właśnie przed tém uwięzieniem, że król Rudolf zapoznał się i zaprzyjaźnił z Rudolfem Rassendyll i traktował go jako krewnego. Gdy się podstęp księcia Michała udaje i gdy koronacya prawdziwego króla staje się niemożliwą, wtedy dwaj wierni jego przyjaciele, stary pułkownik Sapt i młody adjutant Fritz von Tarlenheim, wpadają na pomysł podstawienia agielskiego szlachcica na jego miejsce i ukoronowania go tymczasowo, zanim się im uda wyswobodzić uwięzionego w zamku Zenda. Pomimo jego oporu, uciekając się do jego rycerskich uczuć, skłaniają go do odegrania téj niebezpiecznéj i trudnéj roli. Rzuca się tedy w paszcze lwa: przybywa potajemnie do stolicy, odgrywa rolę króla, i wszyscy biorą go za prawdziwego oprócz ks. Michała i jego otoczenia, którzy wiedzą, że istotny Rudolf V-ty jest uwięziony, ale Michał nie może sobie wytłumaczyć pojawienia się sobowtóra ani go oskarżyć bez potępienia samego siebie. Komedya rozwija się naturalnym biegiem i podstawiony monarcha pozyskuje odrazu większą popularność u ludu aniżeli ją miał król prawdziwy. Co większa, nawet pozyskuje serce swéj pięknéj krewnéj, ks. Flavii która ku niemu żywsze żywi uczucia, aniżeli ku temu, którego żoną miała zostać z przyczyn państwowych. Ceremonia koronacyi, towarzyszących jéj uczt i bankietów przechodzi pomyślnie, chociaż stronnictwo Michała stara się wciągnąć rzekomego króla w zasadzkę i zamordować. Za długo było by opowiadać jak się z téj matni wywija i jak rozpoczyna drugą część swego działania: uwolnienie króla z więzienia i oddanie mu jego osobistości. Tutaj to właśnie cała fantazya autora ma szerokie pole przed sobą i nie pomija sposobności. Codzienne walki jakie Rassendyll stacza z siepaczami ks. Michała, usiłowania jakie czyni ażeby się do zamku Zenda przedostać, niebezpieczeństwa jakie mu grożą na każdym kroku i z których obronną wychodzi ręką, nakoniec wdarcie się do zamku, walka z buntownikami, wyzwolenie króla bliskiego śmierci: wszystkie te epizody pełne życia, barwy, interesujące nawet gdy się ich przesadę lub materyalne nieprawdopodobieństwo bierze w rachunek, mają, nie powiemy, epiczny ale Dumasowski nastrój i charakter. Ten odcień romansowności, jaką ma w dodatku stosunek Rassendylla do księżniczki Flavii, któréj serce podbił i w któréj sam się rozkochał, zyskał autorowi poklask ze strony téj części publiczności, co o po-

wodzeniu powieści ostatecznie orzeka—kobiet. Powodzenie jéj, jak wyżéj się rzekło, było ogromne i nie ustało ani na chwilę. Obecnie, gdy teatr ucieleśnił te postacie na scenie, nie ma najmniejszéj wątpliwości, że nowy czynnik do popularności téj powieści przybył.

Zdawać by się mogło, że takie nadzwyczajne powodzenie osiągnięte w dziedzinie powieści romantycznéj, całéj w przygodach i awanturach mogło zachęcić autora do ponownego próbowania w niéj sił swoich. Nie wiemy czy to istotnie nie nastąpi w bliższéj lub dalszéj przyszłości, bo lubi on czynić czytelnikom i krytyce niespodzianki przez swą wielostronność, ale ostatni jego utwór — albo raczéj ostatni, który mieliśmy w rękach, bo pisze tyle iż nastarczyć mu trudno—jest powieścią w rodzaju „Pół-bohatera”, to jest psychologiczném studyum, rysowaniem charakterów indywidualnych na tle współczesnych wypadków.

Powieść ta nosi tytuł „Bożek na wozie”, który oznacza ów wóz Jaggernauty, indyjskiego bożyszcza, co miażdży bezlitośnie sfanatyzowaną tłuszczę, rzucającą się pod ciężkie koła podczas jego tryumfalnego pochodu. Bożkiem tutaj jest Walter Ruston, syn swych własnych czynów, który z afrykańskiéj prowincyi Omofaga przez siebie kolonizowanéj przybywa do Londynu, rzuca się w wir politycznego i finansowego świata i zbiéra olbrzymie kapitały potrzebne dla ekonomicznego rozwoju owego dalekiego kraju. Zuchwałe jego przedsięwzięcia są uwieńczone pomyślnym skutkiem. Skupia on miliony i rozsypuje je na około siebie szczodrą ręką. Udaje mu się, bo ma do czynienia, ów człowiek żelaznéj woli, energii, pozbawiony skrupułów, dążący do celu nie egoistycznego ale istotnie narodowego, ze światem wyrafinowanym, zmateryalizowanym, dążącym do roskoszy i używania, a zadawalniającym się pozorami uczciwości. Tego przeciwieństwa charakterów i motywów działania autor nie uwydatnia może dość plastycznie, ale dla każdego poważniejszego czytelnika myśl jego przewodnia musi być zrozumiałą. Autor zatrzymuje swe opowiadanie w chwili, gdy Walter Ruston przeprowadził swą finansową operacyę i gdy Omofaga, kraj przezeń dla cywilizacyi otworzony, oddany został na użytek jego narodu. Jest to tedy tryumf wielkiego działacza publicznego. Co się daléj z nim stanie, nie wiemy. Widzieliśmy jak lekceważył kobietę, jak po krótkiém wahaniu odtrącił bezlitośnie tę, co mu życie swe, cześć swą niewieścią była gotowa nieść w ofierze. Nad osobiste szczęście, albo przynajmniéj to coby za szczęście było uważane przez świat, do którego wtargnął, przełożył on osiągnięcie zakreślonego sobie celu. Miażdżył serca i reputacye bezkarnie i postawieni jesteśmy przed pytaniem, czy ta żelazna siła woli nie skruszy się w przyszłości, czy sa-

motność duchowa, na jaką się ten szermierz skazuje, nie zaciąży mu ołowiem, czy mu skrzydeł nie podetnie i czy będzie w stanie, postawiony wobec nowych zapasów, wśród nowych utarczek pomiędzy publicznym a osobistym interesem, ów spokój i ową nieskazitelność zachować.

Właśnie w tém postawieniu zagadnienia, ale postawieniu tylko bez najmniejszéj wskazówki, jak ono rozwiązaném zostanie, leży wada powieści. Autor może wprawdzie na swe usprawiedliwienie powiedzieć, że mu o to nie chodziło, że pokazał tryumf jednostki nad społecznością i że całkiem inną być by mogła i być musiała ta druga powieść, któréj od niego żądają. Nie przeszkadza to atoli, że w téj jaką nam dał brakuje czegoś, że czujemy iż to dopiéro połowa budowli, że to epizod wyrwany z całości, nie dopowiedziany. Przyczyny tego stanu rzeczy zgadnąć nie trudno. Jeżeli autor kreśląc swą dominującą postać Waltera Ruston, nie zrobił portretu wielkiéj osobistości do poznania łatwéj, to bez najmniejszego wątpienia wziął ją sobie za model. Nie potrzebujemy być dyskretniejsi od krytyki angielskiéj, która bez ogródek twierdziła, że Walter Ruston to nie kto inny jak Cecyl Rhodes, wielkorządca Afryki południowéj, król kopalni dyamentów i złota, ojciec Rhodezyi, owego rozległego mocarstwa, które ojczyźnie swéj przyniósł w dani. Biorąc sobie tego olbrzyma za typ do powieści, p. Hope musiał naturalnie zatrzymać się w pół drogi i dodać mu romansowe przygody, bez których powieść byłaby sucha i pozbawiona życiowości.

Ale owo przenoszenie żywcem żyjących osobistości do dzieł sztuki, owo niczém nieusprawiedliwione wdzieranie się w sferę prywatnego życia nigdy pisarzom szczęścia nie przynosi: mogą chwilowo zadrasnąć ciekawość, wywołać komentarze i nadać pokątnym plotkom znaczenie faktów historycznych, lecz złudzenie trwać musi niedługo. Bańka fantazyi pisarza rozbije się o rzeczywistość i autorowi niepowetowany uszczerbek przynosi. Los właśnie takiego figla spłatał panu Antoniemu Hope i to bez długiéj zwłoki. Jego bohater, ów bożek co kruszył i miażdżył niemiłosiernie świat okolny, który wychodził zwycięzko z najtrudniejszych zapasów, właśnie padł w rzeczywistości ofiarą swego własnego zuchwalstwa i ów posąg ze spiżu pokazał swe gliniane podwaliny. Czytelnik, co biorąc dziś do ręki „Bożka na wozie” szukać będzie po za fikcyjną figurą Waltera Ruston jego pierwowzoru, Cecyla Rhodes, nie będzie mógł uwierzyć w twórczy geniusz jednego, spoglądając na odmęt ruin, w którym pogrążył się drugi!

Zawcześnie byłoby dzisiaj wypowiadać o młodym powieściopisarzu sąd stanowczy. Jest widoczném, że pracuje za szybko, że im-

prowizuje, że nie pogłębia swojéj orki, że mu grozi przedwczesne wyczerpanie; jest widoczném także, że zyskałby na ześrodkowaniu swéj twórczości zamiast rozstrzeliwać ją w tylu rozmaitych kierunkach. Ale ponieważ posiada tyle życiowego zasobu, tyle sprężystości i energii, tyle fantazyi i tyle piśmienniczych zalet, których wielu pierwszorzędnym pisarzom brakowało, można tuszyć iż wyjdzie z fermentu, przez który obecnie przechodzi, zwycięzko i że beletrystyka angielska będzie mogła widzieć w nim jedną z nowych sił, co zastąpi z czasem ubytek dzisiejszych przewodników.

Poświęciliśmy zanadto miejsca powyższemu powieściopisarzowi, ażeby nam starczyło dla wielu innych pod pióro się proszących. Zostawimy do swobodniejszéj chwili tych i owych a zakończymy przegląd obecny charakterystyką ostatniéj powieści pani Maryi Corelli, „Sorrows of Satan". Te „Żale Szatana" narobiły wiele hałasu w literackim świecie w końcu zeszłego roku i sprzedaż téj powieści, tak samo jak kilku ostatnich téjże autorki, była zdumiewająco wielka.

Ażeby jéj powodzenie zrozumiéć, trzeba wziąć naprzód na uwagę kilka postronnych okoliczności, nic z wartością literacką jéj utworów nie mających wspólnego a potém tendencye, za których przedstawicielkę uchodzi lub uchodzić pragnie. Do pierwszych należy wyjątkowy dar reklamy, jaką ta pani posiada. Nie ma wypadeczku drobnego którego by na swą korzyść nie wyzyskała. I tak np. zdarzyło się, że królowa Wiktorya przeczytawszy jedną z jéj powieści, wyraziła się, o niéj przychylnie. Od téj chwili p. Corelli przedstawia się jako autorka specyalnie ulubiona przez królowę; jéj wydawca w okólnikach towarzyszących pojawieniu się każdego nowego jéj utworu nie omieszkuje uwiadomić publiczności, że pierwszy egzemplarz, w pięknéj oprawie przedłożony został monarchini. Trzeba znać lojalizm Anglików względem królowéj i snobizm masy, która słusznie czy nie słusznie ma zwyczaj przyklaskiwać każdéj manifestacyi smaku rodziny królewskiéj i naśladować go, aby pojąć, że téj jednéj okoliczności tysiące czytelników zawdzięcza. Daléj p. Corelli ma zwyczaj w każdéj swéj powieści, bądź w przedmowie bądź w jéj zawartości, staczać walkę ze swymi krytykami. Wystarcza ażeby ktokolwiek trzymający pióro, ażeby jakiekolwiek pismo ośmieliło się podać w wątpliwość jéj geniusz twórczy, głębię jéj filozoficznych doktryn, a broń Boże ją wyszydzić, ażeby ściągnąć na siebie jéj Jowiszowe pioruny. Z błotem ich miesza, pastwi się nad nimi, obsypuje obelgami i zniewagami. Pomnąc na rolę, jaką odegrały w piśmiennictwie niektóre słynne zapasy autorów z ich krytykami, pani Corelli zdaje się co najmniéj, że stoi na wysokości lorda Byrona lżącego szkockich swych Zoilów. Jest jéj widocznie dotkliwém, iż poważna

krytyka nie chce brać jéj na seryo! Ostatnia jéj powieść poprzedzona jest notatką od wydawcy uprzedzającą, że nie rozsyła ani jednego egzemplarza krytykom dla recenzyi i że jeżeli chcą, mogą książkę kupić. Nie przeszkadza to jednak, ażeby w toku powieści autorka nie kreśliła karykatur swych rzekomych wrogów i nie przedstawiała ich w ohydnych barwach, oskarżając ich o wszystkie grzechy Izraela. Nie ma logiki w téj pogardzie krytyki i w owych na nią napaściach. Ale właśnie te potwarze, te skandale osobiste, które się z góry w jéj powieściach czytelnik napotkać spodziewa, przyczyniają się do rozbudzenia ciekawości. Co traci na reputacyi to zyskuje na pieniądzach. Spekulacya nie jest obcą nawet tak podniosłym duchom, jak pani Corelli.

Przedewszystkiém jednak autorka ta dobija się sympatyi jako przedstawicielka zasad spirytualistycznych. W epoce grubego materyalizmu i wyuzdanego naturalizmu, wystarcza nieraz wywiesić nad swą produkcyą szyld spirytualizmu, duchowości, religijności, aby nieprzyjaciele pierwszych okrzyczeli za wielki, za potężny talent pisarza, który ogłasza, że do innego należy obozu, i nie zadają sobie nawet pracy zbadać czy istotnie jest on tak spirytualistyczny i tak religijny jak sam o sobie głosi. Tak się rzeczy mają z panną Maryą Corelli. Jeżeli nie inny to ten przynajmniéj pierwszorzędny posiada talent, iż potrafiła zamydlić oczy czytelnikom oddawna. Dziś ma już ustaloną reputacyę, wyrobione stanowisko i gdy się ten lub ów ośmieli powiedziéć, że autorka ta plecie banialuki, że pod błyskotliwą słów igraszką nie ma u niéj żadnéj jasnéj, ściśle wyrozumowanéj doktryny, że nie można wiedziéć ani czy wierzy, ani w co wierzy, ani co chce udowodnić, to taki sąd jest natychmiast brany za wyraz jawnéj niechęci do owego wyższego nastroju duchowego który ona uosabia. P. Corelli przez swój mistycyzm i pseudo-religijność wyzyskuje tak samo szlachetniejsze instynkta natury ludzkiéj, jak wyzyskują naturalistyczni romansopisarze instynkta i chuci niższego pokroju: tu i tam szarlataneryа.

Autorka ta znana jest w piśmiennictwie od lat dziesiątka. Nie podobna pomiędzy dawniejszémi jéj powieściami znaléść żadnego arcydzieła, chociaż niektóre z nich jako takie okrzyczane były przez jéj wielbicieli. Nie widzimy potrzeby rozwodzić się nad wszystkiemi: wzmianka o ważniejszych wystarczy do obznajmienia tych czytelników, którzy jéj nie znają, z ogólniejszemi cechami jéj twórczości.

Jedną z najpierwszych i niewątpliwie najlepszych była „Ardath”. Było w niéj niezaprzeczenie dużo fantazyi i nawet ów spirytualizm specyalny, gdy nie pretendował jeszcze wówczas do odrodzenia świata

i popchnięcia go na nowe tory zasługiwał na sympatyę. Młoda autorka szła wprawdzie w rozbrat ze zdrowym rozsądkiem, była chaotyczna i często niezrozumiała, ale brać to było można za ferment ducha poetyckiego i wyrzucać jéj pomysłów, jakkolwiek dziwaczne były, nikt nie miał prawa, gdyż z oryginalnego pączka mógł jakiś kwiat piękny, nadzwyczajny, wystrzelić. Osnowę powieści stanowi nawrócenie materyalistycznego poety i agnostyka Theosa Alvyn'a do religii objawionéj. Nawrócenie to jednak istotnie cudowne. Poznawszy w Babylonie Heliobasa, chaldejskiego mędrca — postać którą w wielu późniejszych utworach swych pani Corelli ponownie przedstawia — wchodzi za jego pośrednictwem w styczność w komunikacye z Edrisą. Edris, rodzaj anioła żyjącego mistyczném życiem od wieków, kochała była owego Alvyna za jednéj z dawniejszych faz jego żywota, gdy był poetą-laureatem w królestwie Al-Karyi. Niechaj czytelnik nie pyta autorki ani o to królestwo, ani o naturę działających tam osób, ani o sposób w jaki Edris rozłącza swe cielesne formy od duchowéj istoty. Przekonała ona o rzeczywistości religii Alvyn'a, i na tém dość. Gdyby to był poemat unoszący nas na skrzydłach fantazyi w świat wymarzony, nie miałoby się prawa czynić mu zarzutów. Ale skoro autorka rości pretensye do powieściopisarskiego tronu, skoro z wyżyn swéj fantazyi nieuchwytnéj spada co moment do szczegółów prozaicznych, realistycznych, można co najmniéj powiedziéć, iż nie znalazła jeszcze, pisząc „Ardatha" żadnéj ściśle skrystalizowanéj dla siebie formy i że szła omackiem.

W przypuszczeniu tém utwierdzają nas dwie następne jéj powieści, „Wormwood" i „Vendetta." Pierwsza z nich jest realistycznym dramatem osnutym na wytykaniu następstw płynących z nałogu pijaństwa: jest to „Assomoir" pani Corelli. Ponieważ jéj bohater upija się i upija absyntem, rzecz naturalnie osnuta jest na tle paryskich stosunków. Bardziéj błachą i poziomą jest jeszcze „Vendetta". Panuje tam melodramatyczność śmieszna w swéj przesadzie. Mąż pochowany w śnie letargicznym powraca do życia, przekonywa się, że był igraszką ubóstwianéj przez siebie żony, która zdradzała go od dawna, poświęca swój nowy peryod życia zemście na kochankach. Tego rodzaju miernoty nie zasługiwałyby na wzmiankę, gdyby autorka nie chełpiła się ciągle duchowym nastrojem swéj muzy. Widocznie, zanim ostatecznie do jéj rydwanu się zaprzęgła, próbowała wycieczek w inne strefy. Możnaby żałować, że tam nie rozpięła na dobre swego namiotu, gdy się czyta jéj dwie następne powieści, znowu o poetycznych, spirytystycznych tendencyach. Jedna z nich *Soul of Lilith*, wprowadzająca El Rami, wschodniego magika, do londyńskiego towarzystwa, jest istotną

łamigłówką i piszący przyznaje się otwarcie, że pomimo hałasu jaki ten utwór wywołał, nie zdołał nigdy doczytać go do końca. Druga, „Romance of two worlds”, ma, jak wszystkie utwory pani Corelli, formę kunsztowną, język piękny, nieraz świetne epizody, ale co moment wykoleja czytelnika, który chce sobie zdać sprawę z tego, co mu autor opowiada. Nie sądzimy, ażeby ktokolwiek, przeczytawszy tę powieść o „elektryczném odgadywaniu”, idąc krok w krok za awanturami Rafaela Collini, zdenerwowanego muzyka, i tajemniczéj Zary, która jest uosobioną bateryą elektryczną i zabita jest przez piorun, mógł choć na chwilę wznieść się do wysokich medytacyi religijnych, do których baśń ma tu służyć za przewodnika. Nie możemy nabyć żadnego jasnego wyobrażenia o niewidzialnym świecie, odsłanianym nam uprzejmie przez autorkę, skoro w rzeczywistym, w którym się obracać przywykliśmy, nie możemy się rozpoznać wskutek postaci, jakiemi go zapełnia.

Przed trzema laty autorka obdarzyła nas „Barabaszem.” Była to odpowiedź na zarzut krytyków, którzy ośmielili się zapytać, dla czego w poszukiwaniu postaci, uosabiać mających religijne, wzniosłe zasady, pani Corelli błąka się wśród mistrzów chaldejskich, prowadzi nas do Babilonu i Cypru, ale nigdy nie zatrzymuje się przed światem i przed religią Chrystusa, która bądź co bądź jest rzeczywistością, z któràby się rachować wypadało i gdzie bądź co bądź pewien ideał duchowy się zamanifestował? Nie wiemy, czy odpowiedź p. Corelli można będzie uważać za zadawalniającą. Zapożyczyła wprawdzie główniejsze swe postaci działające z ksiąg biblijnych, dodała do nich swoje pomysły i swą malowniczą formę, ale pozwalamy sobie wątpić, czy ukrzyżowanie i zmartwychwstanie Chrystusa takiego sztucznego kwiecia potrzebowały i czy znosić je mogą. Barabasz, zmysłowo, namiętnie rozkochany w Judycie Iskaryotce, siostrze Judasza i kochance Kaifasza, nawraca się na chrystyanizm i prowadzi za sobą na prawdziwe szlaki Judytę pod wpływem tragedyi na Golgocie. Taki szereg poważnych zarzutów podnosi się przeciwko samemu pomysłowi téj powieści, że nie ma potrzeby ich wymieniać.

Nie zdziwi się czytelnik, że autorka, przynosząc obecny, ostatni swój utwór, „Żale szatana”, pozostaje na gruncie fantazyi spirytualistycznéj. Po szalonem powodzeniu „Barabasza” dla czego miałaby zmieniać metodę? Sprzedała go 70,000 egzemplarzy. To wystarcza do zachęcenia wyzyskiwania téj saméj żyły. Jeśli rehabilitacya Barabasza była przedsięwzięciem paradoksalném, to o ileż zuchwalszém wydawać się może rehabilitacya szatana, owego ducha ciemności,

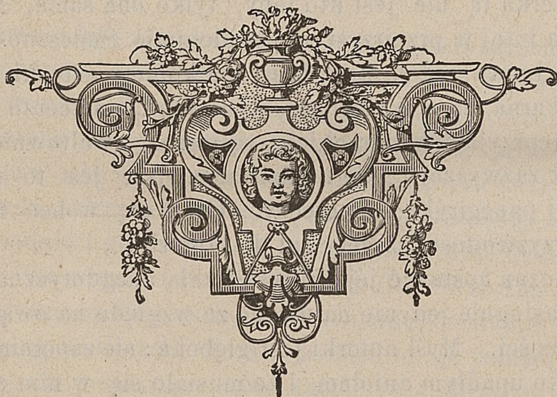
uosabiającego od wieków i po wieki najczarniejszy z grzechów! Tego właśnie zadania podejmuje się autorka i to w formie dość niespodziewanéj.

Szatan w powieści obecnéj nie jest rogatym, czerwono odzianym Mefistofelesem. Występuje on w postaci pięknego, arystokratycznego magnata, księcia Lucia Rimanez'a. Przybywa on do Londynu i staje się towarzyszem młodego literata, Geoffroya Tempest'a, który dopiéro co umiérał z głodu, ale naraz odziedziczył milionowy spadek i rzuca się w wir życia wielkoświatowego. Możnaby się zadziwić nad jednostronnością ujemną, z jaką autorka opisuje towarzystwo angielskie: wszyscy mężczyzni są tam najohydniejszymi łotrami, wszystkie kobiéty wyuzdanemi wszetecznicami. O przesadę w satyrze nie ma powodu jéj oskarżać, bo uczyniła to umyślnie, ażeby w przeciwstawieniu do tego tła czarnego jaśniéj i świetniéj się odbiła postać jéj bohaterki, Mavis Clare, a bohaterką tą nie jest kto inny, tylko ona sama, Marya Corelli, występująca tutaj w przejrzystym pseudonimie. Śmieszność ta, zarówno jak napaści i potwarze na krytyków, na kobiéty autorki, na wielkiego poetę Swinburna, na p. Knowles'a, wydawcę „Nineteenth Century" i innych jéj nieprzyjaciół literackich, są jeszcze gwałtowniejsze i wstrętniejsze niż zazwyczaj. Ale najdziwaczniejsze jest to napisanie dla siebie saméj panegiryku i apoteozy. Czuje się wobec takiego braku poczucia przyzwoitości szczery żal dla autorki.

Ale można zostawić jéj powieść i całą anegdotyczną jéj stronę na uboczu. Zasługuje jedynie na uwagę ze względu na ową rehabilitacyę ducha ciemności. Myśl autorki jest głęboka: nie zapomina ona, że szatan jest tylko upadłym aniołem i że musiało się w nim coś z jego dawnéj, czystéj, anielskiéj natury zachować. Jeżeli zamiast szukać u szatana tych dobrych zarodków, jakie w nim pozostały, lgniemy do jego złych stron, to czynimy ten wybór gwoli naszéj osobistéj sympatyi. Nie szatan, ale my sami jesteśmy za nasze złe postępki odpowiedzialni. Daléj autorka pokazuje, jakim sposobem może człowiek odkupić, ocalić nawet szatana, czyli zwalczyć zasady zła w samym ich zarodku. Ta idea zasadnicza nie występuje nigdzie z pozytywną precyzyą; trzeba się jéj tylko domacywać, ale że jest, i to już wiele. Ów Rimanez, który jest Arimanem, duchem zła, nie jest tak czarny, jak go się przywykło widzieć w fantazyach poetycznych, ale właśnie w tém upatrujemy zaletę pomysłu. Mniéj mistycyzmu, bardziéj umotywowana idea zasadnicza, stawiają tę ostatnią powieść wyżéj od poprzednich. Fabuła jest dzika, fantastyczna, naszpikowana szczegółami melodramatycznemi.

Pycha, jaką dyszy autorka, jest wstrętna. Oto wrażenia, jakie czytelnik prawdopodobnie wraz ze sprawozdawcą z niej wyniesie. Niepodobna twierdzić, ażeby Marya Corelli była wielkim pisarzem, ale jest niezaprzeczenie odrębnym, do żadnego innego niepodobnym. Jeżeli nie używamy wyrazu „oryginalnym", to dla tego, że ma on zwykle znaczenie dodatnie, a do tego nie zdaje się nam ona mieć prawa.

N. T.



W krainie wszechwiedzy.



Iksmokul. „De omni re scibili.“ Reflexions de l'ermite. Paris. (Henri Jouve, editeur, rue Racine, 15), 1895, p. 640.

„Są to rozmyślania”—powiada autor w przedmowie i w zamknięciu obszernego swego dzieła; przyczém w tonie napół żartobliwym, napół poważnym, zapewnia daléj, że nie żywi uroszczeń ani do wynalazczości, ani do nowości. „Jeżeli nie w Europie to w Azyi lub gdzieindziéj, jeżeli nie za naszych czasów to w starożytności mniéj więcéj odległéj, jeżeli nie na naszéj kuli to na innéj jakiéjś planecie, idee podobne do moich wygłoszone być mogły lub będą” (str. 634). A ponieważ idei tych w książce jest dużo, ponieważ w ciągu trzydziestu trzech rozdziałów rojno od nich na każdéj stronicy, ponieważ wreszcie dotyczą one światów nieskończenie wielkich i nieskończenie małych, wszystko zaś razem poruszone zostało w sposób rzutki, przenikliwy, sięgający po za skórkę przedmiotów, przeto nie czekamy wcale na odsłonięcie pseudonimu („Iksmokul”), ażeby w pisarskim tym trybie odkryć umysł rodaka („Łukomski”). Jedynie mózg zachodnio-słowiański,—mózg najrodowiciéj i najprawowiciéj polski, zdolen jest zdobyć się na taką obfitość i rozrzutność pomysłów lotnych, roziskrzonych, rozsypanych po najskrytszych zakątkach bytu: kosmogonicznych, biologicznych, filozoficznych, socyologicznych, bakteryologicznych...

W zaznaczeniu powyższém nie ma źdźbła lekceważenia. Przeciwnie. Najpotężniejsze nasze głowy w wieku XIX-ym nigdy inaczéj

nie rozmyślały nad sprawamy i drogami ducha, materyi, przeszłości, przyszłości, skończoności, nieskończoności, — w literaturze, w ekonomice, w matematyce. Przypomnijmy sobie Prelekcye Mickiewicza, potrącające z powodu piśmiennictwa ludów słowiańskich o wszelkie struny metafizyczne dostępne pokoleniom ówczesnym; przypomnijmy Fizyologię powszechną Supińskiego, zaczepiającą skrzydłami hypotez przyrodoznawczych wszelkie wierzchołki onegdajszéj wiedzy społecznéj. Poświęcić cały tom jeden roztrząsaniu, czém jest np. woda (Tyndall), wyczerpać zasób logicznych trybów dochodzenia na stwierdzenie jednéj teoryi rosy (Mill), wysnuć zasady historyi naturalnéj z jednego prawa grawitacyi (Newton), oprzéć na nieprzejrzaném pasmie formuł rachunkowych jedno przypuszczenie o powstawaniu słońc z mgławic świetlanych (Laplace), — to są owoce usiłowań umiejętnych, których przeszczepienie na naszą glebę, wskutek rozmaitych przeszkód dziejowych, szło dotąd nader opornie. Istnieją wprawdzie niejakie poszlaki, że Jędrzéj Sniadecki wyprzedził Darwina, i t. p., ale z przesłanek tego rodzaju możnaby nawet wywnioskować, że nie gdzieindziéj, tylko w Polsce urodziła się oświata nowoczesna, z Kopernikiem na czele. Metryce przyjścia na świat nie ubliżałoby to z pewnością, szkoda tylko, że dyplomy dojrzałości wywędrowały następnie gdzieś daléj.

Iksmokul złożył dowody dobrego smaku i mile zalecającéj się skromności, że od ojcowstwa dalszych, przyszłych losów cywilizacyi powszechnéj odżegnał się wybornie wystylizowanym dobrym humorem. A jednak, kto wié?—Kilka wskazówek biograficznych, aczkolwiek nader nikłych, zdają się świadczyć, że autor nie był platonicznym tylko kochankiem nauk ścisłych, lecz że je uprawiał jako zawodowiec, a przynajmniéj, że z niemi długo obcował i tytuł bezinteresownego ich lubownika zaznaczył jedynie na okładce książki, oraz w tém jéj oświadczeniu, że „lubo człowiek niezamożny, znaczną kwotę wyłożył na przyzwoite wydanie swojego dzieła, a wié dobrze, że o zwrocie kosztów nakładu i pracy nie ma co myśléć.” Liczy obecnie p. Łukomki 68 rok życia (str. 208), z wielu obrotów jego mowy i wywodów widać wyraźnie, że się zajmował—jeżeli nie praktyką lekarską — to doświadczeniami toksykologicznemi, przesyłał około r. 1855 do akademii nauk w Petersburgu uwagi nad trującemi własnościami niektórych roślin z ziemi Baszkirów i z Krymu, zamieszczał późniéj, od r. 1858, liczne artykuły w powszechnie znanych organach paryskich: „Gazette des Hôpitaux”, „Courrier médical”, „Lancette française”, etc., czynił postrzeżenia i odkrycia w świecie mikrobów już w epoce, kiedy wielu z dzisiejszych uczniów Pasteura i wielbicieli Kocha nie umiało jeszcze

oddychać świeżém powietrzem, słowem w zakresie nauk przyrodniczych, graniczących z medycyną, jest od lat pięćdziesięciu specyalistą w pełném i chlubném znaczeniu wyrazu, jak to zresztą dobitnie się wyróżniło w trzech rozdziałach dzieła, noszących wspólny tytuł: „Zarazek i jady" (207 — 322).

Nawzajem atoli, co się tyczy reszty, zawartéj w okrągłych trzydziestu rozdziałach, zachodzą już niejakie obawy. Jedne z nich są téj natury, która autorowi dała powód do przytoczenia następującéj anegdotki o panującéj dziś rutynie. W r. 1861 znany w Petersburgu lekarz chorób wstydliwych, dr. Tarnowski, złożył *ex officio* sprawozdanie z dokonanych w szpitalu Kalinkina doświadczeń nad wynalezionym przez dzisiejszego naszego Iksmokula sposobem szczepień leczniczych i zapobiegających. Doświadczenia udały się w zupełności, ale dr. Tarnowski, we wnioskach swych, doradzał stosowanie nowego środka odłożyć do lepszych czasów i pozostać nadal przy staréj, empirycznéj metodzie. Dla czego? — zagadnął go Iksmokul, bawiący w owéj chwili nad Newą. Odpowiedź brzmiała, że reforma musiałaby do góry nogami wywrócić personel i budżet szpitala, „przeznaczającego" na sam merkuryusz przeszło 20,000 rubli rocznie... Wolno przypuszczać, że takież wywrócenie spotkałoby niejedną katedrę uniwersytecką, niejedno obserwatoryum astronomiczne, gdyby wnioski i wyobrażenia autora o mikrokosmie np. i makrokosmie, o jednorodności ruchu atomów i ciał niebieskich zostały stwierdzone urzędownie i do wykładów publicznych dopuszczone. Ale, niestety, tu właśnie powstaje drażliwość inna, odwrotna, zawarta w pytaniu: któreż to mianowicie teorye, hypotezy i rozmyślania autora z przed laty 50-ciu nie weszły po dziś dzień do podręczników szkolnych, „jeżeli nie w Europie, to w Azyi", jeżeli nie na starym, to na nowym lądzie? Niewiadomość grzechu nie czyni, pozwalamy sobie wszakże zaznaczyć, że w jesieni r. 1863, w fizyko-chemicznem laboratoryum prof. Czyrniańskiego w Krakowie, naocznie oglądaliśmy białe jak kreda, wielkie jak groch molekule kosmiczne, wirujące na czarnéj tablicy najregularniéj w tym samym kierunku, według téj saméj metody planetarno-obrotowéj, jaką Iksmokul wskazał w pięknym, obszerniejszym wywodzie poprawionéj przez siebie Berthelot'owéj genezy ciepła (483 — 525, 585 przyp.).

Między Scyllą nowatorskiéj strzelistości pomysłów za daleko sięgających z niewtajemniczonego, nie kapłańskiego punktu widzenia profanów, a Charybdą udostępnionych za dni naszych i niemal na komunały spłaszczonych pewników *quasi*-scyentyficznych, o tyleż hypotetycznych, o ile dowiedzionych z punktu uogólnień rzetelnie naukowych, wartki prąd ilustracyjnych i demonstracyjnych omówień autora raz

ostro pociąga ku sobie uwagę czytelnika, drugi raz znów silnie ją od siebie odtrąca. Ilekroć Iksmokul nie pozuje na proroka, nie przywdziewa szat jasnowidzącego, słuchamy go z największą rozkoszą, czy nam mimochodem i od niechcenia oznajmia, że droga mléczna zwać się powinna — jak o tém najprostszy rzut oka przekonywa — rzeką mléczną, czy też zasadniczo i wyczerpująco spiéra się z Thomsonem i Helmholtzem o to, jaka była pierwotna temperatura materyi kosmicznéj, nieskończenie wysoka, czy nieskończenie niska (527 — 535). Ale niech no go w swe objęcia pochwyci rola reformatora i prawodawcy dusz wcielonych i niewcielonych, mroczy się mu natychmiast w oczach, język się wikła, z ust leją się słowa mdłe, do mdłości pobudzające o dwupłciowości duchów, kolebczano-platonicznéj ich miłości, stopniowém wytwarzaniu się wśród nich form chłopięcych i dziewczęcych i t. d. (165). Czcza i śmieszna rozprawa z Allan-Kardec'iem o szczegóły obcowania duchów czystych pomiędzy sobą i z duchami tracącemi zwolna czystość pierwszostopniową, zarzuca następnie grube cienie zwątpienia i niesmaku na analogiczne ustopniowanie różnorodnych atomów, molekuł i partykuł, z których najmniejszy zażywał niegdyś na dnie materyi kosmicznéj swobód bodaj czy nie bezwzględnych, największy zaś jest sumą rzek mlecznych i wszechświatów (600 i nast.). Jakże ciemno i smutno wyglądają te majaczenia wobec jasnéj, przezroczystéj, trzeźwéj, dokładnéj interpretacyi zjawisk niesłychanie od nas jeszcze odległych, lecz dostępnych dla obserwacyi, konkretnych, takich np. jak przypuszczalnie niezmieniony wygląd ziemi wrazie jéj zetknięcia się z kometą (402), albo też prześliczna, umiejętnie rozwinięta, zasobnie wykazana teorya koloryzacyi i znikania gwiazd, sprowadzona do jedności z teoryą plam na słońcu (418 i nast.)!

Luk, wtrąceń, przerw, przeskoków dorywczych — nie zliczyć. Tu akademicka dyskusya o źródle światła (567), tam za serce chwytające zestawienie gamy dźwięków z gamą kolorów (545), owdzie nieposzlakowana pod względem humanizmu i miłosierdzia chrześciańskiego recepta homeopatycznych ukąszeń grzechotnika, tarantuli, osy, na zabicie influenzy, suchot, kataru (317 — 319) — i nagle, ni ztąd, ni zowąd, najstraszliwszy wyskok mizantropii: „Ogromna większość rodzaju ludzkiego, ludzkość wzięta masowo, jest kupą zwierząt dzikich, najdzikszych na kuli ziemskiéj, samolubnych i pysznych, obdarzonych wprawdzie rozumem wyższym od innych bydląt, lecz jakby umyślnie po to, by człowiek tém skwapliwiéj i głębiéj brnąć mógł w głupstwo i niedorzeczność" (147). Niezależnie atoli od tych zboczeń i wykolejeń, z zamętu ich całość doktryny wyłania się wyraźnie. Oto jéj zarys ogólny:

„W ostatnich czasach — powiada, streszczając się Iksmokul (593) — powstała dążność do zjednoczenia odrębnych przejawów materyalnych, takich jak światło, dźwięk, ciepło i t. d. Zgodzono się uznać rozmaitość tych uzewnętrznień, ale zasądzono zarazem, że można je przypisać jednéj i téj saméj przyczynie, jednemu i temu samemu czynnikowi; czynnik ów, przyczynę ową, nazwano dzielnością, energią. Byłaby to realność przedmiotowa, jestestwo pewne, tylko nie ułowione, nie dające się zważyć; poznajemy je ze skutków, nie mogąc zbadać istoty.” Autor gotów zgodzić się na tę siłę jednoczącą i jedyną, wywołującą rozmaite ruchy materyi i „przez to samo rozmaite jéj objawy.” Ostrzega jednak czytelnika, aby nie brał za jedno ruchu, który jest „stanem materyi zmieniającéj miejsce w przestrzeni”, z siłą, która ruch ten sprowadza, różniczkując go na: prostolinijnie-dośrodkowy (ciążenie), obrotowy (ciepło), wahadłowy atomów zgrupowanych w cząsteczki pierwszo-stopniowe (światło), wahadłowy cząsteczek drugostopniowych (dźwięk) i t. p. Idzie teraz tylko o to (pisze daléj), czém jest ta dzielność, ta siła? Jest że ona również jakiémś ciałem materyalném, zajmującém miejsce w przestrzeni, mającém formę? „Oczywiście, że nie” — *evidemment non*, odpowiada na wzór tysiącznych tego rodzaju „widoczności” Augusta Comte'a, wśród których nic zgoła nie widać. Pozwala to wyobraźni odrazu przenieść się na drugi kraniec wszechistnienia i ujrzeć tam narodziny dualizmu, to jest powstającą obok materyi pierwotnéj, bezwładnéj, bezsilnéj, bezwłasnościowéj, istność duchową, nigdzie nie umiejscowioną, w niczém nie upostaciowaną, a przecież uzdolnioną do nadania atomom ruchu, czy to wahadłowego, czy obrotowego, czy prostolinijnie dośrodkowego. W jaki sposób antypody te — duch i materya — sczepić się z sobą mogą, w jaki sposób pierwiastek niematerыalny ująć zdoła nieożywionego, nieuduchowionego swego przeciwnika, to jest pierwiastek inercyjny, o tém pojętność nasza żadnego pojęcia nie ma. To, co autor rozumié przez prawa powszechne, jest już u niego następstwem inicyatywy duchowéj, popychającéj materyę wiekuiście przedtém zadrzemaną (czyli nie istniejącą w objawie) do pewnego początkowego drgnięcia. Zdaniem Iksmokula, drgnięcie to odbyło się przed bilionami trylionów lat, a miało kierunek „obrotowy.” „Obrotowość — zapewnia — jest ruchem powszechnym, wspólnie obowiązującym zarówno atomy niezmiernie małe, jak i ich grupy zorganizowane (molekuły) wszelkiéj wielkości, wraz z naszym systemem słonecznym, wraz z naszym gwiazdozbiorem (drogą mleczną), wraz z innemi tegoż rodzaju rzekami i morzami mgławic gwiaździstych, wraz z wieńcami tych wieńców... — aż do „molekularności najwyższéj”, niezmiernie wielkiéj, stanowiącéj wszechświat materyalny

owa zaś obrotowość powszechna — to ciepło powszechne" (522). Jesteśmy więc u źródła, z którego wypływają wszelkie prawa naturalne — „też same wszędzie, zarówno tu na ziemi, jak i na każdym innym punkcie wszechświata, gdyż..." — wchodzimy tu w téj chwili na nowe, nie poruszane dotąd szlaki wszechwiedzy — „gdyż są one niezłomnym wyrazem rozumu i woli ducha powszechnego, który jest jeden" (466).

Trzeba bowiem wiedzieć, że duch pierwotny nie bez celu ujął i pchnął w obieg przed trylionami kwadrylionów lat gromady atomów bezwolnych i bezrozumnych. Nadał im prawa powszechne, ale same przez się prawa niczém są bez przeznaczeń, które spełnić powołane zostały; przeznaczenie zaś praw najpowszechniejszych zasadza się na tém, aby zniknęły do współki z materyą u r u c h o m i o n ą, na któréj się rozwinęły, niby kwiat na roślinie. Tylko ruchem ożywiona materya miała początek; nieożywiona, chłodna, nieobrotna, istniała zawsze i nie przestanie istnieć wtedy nawet, gdy koronę swą straci, gdy ruch obrotowy, synonim ciepła, w niéj zgaśnie. A zgaśnie to ciepło, spadnie ta korona wtedy, gdy ruch wszystek, wlany niegdyś w materyę kosmiczną, przeistoczy się na duchowość czystą, bezwzględną, która zasiądzie na beztreściowém odtąd cielsku atomów, do jednéj wielkiéj, nieustającéj uczty powszechnego szczęścia... Procesowi owego uduchowienia znikoméj powierzchni doczesnego bytu Iksmokul poświęcił 206 wstępnych stronic swojego dzieła. A chociaż z kilku cytat, poprzednio podanych — o ile naturalnie ściągnęły one ku sobie czyje baczenie — nietrudno byłoby się domyśleć, że fabrykacya jest tu i skomplikowana i niepomału fantazyjna (płciowość np. i bezpłciowość dusz), to jednak nie wypada mijać frontowego gmachu, bez wstąpienia do wnętrza. Uprzedzenie często bywa złym doradcą i na zawód naraża.

Założeniem przeddowodowém autora jest istnienie natury — przyrody — wszechświata, pojętego jako całość nieustającéj rozmowy, nieustającego obcowania ducha z materyą, wewnętrzności uświadomionéj w nas, w podmiocie, z zewnętrznością przedmiotową, stanowiącą tego uświadomienia możliwość i warunek niezbędny. W analizie aktów świadomości podmiot staje jako realność pierwszostopniowa, jako coś poprzedzającego przedmiot: nie byłoby wrażenia bez odbiorcy stwierdzającego jego objaw. Ale w rozważaniu dopełnionych już objawów uświadomienia, ich ustosunkowania i przebiegu, nieodbicie narzuca się przypuszczenie odwróconéj alternatywy, to jest zewnętrznéj możliwości wrażenia, idącéj przed faktyczném onego odzwierciedleniem się w podmiocie uświadamiającym. Ztąd to wypłynęło stare, odwieczne wyobrażenie „natury", jako zbioru zewnętrzności przedmiotowych, p o w o d u j ą c y c h wewnętrzność naszą. A jaki jest naprawdę grunt tego uwza-

jemnienia ducha z materyą?—to nam Iksmokul roztrzygnąćby powinien bez dalszych już postulatów, czyli na podstawie założeń posiadających niejakie dowody. Jakoż, dowodność ta ukazuje się u niego zaraz na pierwszych kartach dzieła, ale zmierza w kierunku nie utartym przez tradycyę. W nierozłącznéj wymianie pomiędzy sobą dwu składowych przymiotów wszechświata (natury), rolę naczelną i przyczynową przybiera nie zewnętrzność lecz wewnętrzność, w tych słowach autora: „materya nie posiada właściwości duchowych (świadomości, rozumu i t. d.), nie może więc być ich źródłem" (19). Twierdzenie to ma niewątpliwie swoje oparcie w zdobyczach nowoczesnéj wiedzy psychologicznéj, która nieodłączając uczucia i uświadomienia od ich rozłogi fizyologicznéj (materyalnéj), doszła do ustalonego przeświadczenia, że podmiotowość nie da się utożsamić z przedmiotowością, że subiekt duchowy nie jest równowarcie wymienialnym na obiekt materyalny. Ale skąd, z jakich pewników doświadczenia, z jakich tajników przyrodoznawczych zaczerpnął autor bezpośrednio za tém idące orzeczenie, że materya, oprócz atrybutu rozciągłości, posiada tylko jeszcze atrybut drugi: inercyę,— „bezruch bezwzględny, nie tylko pod względem moralnym, nie tylko pod względem uczuć i rozumu, ale téż na stanowisku fizyczném"?... „Materya nie jest nawet uzdolnioną do poruszania się mocą własną, materya nie jest siłą, choćby ciemną i nieświadomą: ona potrzebuje siły, coby ją w ruch wprawiła" (20). Rozumie się samo przez się—i wiemy o tém z poprzednio przytoczonych słów Iksmokula, że w takiém położeniu niepodobna było wziąć siły zkądinąd, tylko z ducha. Ruch powszechny, początkowo najprawdopodobniéj obrotowy, jako ciepło, daléj wahadłowy, jako światło, zaszczepiony został materyi atomistycznéj, kosmicznéj, rozcieńczonéj, wolnéj od wszelkiéj robocizny w przestworzach, więc chaotycznéj, — przez Ducha powszechnego. *Terra autem erat inanis et vacua... et Spiritus Dei ferebatur super... Dixitque Deus: fiat lux...*

Za pospieszny to wniosek. Jest bowiem rzeczą najbardziéj może uderzającą w dziele Iksmokula, że broni się on zawzięcie i niekiedy nawet zgrzyźliwie od posądzeń o jakąkolwiek wspólność z biblijną genezą świata. Lichą i niczém nie upozorowaną niegrzecznością byłoby przypuszczać, że w tych to właśnie widokach autor za wielki, być może, nacisk położył na pierwszeństwo swéj teoryi ciepła (ruch atomów, pierwszostopniowy), przed teoryą światła (ruch molekuł, drugorzędny). W każdym razie, uchybilibyśmy obowiązkowi sprawozdawcy, gdybyśmy nie podnieśli oryginalnéj téj jego deklaracyi: „W ciągu całego dzieła wszędzie posługiwać się będą terminem: d u c h p o w s z e c h n y; ilekroć wszakże zdarzyłoby się mi użyć wyrazu Bóg, oświadczam raz

na zawsze, że brać to należy w rozumieniu Boga naukowego, siły rozumnéj, nie zaś w znaczeniu jakiegoś bóstwa klerykalnego" (20).

Pozbawienie materyi udolności do wydobycia z siebie jakiegokolwiek ruchu i przelanie téj właściwości na ducha uniwersalnego, uwydatnia się w następstwach łatwych do przewidzenia. Wysnuwają się one niemal wszędzie dedukcyjnie, z niejaką tu i owdzie domieszką spostrzeżeń indukcyjnych, kłopotliwych o tyle, że dość często odwołujących po sprawdzenie do przesłanek — nie sprawdzonych. „Nie jest bez pewnego waloru opinia tych (pisze Iksmokul), co zgadzając się na istnienie rzeczy niemateryalnych, jak świadomość, rozum, uczucia, nie widzą dobrego powodu do szukania przyczyny tych zjawisk w duchu powszechnym, intelektualnym, słowem w Bogu, lecz sądzą, że jest to nieodłączna właściwość materyi, czyli, że materya posiada moc organicznego wyłaniania z siebie życia, życie zaś wytwarza z kolei proceder duchowy, o którym mowa. Alem zawczasu uprzedził ten zarzut, wykazując wyżéj, że nielogiczném jest przypuszczenie, jakoby materya mogła być rodzicielką rzeczy niemateryalnych, obdarzonych przymiotami niedającemi się żadnym sposobem utożsamić z własnemi jéj atrybucyami, gdyż, jako bezwładna sama przez się, martwa, odsunięta od wszelkiéj rzutkości i duchowości, materya nie jest w stanie wywołać z siebie skutków rozumnych (*intelligents*),—skutkiem uporządkowanych (*suivis*), uświadomionych (*réfléchis*), dążących wyraźnie przez postęp, do udoskonalenia" (24—25). Niestety, ani „wyżéj", ani niżéj, nie znajdujemy owego wykazu sprzeczności logicznéj, — mamy tylko niczém nie wykazany aforyzm co do pierwotnego „bezwładu" i „bezruchu" materyi,—w dzisiejszych czynnościach naszych psychicznych odgrywającéj przecież rolę pobudki i możliwości wrażeń — a zatém i myślenia.

Nie ma wyjścia. Niech-że nam autor w tém zamknięciu powié przynajmniéj cośkolwiek o wszechwładztwie swojego „ducha powszechnego." „Nicość nie zna ani przestrzeni ani czasu. To samo i duch wszechświata, z tą wszakże różnicą, że kiedy nicość jest niczém, to duch jest wszystkiém (spirytualnie). Nicość byłaby śmiercią prawdziwą, gdyby istniała, a duch powszechny — to życie, to działalność, to siła. Będąc wszystkiém (spirytualnie), duch wszechświata jest nieosobowym. Znaczyłożby to, że nie należy do jestestw? Najpierw, w szerszém znaczeniu wyrazu, wszelka rzecz istniejąca jest istnością (bytem, istotą—*un être*). W znaczeniu ściślejszém, duch uniwersalny jest również istnością, gdyż żyje, myśli (jest krynicą życia i myślenia), posiada świadomość (rozum nieodłącznym jest od świadomości). Z tém wszystkiém, jako niezmienny i nieosobowy w zasadniczéj swéj jaźni,

Duch wszechświata nie należy do tego samego rzędu jestestw, co my, istoty osobowe, zmienne, zaledwie zdolne wyobrazić sobie świadomość, rozum, wolę po za istnością uosobioną, po za jakiémś ja. Z niewzruszonemi przymiotami doskonałości, dobroci, miłości, Duch ten nie może, jako my, ułomni i niestali, kochać mniéj albo więcéj, gniewać się, potępiać, karać, nagradzać... A zatém, modlitwa staje się zbyteczną?— To zależy. W ciasném rozumieniu słowa, modlenie się, jako nie mogące w niczém zmienić woli i wpływów bożych, do niczego nie prowadzi. Ale, jeżeli modlitwą nazwiemy wszelkie podnoszenie się idei ku duchowi powszechnemu, wszelkie rozmyślanie nad jego dziełami, wszelkie napięcie i skierowanie myśli w stronę przyszłego udoskonalenia i szczęścia, w takiém znaczeniu oczywiście, modlitwa musi być pożyteczną i skuteczną, jako odciągająca nas od drobiazgów i utrapień powszednich, jako wpajająca nam ufność i nadzieję, jako potęgująca w nas męstwo i odwagę do znoszenia cierpień i nawet klęsk wielkich" (50 — 51).

Wzruszające dusz pokrewieństwo! Ostatnie słowa Iksmokula tak żywo przypominają filozofię „toświatowości Chrystusowéj" Ludwika Królikowskiego, jednego z naszych najuczeńszych przed czterdziestu laty znawców biblii—i Kanta! Tylko że Królikowski, wyłącznie zajęty sprowadzeniem Królestwa Bożego na ziemię, nie potrzebował ku temu żadnych kolumn duchów wcielających się do połowy, do ćwierci, do ósméj cząstki, o czém tak szeroko rozprawiał współczesny z nim Andrzéj Towiański. Nie śmiałbym z tego powodu wyrokować o mniejszéj lub większéj doniosłości książki Łukomskiego. Wiem tylko i widzę, że leży na niéj sympatyczna pieczęć wszystkich tych wyższych i wspanialszych umysłów polskich, które po najdłuższéj nawet wędrówce wśród nieprzejrzanych skarbów wiedzy i umiejętności zachodniéj, zawsze ostatecznie zmierzają jeśli nie ku główněj bramie, to choć ku jakiéjś ubocznéj furcie religijnéj, mistycznéj.

I. Tokarzewicz. (Hodi).



Życie codzienne Anglii za czasów Szekspira.

(J. Eekhoud: „Au siècle de Shakespeare.“ Bruksela 1895).

Był to okres podobny do gorącego dnia letniego. Zapach kwiatów bił z łąk literatury, rozkwitały coraz nowe pączki, koniki polne świegotały głośno, świetne barwy skrzydeł motylich lśniły w przestrzeni. Słońce, jak możny pan, rzucający w swe gody całemi misami pieniądze ludowi, sypało szczodrze złote, rozgrzane promienie, ptastwo śpiewało w lasach pełną piersią, wszystko tchnęło życiem, siłą, nadmiarem soków.

Po próbach dramatu, analogicznych do prób kontynentu europejskiego, wkrótce po pierwszéj tragedyi zasługującéj na tę nazwę („Ferrex i Porrex" Tomasza Norton'a i Tomasza Sackville'a z 1562) i po pierwszéj właściwéj komedyi: „Igła kumoszki Gurtonowéj" biskupa Jana Stilla z 1566, wystrzelił naraz, niby ogród czarodziejski, zastęp geniuszów i wielkich talentów dramatycznych. W 1550 rodzi się Robert Greene, w 1552 Jerzy Peel, 1564 Krzysztof Marlowe i Szekspir, 1574 Ben Jonson, w dwa lata potém Jan Fletcher, w dziesięć lat Filip Massinger. Rok 1586 daje życie F. Beaumont'owi i J. Ford'owi, około 1601 poczyna pisać dramaty Jan Webster. Same wielkie, wspaniałe drzewa, a drobnych nie przeliczyć.

Potém naraz nadciąga burza i kwiaty zalewa powódź deszczów, drzewa wywraca srogi wiatr. Rewolucya kromwelowska niszczy dra-

mat angielski, purytanie zamykają teatry, zaczyna się rozwój faryzeuszowstwa brytańskiego. I ekonomicznie kraj zmienia postać. W ciągu półtora stulecia znika drobna własność, lud wydziedziczony przemienia się w czynszowników lub robotników, albo idzie zamorskie ziemie kolonizować.

Gwałtowność zmiany, jaką przebyło społeczeństwo angielskie w dość krótkim czasie, jest dziwna. I jeśliby kto na podstawie tego, co widzi teraz, chciał utworzyć sobie obraz Anglii szekspirowskiéj, bardzoby chybił.

Tém cenniejsza w takich okolicznościach jest książka Jerzego Eekhoud'a: „W stuleciu Szekspira", wprowadzająca nas w życie codzienne Anglii podczas wielkiéj epoki. Jest to praca źródłowa, oparta na studyach poważnych, obrobiona z talentem. Jędrna i treściwa, a zarazem tak lekko i pięknie pisana, że nie spostrzeżesz się, jak przebiegniesz kilkanaście stron.

Pośród wsi, między lepiankami krytemi strzechą a bez okien, wznosi się dom z cegły lub kamienia, zaopatrzony w szyby, dom dziedzica. Za rządów Henryka VIII i Maryi Tudor niewiele różnił się od chat wieśniaczych, z wstąpieniem na tron Elżbiety, potrzeby estetyczne szlachty wzrosły. Więc dokonało się zróżniczkowanie mieszkań. I wnętrze wzbogaciło się w ozdoby: kobierce i gobeliny kryją teraz ściany, drogocenne materye zwieszają się przy drzwiach, a na wszystkich przedstawione sceny z historyi, współczesnego bytu lub mitologii. Dostarczyły one poetom, między nimi i Szekspirowi, niejednego obrazu.

Zajrzyjmy z Eekhoudem do tego dworu, przypatrzmy się życiu jego mieszkańców, przyzwyczajeniom, sposobowi myślenia. Nie masz tam przepychu i wystawności, jakie roztacza arystokracya londyńska, ale w każdym kącie „dostatek rządzi i ład." Progi gościnne, gospodarz podejmuje chętnie przybysza z dalekich stron. Mózg jego nie wysila się zbytnio, umysłowość nie przepracowuje się, za to serce nie wyziębione, a porywy gnieżdżą się jeszcze, jak jaskółki, na jego poddaszu.

Dzień schodzi niemal w zupełności na uczcie i zajęciach gospodarskich. Stoły, skoro są zastawione, gną się od potraw. W przeddzień większych świąt przygotowują się specyalne pieczywa. Każda okolica ma swoje potrawy. Hrabstwo Essex słynie z cielęciny, ziemia Kent z pieczonych skowronków, Lancashire z jajecznic, południe z sałat. Obiad spożywa się około jedenastéj rano, po ostatniéj potrawie gospodarz wzywa do „modlitwy wieczornéj." Lecz jeśliby kto bał się po inéj, że niczém się nie zasili, obawy jego byłyby płonne. Bo o piątéj

lub szóstéj szlachcic siada znowu do stołu, a wety — „reresupper” — trwają aż do północy.

Jednak do poduszki trzeba czémś nowém zwilżyć gardło. Więc przed samém udaniem się do snu każdy wychyla puhar possettu, słynnego napoju, który przyrzeka w „Wesołych kumoszkach z Windsoru” panna Quickby panu Rugby i w który Macbeth sypie narkotyk sługom Dunkana, aby nie mogli go bronić. Dzieło z końca siedmnastego stulecia, „Delicye prawdziwego szlachcica”, podaje długi nań przepis.

O ile czas pozwalał — a pod tym względem nie był zbyt wymagającym — panowie dworscy jechali na łowy, łapali ryby, używali przejażdżek lub mknęli na czółnie, albo na małym statku po falach rzek i morza. Władać bronią, dzielnie wiosłować, trzymać się dziarsko na koniu, należało do zasad wychowania rycerskiego. Zdolniejsi celowali w znajomości heraldyki.

Czasami, jak Götz z Berlichingen, dziedzic, otoczony świtą, z sokołem w ręku i liczną psiarnią u stóp,- zasiadał na godach chłopków, przewodniczył ich zabawom, pił pierwszą czarę, gdy zaczynali pijatykę. Czasami minstrel stawał przed bramą lub trupa wędrowna aktorów zatrzymywała się pod oknami; wprowadzano ją i urządzano widowiska. Śpiewaka zapraszano, a dwór cały słuchał jego opowiadań i śpiewów.

Wtedy ukazywały się żony i córki rycerzy. Piękne postaci, przedstawione na płótnie przez Holbeina i Cranacha, szczęśliwe, bo ich dusze uwiecznił Szekspir w Desdemonie, Ofelii, Julii, Imogenie, Kordelii, Hermionie. Zazwyczaj przędły len w swych komnatach, tkały jedwab lub igłą wyszywały kwiaty na cienkich materyach. W niedzielę własnoręcznie przygotowywały ciasta, odśpiewawszy wprzód psalm należny i odprawiwszy modły. Zielona, powłóczysta szata okrywała kształty dziewic, na włosach spoczywała czapeczka téjże barwy. Twarz ich — mówi współczesny Drayton — świéża, jak trawa przy Dove, cera bieluchna, gdyby śnieg na szczycie Peakish-hillu. W wigilię pierwszego maja wszystkie biegną na łąki rwać kwiaty, z ogrodu przynoszą bez i lilie i stroją w nie pokoje.

Lecz obok nich istniały i potwory, rażące przeciwstawienia istot anielskich. Na tych wzorowana lady Macbeth, księżniczka Glocester i Małgorzata Anjou Szekspira, według nich stworzona Wiktorya Accarombaro Webster'a, Bellamira Marlowe'a.

Po dziedzicu najwybitniejszą osobistością wioski był *clergyman*-ksiądz. Lecz nie cieszył się szczególną sympatyą. Jeszcze mniejszéj popularności używał nauczyciel, którego najczęściéj pomawiano o czary. Sympatycznie natomiast przedstawia się *yeoman*-dzierżawca. Posyła on synów do uniwersytetu, często ziemię kupuje po dziedzicu, a w oso-

bach ukoronowanych budzi takie zaufanie, że podczas bitew nie szlachta tworzy orszak, wśród którego król walczy, ale yeomani. Żona dzierżawcy wstaje o piątéj, latem o czwartéj, razem ze służbą; dzieli między nią żywność i pracę, nie szczędzi nagan i rękę ma prędką... Nie lubi, aby robota odbywała się u niéj w milczeniu. Dziewuchy winny śpiewać na całe gardło. Gadka z szesnastego wieku mówi, że ta służąca najlepsza, która przy pracy wyśpiewuje, jak ptaszek w lecie.

W chatach, różniących się od stodół tylko otworem przebitym w strzesze ku wypuszczeniu dymu, chłop pędzi życie. Nie ubogi jednak. Podwójna warstwa szynek, od dziadka do wnuka przechowywanych, wędzi się na strychu, a poselstwo hiszpańskie, wysłane do Maryi Tudor, opowiada, wróciwszy, że prosty włościanin Albionu żyje lepiéj w swéj dymnéj lepiance, niż król arcy-katolicki.

Jak dziedzic, tak dzierżawca i wieśniak, używają życia, chętnie ucztują, w każde większe święto urządzają zabawy. Święta chrześciańskie obchodzą się z wyuzdaniem czasów bałwochwalczych. W przeddzień nowego roku chłopcy i dziewczęta, jak nasi kolędnicy, idą od chaty do chaty śpiewać pod oknami i otrzymują za to nagrodę w jadle i pieniądzach. Na Trzy Króle wesołość panuje w pałacach i lepiankach. Pierwszego maja cała ludność wiejska — jak jeszcze dziś w niektórych stronach Szwecyi — bierze udział w sadzeniu drzewa majowego, ściętego w lesie i ozdobionego we wstęgi i wieńce, tańczy około niego, urządza widowiska. Na walki siłaczów, odbywające się przy Cotswold Hill, ze wszystkich stron Anglii płynie lud. Niektóre wsi posiadają nawet bąka parafialnego. W mrozy, kiedy praca mniéj ciąży na barkach, a dłonie chce się rozgrzać, włościanie zbierają się na placu, z plebanii przynoszą wspomnianą zabawkę i wszyscy z zapałem daléjże ją podbijać.

Londyn nie był jeszcze tém olbrzymiém mrowiskiem, liczącém miliony mieszkańców, rozrzuconych na przestrzeni kilku mil kwadratowych. Ludność jego wynosiła w początku rządów Elżbiety sto ośmdziesiąt tysięcy. Ale już wielkiemi krokami podążało miasto ku nowéj dobie. Upadek Gandawy i Antwerpii, zniszczonych przez wojska hiszpańskie, przyśpieszył jego rozwój, królowa zaś popierała energicznie handel i przemysł stolicy. I wkrótce ten naród korsarzy stanie się potęgą handlową morską, któréj niemoc Hiszpanii, zrujnowanéj przez królów, utworzy wszystkie oceany.

Już czterdzieści tysięcy łodzi przecina teraz rzekę; krzyki: na zachód! na wschód! brzmią na Tamizie nieustannie. Często bójka na wiosła wszczyna się między żeglarzami, gdy jeden drugiemu nie ustąpi szybko z drogi. Miasto samo — labirynt ulic ciasnych, ślimakowatych,

przez każdą płynie potok pomyj i brudnéj wody. Domy źle obielone, trzypiętrowe, chylą się ku sobie nie dozwalając słońcu opromienić dołu. Wobec takich warunków zdrowotnych, zaraza i pożary w mgnieniu oka ogarniają całe dzielnice. Kościołów sto dwadzieścia, ale więzień jeszcze więcéj. Znajdują się one w podziemiach pałaców—krwawa wieża Tower—i w osobnych budynkach. Jednėm z najstraszniejszych jest Counter Gate, jak wszystkie dzieli się na cztery kategorye: „dzielnica pana" (*Master's Side*) najwygodniejsza „źrenica rycerza" (*Knight's ward*), podziemia (*the Hole*) i „piekło", dokąd chciwi stróże więzienni wtrącali tych, którzy nie mogli opłacić wstępu do jednego z wyższych działów. Dłużników zamykano w Ludgate, mieli oni prawo prosić przez kraty przechodniów o jałmużnę.

Lupanarów nie brakło. Dwie mieszkanki stały zawsze na straży domu; wewnątrz, prócz kobiét, znajdował się „*clown*" czyli błazen bawiący gości. Jednego z nich przedstawił Szekspir w Tymonie z Aten. Były téż tam na pogotowiu trunki i pokarmy. Kurtyzany mieszkające oddzielnie nie stanowiły wyjątków. Długo za czasów Szekspira była lwicą dnia rosła Mary Trith, jeżdżąca dobrze konno i paląca fajkę, jak wilk morski. Łabędź tronu i wielki jego współczesny Webster przekazali potomności imiona dwóch innych władczyń: Maryi Ambree i „długiéj Meg z Westminsteru." Z scen, w których występują stręczycielki i ich ofiary najbardziéj znana jest ta tak często wzmiankowana w przypisywanym Szekspirowi „Periklesie".

Druga specyalność stolicy: austerye. Jedną z najsławniejszych była „Tawerna pod świńską głową" (Boar's Head Tavern), przy targu East Cheap, niedaleko kościoła św. Michała. Często do niéj Falstaff zagląda. Bliskość rynku sprzyjała zasobności traktyerni, sąsiedni sklep z drobiem dostarczał soczystych kapłonów, dla których tyle razy zadłuża się czcigodny żarłok u panny Quickly. Nareszcie nieopodal przybijały statki, więc i ryb zapas był wciąż nowy. Już przed Henrykiem V kwitła oberża, nie jest to więc anachronizmem, skoro przechadza się po niéj szekspirowski książe Hall z wesołymi towarzyszami.

Literaci zbierają się w klubach. Najsłynniejsze są: Święty Dunstan, Apollo (założony przez Ben Jonsona), Syrena na ulicy piątkowéj w Cornehill. W Syrenie spotykają się Jonson, Szekspir, Beaumont, Fletcher, Selden, Cottin, Carew, Martin i inni. W liście wierszowanym Fletcher przypomina Jonsonowi turniéj poetycki między nim, a twórcą króla Leara. „Biały koń" był ulubionym zajazdem Jerzego Peele'a, „Tabard Inn" odwiedzano chętnie, gdyż tu Chaucer umieścił niegdyś swoich nieśmiertelnych podróżnych.

Słudzy hotelowi i oberżyści pełnią, obowiązki względem gości, baczyli także na ich kiesy. Pełne — w takim razie rzezimieszki (*cut-parses*), od których roiło się w okolicach Londynu czyhali już na nie... Za to gdy sakiewki zmieniły właścicieli, życzliwym wspólnikom także coś się dostawało.

Jakież były inne rozrywki londyńczyków? Gra w karty i zakładanie się — stąd długi u lichwiarzy i szalona nienawiść do żydów — przechadzki, teatry—o tych późniéj,—widowiska. W „ogrodach paryskich" (*Parish Gardens*), w Southwark, na południowym brzegu Tamizy urządzano walki brytanów z niedźwiedziami lub bykami, nawet królowa odwiedzała je regularnie. Przy wieży świętego Pawła zbierał oklaski koń Marocco. Złożył on wiele dowodów zręczności, między innemi wszedł na wieżę. Niestety, w kilka lat potém spłonął w Rzymie na stosie razem ze swym właścicielem, jako wcielenie dyabła. W sto trzydziestym czwartym epigramie Ben Jonson opłakuje zgon jego.

Szeroka droga, świéżo założona, wiodła brzegiem Tamizy od Toweru, starożytnéj i niegościnnéj siedziby Lankastrów, do Westminsteru, siedliska Tudorów i Stuartów. W miarę, jak rosła odległość od środka miasta domy o drewnianych dachach i bielonych ścianach ustępowały miejsca budynkom lekkim, zgrabnym, powietrznym. Zamki, wille, pałace wzniesione w stylu pół gotyckim, pół włoskim, przezwanym stylem t u d o r, ukazywały się jeden przy drugim. Zwłaszcza za mostem Southwark rzuconym na dwadzieścia dwa łuki, oko rozweselało się.

Wieżyczki ukwiecone ozdobami, rzeźbione, ząbkowane, tarasy i galerye połączone z sobą marmurowemi schodami i kolumnadami, pełnemi posągów, pałacyki wdzięczne a strojne wyglądały z gaików, lasków i parków. Kaskady spadały przy tych, wodotryski biły przy owych. A we wnętrzu gromadziły się arcydzieła ceramiki, złotnictwa, rzeźby i malarstwa, Van-Dycki, Holbeiny i Rubensy, szkła weneckie i najdroższe tkaniny.

Zbytkowi mieszkania odpowiadał przepych stroju. Mody włoskie, francuskie, hiszpańskie, nawet wschodnie były przyjęte. Wielcy panowie posuwali chęć strojenia się daléj, niż ich żony. Nosili w uszach drogie kamienie, często kwiaty naturalne. Kapelusze zdobił duży agat. Suknie najrozmaitszych barw. Kiedy orszak magnata wjeżdżał w ulice Londynu, zdawało się, że oto podąża tłum ptastwa podzwrotnikowego o świetném upierzeniu. Sposoby noszenia brody właściwe każdéj godności: wojownicy strzygli je w formie sztyletu, sędziowie i prałaci nosili brodę szeroką, „katedralną". Eleganci zostawiali po jednéj stronie głowy długi warkocz „love-lock" (pukiel miłosny) zaplatany w różno-barwne wstęgi.

Słabostką ogólną było zamiłowanie do kréz, u kobiét i u mężczyzn dochodziły niekiedy do wiekości koła powozowego. Kobiéty przepadały za „szopinami", rodzajem kaloszów wyrabianych pierwotnie w Wenecyi, o podeszwach nie zwykle grubych i poważnie podwyższających wzrost. I fryzurę specyalną przywieziono z Wenecyi: warkoczom nadawało się kształt dwóch okrętów wysadzanych szmaragdami i szafirami. Ażeby dojść do posiadania pięknych włosów odgrzebywano umarłe... Nie mniejsza była wybredność i co do innych części ubioru.

Powieść Lily'ego „Euphues" nadała tytułem swoim nazwę sposobowi mówienia ówczesnéj arystokracyi. Roiło się w jéj języku od słów egzotycznych, porównań przesadnych, zwrotów subtelnych i zarazem wymuszonych. Eufuizm znalazł wyraz i w literaturze; Szekspir także w swoim Mercutiu, Pucku, Arielu, w tych sylfach kapryśnych i eterycznych odtworzył dworaków ówczesnych wraz z ich językiem. Nic lepiéj nie charakteryzuje go, jak chełpliwe słowo Beatryczy w „Dużo hałasu o nic": „Kiedy się rodziłam, tańczyła gwiazda".

Nie potrzeba jednak myśléć, że ów język arlekinowy jest objawem zniewieściałości i pewnego zwyrodnienia umysłów arystokracyi. Przeciwnie, należy go raczéj wziąć za wybujałość tych soczystych krzewów. Rycerstwo owych czasów posiada w sobie aż za wiele hartu, bohaterskości i energii. Ci, w których krew kipi niby war, zbroją statki i pustoszą, jak Drake, wybrzeża amerykańskie, walczą, jak Stuckley w Afryce, Portugalii, Florydzie, albo spiskują. Innych ogień spala się w furyi atletycznéj, w słowach i igrzyskach. Sama Elżbieta do siedemdziesiątego siódmego roku życia tańczy pawana, siada na koń i goni jelenia. Miecz i lutnia leżą w wielu zamkach przy sobie. Filip Sidney nie mogąc wobec zakazu królowéj wyzwać hrabiego Oksfordu na pojedynek wyjeżdża do swéj posiadłości i podczas tego wygnania tworzy rozkoszny poemat „Arkadyę".

Wogóle zaś Odrodzenie angielskie, jak słusznie można nazwać tę epokę, ma wiele wspólnego z Odrodzeniem Włoch. Jak tam, pod srebrną szatą śpią jeszcze nieraz instynkty drapieżnego zwierza, otrucia i tragedye wewnętrzne są częste, ale zarazem duch podnosi się, zrywa się ku obłokom, uderza w skrzydła potężnie, niby orzeł.

Kobiéta w téj epoce uchyla drzwi do świątyni wiedzy: Joanna Gray pełna wdzięku i naturalności, miła, przystępna, włada kilkoma językami, zna wyśmienicie literaturę grecką, zbija twierdzenia najwytrawniejszych teologów, wysyłanych przez Maryę Tudor ku jéj nawróceniu. Nie jest ona wyjątkiem. Poeci i artyści dramatyczni znajdują życzliwych opiekunów: takim był Henryk Wriotsley, hrabia Southamp-

tonu, względem Szekspira. Van Dyck osiedla się na stałe w Anglii. Kiedy zaś czytasz opisy uroczystości, maskarad dworskich, przejażdżek wodnych zwanych „pageantami”, kiedy współcześni poczną roztaczać przed tobą obrazy tego przepychu pełnego wytworności i smaku, przenosisz się w mury Rzymu za czasów Leona X lub Juliusza II.

Życie ziemiaństwa, mieszczan, arystokracyi, zmieniło się teraz w Anglii, formy jego dawne rozpadły się w gruzy, kamieni z ich zwalisk użyto na budowy przędzalni olbrzymich, fabryk relsów i broni. Lecz jedna baszta wciąż dumnie podnosi czoło i téj ani wichry nie obalą, ani nawałnica nie rozmoczy: to dramat ówczesny.

Jakże miała się rzecz z teatrem szesnastego wieku, z aktorami i dramaturgami?

Początkowo Anglia nie znała specyalnych przybytków Melpomeny: wędrowni komedyanci, cenieni bardzo nisko i wobec prawa stawiani na równi z włóczęgami i żebrakami, urządzali w stodołach lub na podwórzach zajazdów widowiska. Czasem rzemieślnicy organizowali się w grupę aktorów, interludyum „Snu nocy letniéj” daje nam żywą ilustracyę takiego teatru amatorskiego.

Późniéj zjawiają się trupy artystyczne utrzymywane na żołdzie wielkich panów, i z pomiędzy arystokracyi téż wychodzą pierwsze prawdziwe dramaty i komedye. Jednak jeszcze do połowy swoich rządów Elżbieta, ilekroć chciała widziéć przedstawienie, wzywała do tego „dzieci kaplicy królewskiéj” czyli „dzieci świętego Pawła”, które składały chór na jéj dworze. W r. 1609 Szekspir, Nataniel Field, Daborne i Kirkham zostali upoważnieni przez królową do wychowania w kierunku artystycznym pewnéj ilości młodych ludzi, nazwanych „dziećmi uroczystości królewskich” (Children of the revels to the Queen).

Ale już w r. 1569 został założony pierwszy teatr w Londynie, prawdopodobnie teatr Czarnych Braci (Black Friars). W r. 1574 grał w nim pierwszy orszak regularnych i stałych aktorów. Do r. 1590 Londyn liczył pięć teatrów, potém siedem. Z tych cztery: Globus, Kurtyna, (the Curtain), Czerwony byk (Red Bull) i Fortuna były publiczne, Czarni bracia, Biali bracia i Feniks prywatne. Przejściowo istniały „Łabędź” i „Róża”, gdzie dawano utwory Marlowe'a, Greene'a i Peele'a.

„Globus” położony na południowym brzegu Tamizy był zbudowany z drzewa. Zewnętrznością swą przypominał basztę o sześciu kątach, z jéj szczytu strzelał maszt, na którym podczas przedstawień powiewała czerwona chorągiew. Nad bramą herkules dźwigał kulę ziemską z napisem: *Totus mundus histrionem agit* (cały świat gra komedyę). Wewnątrz nad sceną, jakotéż nad galeryami i lożami znajdował się dach; parter umieszczony po środku i przezwany podwórzem (*yard*) nie

posiadał siedzeń; pod nogami cisnącego się tu ludu nie było podłogi, nad głowami żadnego nakrycia. Przedstawienia dawano latem (zazwyczaj za dnia), to téż nieraz deszcz psuł przyjemność przypatrywania się widowisku, lecz to nie rozpędzało tłumów.

Wnętrze teatru „Black Friars" było podobne do Globusowego, z tą różnicą, że „podwórze" osłaniał dach. W obudwóch teatrach parter nie był oddzielony od sceny przez orkiestrę; kilka słupków stanowiło granicę. Muzykanci zajmowali rodzaj klatki podnoszącéj się nad sceną, ta zaś dzieliła się na dwa piętra: niebo i piekło. Podczas tragedyi ściany nieba, zazwyczaj błękitne, były czarne.

Dekoracye pozostawiały wiele do życzenia, ale nietrzeba sądzić, że nie było ich wcale i że, jak podaje Filip Sidney, napis: to i to ma przedstawiać ozdobę zewnętrzną sceny, zastępował miejsce dekoracyi. Jeśli fragment wymienionego pisarza jest prawdziwy, to odnieść go można tylko do czasów przedszekspirowskich., Sidney bowiem umarł w r. 1586, kiedy „Perikles", pierwszy dramat Szekspira, pochodzi z 1590.

Nieliczność trupy zmuszała jednego aktora do grania kilku ról. Służby teatralnéj prawie nie było: zabójcy wynosili zabitych na własnych barkach, potém wracali i nawiązywali grę. Ze względu na publiczność, składającą się głównie z ludu, w duchu czasu zresztą, kiedy na dworze i w każdym znaczniejszym zamku znajdował się błazen, dawano mu dużo miejsca. „Powieść zimowa", „Dwaj szlachcice z Werony", „Kupiec wenecki" mają sowizdrzała, pierwsza ociężałego i niezgrabnego, ostatni lekkiego, tryskającego dowcipem.

Zanim rozległ się potrójny głos trąby — znak rozpoczęcia sztuki — i dwie połowy zasłony rozdzieliły się, eleganci grali w karty, czytali broszury i nowe książki, lud pił piwo lub gryzł jabłka. Tytuń dopiéro co wszedł w modę, wszyscy palili fajkę. Ponieważ piwo robiło swoje, więc dla zaspokojenia niewymownéj potrzeby w samej sali znajdowało się odpowiednie naczynie. Gdy powietrze się psuło, wołano: palcie ocet! i podobną procedurę kilkakrotnie powtarzano.

Jednak ani braki zewnętrzne, ani niewymuszone maniery widzów nikogo nie zraziły. Królowa, dwór, arystokracya mieli bogate stroje, zabawy pełne zbytku i życia, a i oni woleli budę teatralną, niż swoje maski wspaniałe. Niemniéj chętnie, jak lud, śpieszyli na przedstawienia dramatyczne.

Coś greckiego tkwiło w tych ludziach wesołych, nie krępujących się niczém. W ducha dramatu wnikali oni, życie, którém utwór tętnił, przyciągało ich ku sobie. Autor lichéj sztuki otrzymywał zazwyczaj cięgi, często rozgniewany tłum gonił go przez pół miasta. To też wiele

jest w téj epoce rzeczy średnich, obok pięknych, jak pałace Morgany, arcydzieł, ale nędzot mało.

A czego nie przemlewał młyn twórczości ówczesnéj! Sypano tam na paprzycę motywy starożytne, włoskie, francuskie; równocześnie wypadki świeże, najnowsze, chwytano obiema dłoniami. W „Niewolniku" Massingera Graculo woła: „Dość, aby kaplica zawaliła się, aby pożar wybuchł, kochanek jakiś powiesił się, mniejszych jeszcze zajść wystarczy, a już nim wisielec ostygnie zupełnie w grobie, rymują o nim wiersz i opłakują go przed tłumami." Massinger mógł swój sąd rozciągnąć i na dramaturgów. Wszak nawet Szekspir pracował wespół z kilkoma innymi nad „Tragedyą Yorkshire'ską", osnutą na tle zbrodni, spełnionéj w r. 1604.

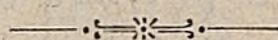
W komedyach autorowie wyprowadzają osoby żyjące, ochrzczone wprawdzie innemi mianami, ale dość wyraźnie nacechowane, aby można je poznać. Czasem z tego powodu omal do nieporozumień z sąsiedniemi mocarstwami nie dochodziło, przedstawiają bowiem królów i królowe spółczesne bardzo swobodnie. W r. 1606 Chapman daje tragedyę „Historya księcia Birona", jéj treścią najświeższe wypadki we Francyi. Sztuka ujrzała scenę, dopiéro po kilkakrotnych protestach ambasadora francuskiego, Beaumonta, usunięto ją. W 1617 króla Hiszpanii spotyka podobna niespodzianka; wobec naprężonych stosunków angielsko-hiszpańskich mało nie przyszło do wojny.

Lecz dola pisarzy dramatycznych była smutna. Traktowano ich z lekceważeniem, obrażająco. Mniéj dla ich zajęcia; owszem wielkich panów, którzy pisali dramaty, szanowano i wielbiono, widzieliśmy, że z nich wyszli pierwsi prawdziwi dramaturgowie. Nędza i biéda, konieczność sprzedawania swoich sił, swego dowcipu i geniuszu za drobne sumy, które natychmiast wędrowały do kieszeni lichwiarzy, to poniżało. Przez całe życie paliło Szekspira piętno owéj stałéj zniewagi; stąd zapamiętałe jego dążności do nabycia kawałka ziemi i zacisznego domu, w którym mógłby odpocząć. Inni, mimo walk i wysiłków, nigdy tego nie osiągają. I Ben Jonson umiéra w niedostatku. Greene całe życie walczy z niedolą. Jerzy Peele z rzezimieszkami się zmawia, biorąc udział w ich wyprawach. Zachował się do dziś tragiczny list Filipa Massinger'a, Nataniela Field'a i Roberta Daborn'a, w którym błagają handlarza Hinchlow'a o pożyczkę pięciu funtów szterlingów. O taką sumę w więcéj niż sto lat później będzie prosił na łożu śmierci wielki poeta szkocki, Robert Burns...

W. Bugiel.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



Nauka w domu. „Przewodnik dla wychowawców." Napisała Aniela Szyc. Warsz. M. Arct. 1896, str. 196 + IV.

Autorka, znana już dobrze na polu pracy pedagogicznéj, nie zamierzyła sobie pisać dzieła systematycznego, rozłożonego na rozdziały i paragrafy i wyczerpującego obrany temat w zupełności; lecz pragnęła podzielić się z rodzicami i wychowawcami wogóle szeregiem spostrzeżeń, jakie się jéj nasunęły przy obserwacyi stosunku nauczycieli do rodziców i uczniów, oraz rad, które w nauczaniu za pożyteczne i skuteczne uznała. Nie poprzestając na doświadczeniu i rozwadze własnéj, szukała wskazówek u znakomitych pedagogów swojskich i obcych, by w książce swéj pomieścić to, co wiedza pedagogiczna podała najlepszego w zakresie przez autorkę wziętym pod uwagę.

Przyznać należy autorce przedewszystkiém jedną wielką zaletę: treściwość. Ani napuszonych patetycznych frazesów, ani nudnéj moralizatorskiéj gadaniny nie znajdziemy w jéj książce; w słowach prostych, jasnych, ale nieraz dobitnych i znamiennych wypowiada to tylko, co się w ścisłym znajduje związku z traktowanym przedmiotem, co do jego wielostronnego rozjaśnienia jest potrzebne. Nie daje się unieść potokowi zwykłego kojarzenia się wyobrażeń, lecz panuje nad nim i ześrodkowuje prąd jego ku osiągnięciu zamierzonego celu. Umié zatém w każdéj roztrząsanéj przez siebie kwestyi wydobyć na jaw cechy najbardziéj znamienne, umié je należycie rozłożyć i rozwinąć, dając czytelnikowi możność swobodnego rozejrzenia się w szczegółach

oraz ogarnięcia ich jednym rzutem oka. Widoczną jest rzeczą, że każdy z artykułów, składających książkę, był przemyślany przez autorkę niejednokrotnie i nie pojawia się w niéj jako przebłysk chwilowego usposobienia i nastroju, lecz jako wynik długiego i rozważnego namysłu.

Drugą cechą, znamionującą całość, jest trzeźwość poglądów. Żadne krańcowe teorye, żadne błyskotliwe pomysły, żadne kuszące przeciwieństwa (kontrasty) nie panoszą się tutaj z ujmą dla surowéj prawdy. Pamiętając ciągle, że pedagogika jest nauką praktyczną, nie puszcza autorka cugli fantazyi, lecz się stara zawsze—i to skutecznie—o utrzymanie równowagi między wymaganiami ściśle naukowemi a możnością zastosowania ich w rzeczywistości. Zna ona metody najnowsze, lecz o tyle je przyjmuje, o ile je praktyka pedagogiczna za dobre uznała, o ile wytrzymały próbę doświadczenia.

Jak wszyscy dobrzy pedagogowie, tak i p. Szyc wyznaje starą łacińskę zasadę: *non multa, sed multum* i dla tego na wstępie samym robi zastrzeżenie, które konsekwentnie przeprowadza w całéj książce. Zastrzeżenie to brzmi: „Rodzice i nauczyciele prześcigają się w zakreślaniu obszernych programów, w stawianiu żądań dzieciom i uczniom; ale gdy przychodzi do ich wykonania, do szczegółów, chwiejność i kaprys, uleganie chwilowym wrażeniom, naśladownictwu sąsiadów, frazesom wyczytanym w najnowszéj książce wślizgują się nieznacznie do naszego postępowania. Po każdéj nieudanéj próbie rodzice zmieniają nauczyciela, pod chwilowym wpływem zewnętrznych okoliczności lub swego wewnętrznego nastroju nauczyciel często zmienia metodę wykładu lub sposób postępowania z dzieckiem, a po kilku latach takiéj nauki z przerażeniem widzimy, żeśmy nie osiągnęli nawet części tego, cośmy sobie zamierzyli; spostrzegamy liczne błędy i braki, które już poprawić zapóźno...” (str. 5 i 6).

Wada wychowania domowego, wytknięta w tych ustępach, jest rzeczywiście najważniejszą i najdotkliwszą; to téż autorka przy każdéj sposobności ją zaznacza, podając na nią rady, które streścić można w słowach domagających się od wychowawcy: znajomości dziecka wychowywanego i umiejętnego rachowania się z czasem. Do tych dwu „talizmanów” nauczyciela domowego jabym dodał jeszcze trzeci, bodaj najistotniejszy, t. j. talent pedagogiczny. Autorka nie uwydatnia dostatecznie tego czynnika, sądząc może, iż jest on tak konieczny, że nawet wspominać o nim nie potrzeba. Sądzę, że mówić o nim należy, i to z naciskiem. Tylu się bierze do nauczania, bez głębszego zastanowienia się nad swém uzdolnieniem, że koniecznie przypominać wypada, zwłaszcza młodym pannom, iż każdy zawód, a więc i pedago-

giczny wymaga przedewszystkiém dwóch właściwości: zamiłowania i talentu. Kto bez nich zawód obiera, i dolę będzie miał ciężką i pożytku nie przyniesie wielkiego nikomu, pozostanie zawsze mniéj lub więcéj tolerowaną miernością. Lubo i u nas w nowszych czasach rozszerzyło się pole zarobkowe dla kobiet, to przecież bezwzględnie większa część panien niezamożnych a jako tako ukształconych chwyta się nauczycielstwa, nie zbadawszy nawet siebie, czy mają zamiłowanie do tego zawodu i czy posiadają odpowiednie uzdolnienie. Możeby mniéj było rozczarowań i narzekań, gdyby się wybór zawodu z większą dokonywał rozwagą; a że pożytek dla społeczeństwa byłby większy, to wątpliwości nie ulega. Szkoda, że autorka do 18 artykułów wypełniających część pierwszą jéj książki, nie dodała jeszcze jednego, któryby omawiał przymioty, jakiemi się odznaczać powinien kandydat lub kandydatka do stanu nauczycielskiego.

W układzie téj 1-széj części możnaby było żądać innego nieco uporządkowania poszczególnych artykułów. To, co się odnosi do rodziców i nauczyciela, powinnoby znajdować się przy sobie, nie będąc przedzieloném uwagami dotyczącemi nauczania. A więc po bardzo pięknie napisanym rozdziale: o „porozumieniu rodziców i nauczycieli" (Nr 2) powinienby chyba iść Nr 9 „nauczyciel indywidualności dziecka", potém Nr 17 „zmiana nauczyciela", daléj Nr 18 „wady nabyte przez uczniów"; a dopiéro po tych mogłyby pójść rozdziały mające na względzie samo nauczanie, jako to: „z pokoju dziecinnego do szkolnego", „metoda nauczania", „czém się kierować przy układaniu programu", „plan nauki", „wspólna nauka kilkorga dzieci", „jedność w nauczaniu" i t. d. Uwaga ta nie może być uważana za sprzeczną z zaznaczonym na początku zamiarem autorki co do systematyczności; gdyż i w takiém uporządkowaniu, jakie wskazałem, jeszczeby nie było ściśle przeprowadzonego systematu, lecz jedynie ugrupowanie artykułów treścią do siebie zbliżonych.

Znacznéj szkody ten brak ugrupowania nie przynosi książce; każdy artykuł może być czytany oddzielnie, bez względu na to, co poprzedziło i co ma nastąpić i z każdego uważny czytelnik odniesie pożytek niewątpliwy. Zwrócę tu mianowicie uwagę na trzy artykuły, z których dwa pierwsze odnoszą się do uczniów, trzeci — do nauczania. Dopomagając wychowawcy do zaznajomienia się z indywidualnością dziecka, autorka nakreśliła (Nr 9) trafną charakteryrystykę pięciu typów: 1) dzieci żywe i swawolne; 2) dzieci rozpieszczone; 3) dzieci zahukane; 4) dzieci apatyczne; 5) dzieci wyjątkowo niezdolne. W drugim artykule (Nr 18) równie trafnie wskazała wady nabyte przez uczniów, przedstawiając nam: 1) umysły znarowione zbyt obszerną a powierzcho-

wną nauką, których właściwością jest rozproszenie uwagi i brak stałego zainteresowania w jakimkolwiek kierunku; 2) różne rodzaje uczniów pilnych, przyzwyczajonych do „kucia" napamięć (natury bierne; usposobienia sumienne, skrupulatne i drażliwe; charaktery obowiązkowe, lecz oschłe; umysły ciasne a zarozumiałe); 3) dzieci, które nie chcą się uczyć, a których wadami są: rozmyślna nieuwaga, nieprawdomówność, lenistwo; 4) dzieci niedołężne. Zajmujące uwagi robi autorka nad każdą z tych kategoryi.

Wśród artykułów omawiających sprawę nauczania, zasadnicze znaczenie ma Nr 5: „Metoda nauczania", ponieważ pomieszczone tu uwagi odnoszą się do wykładu wszystkich wogóle przedmiotów. Mówi tu autorka o zasadzie „poglądowości" t. j. unaoczniania wykładu za pomocą okazów, modelów, rycin, opowiadań, opisów, o metodzie indukcyjnéj i dedukcyjnéj, o zasadzie „koncetracyi" w potrójnéj jéj postaci t. j. o skupieniu całéj nauki około jednego punktu, o związku między przedmiotami pokrewnemi i oześrodkowaniu wiadomości w obrębie jednego przedmiotu; o „stopniach formalnych" t. j. o zastosowaniu trzech momentów, które odróżnić można w przyswajaniu sobie wszelkiéj wiedzy, a któremi są: wrażenie otrzymane od przedmiotu, zastanowienie się nad niém i zastosowanie nabytéj wiadomości. Prócz tego pomieściła tu p. Szyc, idąc za pedagogami ze szkoły Herbarta, rzecz o „apercepcyi." Czy potrzebném jest wprowadzenie tego pojęcia i téj nazwy do naszéj pedagogiki? Mojém zdaniem jestto rzecz zbyteczna. Najprzód samo określenie „apercepcyi" u różnych autorów bywa różne, a powtóre to, co autorka przez ten wyraz rozumié, w swéj książce, daje się wyrazić zrozumialszemi dla ogółu wyrazami „zainteresowanie", „obudzenie uwagi"; albo téż odnosi się do innych, powyżéj już wymienionych środków i sposobów nauczania. Przytém, ponieważ dzisiaj nie używamy już po polsku wyrazu „percepcya", zatém i bez „apercepuje" obejść się możemy. Jeżeli jakieś pojęcie nie jest niezbędném w danéj nauce, lepiéj go nie wprowadzać, ażeby nie utrudniać bez potrzeby przyswojenia sobie wiedzy.

Z innych artykułów dotyczących nauczania, zwracam szczególniéj uwagę na następne: „zadawanie lekcyi", „dzienniczek ucznia", „przerwy w nauce", „plan nauki", „pomoc rodziców poza godzinami lekcyi."

Część druga książki p. Szyc zawiera „wskazówki do nauczania poszczególnych przedmiotów." Tu pod tym względem jedną tylko robię uwagę; dlaczego „naukę o rzeczach" umieściła na 7 miejscu, chociaż wypadało jéj dać pierwsze, jako chronologicznie najwcześniejszéj? Inne przedmioty są traktowane w następnym porządku: religia, język

polski, język rosyjski, języki obce, kaligrafia, rysunki, arytmetyka i geometrya, geografia, historya, nauki przyrodnicze. Metoda tych nauk wyłożona została jasno i zwięźle; przytém autorka podaje zazwyczaj źródła, z których można poczerpnąć informacyi w mierze obfitszéj. Ze szczegółów zaznaczyć można, że autorka obstaje gorąco, ze względów hygienicznych, za pismem prostopadłém.

Autorka powołuje się dość często na zdania pedagogów obcych; nie zapomina wszakże o literaturze swojskiéj, zwłaszcza z bliższych nam czasów. Trentowskiego zna i cytuje go dwukrotnie (str. 83, 105), ale zdaje mi się, że nie skorzystała w dostatecznéj mierze z drugiéj części jego „Chowanny", traktującéj o tych samych przedmiotach, co i jéj książka. Należałoby więcéj niż dotychczas zwracać się do tego filozofa-pedagoga, gdyż po za dziwactwami terminologii są mianowicie w „Chowannie" bardzo rozumne i bardzo cenne uwagi, które warto przypominać dzisiejszemu pokoleniu nauczycieli dla utrzymania ciągłości tradycyi naukowéj.

P. Szyc pisze starannie i wogóle bardzo poprawnie. Zdarzają się tylko tu i owdzie błędne wyrażenia, które, niestety, tak się już rozpowszechniły, że za błędy przeciw czystości języka poczytywane nie bywają. Liczę do nich: „p o d tym wyrazem rozumiem" (zam. p r z e z ten wyraz r.), p r z y c z y n i a ć kłopotu, trudności (zam. sprawiać kłopot, tr.), o d n o ś n i e do drugich (zam. c o do d.), uważać j a k o zbyteczne (zam. uważać z a zb.), nauka ma j a k o cel (zam. n. ma z a cel), wskazywać n a gramatykę (zam. wsk. gramatykę), p o d c z a s g d y (zam. k i e d y). Niepoprawnemi téż są zwroty następne: „lecz matka *w* zaledwie 5-letnim malcu upatrzyła inteligencyę" (str. 20); „plan lekcyi powinien być należycie urozmaicony, a zarazem u w z g l ę d n i a j ą c y charakter uwagi dziecięcéj" (str. 60); „zdąży nietylko wypocząć, lecz zapomniéć t e g o, co umiało" (str. 116); „znajduje uczeń gotowe, nie potrzebując ich szukać s a m e m u" (str. 173). Zdaje mi się, że wyczerpałem wszystkie usterki, jakie przy czytaniu zauważyłem; jest ich, jak widzimy, niewiele. *P. Ch.*

C. Lombroso i G. Ferrero: „Kobiéta jako prostytutka i zbrodniarka." Studya antropologiczne, poprzedzone biologią i psychologią kobiéty normalnéj. Z upoważnienia autorów tłómaczył dr. J. Szenhak. Nakład Hieronima Cohna. Warszawa 1895. Z kilkoma tablicami rysunków. — S. Sighele: „Tłum zbrodniarzy." Tłómaczyła Antonina Morzkowska. Warszawa 1895.

Pierwsze z dwóch powyższych dzieł jest dalszym ciągiem prac Lombrosy nad istotą zbrodni i tak nazwanym przez niego typem zbro-

dniarza wrodzonego. Jak i poprzednie prace tego autora, tak i kobiéta zbrodniarka" odznacza się przeładowaniem cytat, cyfr i statystyk, mających popierać chwiejną, a dziś już stanowczo pogrzebaną tezę atawistycznego pochodzenia zbrodni i wszelakiego występku, oraz łączności cech fizycznych zbrodniarza z jego moralną wartością.

Jak w dawniejszych pracach, tak i w niniejszém dziele spotykamy na każdym niemal kroku omyłki i dowolne tłómaczenia faktów, zaznaczone w kilku miejscach nawet przez samego tłómacza.

Wyszedłszy z błędnego przedewszystkiém, a uparcie głoszonego założenia, że kobiéta jest nawet normalnie „niedorozwiniętym (!) mężczyzną", daléj „zbliżoną przez swe charakterystyczne cechy do dzikiego, dziecka, a zatém i do przestępcy", dochodzi autor na str. 401 do następującego wyniku: „Kobiéta nie jest obdarzona żadném poczuciem moralném..."

Po takiém założeniu nie ma się co dziwić, gdy Lombroso oświadczy nam, jakie to cechy zwyrodnienia odkrył w prostytutkach i zbrodniarkach, stwierdzając owemi pseudo-cechami głośną swą dawniéj teoryę.

Cyfry jednakże, któremi się posiłkuje, jak wszystkie dane statystyczne, obosiecznym mogą być mieczem. Racyonalniéj wyjaśnione i skomentowane, obrócą w perzynę całą teoryę psychiatry włoskiego.

Całe to dzieło, przeładowane sensacyjnemi anegdotkami i opowiadaniami, pełne pornograficznych wiadomostek, ubranych w szaty przyprawy naukowéj, robi nieprzyjemne wrażenie, pomijając już małą jego pozytywną wartość rzeczywiście naukowego studyum, pracy pisanéj na rozgłos, obliczonéj na niezdrowy smak publiczności, pożerającéj chciwie spopularyzowane nader udatnie te psychiatryczne i anatomiczne wiadomości, które lepiéj i korzystniéj, aby zawsze pozostały w zakresie nauki ścisłéj i specyalnéj.

Dane liczbowe, z których korzystał autor, po większéj części dociągane dowolnie do faktów, bynajmniéj ich nie popierają, a poddane specyalnéj i sumiennéj analizie, przeciwnie, osłabiają zaufanie do autora, potęgując wrażenie nader ujemne, że się stoi wobec naukowego... humbugu.

Niektóre dane wprost śmiech serdeczny wywołać mogą, jak np. oznajmienie, że u zbrodniarek i prostytutek włoskich przeważa kolor włosów ciemny, u zbrodniarek i prostytutek ruskich (według Tarnowskiéj) kolor włosów jasny. Rzecz ta jest nader prosta, gdyż przeważającą barwą narodową jednych jest kolor czarny, jasny zaś u drugich.

Wszystkie te względy złożyć się mogą na jedno zapytanie, postawione tłómaczowi i wydawcy: po co było przyswajać to dzieło? Po co

dawać publiczności naszéj pracę bynajmniéj na szerszy rozgłos nie zasługującą, z pominięciem tylu innych, istotnie pożytecznych i doniosłych? Dla profana Lombroso ma ogromny urok. Jego sposób wykładu, cyfry, statystyki, diagramy, portrety, wszystko to działa nader silnie i wabiąco rekomenduje pracę.

Pytam jednak, po co dawać czytelnikom naszym dzieło, którego myśl przewodnia dziś wykreślona została z katalogu teoryi naukowych i przebłysnąwszy wspaniałym meteorem reklamowym, utonęła tam, skąd wychodzić nie była powinna?...

Jeśli w krótkich słowach przechodzimy do porządku dziennego nad pracą Lombrosa i G. Ferrera, to natomiast nieco dłużéj się zatrzymamy na pracy Scypiona Sighele'go. Młody autor poruszył jedną z tych kwestyi, których ważność niejednokrotnie uczuwać się dawała. Poruszył bowiem psychologię tłumów. Długo bezwładnie śpiące, czasami tylko konwulsyjnym, jednym rzutem dając znać o swém istnieniu tłumy, masy wielkie, obudzone z letargu potężném tchnieniem wielkiéj rewolucyi, wychodzą coraz wyraźniéj z mroku, w którym spoczywały, coraz jaśniéj zarysowując się na horyzoncie politycznym Europy. Stany, które niegdyś żadnych praw i przywilejów nie miały, dziś żądają głosu w parlamentach, zasiadają przez swych reprezentantów na ławach ministeryalnych, dochodzą nawet do fotelów prezydyalnych.

„Wiek, w który wkraczamy, powiada Le Bon, będzie prawdziwą „erą tłumów."

Niemałą więc zasługą psychologii w ogólności, a kryminologii specyalnie, oddał Sighele, poruszając i pobudzając do dyskusyi nad dwoma naraz tak ważnemi pytaniami, jak te, czém jest tłum, jaka jest jego psychologia, oraz jaka jest prawna odpowiedzialność tłumu zbrodniczego. Rzecz prosta, że nie idzie tu bynajmniéj o ściśle zorganizowane zgromadzenia i bandy zbójeckie, jak np. Mafia, ale o tłum, to zbiegowisko przypadkowe przeróżnych indywiduów, zebranych raptem na jakimś placu pod wpływem sensacyjnego wypadku lub za sprawą tajnych podszeptów i knowań.

Pytanie, które Sighele postawił sobie na początku swego dziełka, jest mniéj więcéj następujące: wiemy, jak zachować się mamy, gdy przed kratkami sądu pojawi się jeden przestępca. Jak jednak karać powinniśmy tych, co się dopuścili przestępstwa w towarzystwie, w tłumie, w chwili ogólnego rozpasania i podniecenia? Czy do takich osobników wolno stosować prawo dziesiątkowania, czyli karania co dziesiątego, bez względu na pewność, czy niepewność jego winy, czy też,

jak to się nieraz działo, postępować według rozpacznéj zasady: gdzie wszyscy błądzili, żaden nie winien, i uwalniać wszystkich?

Odpowiadając na to pytanie, Sighele kréśli przedewszystkiém zasadnicze prawa psycho-fizyologii tłumu.

Za tłum uważa się tu pierwsze lepsze, mniéj lub więcéj liczne zbiegowisko ludzi, które porwane jedną myślą, jedną podnietą, zaczyna działać solidarnie jak jeden człowiek; to zbiegowisko najprzeróżniejszych ludzi, wszelkiéj klasy społecznéj, rozmaitéj moralnéj wartości, przeróżnego stopnia wykształcenia i stanowiska, ci niepodobni do siebie ani myślą, ani działaniem ludzie, pod wpływem czegoś, co ich poruszy, porwie i uniesie, działają jednolicie, związani wszyscy jakiémś wspólném dążeniem i kooperacyą, któréj przyczyny szukając, Sighele nazywa pojawieniem się wspólnéj duszy.

Owa wspólna dusza, owa nić, co wiąże w całość najniepodobniejsze do siebie jednostki, ma swoje prawa powstania, ma swój umotywowany mechanizm.

Opierając się na znanéj teoryi Tarde'a o naśladownictwie, Sighele dochodzi do wniosku, że z jednéj strony wzajemna sugestya, jaką na siebie wywierają bezimienni członkowie tłumu, daléj wzajemne naśladowanie się, a nakoniec to, że wzajemne ich działanie osłabia indywidualne napięcie woli, wszystko to w sumie działa tak, że rzucony w wir tłumu osobnik traci ster, staje się integralną częścią tylko tłumu, budzą się w nim (według teoryi Sighelego) te drzémiące pierwiastki zwierzęce zła, które odziedziczył po przodkach, i najłagodniejszy nawet w życiu codzienném człowiek chwyta za głownię lub siekierę, gotów palić, mordować, rąbać i niszczyć. Dla tego to, mówi daléj Sighele, tłum po większéj części jest skłonny do zła częściéj niż do dobrego.

Zaznaczywszy licznemi i bogato ilustrującemi wykład przykładami owe zjawisko porwania się tłumu, ową dziecinną zmienność, która niemal błyskawicznie przechodzi od łagodności do nieokiełznanego gniewu, Sighele, zgodnie ze zdaniem Puglies'a, dochodzi do wniosku, że uczestnicy tłumu są niemal na pół niepoczytalni, a raczéj że należy ich sądzić jak człowieka, który popełnia zabójstwo pod wpływem szalonego uniesienia. Każdy osobnik wszelako ma swoje własne, indywidualne usposobienie i pojęcie, którémi się zawsze kierować może i powinien. Pomijając więc całą siłę hypnotycznéj władzy tłumu, pomijając całą moc sugestyi i przykładu, żaden osobnik nie przestaje być odpowiedzialny za swe czyny; większa siła woli usunie nas od złowrogiego zetknięcia się z tłumem, odwiedzie od udziału w zbiegowisku, gdzie przypuszczać możemy, że utraciwszy ster nad sobą, staniemy się jedynie

cząstką rozpasanego, wyjącego tłumu, który zerwawszy wszystkie moralne i społeczne więzy, pędzi na oślep, wszystko druzgocąc na swéj drodze.

Dlatego też każdy winny udziału w zaburzeniach tłumu jest prawnie odpowiedzialny, według Sighelego, tylko kara i kodeks powinny być do niego stosowane nie jednakową dla wszystkich miarą.

Indywidualizacya kary do ostatecznych granic posunięta, oto życzenie nowéj szkoły karnéj, życzenie zupełnie słuszne, które oby znalazło szerokie zastosowanie w kodeksach i procedurach karnych wszystkich państw.

W procesach o udział w zamieszkach i przestępstwach tłumu kara istniéć musi, tylko sąd powinien jaknajskrupulatniéj, jaknajsubtelniéj rozmierzyć ją w odpowiednich proporcyach dla wszystkich uczestników zamieszek.

Większa niż gdziekolwiek tutaj indywidualizacya kary, wniknięcie w stan psychologiczny oskarżonego, zbadanie tych pobudek, co go do zbrodni popchnęły, powinny pierwszorzędną grać rolę.

W tłumie bowiem są zawsze istoty bierne, które ci, co są prawdziwie duszą tłumu, pchają przed sobą jak stado posłusznych zwierząt. Ci prowodyrzy i ci menerzy, są po większéj części zdecydowanymi przestępcami odpowiedzialnymi za swe czyny, obmyślane z góry, których urzeczywistnienie polega jeno na przyłożeniu lontu do téj beczki prochu, jaką jest zawsze tłum.

Nader interesująco napisana, dobrym językiem przełożona, praca Sighelego jest o wiele właściwym nabytkiem dla literatury naszéj, aniżeli poprzednia praca jego ziomków. Młody autor poruszył w niéj wiele doniosłych kwestyi, poruszył ich zawiele może naraz, zwrócił jednak uwagę na ten dział psychologii ogólnéj co dotychczas niemal odłogiem leżał, a jest najciekawszy.

Psychologia kolektywna, nauka przyszłości, dzięki Sighelemu wiele zyskała i wiele zyska może; jeśli sam autor nic nadzwyczaj nowego nie dorzucił do już znanych dawniéj wiadomości, to mimo to dobrze się zasłużył nauce pobudzając do pracy i nowe dla niéj roztwierając horyzonty.

W pracy S. Sighelego znać jednak jakąś obawę, jakiś brak pewności w wypowiadaniu swego zdania; każde słówko własne motywuje natychmiast cytatami z dzieł obcych, gmatwając przez to wykład i zaciemniając w umyśle czytelnika obraz tego co właściwie należy do niego, a co do powag, któremi się osłania. Niemniéj jednak książka jego zasługuje na przeczytanie i poważne zastanowienie, daje nam

bowiem szerokie pole do rozmyślań nad istotą psychologiczną tego tak niestałego, a tak groźnego elementu, jakim jest tłum, który jak wynika z najnowszych badań nie jest nigdy sumą swych składowych części, nie jest nigdy wypadkową określoną sił co się nań składają, lecz staje przed nami jako potwór potężny i groźny, tém groźniejszy, że jest cały „nieprzewidzianym."

Kaz. Daniłowicz-Strzelbicki.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *M. Rodziewiczówna.* **Jerychonka**, powieść. Warsz. „Kuryer Warsz.” 1896, str. 346. — Rozmaitości w pomysłach, a tém mniéj odmiennéj metody w ich przeprowadzeniu nie ma, jak wiadomo, w powieściach p. Rodziewiczówny. Jak przed laty 10, tak i obecnie lubi ona malować najchętniéj natury zdziwaczałe, energiczne, trochę szydercze dla pokrycia przed tłumem ludzi swych uczuć tkliwych, lubi jaskrawe kontrasty, niespodzianki, krótkie, mniéj lub więcéj cięte rozmowy i szczupłe pogłębienie psychologiczne. Główną osobą w najnowszém jéj opowiadaniu jest artystka-malarka „Magda” Domontówna, osiadła w Krakowie i obrazami swojemi pozyskująca sobie rozgłos ogromny. Kocha ona towarzysza lat dziecinnych, również malarza, Filipa Osieckiego, który ma wprawdzie dla niéj obecnie cześć wielką i pokłada zaufanie najzupełniejsze, ale afekty swoje zwrócił do mężatki poróżnionéj z mężem, pani baronowéj, będącéj szablonowym typem kokietki wyrachowanéj, kupczącéj swą nadzwyczajną pięknością i nieodpartym czarem zmysłowym. Pogniewawszy się z baronową, Filip podczas tańców żartem puszcza pogłoskę, że się żeni z Magdą, a gdy ta wieść lotem błyskawicy rozeszła się po mieście i nie sprowadziła oczekiwanego zapewne przez Filipa skutku, żeby się baronowa ku niemu zwróciła, wprowadza żart w czyn i żeni się z Domontówną. Ta sądzi, że miłością swoją zdoła oddziałać zbawczo na człowieka, który całkiem zaniedbał swój talent i żył tylko szałem miłosnym. Zawodzi się. Filip pociągnięty przez baronową, zapomina o wszelkich obowiązkach, porzuca żonę, leci do Wenecyi za swoim mniemanym ideałem, który teraz używa go jedynie za narzędzie do przyprowadze-

nia męża ku sobie. Mąż ten bowiem, magnat zubożały, otrzymał milionowy spadek, a jakkolwiek sroży się, iż nie daruje żonie jéj nikczemności, w gruncie jednak rzeczy należy do kategoryi burczących poczciwców, co to z pozornych panów i władzców stają się pokornemi sługami swych połowic. Dopiąwszy celu, baronowa porzuca Filipa, który odchorowawszy zawód swój, postanawia się zemścić; jedzie do majątku barona, daje znać baronowéj o swém przybyciu i... zostaje przez nią śmiertelnie raniony. Przed zgonem pielęgnuje go oczywiście Magda i cały zasób swéj miłości wlewa w starania około chorego; baronowa upokorzona musi wysłuchać repremendy umierającego Filipa, który nie chce, ażeby ją jako morderczynię włóczono przed sądy. Cała ta tragiczna historya nie robi wrażenia, bo się czuje, że to wszystko dowolne zmyślenie, bardzo mało prawdopodobieństwa zawierające. Czyta się to jak bajkę, która przemawia do fantazyi, ale uczucie pozostawia nietkniętém. O wiele sympatyczniejsza jest postać malarza-cygana, Oryża, gburowatego, napozór nieokrzesanego, lubiącego drwić i pić, ale przywiązanego najserdeczniéj do Magdy bez pożądania jéj, wyrzekającego się wódki na jéj wymaganie i gotowego zawsze do wszelakiego rodzaju poświęceń. Ze wszystkich postaci w „Jerychonce" Oryż najlepiéj, najkonsekwentniéj jako charakter został przeprowadzony, a chociaż nie stanowi nowości w repertuarze p. Rodziewiczówny, wita go się z przyjemnością. Dobrą jest również sylwetka niemłodéj i nieładnéj panny Berwińskiej, cichéj, rozumnéj, poświęcającéj bez frazesu swą młodość i czas, by spłacić długi porobione przez wisusa brata i oczyścić pamięć jego z plamy oszustwa. Nie można téż pominąć wdowy p. Osieckiej, nie mogącéj żyć bez gromadki dzieci biednych, którym daje jedzenie, odzież i naukę. Niby to szorstka i opryskliwa, ma serce prawdziwie ewangeliczne. Oryż w końcowym monologu zestawia siebie, Osiecką i Magdę jako należących do tego rodzaju ludzi, co dają serce i nie rachują, co kochają a nie są kochani, i pyta się sam siebie, kto z nich wart, by mu na mogile zakwitła symboliczna róża jerychońska. W zestawieniu tém jest częściowe złudzenie serca kochającego; on i Osiecka wyżsi są podobno od Magdy, bo ta w motywach swego postępowania nie wykluczała bynajmniéj miłości własnéj, owszem w chwili, w któréj ją Filip opuścił, rozsiewając o niéj potwarze, najwięcéj właśnie do tych potwarzy przywiązała wagi i darować mu ich nie chciała; darowała w końcu, to prawda, lecz że się tym motywem posługiwała, utraciła tę wyżynę, na którą ją miłość bezinteresowna wyniosła. Berwińska możeby najwięcéj zasługiwała na ową nagrodę w postaci róży rozkwitłéj, gdybyśmy ją lepiéj, a raczéj szczegółowiéj znali; nie zawsze bowiem to, co w pewnych wyjąt-

kowych chwilach ludzie wypowiadają i czynią, można uważać za całość wypełniającą ich dusze. Np. Osiecka, najzacniejsza, a przy tém trzeźwym rozsądkiem obdarzona kobiéta, uwierzyła przecież w końcu, jak przynajmniéj zapewnia autorka, w to, iż Magda była winna, że ją Filip opuścił... Z sylwetek ubocznych niezły jest amator zbieracz i dyletant epikurejczyk, bogaty Sylwestek, oraz cynik wydawca i właściciel dziennika, Fink. Mniéj się już udał baron Faustanger, a bohater główny, Filip, jak to bywa nader często, najmarniéj ze wszystkich wygląda.

— **Syrokomla o sobie.** *Przepisał i objaśnił Wł. R. Korotyński.* Warszawa. T. Paprocki. 1895, str. 101. Interesująca to książeczka nie tylko dla tych, co się szczegółowo życiem i twórczością nadniemeńskiego słowika zajmują, ale i dla t. zw. szerszego ogółu. Zawiera bowiem szereg listów w przeważnéj części pisanych przez Syrokomlę do Jana Chęcińskiego, z którym od czasu pierwszego pobytu w Warszawie r. 1856 zawiązał serdeczną przyjaźń, objawiającą się najzupełniejszém braterskiem zaufaniem wzajemném. Niektóre z tych listów znane już były dawniéj w wyjątkach, pomieszczonych w studyum Kraszewskiego o Syrokomli, zaraz po zgonie poety 1862 r. napisaném, a niedawno przedrukowaném w 10-ym tomie „Wyboru pism” Kraszewskiego (Warsz. 1894). Obecnie listy te wszystkie, jakie się dochowały, zostały wydrukowane... chciałem powiedzieć: w całości, ale się spostrzegam, że nie; wydawca sam robi raz uwagę, iż nie podaje wszystkiego, co się w téj korespondencyi mieści, pozostawiając resztę „przyszłości, kiedy już o wielkim poecie będzie godziwém mówić w myśl własnych słów jego, wypowiedzianych w bolesnym wierszu *Cupio dissolvi:* Na co mi, Panie, ta suknia z ciała, co mi swobodną duszę skowała?” (str. 64). Nie możemy oczywiście miéć do wydawcy pretensyi o takie uszczuplenie wiadomości; musiały nim bowiem kierować względy natury ważniejszéj nad zaspokojenie ciekawości biografów i krytyków. To zaś, co zostało wydrukowaném, przyczynić się może do wycieniowania rysów téj natury szlachetnéj, niezmiernie uczuciowéj: niezmiernie wrażliwéj i drażliwéj, a spragnionéj serca i szczęścia, jaką się odznaczał twórca „Lirnika wioskowego”. Porównywając listy te z wyjątkami, ogłoszonemi przez Kraszewskiego, widzi się pewne drobne różnice już to w szyku wyrazów, już to w użyciu samych wyrazów; zdaje się wszakże, iż tekst p. Korotyńskiego jest wierniejszém odtworzeniem oryginałów, aniżeli cytaty Kraszewskiego, który w pośpiechu nie bardzo zwracał uwagę na zupełną tożsamość kopii. Do listów dodał p. Korotyński objaśnienia, dotyczące nazwisk mniéj

znanych, lub rzeczy i stosunków czasowych. Objaśnienia te, o ile je sprawdzić mogłem, opierają się na dobrych, autentycznych źródłach i zasługują na całkowite zaufanie. W ocenę utworów Syrokomli wspominanych w korespondencyi, wydawca się nie wdaje, słówkiem tylko jedném, epitetem odpowiednim, zaznacza swoje uznanie lub uwielbienie. Czasami chciałoby się z p. Korotyńskim co do tych sądów posprzeczać, ale ponieważ są tak ogólnikowo wyrażone, sprzeczka nie miałaby dostatecznego punktu oparcia, bo motywy jedynie, które posłużyły do sformułowania pewnego sądu, mogłyby być przedmiotem dyskusyi lub porozumienia. Tu i owdzie przytacza wdawca urywki z listów osób innych, o ile się one do wyjaśnienia pewnéj kwestyi przyczyniają. Na samym początku pomieścił list Syrokomli do Antoniego Nowosielskiego (Alberta Gryfa), zawierający bardzo ważne autobiograficzne szczegóły. Dotychczas np. powołując się na Kraszewskiego, podawano jako miejsce urodzenia majątek Jaśkowice w gub. mińskiéj; tymczasem ze wspomnianego dopiéro co listu dowiadujemy się, że dawniejsza informacya Skimborowicza była bliższa prawdy, tylko że (w druku może) popełniono omyłkę co do jednéj litery w nazwie wioski. Syrokomla pisze, że się urodził we wsi Smol*h*owie (u Skimborowicza: Smol*k*owie) na błotnistém Polesiu. Dalsze szczegóły pierwszych początków ukształcenia dotyczące warto przytoczyć: „Uczyłem się czytać, — pisze Syrokomla, — na Z ł o t y m O ł t a r z y k u, w szóstym roku już na szmaty podarłem dziesięć tomów dzieł Krasickiego, czytając je gorliwie, tak gorliwie, że już wtedy zapamiętałem ważniejsze dyalogi Lucyana i ważniejszych bohaterów Plutarcha, co mi potem było wielką pomocą w nauczeniu się starożytnéj historyi. Od dziecka czytałem z ochotą, czytałem samopas, czytałem w chwilach lekcyi i w chwilach rozrywki, i tak przywykłem bez porządku, ale z oddaniem się kształcić sam siebie. Pierwsza linia bakalarska spoczęła na mojéj łapie r. p. 1833, i to za nierówne ciągnienie pękatego żywota litery B, którą (literę) gwałtowne wstrząśnienie méj ręki rozwiązało, i porodziła ogromnego żyda... Nauki początkowe do klasy V (którą skończyłem r. 1837) odbyłem u Dominikanów w Nieświeżu.. Wdzięczen im jestem, iż pod moralnym względem wyrobili we mnie tę skrupulatność sumienia, z którą mi dobrze w dalszém życiu" (str. 3 i 4). O kształceniu się w Nowogródku nic Syrokomla nie wspomina; dodaje tylko po słowach powyższych, w sposób zagadkowy: „do 1839 r. uczyłem się z o b o w i ą z k u", a czy te wyrazy są dobrze przepisane przez wydawcę, oczywiście rozstrzgnąć nie mogę. Może właśnie r. 1838 i 1839 są latami pobytu w Nowogródku. Ogólny rys swéj „głowy" skreślony wedle szkolnych poświadczeń, podaje Syrokomla taki: „religia, język łaciński,

francuski, nauki przyrodnicze, historya, geografia, statystyka—bardzo dobry; język polski, język niemiecki (którego nic a nic nie rozumiem) — celujący; matematyka z całym ogonem pomocniczych nauk — mierny i t. d. Na końcu moich patentów na mądrość było: Zdolności dobre, pilność mała, nie iżbym doprawdy był hultajem, bo pracowałem wciąż nad ukształceniem mózgowni, — ale pracowałem swobodnie i nie wedle tych reguł, jakiemi łeb mój okować chciano. Przy charakterze powolnym, rozważnym, nieśmiałym, zachowałem jednak niepodległość umysłu i niewiarę we wszelką powagę" (str. 4). Urywam te wypisy, polecając kiążkę ogółowi, jako rzecz zajmującą i pisaną pięknym prawdziwie polskim językiem.

= **Ostatnie lata w życiu Stanisława Orzechowskiego** (1562—1566) na podstawie „Orichovianów", wydanych przez dr. J. Korzeniowskiego w r. 1891, skreślił *Apolinary Maczuga*. Tarnów. 1895, str. 32.—Jest to osobna odbitka ze sprawozdania gimnazyalnego w Tarnowie. Rzecz pisana jest ciężko i językiem dosyć niepoprawnym. Wyników ważnych lub ciekawych, któreby rzucały nieznane światło na głównego publicystę i agitatora XVI wieku, nie znajdujemy tu wcale, a próba ogólnéj charakterystyki Orzechowskiego nie może się nazwać udatną. Rozpoczyna autor i kończy uwagą, że Orzechowski w ostatnich latach życia „stał się więcéj statecznym" (!), że „ów warchoł-burzyciel i wichrzyciel główny przycichł pod brzemieniem nieszczęść, jakie się na niego zwaliły", że starał się teraz „być pożytecznym i w ten sposób zyskać poparcie w swych sprawach". Ze szczegółowego atoli rozbioru kwestyi, jakie Orzechowski poruszał w ostatnich latach życia (polemika ze Stankarem, Modrzewskim i z herezyą wogóle; zabiegi o potwierdzenie małżeństwa; stosunek kościoła greckiego do rzymskiego i sprawa soboru trydenckiego; zasady rządu teokratycznego) nie wynika potwierdzenie uwag powyższych. Jak poprzednio, tak i teraz wysuwa O. osobę swoją zawsze na plan pierwszy, sobie przypisuje dokonanie zwycięstw nad różnowierstwem, siebie usprawiedliwia, swoje poglądy przeciwstawia poglądom Kromera, Hozyusza, chociaż mu idzie o zgodne z hierarchią katolicką stosunki. Że jest mniéj gwałtowny niż dawniéj, to powodem jest oczywiście może nie tyle wiek (miał w tym okresie lat 49—53), ile wyniszczająca choroba i kłopoty finansowe. A że wygłaszał wyższość władzy duchownéj nad świecką i chciał tę drogę widzieć w zupełnéj zależności od pierwszéj; to mógł być po części zwrot myśli szczery, po części chciał tym sposobem pozyskać sobie dostojników kościoła w trapiącéj go sprawie małżeństwa. A czy ta ostatnia teorya może być nazwana pożyteczną w rozwoju na-

szym politycznym? Podobno nie bardzo się pomylimy, zaliczając Orzechowskiego do tych, co się przyczynili do osłabienia władzy królewskiéj, gdyż wprowadził jeszcze jeden niezmiernie doniosły czynnik w sprawie rozluźnienia jéj przez uczynienie onéj zależną w zupełności od kościoła. Nic nie mówiących określeń p. Maczugi, że poglądy Orzechowskiego polityczne lub teologiczne są dziwne, nie będę tu roztrząsał, gdyż nie dostarczają materyału dostatecznego do dyskusyi; zwrócę jeno uwagę na niewłaściwość wyrażenia końcowego, gdzie autor domaga się, żeby w rozbiorze charakteru Orzechowskiego nie pomijać także „czynników psychicznych, które u niego może ważniejszą rolę niż u kogokolwiek odgrywają” (str. 31). Oczywiście nie chciał tu p. M. mówić o czynnikach „psychicznych” w istotném tego słowa znaczeniu, gdyż czynniki te jednakową rolę u wszystkich ludzi odgrywają, a różnica między nimi polega tylko na jakości tych czynników, na stopniu ich rozwinięcia i t. p. i myślał tu widocznie autor o jakimś specyalnym rysie psychicznym Orzechowskiego, ale nie umiał go nazwać odpowiednio.

= *Antoni Godziemba Wysocki.* **Dom Zdrowia.** Szkice. Kraków. W. Kornecki. 1896, str. 163. — Branie tematów powieściowych z życia obłąkanych upowszechnili romantycy niemieccy, którzy wyprzedzając w téj mierze Lombroza, lubili zestawiać geniusz z waryacyą i woleli jako postać bardziéj poetyczną szalonego niż filistra. U nas prócz epizodycznych figur w powieściach i dramatach (najdawniejszą bodaj jest Aldona w „Mindowem” Słowackiego), pierwszy Kraszewski przedstawił cały szereg pomieszanych na rozumie w swoim szkicu p. n. „Bedlam” (pomieszczonych w „Wędrówkach fantastycznych”), a po nim z większą wyrazistością i nadzwyczajném ożywieniem Leopold Sztyrmer w utworze p. t. „Frenofagiusz i Frenolesty”. Gdyby dzisiejsi młodzi autorowie zajmowali się trochę więcéj literaturą ojczystą, gdyby usiłowali zapoznać się z tém, co i jak u nas robiono w powieściopisarstwie, możeby mniéj trochę okazywali śmiałości do wystąpienia ze swemi produkcyami, możeby więcéj dbali o wybór wątku i o jego rozwinięcie. Czémże bowiem jest „Dom Zdrowia“ p. Godziemby Wysockiego w porównaniu z zarysami dopiéro co wspomnianemi? Nikłém, bladém szkicowaniem wobec malowideł, zalecających się conajmniéj żywością i świeżością kolorytu. Ani same objawy obłąkania, ani powody, które je sprowadziły, ani sposób przedstawienia rzeczy nie wznoszą się tu ponad mierność mniéj lub więcéj poprawną, a zaniedbaną bardzo często. Autor spotkawszy znajomego, który szedł do publicznego szpitala obłąkanych, towarzyszy mu, przypatruje się jednemu z obłąka-

nych, poznaje jego historyę, pragnie poznać większą liczbę okazów, więc się wprowadza do prywatnego domu zdrowia i tam pokolei studyuje kilku waryatów. Opisem objawów waryacyi zajmuje się mało; natomiast szeroko rozwodzi się nad przyczynami, które je wywołały (zawód w miłości, życie hulaszcze, poszukiwanie wrażeń dramatycznych, unicestwienie ukochanego i długo upragnionego zamiaru, raptowna wygrana po przejściu mnóstwa cierpień i nieszczęść i t. p.), każąc je przedstawiać samym obłąkanym, albo też czerpiąc materyał do nich w ich pamiętniku lub w objaśnieniach doktora. Jedno jest tu tylko opowiadanie „Bez tytułu", które zwraca na siebie baczniejszą uwagę, nie treścią wprawdzie, ale uwagami końcowemi. Autor powtórzywszy historyę przez samego waryata, niby zapalonego malarza, sobie opowiedzianą, podaje rozmowę swą o tém z doktorem, który oświadcza, że ów malarz wcale malować nie umié, że obrazy znajdujące się w jego mieszkaniu i jego nazwiskiem podpisane, są kupionemi, że historyę swoją opowiada on różnym jaknajrozmaiciéj. Autor nie śmié rozstrzygać, czy doktór ma racyę i rzecz pozostawia w zawieszeniu. Zapewne, czytelnik wolałby wiedziéć coś na pewno, ale jeżeli autor nie mógł dotrzéć do jądra prawdy, dobrze zrobił, że wyrażeniem wątpliwości rzecz swoją zakończył. Inne opowiadania nie mają w sobie rysów interesujących, a dość jednostajny sposób narracyi nie może oczywiście podnieść zajęcia wątkiem spowszedniałym. Zaletą stylu p. W. jest prostota, przechodząca wszelako nieraz w zaniedbanie i pospolitość.

= *Jan Kazimierz Zieliński.* **Wspomnienia starego kawalera.** Lwów. H. Altenberg, 1896, str. 288.—Autor, którego „Ofiary", oceniałem niedawno w „Ateneum", twierdzi po staroświecku trochę, że książka, którą wydaje, powstała z rzeczywistych notatek starego kawalera. Jeżeli oświadczenie takie ma mieć jakieś głębsze znaczenie, to chyba o tyle, iż autor chciał wpoić w czytelnika przekonanie o prawdziwości „dość niezwykłej treści", jak sam się wyraża. Pomimo to jednak budzą się w umyśle krytycznym pewne wątpliwości. Teza, któréj przedstawicielką jest w tym utworze 32-letnia panna Marya, nie jest wprawdzie nową wśród młodzieży męskiéj, lubiącéj rozumować o wszystkiém, a nie przyjmować biernie tylko myśli tradycyjnie przekazywanych i w opinii ogólnéj ustalonych; ale publicznie w literaturze rozwiniętą została niezbyt dawno w dramacie Björnsona-Björnstjerna p. t. „Rękawiczka" oraz w rozprawach przezeń ogłoszonych. Że młoda zapalona, ideą równości zupełnéj przejęta główka panny, któréj ktoś udostępnił zapoznanie się z tego rodzaju poglądami, mogła teorety-

cznie przyswoić je sobie i żądać dziewiczości od narzeczonego, to bardzo jest możliwem; ale ażeby panna 32-letnia, t. j. taka, któréj ukształcenie umysłowe i moralne odbyło się przed okresem rozpowszechnienia owych poglądów, w praktyce żądała ich zastosowania, to już mniéj jest prawdopodobne. Stąd téż Marya wydaje mi się raczéj wytworem kombinacyi autorskiéj, aniżeli istotą wziętą z pośród naszych obecnych stosunków. Ona sama (t. j. mówiąc ściśléj, autor „wspomnień starego kawalera") nie umié nawet nazwać rzeczywistego reprezentanta poglądów, które wyznaje; mówi bowiem ogólnikowo tylko o pisarzach duńskich i „skandynawskich" (!), imiennie wspomina Ibsena, ba, plącze nawet całkiem niestosownie nazwisko nieprzyjaciela kobiety, Strindberga, lecz o Björnsonie milczy. Dowodzi to, że się znów tak bardzo w zbadanie rzeczy nie zagłębiała, że pochwyciła jeno myśl ogólnikowo, gdzieś w gazecie czy książce wyczytaną i na tém tle snuła swoje pojęcia, nie troszcząc się bardzo ani o źródło, skąd wypłynęła myśl owa, ani też o gruntowne argumenta. Ten jeden rys—może mimowoli—jest prawdziwy nie co do Maryi tylko, lecz co do naszego literackiego wykształcenia wogóle. Lubimy nowość i chwytamy każdą w lot, ale zazwyczaj mało dbamy o jéj należyte zbadanie, tak, że często obsłonki bierzemy za istotę rzeczy. I Marya, pomimo, że autor mówi o jéj rozczytywaniu się w książkach, nie była widocznie inną. Lubiła rozprawiać o wszystkiém, nawet o tak zwanych drastycznych tematach, dowód to, że posiadała dosyć bystrości umysłu i wprawę niejaką w dyalektyce, ale daleko w tym względzie nie zaszła chyba, kiedy ją taki dosyć płytki dekadent czy „modernista" jak Alfred, wielce zdolny leniuch, mógł w kozi róg zapędzać i zmuszać do zawieszania dyskusyi. Alfred kocha Maryę, ale nie mając dość pieniędzy, ażeby jéj byt dostatni zapewnić, a prócz tego nie chcąc się krępować żadnemi zobowiązaniami, miłości swéj nie wyznaje i patrzy napozór obojętnie, jak ją zaślubia jego przyjaciel, trochę znużony i trochę zużyty blisko 40-letni, zamożny Jan Korab, autor notatek. Marya zgadza się na ślub, ponieważ jej stryj opiekun musiałby cierpieć nędzę; zastrzega jednak sobie, iż będzie tylko żoną dla oka ludzkiego. Korab przyjmuje warunek, sądząc, że to kaprys chwilowy tylko; gdy się jednak przekonał, że to postanowienie niezłomne, czuje się wielce nieszczęśliwym, sprowadza Alfreda, by się cokolwiek rozerwać, zaleca się do dawnéj swéj znajoméj, Elwiry, która nie chciała mu się oddać, chyba że zabije jéj męża, a po jego śmierci robi to bez żadnego wyrachowania... Alfred znając rozstrój istniejący między Maryą i Janem, proponuje Maryi ucieczkę, ale zgromiony, męczy się i w końcu w łeb sobie strzela, pozostawiając Janowi naukę, jak ma z kobietami postę-

pować. Nauka to nie nowa, ale dobitnie wyrażona; mieści się w tych słowach: „kobiéta lubi i ceni siłę. W teoryi zaprzecza faktowi władzy, lecz uznaje władcę wobec gwałtowności czynu. Nie słuchaj ani jéj niezadowolenia, ani jéj boleści, ani jéj płaczu, ani jéj krzyków: należy do ciebie! Znosić musi wszystko: dzieci, umartwienia, trudy, kłopoty i humory męża.” Jan długo nie mógł się odważyć, by pójść za radą przyjaciela; wyczerpawszy jednak środki łagodne: prośby, zaklęcia, zobojętnienie i t. p., chwycił się w chwili stanowczéj, kiedy się rozstać mieli, „gwałtowności czynu.” Z tryumfem zapisuje w dzienniku brutalną scenę, w któréj rzuciwszy się na Maryę, choć ta go kopała i kąsała, wymusił na niéj pocałunki, aż wreszcie pokorna, jak skarcone dziecko, zawołała: Janiu, mój Janiu! Autor zdaje się podzielać opinie Alfreda i Jana i przeciwstawia „moralnéj histeryi” Maryi „gwałtowność czynu” mężczyzny, jako środek leczniczy. Czy na seryo? Czy istotnie ma taka recepta większą wartość od owéj „*douce violence*”, którą w stosunkach z kobietami zalecali starsi? Nie ma podobno na nie środka uniwersalnego, gdyż zawsze i wszędzie indywidualność odgrywa rolę nadzwyczaj ważną, jeżeli nie rozstrzygającą, We „Wspomnieniach starego kawalera” nie wydaje się podany i użyty przez Jana sposób odpowiednim do zniewolenia takiéj kobiety, jak Marya, chyba, że zarówno jéj zasady, jak jéj zachowanie się, były objawami przemijających zachcianek. Studyum psychologicznego nie znajdujemy tutaj, bo zbyt płytko rozbiera autor zagadnienia ducha; mamy jedynie szereg scen mniéj lub więcéj interesujących z uwydatnieniem jaskrawych kontrastów. Rzecz skreślona jest stylem żywym, nie mającym zalet poetyckich, ale dość znamiennym; język nie jest wolny od naleciałości prowincyonalnych tchnących cudzoziemczyzną, np. purpura w rodzaju męskim, celownik zam. dopełniana, albo takie wyrażenie „układało mnie to bardzo” (str. 103) zamiast: To mi wielce dogadzało.

— *Józef Weyssenhoff*. **Z Grecyi**. Kraków. 1895. Nakład autora, str. 175. Niewiele posiadamy książek, traktujących o sztuce greckiéj i o dzisiejszym stanie prastaréj kolebki artyzmu, lecz na zupełny ich brak uskarżać się niepodobna. Na początku tego stulecia Stanisław hr. Potocki przyswoił językowi naszemu głośne dzieło Winckelmanna „O sztuce u dawnych”, potém w lat kilkadziesiąt Józef Kremer ogłosił swoje samodzielne badania nad twórczością artystyczną „Grecyi”, a daléj z powodu nowych wykopalisk, dokonanych przez Schliemanna i innych pojawiły się rozprawy Ludwika Ćwiklińskiego. Henryk Sienkiewicz streścił swe podróżnicze wrażenia w paru listach, a Aleksander

Hirschberg w osobnéj książeczce. Ten zapas naszych wiadomości o Grecyi pomnaża obecnie p. Weyssenhoff, występujący po raz pierwszy w literaturze książkowéj. Widać z jego książki (bardzo ładnie wydanéj), że jest on szczerym wielbicielem piękna przyrody i piękna sztuki, że jest wielce wrażliwy na wszystko, co się z temi przedmiotami łączy, że nie dla popisu przed innymi, ale dla własnéj roskoszy estetycznéj odbywa podróż, zwiedza zabytki i muzea, wchodzi w stosunki z ludźmi, wpatruje się w widoki natury i marzy o nich. Jest po większéj części sam, bo wié, że lubo w towarzystwie czas prędzéj schodzi i rozrywek nastręcza się więcéj, ale nie ma się za to tego skupienia ducha, jakie dla prawdziwego lubownika sztuki jest potrzebne, ażeby w całéj pełni używać zadowolenia, nie ma się także téj swobody rozporządzenia wszystkiemi swemi krokami i zaspakajania wszystkich zachcianek. Co jest dodatnią stroną książki, to naturalność, prostota, brak wszelkiéj pozy — czy sentymentalnéj, czy pesymistycznéj, czy erudycyjnéj, czy lekkomyślnéj. Opowiada nam autor w krótkich, zwięzłych, może czasami nawet za suchych słowach, co widział w Atenach, w Koryncie, w Olimpii, co czuł i jakich wrażeń doznawał, starając się być wiernym jedynie sprawozdawcą, a wszelakiego rodzaju wybuchy pozostawiając na boku. Czyta się jego książkę bez znużenia, niekiedy z prawdziwém zajęciem, a dowiaduje się wiele rzeczy takich, o których w dawniejszych dziełach nie było wzmianki, gdyż autor odbywał swą wycieczkę w r. 1891, kiedy odkopano lub odrestaurowano takie przedmioty, jakich p. Ćwikliński np. jeszcze nie widział. Przy końcu dołączył p. Weyssenhoff 6 utworów poetycznych, napisanych w ciągu podróży, a wywołanych widokami i przypomnieniami. Toż samo w nich lubowanie się przyrodą i sztuką, co i w prozie; staranność o rymy i wysłowienie wielka; lecz, daruje nam autor szczere wyznanie, „natchnienia" poetyckiego czuć w nich mało; zdaje się, że się ono zużyło na pokonywanie trudności rymotwórczych. Kilka tylko strof z „Tanatos" (Śmierć) wzorowanych, zdaje się, na Asnyku, przemawia do uczucia, bo nietylko zostały one odczute przez twórcę, ale téż ładnie wcielone w formę.

= *K. Federowicz.* **Czternaście dni na morzu.** Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895, str. 159. — Przedstawia się nam autor, trochę może obowiązkowo dla mody, jako człowiek znużony, nieszczęściami i zawodami nietylko skłopotany, ale i przybity; w ciągu jednak opowiadania, obok rzadko zresztą spotykającego się powtórzenia owej charakterystyki, widzimy jednostkę normalną, zajmującą się bez obłudy wszystkiém, co zajęcie obudzić może, spółczującego ludziom, pragnącego

ochronić ich od przykrości, więc delikatnego, tkliwego, serdecznego. Opowiadaczem na papierze nie jest wprawnym p. F., ale widocznie ma swadę przyrodzoną, która w żywém słowie może nawet bardzo być efektowną. Językiem nie włada dobrze, a raczéj popełnia niepoprawności prowincyonalne (z r e s z t y zam. zresztą) lub świadczące o nieodróżnianiu pewnych odcieni w wyrażeniach (p r z y b r a ć charakt e r u, zam. n a b r a ć ch. i t. p.), lub wreszcie będące wynikiem czytania w języku niemieckim. Mimo jednak tych niepoprawności, które niekiedy przy nagromadzeniu swém wywołują wrażenie komiczne, opis podróży z Brindisi do Adelajdy w Australii daje się czytać z zajęciem, a niektóre szczegóły, np. przedstawienie burzy lub pobytu w Colombo (na wyspie Cejlon) głęboko nawet zapisują się w pamięci z powodu swéj wyrazistości i uwydatnienia rysów naprawdę zajmujących. Dodać przytém potrzeba, że forma podróżnicza opowiadania maskuje treść powieściową. . Mamy tu Aleksandra chorego na piersi („piersiowego", jak się autor potocznie wyraża), jego żonę chorą na serce (mającą „błąd", t. j. wadę serca); mamy czarny charakter w osobie p. Henryka, który kochając się od lat kilku w żonie przyjaciela, Marylce, na okręcie dopuszcza się zuchwalstwa i przemocą ją całuje, za co dostaje policzek, ale następnie, ażeby chorego Aleksandra nie drażnić, witany bywa jak dawniéj, knuje zdradę, wmawia w biedaka, że żona jego romansuje z autorem dziennika podróży, dawnym swym od dzieciństwa znajomym i sprowadza katastrofę, bo podejrzliwy i zazdrosny Aleksander, zoczywszy, jak autor całuje w rękę Marylkę, porywa ją brutalnie i wlecze do kajuty, czém rozstrój organizmu biednéj powoduje, a sam, zaledwie przybywszy do Adelajdy, umiéra. Henryk, znieważony przez autora, nie poszukuje satysfakcyi. Niepodobna odmówić zalet temu cichemu dramatowi na okręcie i można pochwalić wstrzemięźliwość autora, że mając taki temat, nie starał się go wyzyskiwać na rozległą skalę, lecz poprzestał na nowelistycznem jedynie uwydatnieniu momentów głównych. Książeczka, uwolniona od niepoprawności językowych, mogłaby w naszéj literaturze beletrystycznéj zająć miejsce nie ostatnie; jest w niéj treść ześrodkowana, nie ma rozwlekłości.

= *Kazimierz Malczewski*. **Nowele**. Tom I. Kraków. Gebethner i Wolff, b. r., str. 68. — Jak się ze spisu prac pomieszczonego przy końcu tego tomiku dowiadujemy, jest p. Kazimierz Malczewski autorem kilku utworów poetycznych, drukowanych od r. 1893. Jest tam poemat z końca XVIII wieku p. t. „Noemi", ilustrowany przez St. Wolskiego i St. Fabiańskiego, jest fragment dramatyczny p. t. „Zbrodnia",

są „Drobne utwory”, jest poemat „Bój.” Nie znam ich, ale niebardzo tego żałuję, jeżeli ich wartość podobna jest do świeższéj od nich chrochronologicznie fantazyi dramatycznéj w jednym akcie p. t. „Sen”, wydrukowanéj w zbiorku „Nowel”, który mamy przed sobą. Wierszom oddając pierwszeństwo przed prozą, od téj właśnie fantazyi zaczniemy. W pokoju księdza leży chora jego bratanica, mająca w gorączce widzenie, że matka jéj, niedawno pogrzebana, żyje. Sługa kościelny, dla uspokojenia choréj, idzie w noc ciemną i dżdżystą na cmentarz i przekonywa się, że matka ta „w kącie w grobie” (widać pochowana bez trumny) „drżąca była, przerażona, mglała” (!). Wzięto ją na nosze i przyniesiono do pokoju, w którym znajdowała się chora. Niestety, w ciągu tych przenosin umarła naprawdę. Niezręczną tę plątaninę komplikuje jeszcze walka wewnętrzna księdza, który do choréj bratanicy poczuł pociąg namiętny i takiemi słowy modli się do Boga, by mu dopomógł do zwalczenia pokusy:

Odwróć brzemię żądz, uniesień,
Przed oczami (?) grzechy moje,
Choć przebiegam życia jesień,
Namiętności płoną zdroje.

Gdy dodam, że inne wiersze pod względem dykcyi i sposobu łączenia zdań są do tych podobne, to czytelnicy zwolnią mię chyba od dokładniejszego wskazywania wartości takiéj częstochowszczyzny. — Proza p. M. nie jest lepsza od wierszy. Pewną zdolność autor posiada, lecz zdolność zupełnie niewykształconą nietylko artystycznie, ale nawet gramatycznie. Maleńki jego zbiorek roi się od mnóstwa wykroczeń przeciw ortografii, składni i stylistyce. Byłoby zbyt nużącą rzeczą, gdybym miał je tu wytykać; równałoby się to poprawianiu ćwiczeń studenckich. Pomysłowość nie odznacza się świeżością. Grajek, zabijający się dla tego, że go opuściła kochana dziewczyna, która wychodzi za bogatego łysa („Noc letnia”), spotkanie w wagonie rodaczki, któréj autor nie poznaje i na złość jéj zapala papierosa w oddziale dla niepalących („Stara panna”), zakonnik, który niegdyś w pojedynku zabił ukochanego swéj siostry, potém wstąpił do klasztoru i zaczął hodować słynne róże, wyrzekający się téj roskoszy dla tego, że kozę, co mu różę popsuła, wydał na rzeź („Ojciec Salezy”), urzędnik knajpujący, który wskutek obudzonego podejrzenia wpada nocą do pokoju żony, dobywa z biurka papiery, świadczące, że żona kocha go czule („Ona mnie zdradza”), licha próba odmalowania upojenia zmysłowego („Szał”), no i ów „Sen”, o którym już mówiłem — oto pomysły, wypełniające tomik „Nowel” p. Malczewskiego.

= *M. Dzikowski—Chamski* (*Żegota Krzywdzic*). **Zdrowi i pokaleczeni.** Komedya w pięciu aktach. Lwów, nakład W. A. Szyjkowskiego, b. r. str. 50 w dwie szpalty. P. Mieczysław Dzikowski, literat znany przed laty w Warszawie, założyciel „Kolców" rozpoczął swój zawód od poezyi („Szymon Konarski" 1865) i dramatu i powieści („Dziewczyna", „Miłość i miłość", „Nasze życie", „Bez szczęścia"), przerzucił się następnie do publicystyki i przez lat kilkanaście zupełnie się w niéj zagrzebał. Teraz wraca nanowo do dramatyki. Ogłoszona w roku zeszłym komedya jego „Zdrowi i pokaleczeni" inauguruje tę nową fazę. Grano ją podobno w Krakowie i we Lwowie. Jaka jest wartość? Psychologiczna i literacka bardzo niewielka. Kilka konceptów, parę rzeczywiście dowcipnych zwrotów, zarys jednéj energicznéj postaci niewieściéj (Kukułeczka), scena z wesołą, lubiącą się kochać i swatać wdówką (Gruchalską) — oto chyba wszystko, co dodatniem w tym utworze nazwać można. Wątek główny i przeważna część personelu są to rzeczy chybione, naciągane, nieprawdopodobne; a dykcya nie ma w sobie zazwyczaj ani naturalności, ani znamion charakterystycznych. Wiktorya romansowała za życia męża najpoczciwszego z ostatnim szubrawcem Zenonem i wyszła następnie za mąż za niego, nie uwiadomiwszy o tém dorosłego syna Bolesława. Ten przybywszy do domu i dowiedziawszy się od starego sługi, że ojciec jego świadom był swéj hańby i umarł z rozpaczy, wyzywa Zenona na pojedynek, rani go ciężko i—godzi się z położeniem, jakie zastał poprzednio. Co więcéj płonie miłością do Zofii, dawnéj kochanki Zenona, którą tenże podaje za swą siostrę. Zofia, która pokochała Bolesława naprawdę, zwierza się przed jego matką co do niezaszczytnych dziejów swego życia, wywołuje na razie oburzenie, a podrażniona, przypomina Wiktoryi, że i ona świętą nie jest. Wiktorya zgnębiona umiéra; a Zenon, Zofia, Bolesław, jego przyjaciel doktór Perytus, oraz Kukułeczka, wychowanka rodziców Bolesława, jadą do Szczawnicy—dla czego zapyta ktoś?—Oto dlatego, że żona żyda Cybucha, która wcale na scenie nie występuje, wysłaną została przez Perytusa do Szczawnicy. Dostateczny powód, nieprawdaż?.. Tu Bolesław dowiaduje się ubocznie od sponiewieranego arystokraty Korytki czém była Zofia, wpada w gniew, zrywa z nią, robiąc gorzkie wymówki. Zofia postanawia zostać szarytką, Zenon dostaje pieniądze i czmycha. Kukułeczka nabywa zakład inhalacyjny w Szczawnicy i pozwala starać się o swą rękę doktorowi Perytusowi. Gruchalska, która chciała Perytusa dla siebie pozyskać, cieszy się jednak, że może się przyczynić do skojarzenia jego małżeństwa z Kukułeczką. Scen melodramatycznych, deklamacyi nie brak w téj komedyi; ale prawdy życia, ale psychologicznego umotywowania czynności

osób, któreby widza przekonywało, iż tak się rzeczy dziać musiały, trudno się tu doszukać. Żywioł komiczny ma być tu reprezentowany przez Cybucha, Korytkę i Gruchalską. Cybuch jest już bardzo wyszarzaną w komedyach naszych postacią; Korytków mamy również dość dużo; jedna Gruchalska wyróżnia się pewną świeżością a to wskutek swojéj dobroduszności, szczerości i złotego zawsze humoru. W scenach dramatycznych autor widocznie się lubuje, może je nawet poczytuje za swoją silną stronę, ale w tém podobno się myli.

= **Dwie politeje ateńskie.** Napisał *Stanisław Schneider*. Lwów. 1895, str. 10.—W dziełach znanego wodza i pisarza greckiego, Ksenofonta, znajduje się rozprawka o ustawie rządowéj Aten. W naszém stuleciu krytyka filologów doszła do przekonania, że rozprawa ta nie może być utworem Ksenofonta i że formą niższa jest ona od dzieł jego, ale treścią przewyższa o wiele jego widnokrąg polityczny. Kto mógł być autorem jéj rzeczywistym, to pomimo najrozmaitszych kombinacyi i wywodów nie dało się stwierdzić dotychczas napewno. P. Schneider zgadzając się częściowo ze zdaniami niektórych poprzedników swoich na tém polu badań, częściowo zaś polemizując z nimi, dowodzi, że rozprawa owa jest odpowiedzią na jakąś nieznaną broszurę demokraty starszego pokroju, który potęgę Aten zasadzał na rozwoju rolnictwa, gdy tymczasem rozwój ekonomiczny skłaniał ku przechyleniu się na stronę handlu. Wyobrazicielem tego kierunku kapitalistycznego jest właśnie autor rozprawy w mowie będącéj. Przeciwko niemu wystąpił Arystoteles w traktacie niedawno odkrytym. Wywody p. Sch. odznaczają się śmiałością i bystrością; szkoda tylko, że zostały wypowiedziane językiem silnie zgermanizowanym. „Uwięzić musi uwagę... wstęp" (str. 4), „nie zachodząc się wcale ziemią (t. j, nie uprawiając roli, str. 5), prace „zastanowione przez wojnę" (str. 7), publikacya „strzegąca drogę reakcyi" (tamże) — oto cząstka tych zwrotów, które rażą swoją niepolskością.

= **Encyklopedya ilustrowana wiadomości pożytecznych.** Nakładem Michała Arcta. Warszawa Zeszyt I. — Bardzo pożyteczne wydawnictwo podjął p. Arct, dając czytelnikom podręcznik, z którego by mogli korzystać ilekroć napotkają wyraz techniczny, obcy, tak dziś zresztą często się spotykający nawet w literaturze bieżącéj, brukowéj. Praca ta, która jak zapowiada projekt, zawrze się w pięćdziesięciu dwóch arkuszach druku, będzie stanowiła dobry nabytek dla domo-

wych bibliotek i niejednemu pomimo wielkiego oczytania może się bardzo przydać. Artykuliki krótkie, zrozumiałe, bezpretensyonalnie pisane, są o ile możności ilustrowane wcale dobremi rysunkami. Pisana na wzór znanych tego rodzaju wydawnictw zagranicznych, nowa ta encyklopedya wypełnia lukę w naszém piśmiennictwie. Należałoby tylko uwzględnić więcéj nasze polskie słownictwo naukowe, nie posiłkując się tak ustawicznie terminami cudzoziemskiemi. Wiele zyskałaby na tém cała praca, a nakład by się bynajmniej nie zwiększył. Idzie jedynie o pewne zmiany redakcyjne, wprowadzenie tych terminów polskich, które dla ogółu czytelników naszych są zarówno niezrozumiałe jak wyrażenia „aldehydy, antyfis" i tym podobne. Sądzić należy że następne zeszyty wyjdą z tą tak pożądaną zmianą, podnosząc tylko wartość tego pożytecznego wydawnictwa. *K. Dan. Strzel...*

= Z przesłanego nam **Trzeciego przyczynku do nauki o zboczeniach mowy** przez d-ra *Ołtuszewskiego*, (sprawozdanie za rok 1894/95, dowiadujemy się o ruchu chorych w zakładzie oraz wynikach leczniczych. W ciągu pomienionego czasu zgłosiło się 159 osób: z jąkaniem 88, trzepotaniem 1, bełkotaniem łącznie z wadliwém wymawianiem 38, mową nosową 5, niemotą 7. Z owych 88 podlegających jąkaniu leczyło się 19 osób, ze zgłaszających się z lat zeszłych 4, razem 23: z tych 18 osób ukończyło cały kurs leczniczy i wszyscy zostali wyleczeni z wyjątkiem jednéj, która doznała znacznéj poprawy. Na bełkotanie łącznie z wadliwém wymawianiem leczyło się 12 osób, od mowy nosowéj wrodzonéj i od niemoty wrodzonéj po jednéj, wszyscy z zupełnie dobrym wynikiem. Na szczególne zaznaczenie zasługuje fakt, nie ulegający już dziś żadnéj wątpliwości, że bełkotanie i mowa nosowa wrodzona, czyniące mowę dla otoczenia zupełnie niezrozumiałą, jako też i wadliwe wymawianie, należą do zboczeń zupełnie uleczalnych. Wady te, szczególnie bełkotanie oraz mowę nosową wrodzoną winniśmy wcześnie poddawać leczeniu, choćby z tego względu, że jedynie wyrażone w bardzo słabym stopniu ulegają poprawie przy zastosowaniu odpowiednich środków hygienicznych, a zazwyczaj przeciągają się do okresu przedszkolnego, pozbawiając dzieci możności kształcenia się. To samo w zupełności dotyczy niemoty wrodzonéj, polegającéj jak wiadomo na tém, że dzieci pomimo to iż słyszą i rozumieją mowę, samodzielnie mówić nie mogą.

= *Algernon Charles Swinburne. Selections from the poetical works. Fifth edition.* London (Chatto et Windus). — Książka niniejsza stanowi rodzaj antologii z pism A. C. Swinburne'a, który dziś jest

uważany za największego z poetów angielskich. Antologię składa wybór z rozmaitych dotąd wydanych zbiorków tego poety, zwłaszcza zaś z ostatnich jak *Studies in Song*, *Century of Roundels i Songs of two nations*, w których Swinburne występuje raczej jako ciekawy różnych form nowych i nieznanych prozodysta, niżeli jako poeta, szukający wielkich ideałów. Wydaje mi się to słabą stroną tėj antologii, że nie podano tu prawie nic z *Poems and Ballads*, ani też ze znakomitych *Songs before Sunrise*. I tak nie ma tu np. *Dolores*, *Faustyny*, *Bethsabe*, niema *Laus Veneris* ani *Pielgrzymów*, niema *Hymn of man*, *Mater Dolorosa*, *Mater triumphalis*. Są natomiast liczne obrazy natury, zwłaszcza morza, które jest ulubionym żywiołem poety. — *In the Water*, *By the north sea*, *In the Salbmarskes off shore*, *Hertha* i in. — oto są pieśni morskie, które największą popularność zapewniły Swinburne'owi. Z rzeczy politycznych jest tu *Mazzini* (do Włoch) i *et year's burden* (1870, do Francyi). Niezmiernym wdziękiem odznaczają się piosenki Swinburne'a — dzieciom ofiarowane (Children, a child's laughter, a child's). Jeżeli jednak antologia nie właściwie jest dobrana w dziale lirycznym, to natomiast mamy piękny wybór urywków z powieści poetycznych, jak *Tristram of Lyonesse* i dramatów, jak *Atalanta*, *Meleagros*, *Erechteus*, *Marino Faliero*, *Bothwell*, *Marie Stuart*. — Prześliczne z tėj ostatniėj sztuki *Adieux à Marie Stuart* — kończą książkę, z którėj jednak, niestety, zdaje się, czytelnik nie wyrobi sobie dokładnego pojęcia o wielkim poecie. *A. L.*

ODEZWA.

Zbierając oddawna materyały do historyi indygenatu w dawnėj Polsce, którėj brak w naszém piśmiennictwie heraldyczném dotkliwie daje się uczuć, najuprzejmiėj proszę wszystkich, czy to pochodzących od rodzin szlachty zagranicznėj, udostojnionėj klejnotem rycerstwa polskiego, czy też posiadających w swych zbiorach odpowiednie rękopiśmienne lub drukowane źródła—o nadsyłanie takowych niżėj podpisanemu, a po spożytkowaniu zwrócone zostaną.

Wszystkie pisma krajowe proszę a powtórzenie niniejszėj odezwy.

Kłodawa, gub. kaliska, 1896 r.

Michał Rawicz-Witanowski.

= **Ogłoszenie Rady Ogólnéj Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego**. Przedstawione w 1895 roku dwa dzieła dla pozyskania nagrody Adama Chojnackiego na temat, wyznaczony w 1893 roku przez fakultet prawny Uniwersytetu Warszawskiego, po rozpatrzeniu takowych w komisyi szczególnéj, uznane były za nie odpowiadające warunkom konkursu dla pozyskania wyżéj wymienionéj nagrody. Stosownie przeto do § 13 „Warunków ogłoszenia konkursu i przyznania nagrody imienia Chojnackiego za dzieła popularne, mające na celu oświatę ludu”, termin przedstawienia dzieła konkursowego przedłuża się jeszcze do d. 30 kwietnia v. s. 1897 r., a nagroda przyznaną będzie nie rs. 900, lecz rs. 1,350. Temat wyznaczony w r. 1893, pozostaje nadal, a mianowicie: „O oszczędności, o kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych i pożyczkowo-oszczędnościowych.” Wyciąg z warunków konkursu: Nagroda imienia Adama Chojnackiego przyznana będzie przez Cesarski uniwersytet warszawski autorowi najlepszego dzieła, mającego na celu oświecenie prostego ludu, a tém samém wpływ na poprawę moralności i obyczajów tegoż ludu. Dzieło powinno być napisane w języku rosyjskim i przez rosyjskiego poddanego: bądź to już drukowane, bądź téż w rękopisie, napisane porządnie i wyraźnie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim lub polskim pozostawia się uznaniu autora.



NEKROLOGIA.

† **Bronisława Wieliczkówna**, malarka i poetka, zmarła w końcu lutego, mając zaledwie lat 22. Kilka jéj utworów drukował „Tygodnik Ilustrowany.“ Zbiorek jéj poezyi ma się niebawem ukazać z druku.

† **Żegota Jakób Wywiałkowski**, drukarz, zmarł w Warszawie w lutym, mając lat 73. Ogłosił: „Słowniczek wyrażeń w zawodzie czcionkarstwa polskiego używanych i użyć się mogących”, „Wartkotłocznie w szczególności opisał... z trzema tablicami rycin” (Krak. 1858), „Czcionkarnie istniejące w dziedzinach polskich od pierwszych lat założenia do naszych czasów”, „Wzory pism czcionkarni w Krakowie” (1860).

† **Ludwika Kietlińska**, nauczycielka, zmarła w Charkowie, mając lat 25. Urodzona w Skarżycach (gub. Kielecka), uczyła się w Kielcach i Warszawie, najwięcéj wszakże zawdzięczała sobie saméj. Jako nauczycielka i towarzyszka zyskała miano „kusicielki” do dobrego. Przez trzy lata była współkierowniczką pensyi żeńskiéj w Suchedniowie. Pisała utwory dla młodzieży i pomieszczała je w „Wieczorach Rodzinnych.”

† **Aleksander Jurgielewicz**, pedagog, b. nauczyciel szkoły technicznéj drogi żelaznéj Warsz.-Wied., a ostatnio przełożony szkoły kolejowej w Bzinie, zmarł w połowie lutego tamże. Prócz artykułów w pismach pedagogicznych, ogłosił osobno: „Wskazówki metodyczne do nauki początków języka ojczystego” (Warsz., 1887).

† **Józef Bogdan Rogójski**, doktor filozofii i nauk przyrodniczych, b. nauczyciel chemii w instytucie marymonckim, potém w gimnazyum radomskiém, zmarł w ubóstwie w Łodzi, mając lat 78. Ogłosił drukiem następne dzieła: „Chemia rolnicza” (1875), „Listy o kulturze” (1870 — 1877), „Poradnik życia gospodarskiego” (1870 i 1871), „Potrzeby gali-

cyjskiego rolnictwa i przemysłu" (Kraków 1855), „Przegląd rolniczo-przemysłowych usiłowań" (tamże t. r.), „Recherches sur les sulfates" (Paryż), „Ueber einige neue Kobaltzverbindungen", „O zasadach słownictwa chemicznego", „Kultura i jéj prawidła" (1878). Przełożył z niemieckiego „Prelekcye chemiczno-gospodarskie J. A. Stöckhardta" (2 tomy), a w czasopismach podawał opisy swych podróży po Anglii i Ameryce.

† **Stanisław Woyneko Tomkiewicz**, malarz, poeta i publicysta, zmarł w 41 roku życia w Krakowie w początkach marca.

† **Adam Mieleszko Maliszkiewicz**, literat, niegdyś zamożny obywatel, gromadzący stare księgi, dzieła sztuki i różnego rodzaju dokumenty, potém zubożały, był czas jakiś korektorem w „Kuryerze Warszawskim." Oprócz artykułów i poezyi w czasopismach, ogłosił zbiór poezyi oryginalnych p. t. „Pyłki" (Kijów 1860), oraz tłómaczenia Heinego: „Obrazy z podróży: Dobosz Legrand" (Warszawa 1879), „Księga pieśni" (tamże 1880).

† **Hugo Zathey**, pedagog i literat, urodził się w Kałuszu w Galicyi r. 1846. Ukończywszy nauki gimnazyalne w Stanisławowie, przeszedł na wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii. Od r. 1871 przebywał stale w Krakowie, jako profesor, w końcu jako dyrektor wyższéj szkoły realnéj. Zamiłowany w klasykach greckich, cenił w nowszéj twórczości to głównie, co mu zalety owych klasyków przypominało. Rozpoczął zawód literacki od „Uwag nad Panem Tadeuszem" (Poznań 1873), które w owym czasie były pierwszym szczegółowszym rozbiorem tego arcydzieła i zjednały autorowi niemałe uznanie. Nakreślił następnie rozprawkę o polskich tłómaczeniach Homera p. t. „Homer w Polsce" (Kraków 1874). Redagował przez czas jakiś „Przegląd Polski" i pomieszczał tu swoje wspomnienia i zarysy, jako to: „Wieczór u Deotymy", „A. E. Odyniec." W 1879 wydał przekład „Wybranych poezyi" Goethego. Za rozprawę „Goethe a Polacy", zamieszczoną w rocznikach, wydawanych przez Towarzystwo im. Goethego we Frankfurcie nad Menem, mianowany został członkiem tego Towarzystwa. Inne jego prace są: „Młodość Bohdana Zaleskiego", „Korespondencya Domejki z Chełmońskim", „Kilka uwag nad życiem Goethego" (1894). Ułożył nadto: Antologię grecką", wydaną r. 1895, i „Antologię rzymską", którą wykończył na krótko przed zgonem. Zmarł w Krakowie 10 marca.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Марта 1896 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach, zeszyty 49—56 (str. 97—338 i 1—192), Lwów, 1896, 8-vo.
2. *Jan Kazimierz Zieliński.* **Wspomnienia starego kawalera.** Lwów, księg. H. Altenberga 1896, str. 288.
3. *Marya Rodziewiczówna.* **Jerychonka.** Powieść. Warszawa S. Lewental, (1896), 8-vo, str. 346.
4. **O Pietrku i Połonce.** Powiastka napisana przez *Bronisławę-Ludmiłę Nakęską.* Wydawnictwo „Gazety Świątecznéj" i księg. krajowéj. Warsz. 1895, 8-vo, str. 32.
5. *Karol Potkański.* **Postrzyżyny** u Słowian i Germanów. Krak. nakł. Akademii umiej. 1895, 8-vo, str. 93.
6. **Mieszkania dla robotników.** Z 2 tabl. litogr. Warsz. 1896, 8-vo, str. 32. *Dr. Józ. Tchórznicki i dr. Rajmund Wajnicz.*
7. **Archiwum Komisyi Prawniczéj** t. III: Tłumaczenia polskie statutów ziemskich wydał prof. dr. *Franciszek Piekosiński.* Krak. nakł. Akad. umiej. 1895, 8-vo, str. XV i 492.
8. **Podręcznik** do racyonalnego żywienia zwierząt gospodarskich. Napisał *Antoni Brownsford.* Drugie nowo-opracowane wydanie. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 298.
9. Z powodu nastąpić mającéj **Rewizyi Taryf Zbożowych** z r. 1893. Opracował *Dominik Wretowski.* Warsz. 1895, 8 vo, str. 33.
10. **Podatek czy monopol?** Stanowisko producenta cukru w systemie opodatkowania Przez *Stanisława Piotrowskiego.* Warsz. 1895, 8-vo, str. 17.
11. *Kazimierz Malczewski.* **Powieści**, nowele i fantazye. Tom I. Warsz. Gebethner i Wolff, str. 66.
12. *Plato v. Reussnera.* Najlepsza metoda czyli **Samouczek** Polsko-Francuski. Kurs II-gi: Gramatyka treściwa, zesz. 38 i 39, Warsz. 1895, (cena zesz. 15 kop.)
13. *Eliza Orzeszkowa.* **Pieśń przerwana.** Z ilustracyami J. Maszyńskiego („Biblioteczka ilustrowana"). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 253.
14. **Obecne stanowisko nauki** o nieżycie pęcherza moczowego. Podał *M. Misiewicz.* Warsz. nakład Redakcyi „Kroniki Lekarskiéj", 1896 8-vo, str. 38.
15. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Warsz, 1896, zesz. LV (Machiny i narzędzia rolnicze).
16. **Zbiór wiadomości** do antropologii krajowéj. Tom XVIII. Krak. nakł. Akad. umiejęt. 1895, 8-vo, str. IX, 76 i 490 z jedną tabl. i 24 rysunk. w tekście.
17. **Bibliografia historyi** polskiéj ułożył dr. *Ludwik Finkel.* Cz. II, zesz. I. Krak. nakł. Akademii umiej. 1895, (str. 531—688).
18. **Rozprawy** Akademii umiejętności. Wyd. matematyczno-przyrodniczy. T. XXVII. Krak. 1895, str. 399 z 7 tabl. i 25 rysunkami.
19. **De omni re scibili** De toute chose connaissable (Pour les adversaires de l'enseignement classique). Réflexions de l'ermite *Iksmokul.* Paris, 1895, 8-vo, str. 640.
20. *Mikołaja Reja z Nagłowic.* **Zwierzyniec.** 1562. Wydał dr. *Wilhelm Bruchnalski.* Krak. nakł. Akademii umiej. 1895, str. XVII i 348.
21. **Wisła.** Tom IX, zesz. 4 (październik, listopad grudzień). Warsz. 1895, skład główny w księg. Arcta (645—884).
22. **Dzieje powszechne ilustrowane.** Zeszyty 27—63. Wiedeń, nakładem Franciszka Bondy, skł. gł. u G. Centnerszwera w Warszawie (cena zesz. 24 kop.)

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.